



*Debbie
Macomber*



Dom z marzeń

Zatoka cedrów 08

Tytuł oryginału: 8 Sandpiper Way

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Ludzie powiadają, że żona zawsze dowiaduje się ostatnia. Może i tak, ale Emily wiedziała o tym wcześniej. Już ponad tydzień żyła ze świadomością, że Dave, jej mąż, związał się z inną kobietą. A ponieważ był nie tylko jej mężem, lecz także pastorem Dave'em Flemmingiem, tym większą odrazę i lęk wzbudzała okropna myśl, że pokochał kogoś innego. Sama zdrada była już wystarczającym złem, ale zlekceważyć swoje obowiązki moralne wobec kongregacji... wobec Boga! Nie, to po prostu nie mieściło się w głowie.

Niestety, fakty mówiły same za siebie. Wybierali się do lokalu, by uczcić kolejną rocznicę ślubu. Emily czekała na Dave'a w kancelarii parafialnej i trochę już zniecierpliwiona zdjęła z kołeczka na drzwiach marynarkę męża. Gdy przewiesiła ją przez rękę, z kieszeni wypadło właśnie to. Kolczyk. Kolczyk z diamentem. Drugi, identyczny, spoczywał w drugiej kieszeni.

Dwa przepiękne wielkie kolczyki wysadzone diamentami, których właścicielką na pewno nie była ona, żona pastora.

W pierwszej chwili pomyślała, że jest to prezent dla niej z okazji rocznicy ślubu, jednak natychmiast to skorygowała. Po pierwsze, taki prezent daje się w eleganckim pudełeczku od jubilera. A po drugie, to po prostu niemożliwe ze względów finansowych. Dysponowali bardzo ograniczonym budżetem domowym, więc wszelkie ekstrawagancje były wykluczone.

Powinna była od razu spytać męża o te kolczyki, nie chciała jednak swoją podejrzliwością psuć wspólnego wieczoru. W rezultacie nie spytała

do dziś, co wcale nie znaczyło, że sprawę uznała za niebyłą. Oczywiście, że nie! Przecież kolczyki otworzyły jej oczy na inne, równie podejrzane zjawiska! Przede wszystkim na to, że Dave od jakiegoś czasu był dziwnie zajęty. Tak bardzo, że miły obyczaj spędzania po obiedzie co najmniej godziny tylko we dwoje poszedł w zapomnienie, bo Dave musiał dokądś pędzić, albo na obiedzie w ogóle go nie było przynajmniej dwa, trzy razy w tygodniu. A poza tym ostatnio zaczął bardziej dbać o swój wygląd. Oczywiście można to złożyć na karb zbyt bujnej wyobraźni, niemniej jednak...

Dni mijały, liczba podejrzeń podwoiła się, a nawet potroiła, jednak Emily wciąż zwlekała z zasadniczą rozmową. Owszem, zaczęła podpytywać męża, dokąd się wybiera, lecz za każdym razem uzyskiwała dość mętną odpowiedź. Dave wymieniał kompletnie nieznane jej nazwiska, wspominał o jakichś spotkaniach, a przede wszystkim Emily odnosiła wrażenie, że jest jej dociekliwością urażony. Dlatego po jakimś czasie przestała pytać.

– Mamusiu, kiedy tata wróci? – spytał Mark, młodszy synek, zerkając na nią znad talerza. Miał osiem lat i brązowe oczy po ojcu.

Mały Mark nie wiedział, że mama zadaje sobie w duchu identyczne pytanie.

– Wkrótce tu będzie – odparła, starając się, żeby zabrzmiało to tak, jakby nie miała najmniejszych wątpliwości.

– Tata prawie nigdy nie je z nami. – Matthew, starszy synek, nie krył niezadowolenia.

Cóż, taka była prawda. Dave'a bardzo często nie było razem z rodziną przy jednym stole i Emily coraz bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że jej mąż jada obiady z inną kobietą.

Oczywiście przed synkami, jak zawsze, usprawiedliwiła nieobecność

męża w sposób najprostszy:

– Waszego tatę zatrzymało coś w kościele. Zdarza się – powiedziała lekko i swobodnie, siadając przy stole. Cała trójka złożyła ręce i pochyliła głowy, kiedy Emily zmawiała krótką modlitwę dziękczynną, do której ostatnimi czasy dodawała w duchu gorącą prośbę o odwagę, kiedy będzie musiała stawić czoło temu, co zapewne już niebawem wybuchnie w ich małżeństwie.

– Mamo, a nie możemy chociaż raz na niego poczekać? – spytał Mark, niechętnie sięgając po widelec.

– Nie, bo macie lekcje do odrobienia, prawda?

– Ale tato...

– Tata zje później.

Udawała, że je. Jej apetyt znikł w chwili, gdy znalazła kolczyki z diamentami i zdała sobie sprawę, że nie wolno jej już niczego ignorować. Chociaż, jak powtarzała sobie wielokrotnie, obecność kolczyków w kieszeniach marynarki męża można wytłumaczyć na wiele sposobów. Miała zamiar spytać go o nie następnego dnia... i nie spytała.

Wiedziała, co ją od tego powstrzymuje. Bała się usłyszeć prawdę, bała się, co z tej prawdy wyniknie. Bała się, że pastorzy, jak zwykli śmiertelnicy, nie potrafią oprzeć się pokusie. Potrafią się zaromansować, popełniać błędy, których nie można już naprawić.

Oczywiście był jeszcze cień nadziei, że to tylko nieporozumienie, które pod wpływem wyobraźni nabrało wymiarów tragedii. Ten cień znikł jednak bez śladu po spotkaniu z Beldonami, Bobem i Peggy, właścicielami pensjonatu Thyme and Tide. Natknęła się na nich w sklepie spożywczym, w przejściu między regałami. W trakcie rozmowy Bob wspomniał, że bardzo mu brakuje gry w golfa z Dave'em.

Od trzech lat Dave i Bob, kiedy pogoda dopisała, raz w tygodniu grywali razem w golfa. A z tego, co powiedział Bob, wynikało niezbicie, że Dave zrezygnował z tej rozrywki już rok temu. Rok! Mimo to zeszłego lata w każdy poniedziałek po południu ładował do samochodu kije golfowe i jechał niby na spotkanie z Bobem. A tak naprawdę na spotkanie z kimś innym!

Emily westchnęła. Nie, nie powinna dopuszczać, by wszystkie jej myśli szły w jednym kierunku, podążając dobrze już wydeptaną ścieżką wątpliwości i podejrzeń. Przecież doszło do tego, że połowę czasu spędza na odgrywaniu roli zrównoważonej, bezkonfliktowej żony, drugą połowę poświęca na rozpamiętywanie wszystkiego, co złe, a jednocześnie powstrzymuje się od zażądania wyjaśnień. Tak. Bo nadal, chociaż niby chciała poznać prawdę, bez względu na to, jak bardzo byłaby bolesna, bała się ją poznać. Która żona by się nie bała?

W rezultacie milczała, sama zaskoczona, jak znakomicie udaje jej się to udawanie, że wszystko jest w najlepszym porządku. Znajomi niczego nie podejrzewali, a Dave sprawiał wrażenie, jakby był pewien, że żona jest kompletnie nieświadoma. Może gdyby było inaczej, gdyby wyczuł, że Emily ma jednak pewne wątpliwości, sam zacząłby rozmowę na ten temat. Ona z kolei, niby żadna wyjaśnień, a jednocześnie odkładająca pytania na później, zapewne podświadomie na to właśnie czekała. Że mąż pierwszy zacznie rozmowę. W rezultacie oboje dawali niezły popis sztuki aktorskiej.

A zeszłej niedzieli Dave wygłosił wruszające kazanie o miłości do współmałżonka.

Emily, słuchając pięknych, podniosłych słów, czuła się jak większość niekochanych żon na naszym globie. Była bliska zalania się łzami na oczach wszystkich wiernych zgromadzonych w kościele.

Oczywiście, wszyscy by pomyśleli, że to ze wzruszenia. Przecież Dave, wygłaszając kazanie, w jakiś sposób składał hołd swojej małżonce. A ona najchętniej ogłosiłaby wszem i wobec, że owszem, słowa brzmią bardzo pięknie, ale to tylko słowa.

Trudno uwierzyć, że coś takiego przytrafiło się właśnie im. Emily zawsze była pewna, że ich małżeństwo opiera się na solidnych podstawach, a Dave jest jej najlepszym przyjacielem. Okazało się, że nie miała racji.

Drzwi z kuchni do garażu otwarły się i do domu, ku wielkiemu zaskoczeniu Emily, wszedł jej mąż.

– Tata!

Mark natychmiast zsunął się z krzesła i popędził do ojca. Był tak bardzo rozpromieniony, jakby nie widział go co najmniej rok.

– Witaj, synu! Co u ciebie nowego? – spytał Dave, przygarniając go do siebie. Mark był już za duży, żeby brać go na ręce, ale każde dziecko przecież łaknie zainteresowania i czułości ze strony ojca.

Dave przytulił Marka, starszemu synkowi żartobliwie rozwichrzył włosy, żonę pocałował w policzek.

– Tak się cieszę, że udało mi się zdażyć do domu na obiad – powiedział, siadając do stołu.

– Też się cieszę, tato! Bardzo! – zawołał Mark, spoglądając na ojca roziskrzonym wzrokiem.

W rezultacie Emily również poczuła się uradowana i ochoczo poderwała się z krzesła, by przynieść czwarte nakrycie.

Tego dnia zrobiła zapiekana enchiladę. Dave, uśmiechając się do żony szeroko, nałożył sobie na talerz olbrzymią porcję.

– Moja ulubiona tortilla! Dziękuję, Em, że ją zrobiłaś!

– Zrobiłam z wielką przyjemnością.

Moment szczęśliwości trwał. Emily przechwyciła wzrok męża, zdając sobie sprawę, że w jej spojrzeniu na pewno jest teraz tylko i wyłącznie czułość. I bardzo dobrze. Przecież zawsze może się okazać, że te wszystkie nieszczęsne podejrzenia są całkowicie bezpodstawne.

– Tatusiu, pomożesz mi po obiedzie w lekcjach? – spytał Mark.

Ich młodszy syn, uczeń drugiej klasy, był prymusem i absolutnie nie potrzebował żadnej pomocy w odrabianiu lekcji, ale wiadomo, chciał, żeby ojciec poświęcił mu trochę czasu.

– Tato, obiecałeś mi, że pogramy w futbol, pamiętasz? – spytał Matthew, choć był to koniec listopada i na dworze zrobiło się już ciemno.

– Spokojnie! Spokojnie! – Dave roześmiał się i podniósł ręce. – Dajcie mi chwilę odetchnąć!

Chłopcy nadal patrzyli na ojca wyczekująco, a ponieważ chwila szczęśliwości już minęła, Emily serce się krajało, gdy patrzyła na swoich synków. Jak bardzo kochają swojego tatę, który...

– Potem zajmę się wami – oznajmił Dave.

– Przedtem jednak muszę zamienić kilka słów z waszą mamą.

Po plecach Emily przebiegł lodowaty dreszcz. Czyżby to właśnie dziś miało dojść do upragnionej rozmowy, z powodu której jednocześnie umierała ze strachu?

– Tato, nie! – zajęczał Mark.

– To będzie bardzo krótka rozmowa – obiecał Dave. – A teraz nałóżcie sobie fasolki.

– Dobrze...

Emily pierwszemu Dave'owi podsunęła miseczkę z fasolką szparagową z płatkami migdałów polaną roztopionym masłem. Dave co prawda fanem fasolki nie był, ale ponieważ chłopcom należało dać przykład,

dlatego nałożył sobie na talerz parę łyżek.

Po obiedzie chłopcy sprzątnęli ze stołu i poszli do siebie na tak zwaną godzinę kształcenia. Tak wymyślił Dave. Niezależnie od tego, czy mieli coś zadane do domu, czy nie, ta godzina przeznaczona była na rozwój umysłu. Na czytanie, pisanie albo przeglądanie pracy domowej. Telewizor był wyłączony, gry wideo w tym czasie zakazane.

Chłopcy powlekli się do swojego pokoju, Emily nastawiła ekspres, cały czas zastanawiając się, czy istotnie będzie to rozmowa, jakiej się spodziewała.

Dave rozpoczął ją w chwili, gdy kończyła nalewanie kawy.

– Jesteś szczęśliwa, Emily? – Zabrzmiało to tak żarliwie, jakby koniecznie musiał to wiedzieć.

Unikając spojrzenia męża, postawiła na stole dwa parujące kubki.

– Czy jestem szczęśliwa?

Odruchowo wsadziła ręce do kieszeni spranych dżinsów i zaczęła się zastanawiać. W obecnej sytuacji odpowiedź nie była taka prosta...

– Nie spodziewałem się, że to pytanie okaże się dla ciebie tak bardzo kłopotliwe – mruknął wyraźnie rozczarowany jej wahaniem.

Co skłoniło Emily do zabrania głosu:

– Przecież nie ma powodu, żebym była nieszczęśliwa, prawda? Mieszkam w pięknym domu, nie muszę pracować zawodowo, więc mogę zajmować się naszymi synkami, jak tego chcieliśmy. A mój mąż kocha mnie nad życie, prawda? – Ostatnie zdanie, oczywista aluzja do niedzielnego kazania, można było jednak odebrać jako szczyptę ironii. Dlatego, uprzedzając Dave'a, sama zadała pytanie: – A jak z tobą? Czy ty jesteś szczęśliwy?

– Naturalnie, że jestem – odparł bez wahania.

– W takim razie ja też – oznajmiła również bez wahania i zamiast usiąść przy stole, zabrała się do wkładania brudnych naczyń do zmywarki.

– Usiądź, Emily – powiedział Dave. – Proszę. Chciałem z tobą jeszcze o czymś pogadać.

Trudno, musiała opaść na krzesło.

– Słucham.

– Dziś w nocy nie spałaś dobrze.

A więc zauważył. Zasnęła bez problemu, ale po jakiejś godzinie czy dwóch obudziła się całkiem przytomna i do samego rana rzucała się po łóżku, czasami tylko przysypiając na moment. Nie mogła spać z powodu tych okropnych myśli kłębiących się w głowie. Dave zakochany jest w innej... Może nawet dokonał już prawdziwej zdrady...

Zawsze uważała siebie za kobietę o silnej psychice, która w sytuacji kryzysowej potrafi zachować zimną krew. Kobietę, od której inni oczekują wsparcia i otuchy. Niestety, w tej konkretnie sytuacji, jakże bardzo kryzysowej, zachowywała się niczym zwyczajny tchórz.

– Jeśli coś cię trapi, Emily, to po prostu powiedz. Może będę mógł ci pomóc – powiedział łagodnym aż do bólu zatroskanym głosem, którego często używał wobec wiernych.

Niestety nie była jedną z parafianek, która wyszeptuje pastorowi swoje troski. Była jego żoną i miała problem, którym nie tak łatwo się podzielić.

– A co niby ma mnie... trapić?! – rzuciła prawie wesoło i leciutko wzruszyła ramionami, spodziewając się, że Dave uzna temat za wyczerpany.

A jednak okazał się bardzo dociekliwy.

– Nie wiem, dlatego cię pytam, Emily. Może panie z naszej parafii żądają od ciebie zbyt wiele? Jesteś przemęczona?

– Bez przesady.

Owszem, panie, które wymyśliły opracowanie nowej książki kucharskiej, chciały, żeby to ona pokierowała realizacją projektu. Jednak zgodnie z prawdą powiedziała, że nie ma na to czasu, oczywiście wiedząc doskonale, że w tym momencie niejedna dama nastroszyła piórka. Przecież w parafialnej wspólnocie uważano powszechnie, że niepracująca zawodowo żona pastora powinna być na każde skinienie. Tak samo jak Dave. Emily nie miała najmniejszego zamiaru być jeszcze jednym kościelnym wyrobnikiem, i to darmowym. Dała to jasno do zrozumienia, kiedy jej mąż obejmował parafię w Cedar Cove. Uważała, że jej rola polega na wspieraniu męża, poza tym jest matką dwóch synów i prowadzi dom. No i wystarczy.

– Emily, gdyby coś cię zdenerwowało, powiedziałaś mi, prawda?

– Oczywiście!

Do kuchni zajrzał Mark.

– Tato, skończyłeś już rozmawiać z mamą? Możesz mi pomóc w matmie?

Dave spojrzał na Emily.

– Ze mną wszystko w porządku – powiedziała z naciskiem.

Dave nie sprawiał wrażenia przekonanego, ale nie dyskutował. Dopił kawę i wstał.

– Dobrze, Mark. Już do ciebie idę.

Odprowadzając wzrokiem wychodzących z kuchni męża i synka, nie ustawała w wyrzutach wobec samej siebie. Jak mogła zaprzepaścić taką szansę! Przecież to właśnie pytanie – czy jesteś szczęśliwa – stwarzało znakomitą okazję do wypowiedzenia się na wiadomy temat! Ale ona, oczywiście, stchórzyła! Tak, tak, choć próbuje siebie usprawiedliwić, uparcie wmawiając sobie, że przed tak poważną i brzemienną w skutki rozmową powinna zebrać jeszcze więcej faktów.

Czyli jest po prostu beznadziejna.

O dziewiątej obaj synkowie już spali. Kiedy ojciec był w domu, z zapędzeniem ich do łóżek nie było problemu, jednak kiedy wieczorem go nie było – ostatnio prawie standard – chłopcy wynajdywali tysiące powodów, by położyć się spać jak najpóźniej.

Resztę wieczoru Emily postanowiła spędzić w pokoju, w którym urządziła pracownię krawiecką. Zabrała się do prasowania kwadratów, z których miała powstać patchworkowa kołdra dla Matthew. Materiał, który udało jej się zdobyć podczas wyprzedaży w Patchworkowej Żyrafie, był naprawdę bardzo ładny. Jasna bawełenka w delikatny wzorek...

Nagle usłyszała za sobą kroki. Potem ktoś objął ją w pól. Wiadomo kto.
– W końcu sami – szepnął Dave i pocałował ją w kark.

Emily uśmiechnęła się mimo woli i wyłączyła żelazko. Ona i Dave tacy właśnie byli, spontaniczni, pełni czułości, starali się też wszystko brać na wesoło...

Byli. Bo w którymś momencie zaczęło to się zmieniać. Kiedy dokładnie? Chyba na początku roku. W każdym razie już dawno mąż tak miło jej... nie zaczepił.

– Och, Dave, co ty...

– Po prostu kocham moją żonę – mruknął do jej karku.

Emily zaśmiała się i ścisnęła mocno jego palce na swoich biodrach.

– Naprawdę, Dave? – Po czym jęknęła w duchu, bo zabrzmiało to niemal błagalnie.

– Kocham całym sercem i duszą. – Jeszcze raz pocałował ją w kark i ruszył do drzwi.

– Dave! A ty dokąd?

– Robisz patchwork, więc posiedzę nad niedzielnym kazaniem.

– Aha...

Ciekawe. Zwykle Dave pisał kazania w kancelarii parafialnej. Zaskoczona Emily popatrzyła za mężem. Przeszedł korytarzem, wszedł do swojego gabinetu i starannie zamknął za sobą drzwi.

Te drzwi zwykle były otwarte. Dopiero ostatnio Dave zaczął je zamykać...

Emily włączyła żelazko i znów zajęła się prasowaniem, choć akurat głowę miała zajęta czymś zupełnie innym. Trudno przecież skoncentrować się na kołdrze, kiedy do żony dociera, że mąż nagle uznał za konieczne zamykać drzwi.

Dlaczego? Wiadomo. Najpewniej dzwoni teraz do kogoś i nie chce, żeby żona go słyszała.

Po godzinie Emily doszła do wniosku, że Dave, jeśli dzwonił, rozmowę na pewno już zakończył, warto się jednak upewnić. Z czym nie będzie problemu, bo po prostu zanieś mu kawę.

Puknęła w drzwi tylko raz i weszła do środka. Mąż istotnie siedział za biurkiem, na którym leżały otwarta Biblia oraz brulion o żółtych kartkach, w którym Dave robił notatki.

– Przyniosłam ci kawę.

– O, dziękuję, że o tym pomyślałaś, kochanie.

– Bardzo proszę.

Postawiła kubek na podstawce, to znaczy płytce ceramicznej z malowidłem Matthew wykonanym w pierwszej klasie, i wyszła z gabinetu. Teraz ona starannie zaniknęła za sobą drzwi. Odetchnęła głęboko i poszła do kuchni, do telefonu. Nacisnęła redial i po trzecim sygnale usłyszała kobiecy głos, miękki, z leciutką zadyszka. Po prostu niebywale seksowny.

– To znowu ty, Davey?

Davey?!

– Przepraszam, pomyłka – rzuciła szorstko Emily i odłożyła słuchawkę, czując, jak wszystko w niej się obrywa. Matko święta, właśnie go przyłapała! Miał czelność dzwonić z własnego domu do jakiejś baby, przez którą prawdopodobnie rozleci się ich małżeństwo!

Okropność. Emily drżącymi palcami nadal ścisnęła słuchawkę. Świadomość, że ma rację, nie dawała jej żadnej satysfakcji. Żadnej, czego zresztą wcale się nie spodziewała.

TTLR

ROZDZIAŁ DRUGI

Drzwi otworzyła uśmiechnięta Megan.

– Cześć, tato! – Cmoknęła ojca w policzek i ruszyła do kuchni.

– Cześć, mała! Jak się czujesz?

Troy Davis, szeryf w Cedar Cove, podążył za córką. Miał nadzieję, że mówi głosem w miarę spokojnym. Megan niedawno zrobiła badania na stwardnienie rozsiane, chorobę, która przed kilkoma miesiącami zabrała jej matkę. Troy już na samą myśl, że jego jedyne dziecko mogłoby tak samo cierpieć, po prostu umierał ze strachu. Przed kilkoma miesiącami Megan poroniła swoją pierwszą ciążę. Przeżyła to bardzo, a przecież nie zdążyła jeszcze dojść do siebie po stracie matki. On stracił żonę. A teraz ten strach...

– Tato, wyluzuj – rzuciła żartobliwie Meg, podeszła do kuchenki i wyłączyła palnik.

Troy stwierdził w duchu, że pachnie tu bardzo kusząco domowym jedzeniem. Taki zapach był szczególnie upojny dla kogoś, kto na obiad zaserwuje sobie paprykę z mięsem lub coś w tym stylu, oczywiście obowiązkowo z puszki. O ile w ogóle ma w domu jakąś puszkę.

– Badania nie wykazały niczego niepokojącego, tato.

Teraz. A co będzie dalej? Oczywiście Troy zachował to dla siebie. Córka nie powinna wyczuwać, że w tej kwestii jest bliski hysterii. Chwała Bogu, że Megan regularnie robi sobie badania. Istnieją przecież przesłanki do twierdzenia, że to choroba dziedziczna. Co prawda świat medyczny w tej kwestii jest podzielony, Troy wychodził jednak z założenia, że trzeba czuwać i być przygotowanym na każdą ewentualność. Tym bardziej że w przypadku tej strasznej choroby lekarze często mają problem z

postawieniem jednoznacznej diagnozy.

Był dumny z Meg, że mimo tak wielkiego obciążenia potrafiła wziąć się w garść i cieszyć się życiem. Niewątpliwie tak się stało dzięki wydatnej pomocy ze strony męża, bo Megan na szczęście znalazła idealnego towarzysza życia. Craig był bardzo pogodny i opanowany, a przede wszystkim bardzo kochał Meg. Był jej całkowicie oddany, jak kiedyś Troy był oddany Sandy.

– Wpadłem, żeby zapytać, co mam przynieść na obiad w Święto Dziękczynienia.

Oczywiście był to tylko pretekst. Meg od razu się zorientowała, że chodzi o wyniki badania. Craig też na pewno go przejrzał.

Craig, który z „Cedar Cove Chronicle” pod pachą właśnie wkroczył do kuchni.

– Cześć, Troy! Trudno uwierzyć, że Święto Dziękczynienia już w tym tygodniu, prawda? Jak ten czas leci... A w gazecie... spójrz! Prawie same reklamy i ogłoszenia!

Meg zaśmiała się, po czym zaczęła machać rękoma, wyganiając ich z kuchni.

– A sio! Jeśli macie zamiar tylko jęczeć, to już was tu nie ma! Zaraz zaczniecie narzekać, że Boże Narodzenie to tylko szal zakupów i nic więcej.

– No tak! Boże Narodzenie! – Craig mrugnął porozumiewawczo do Troya.

Meg, podobnie jak Sandy, kochała Boże Narodzenie. Jeszcze nie zdążyła zjeść do końca tego, co zostało z uroczystego obiadu z okazji Święta Dziękczynienia, a już zarządziła dekorowanie posesji. Troyowi i Craigowi przypadnie zadanie porozwieszania lampek na zewnątrz domu. Na podwórzu od frontu będą musieli ułożyć z tych lampek świetlistego jelonka.

Tak, właśnie tak!

– Tato, zjesz z nami – oznajmiła Meg, podążając do kredensu. – Na obiad są klopsiki i zielona sałata.

Och, co za kusząca propozycja! Klopsiki nadziewane ryżem, gotowane w zupie pomidorowej i serwowane z tłuczonymi ziemniakami były jednym z ulubionych dań całej niewielkiej rodziny Davisów. Jednak Troy akurat teraz nie chciał narzucać się córce i zięciowi.

– Nie, kochanie, dziękuję. Jak już mówiłem, wpadłem tylko na moment, żeby zapytać, jaki ma być mój wkład w czwartkowy obiad.

– Poczekaj, tato, niech pomyślę. Oczywiście będzie indyk, nadzienie zrobię według przepisu mamy, z ryżem i kiełbasą. Poza tym sałatki, między innymi ze słodkich ziemniaków i suszonych morelek. W zeszłym roku wszyscy się nią zajadali.

W zeszłym roku. Przed dwunastoma miesiącami Sandy była jeszcze z nimi. W Święto Dzięczczynienia zabrali ją z domu opieki dla przewlekle chorych i przywieźli tu, do córki. Ustawili wózek inwalidzki przy stole, pomagali jej jeść...

Tylko jeden rok, a tak wiele się zmieniło. Troy pochował żonę i po kilku miesiącach nawiązał kontakt z Faith Beckwith, dawną szkolną sympatią. Na początku lata znów stali się parą i zapowiadało się to bardzo obiecująco, dopóki Megan nie poroniła. Wtedy też dowiedziała się, że ojciec chodzi na randki. Była zszokowana, czuła się zraniona. Nie wiedziała nic o Faith, nie wiedziała nawet, jak się nazywa, ale zmaltretowana psychicznie nowym ciężkim przeżyciem nie wyobrażała sobie, żeby u boku ojca pojawiła się jakaś nowa kobieta. A Troy bardzo kochał córkę i za nic nie chciał zrazić jej do siebie. Poza tym tamtego wieczoru, kiedy Megan straciła dziecko, był razem z Faith. I wyłączył komórkę, czego do dziś nie potrafił

sobie wybaczyć.

I jeszcze jedno. Zawsze istniała możliwość, że Meg odziedziczyła po matce straszliwą chorobę.

W rezultacie Troy, chociaż bardzo za nią tęsknił, podjął bolesną decyzję o zerwaniu z Faith. Brakowało mu wspólnie spędzanych chwil, długich rozmów przez telefon, ale tylko tak mógł postąpić. Musiał zaakceptować fakt, że Faith bezpowrotnie znikła z jego życia.

I jak na ironię losu, całkiem niedawno ta sama Megan napomknęła ojcu, że chyba nadszedł czas, by coś zrobił ze swoim życiem. Troy podszedł do tego bardzo ostrożnie. Meg po ciężkich przeżyciach na pewno stała się bardziej dojrzała, poza tym nauczyła się żyć z widmem choroby, Troy jednak nie zapomniał o jej gwałtownej reakcji, kiedy dowiedziała się o jego randkach, dlatego trudno mu było uwierzyć w tę nagłą zmianę frontu. Jakoś nie wyobrażał sobie, by Megan potrafiła zaakceptować nową kobietę u jego boku, nie uznała tego za sprzeniewierzenie się pamięci Sandy.

– W zeszłym roku mama była jeszcze z nami – powiedziała cicho Meg. – Tak lubiła wszystkie święta...

Troy pokiwał głową. Sandy, choć jej możliwości fizyczne były bardzo ograniczone, kochała święta i rodzinne spotkania. Troy był bardzo zadowolony, że Meg pod tym względem przejmuje po matce pałeczkę.

– Do indyka podasz tłuczone ziemniaki i sos. Zgadza się? – Zadał tak przyziemne pytanie, bo chciał odwrócić uwagę córki od smutnych i bolesnych wspomnień.

– Oczywiście!

– A co z ciastem?

– Dwa rodzaje, z dyni i z orzechami pekan. Aha, mała niespodzianka!

Wyobraź sobie, że mam cały słoik słodkich pikli z ogórków, robiłyśmy je

razem z mamą w lecie, dwa lata temu. Ten słoik zachowałam na specjalną okazję.

Dwa lata temu Sandy nie była już zdolna do żadnej, nawet najlżejszej pracy fizycznej, ale Megan i tak zabrała ją z zakładu opieki, przywiozła do domu i przez cały dzień marynowały ogórki. Oczywiście, że marynowała je Megan, natomiast Sandy głównie dyrygowała, ale najważniejsze, że przez cały czas żartowały i zaśmiewały się do łez. Dla Sandy musiał to być jeden z najprzyjemniejszych dni w ostatnim roku jej życia. Zawsze bardzo cieszyła się każdą chwilą spędzoną z córką, a poza tym pobyła w swoim domu.

– Świetnie – powiedział szybko Troy, porzucając temat z obawy, że Meg się rozklei. – To może przyniosę po prostu bułeczki i butelkę wina?

– Dobrze, tato.

Po kilku minutach pożegnał się i wyszedł. Do pustego domu wcale mu się nie spieszyło, a po drodze mijał sklep Safeway. Był co prawda w mundurze, ale postanowił zrobić zakupy. Musiał zaopatrzyć pustą lodówkę, a przy okazji zamierzał nabyć wino i bułki, które obiecał Megan.

Wziął wózek i najpierw wjechał między regały z warzywami, tak jak to zawsze robiła Sandy, zastanawiając się przy tym, po co zamierza upolować coś świeżego, skoro u niego i tak wszystko leży w nieskończoność.

Kiedy przechodził koło bananów, stanął jak wryty.

Faith. Była dosłownie metr od niego.

Od ich ostatniej rozmowy minęły dwa tygodnie.

Dla niego bardzo trudnej, bo jeszcze nigdy, rozmawiając z kimś, nie czuł się tak podle. Kiedy Faith odebrała telefon, była bardzo podekscytowana. Powiedziała, że dom w Seattle został już sprzedany, a ona niedługo osiadzie w Cedar Cove już na stałe. Mówiła to z wielkim

entuzjazmem, spodziewając się, że ta wiadomość go ucieszy, zresztą ku czemu miała wszelkie podstawy.

A on powiedział jej, że nie będą się już spotykać.

Zranił ją do żywego, całym sobą wyczuł, jak bardzo ją zabolalo. Wysłuchiwała go jednak spokojnie, kiedy przedstawił jej reakcję Megan. W jej głosie nie pojawiła się złość, nie dyskutowała, tylko na pożegnanie życzyła mu powodzenia.

Teraz podniosła głowę. Zauważyła go i podobnie jak on znieruchomiała. Najpierw była po prostu zaskoczona, lecz zaraz po jej twarzy przemknął cień, oczy straciły blask.

Tylko na sekundę. Faith nie byłaby sobą, gdyby nie udało jej się miło uśmiechnąć.

– Witaj, Troy!

– Witaj, Faith! – odparł, zastanawiając się przy tym, czy wychwyciła w jego głosie tę nutkę żalu.

Zerknął na jej wózek wypełniony podstawowymi produktami, takimi jak mąka, cukier, kawa, mleko, jakieś warzywa i owoce. Wygląda więc na to, że już zamieszkała w Cedar Cove.

– Wyprowadziłaś się z Seattle?

– Tak. Wspominałam ci, że dom został sprzedany. Zgodnie z umową miałam go opuścić do końca listopada, najlepiej przed Świętem Dziękczynienia.

– Czyli sprowadziłaś się tu na stałe?

– Tak. Nie spodziewałam się, że już pierwszego dnia natknę się na ciebie. Miałam nadzieję...

Była tak samo spięta jak on. Jej głos zamierał, ale nie musiała kończyć. Troy doskonale wiedział, o co Faith chodzi. On również miał nadzieję, że

jak najdłużej uda im się uniknąć swojego widoku. Po co rozszarpywać rany? I to nie po raz pierwszy.

Stali się parą w szkole średniej, a po jej ukończeniu Troy, żeby uniknąć Wietnamu, na ochotnika wstąpił do wojska, więc inaczej niż inni poborowi miał możliwość wyboru. Wstąpił do żandarmerii, potem opuścił wojsko i bez problemu przerzucił się do policji. Po ukończeniu podstawowego szkolenia zamierzał oświadczyć się Faith. Nie wiedział jednak, że pani Carroll, matka Faith, przechwytyje jego listy, uważała bowiem, że on i jego córka są jeszcze zbyt młodzi na poważny związek.

Swój cel osiągnęła, bo Troy i Faith rozstali się. Troy niebawem poznał Sandy, Faith wyjechała na studia do college'u i tam poznała przyszłego męża, jednak po prawie czterdziestu latach ich drogi znów się zeszły, lecz tylko po to, by ze względu na okoliczności znów doszło do rozstania. Z tą tylko różnicą, że tym razem nie była to potajemna interwencja matki Faith, lecz bardzo głośna interwencja córki Troya, Megan.

– Widziałam się z Grace Sherman – po chwili cicho powiedziała Faith.

– Teraz Grace Harding.

– Tak, wiem, że powtórnie wyszła za męża. Poznałam już zresztą Cliffa. Bardzo mi pomogli, bo miałam niewiele czasu, by znaleźć odpowiedni dom, a bałam się pochopnie podejmować decyzję. Kiedy w zeszłym tygodniu przyjechałam do syna, Scottie, przeglądając ogłoszenia w gazecie, powiedział, że jest do wynajęcia dom przy Rosewood Lane. Następnego dnia wybrałam się z wnukami do kina, gdzie natknęłam się na Grace i Olivię. Kiedy powiedziałam im, że wracam na stałe do Cedar Cove, Grace oznajmiła, że jej dom, który wynajmuje, teraz stoi pusty. Okazało się, że chodzi właśnie o ten dom przy Rosewood Lane!

– Słyszałem, że nikt tam nie mieszka. Grace miała paskudnych lokatorów. Zwlekali z płaceniem czynszu, dewastowali dom i nie można się ich było pozbyć. W końcu Cliff i mąż Olivii, Jack Griffin, użyli mocnych i bardzo chytrych argumentów, w konsekwencji czego jeszcze tego samego dnia lokatorzy się wynieśli.

– A... teraz rozumiem, dlaczego wszystkie ściany są odmalowane.

Dobrze, że Faith się rozgadała. Na pewno poczuła się swobodniej, Troy też. Bardzo chciał pobyć z nią jeszcze choć chwilę. To niespodziewane spotkanie było dla niego udawką, a jednocześnie sprawiało tyle radości.

– Robisz zakupy na Święto Dziękczynienia?

Faith włożyła do wózka jeszcze kilka bananów.

– Nie, wyskoczyłam tylko na chwilę, by zapłacić lodówkę. Są u mnie córka i synowa, pomagają mi się rozpakować.

Czyli wyraźnie dawała do zrozumienia, że musi

Już iść.

Troy w milczeniu pokiwał głową.

– Miło było cię zobaczyć – powiedziała jak zwykle bardzo uprzejma Faith i ruszyła przed siebie, pchając wózek. Jednak po kilku krokach zatrzymała się. – Troy, nie martw się. Wpadanie na ciebie na pewno nie stanie się moim zwyczajem. Zakupy robię zwykle rano, kiedy ty jesteś w pracy. Poza tym nie sądzę, żebyśmy bywali w tych samych miejscach.

– Nie sądzę... Niemniej cieszę się, że znów mogłem cię zobaczyć, Faith.

– Ja również, Troy. – Podjęła wędrówkę po sklepie zdecydowanie już szybszym krokiem.

Odprowadzał ją wzrokiem, tocząc ze sobą walkę. Najchętniej pobiegłby za Faith, oczywiście, ale cóż... tego nie mógł zrobić. Podjął więc

swój powolny marsz wzdłuż regałów, wrzucając do wózka potrzebne produkty. Banany, papierowe ręczniki, puszki z zupą i papryką z mięsem, kilka gotowych dań mrożonych, bułki i wino na czwartkowy obiad. Koniec. Ustawił się w kolejce do kasy, spojrzał dookoła i... wprost nie mógł uwierzyć własnym oczom. Okazało się bowiem, że i jemu czasami dopisuje szczęście. W kolejce do sąsiedniej kasy stała Faith. Oczywiście, że zaraz zaczął się na nią gapić. Jak jakiś głupek, ale trudno. Zauważył też, że Faith co jakiś czas zerka na niego.

W końcu nie wytrzymał. Podszedł do niej i od razu przystąpił do rzeczy:

– Słuchaj, musimy pogadać. Może pójdziemy na kawę? Teraz, a jeśli ci nie pasuje, to jutro. Albo, jeśli tak wolisz, po Święcie Dziękczynienia.

Sam nie bardzo jeszcze wiedział, o czym mieliby rozmawiać, tym się jednak nie przejmował. Coś tam się wymyśli, najważniejsze, że będzie mógł posiedzieć razem z Faith i popatrzeć na nią.

Niestety, nie okazała ani odrobiny entuzjazmu.

– Dziękuję, Troy, ale nie sędzę, żeby to był dobry pomysł.

Naturalnie, że miała rację. Jego propozycja była idiotyczna, poza tym bardzo egoistyczna. Proponował kawę, spotkanie w kafejce, w kameralnych warunkach, przez co możliwość, że Megan o tym się dowie, była znikoma.

Faith przejrzała go, to jasne, dlatego spojrzała na niego niechętnie, z urazą. Niestety w obecnej sytuacji nic innego nie mógł zaproponować.

Chociaż kochał Faith i był przekonany, że ona również go kocha, to absolutnie nie ma zamiaru dopuścić, by po raz trzeci zaistniał w jej życiu.

Mężczyzna, który już dwukrotnie złamał jej serce.

Nie mógł jej za to winić.

– Cóż... Baw się dobrze podczas Święta Dziękczynienia, Faith.

– Dziękuję. Życzę ci tego samego – szepnęła.

Wrócił do swojej kolejki, zapłacił, wziął torby i poszedł do samochodu. Wszystko to robił jak automat. Usiadł za kierownicą i spojrzał przed siebie pustym wzrokiem.

Teraz wiedział. Do tej chwili gdzieś tam, w głębi duszy, mimo wszystko zakładał, że kiedyś jeszcze zejdą się z Faith. Lecz rzeczywistość odezwała się twardym głosem. Owszem, zobaczył Faith, porozmawiał z nią i już wiedział na sto procent, że nie ma żadnych szans. Stracił ją bezpowrotnie.

TWILR

ROZDZIAŁ TRZECI

Tannith Bliss wcale nie miała ochoty iść w środę wieczorem na szkolne ognisko z okazji Święta Dziękczynienia. Tanni w ogóle nie znosiła szkoły, a na szkolne ognisko poszła tylko dlatego, żeby nie siedzieć w domu. Bo nie ma nic gorszego niż siedzenie w domu i udawanie, że życie toczy się dalej normalnym trybem.

Nigdy przecież nie będzie już normalnie, choć matka czasami zachowywała się tak, jakby ojciec wcale nie umarł i w każdej chwili mógł pojawić się w drzwiach. Czym wkurzała ją maksymalnie. Zresztą nie tylko tym. Na przykład to szaleństwo z przygotowaniami do głupiego obiadu z okazji Święta Dziękczynienia. Czy jest sens zawracać sobie głowę indykiem, sosem i tym wszystkim, kiedy do stołu zasiądą tylko we trójkę?

Święto Dziękczynienia to dopiero początek. Zaraz potem zacznie się następny koszmar, czyli szykowanie się do Świąt Bożego Narodzenia. Pierwszych świąt bez taty.

Spóźniła się. Szkolny parking był już tak zapchany, że szukanie wolnego miejsca okazało się zwykłą stratą czasu. Na szczęście udało jej się zaparkować na ulicy. Wysiadła z samochodu i skulona, z rękoma w kieszeniach czarnego, długiego do kostek płaszcza rozwiewanego przez porywisty wiatr, ruszyła w górę zbocza, w stronę szkolnego boiska.

Kiedy zbliżała się do ogrodzenia, usłyszała śmiech i wesołe pokrzykiwania, a kiedy weszła na boisko, od razu dotarło do niej nawoływanie Kary Nobles:

– Tanni, chodź do nas!

Takie dziewczyny jak Kara, wiecznie roześmiane i pełne werwy,

irytowały ją, dlatego udając, że nie słyszy, przepchnęła się przez tłum, przechodząc na drugą stronę boiska. Miała nadzieję, że tutaj nikt jej nie rozpozna. I rzeczywiście, nie zauważyła znajomych twarzy, nikt do niej nie wołał. Czyli super. Taka sytuacja odpowiadała jej najbardziej.

Kawałek dalej stała spora grupa uczniów wystylizowanych na gotyk. Tanni nie była jedną z nich, choć najczęściej też ubierała się na czarno. Po prostu lubiła ten kolor, poza tym czerń doskonale oddawała jej obecny nastrój. W końcu była w żałobie. Matka może sobie udawać, ale ona nie ma najmniejszego zamiaru. Dalej jest w głębokiej rozpacz. Jej ojciec nie żyje, nigdy już nie wróci do domu po kolejnym locie, nie uściska, nie wręczy Tanni drobnego upominku. Nigdy.

Ustawiała się z boku i spojrzała na ognisko. Ogień ma w sobie coś hipnotyzującego. Te cichutkie trzaski, posykiwania, te złocisto– czerwone jęczory wysyłane w niebo...

W pewnym momencie zauważyła, że od gotyckiej grupy odłączył się jeden z chłopaków i idzie w jej stronę. Szybko odwróciła głowę. Jeśli będzie na niego patrzeć, może zachęcić go do nawiązania rozmowy. Zerknęła na niego jeszcze tylko raz, żeby sprawdzić, czy jednak nie jest to ktoś znajomy. Raczej nie, i całe szczęście. Nie miała ochoty na żadne rozmowy. W ogóle starała się być jak najmniej zauważalna. Gdyby mogła, rzuciłaby szkołę. Miała tylko jedno marzenie: Zostawcie mnie w spokoju! Zostawcie mnie samą!

Chłopak przystanął kawałeczek dalej, ale się nie odzywał. I dobrze. Gdyby zaczął coś tam nawijać, od razu by usłyszał:

– Spadaj!

Stał nieruchomy jak posąg, co po chwili też stało się już naprawdę wkurzające.

Spojrzała na niego ze złością, a on ani drgnął.

– Hej, Shaw! – zawołał do niego ktoś z gotyckiej grupy. – Chodź z nami! Też musisz to zobaczyć! Koniecznie!

Shaw?! Zaraz, zaraz, czyżby to był Shaw Wilson? Tanni darowała sobie zerkanie i spojrzała mu prosto w twarz. Tak, to on, Shaw Wilson. Widywała go z rzadka, przelotnie, nigdy nie mieli okazji się poznać, ale słyszała o nim niemało. Shaw nie był już uczniem szkoły średniej, podobno nie zrobił dyplomu. Teraz snuł się po mieście albo jeździł niebieskim fordem kombi, którego zazdrościli mu wszyscy.

No i przede wszystkim ta historia z Ansonem Butlerem! Dwa lata temu, kiedy Tanni była w dziewiątej klasie, oskarżono go o podpalenie restauracji Latarnia Morska. Przez wiele miesięcy wszyscy gadali tylko o tym. Shaw, jego najlepszy przyjaciel, zawsze go bronił, podobnie jak dziewczyna Ansona, Allison Cox.

Później, kiedy okazało się, że restaurację podpalił nie Anson, a pewien zdrowo stuknięty przedsiębiorca budowlany, raptem wiatr powiał z innej strony i wszyscy ze szkoły zgodnym chórem zaczęli twierdzić, że zawsze wierzyli w niewinność Ansona. Ci, którzy przedtem gotowi byli go powiesić, teraz chwalili się, że są z nim bardzo zaprzyjaźnieni.

Jedyną osobą, która od samego początku stała twardo po stronie Ansona, był Shaw. Bo nawet Allison miała chwilę zwątpienia, a Shaw od początku do końca był jego najlepszym, najbardziej lojalnym kumplem. Inni może już o tym zapomnieli, ale Tanni nie. Dla niej prawdziwa lojalność była czymś bezcennym.

– Ty jesteś Shaw, prawda?

– Zgadza się. A ty jesteś Tanni Bliss?

– Mhm. – Skinęła głową i starając się nie zrobić tego w sposób

demonstracyjny, podsunęła się do Shawa trochę bliżej.

– Zdarzyło mi się już ciebie widzieć tu i tam. – On również, jak Tanni, trzymał ręce w kieszeniach płaszcza.

Czyli zwrócił na nią uwagę. No proszę... Niezależnie od wszystkiego, ten fakt sprawił jej przyjemność. Jeśli już ktoś miał ją zauważyć, to na pewno ktoś taki jak Shaw.

– Dlaczego nie stoisz ze swoją klasą? – spytał.

Tanni wzruszyła ramionami. Woląca to, niż otwarcie się przyznać, że ma w nosie swoją klasę, swoje kumpelki i kumpli. Teoretycznie niby miała tam jakieś przyjaciółki, na przykład Kareę, ale wcale nie uważała ich za dobre przyjaciółki. Poza tym po śmierci ojca zrobiło się wokół niej pusto. Szczerze mówiąc, sama odsunęła się od rówieśników, bo większość z nich uważała, że powinna dać sobie spokój z tą żałobą i wyluzować. W każdym razie taki był główny powód tego odsunięcia.

Nie miała zamiaru wyluzować. Dla niej żałoba po śmierci ojca po prostu jeszcze trwała. Jeszcze nie przeszła nad stratą ojca do porządku dziennego, nie przestała wciąż o nim myśleć. Przeciwnie, myślała o nim bardzo dużo, wciąż od nowa przywołując w pamięci wszystkie najpiękniejsze wydarzenia, utrwalając sobie każdy szczegół, żeby nigdy nie zapomnieć.

– Widziałem twój rysunek – powiedział Shaw.

– Jesteś w tym niezła.

– Dzięki.

Ta informacja wcale jej nie ucieszyła. Oczywiście wiedziała, w czym rzecz. Narysowała cmentarz. Ten rysunek bardzo spodobał się nauczycielce plastyki, pani White, która bez wiedzy Tanni zgłosiła go na konkurs zorganizowany podczas jarmarku sztuki, który był sponsorowany przez

miejscową społeczność. Rysunek Tanni jednogłośnie uznany został za najlepszy, co na niej nie zrobiło żadnego wrażenia. No, jakieś zrobiło, to znaczy poczuła się mocno skrępowana tą sytuacją. Poza tym przecież matka Tanni zawodowo zajmowała się sztuką, a swoje wyroby artystyczne z tkanin wystawiała na sprzedaż w miejscowej galerii, istniała więc możliwość, że w jury zasiadł jakiś jej znajomy i wiedziony współczuciem dla osieroconej dziewczyny przeforsował taki werdykt. A Tanni wcale nie potrzebowała litości.

Potrzebowała ojca.

Cóż, nigdy nie miała dobrych stosunków z matką, a teraz zrobiło się wręcz fatalnie, dlatego za nic w świecie nie chciała jakichkolwiek porównań czy odniesień jej sztuki do sztuki wielkiej Shirley Bliss.

– Też rysuję – powiedział Shaw i zaraz tego pożałował, bo dodał skwapliwie: – Ale moje rysunki nie umywają się do twoich.

Skąd ta pewność? Tanni nie oceniała swoich prac, po prostu rysowała. Szło jej to jak z płatka. Niektórzy ludzie są uzdolnieni na przykład do algebry, która innym w ogóle nie wchodzi do głowy, a ona była uzdolniona do rysowania. Więc rysowała. Na lekcjach też. Niby pilnie robiła notatki, a tak naprawdę coś tam sobie szkicowała, jakieś zawiłe wzory albo portreciki osób siedzących w pobliżu. Także kwiaty, konie i psy. Tymi rysunkami zappełniała jeden szkicownik po drugim, ale nikt oprócz niej tych szkicowników nie oglądał. Nawet matka. Gdyby tata żył, może by mu pokazała. Po jego śmierci, z tej rozpaczy, bardzo wiele szkicowników podarła na kawałeczki.

– Shaw, idziesz czy nie?

Powoli obejrzał się przez ramię, potem znów spojrzął na nią.

– Do zobaczenia, Tanni.

– Do zobaczenia.

Kiedy ruszył z miejsca, pomyślała: Szkoda, że odchodzi.

– A co u Ansona, Shaw?

Zatrzymał się.

– Wszystko w porządku.

– Słyszałam, że pracuje w wywiadzie.

– Zgadza się.

– Jestem pod wrażeniem. A co u Allison?

– Ukończyła college. Wraca w tym tygodniu, ale zamierza dalej studiować na uniwersytecie w Seattle.

– Super.

Brat Tanni, Nick, też ukończył college na uniwersytecie w Pullman. Właśnie wracał do domu, wieczorem powinien dojechać do Cedar Cove. Tanni cieszyła się, że w domu zostanie Nicka. Tęskniła za nim, co dla niej było niespodzianką. Nie byli przecież zgodnym rodzeństwem. Bili się, kłócili, dopiero tragedia z ojcem sprawiła, że wreszcie zawarli pokój. Na pewno nie był zbudowany na solidnych podstawach, ale zawsze to pokój. Nick był jedyną osobą, z którą Tanni rozmawiała o ojcu, jedyną, która czuła to samo co ona.

– Tanni... Wiesz, tak sobie pomyślałem, że może pokażę ci kilka moich rysunków. – I dodał szybko:

– Jeśli chcesz.

– Oczywiście, że chcę!

– Super.

– Kiedy?

– Co robisz po ognisku?

Cóż, jej kalendarz towarzyski nie był wypełniony po brzegi.

– Właściwie to... nic.

– Moglibyśmy spotkać się w Mocha Mama za godzinę. Zgoda?

Tanni spojrzała na zegarek. Mocha Mama była nową kafejką w mieście. Nigdy tam jeszcze nie była, ale wiedziała, jak trafić.

– Zgoda.

Shaw uśmiechnął się, Tanni odwzajemniła uśmiech i mimo zimnego wiatru nagle na moment zrobiło jej się przyjemnie. Po prostu ciepłutko, i to wcale nie dlatego, że stała blisko ogniska.

Po chwili Shaw i jego gotyccy kumple odeszli, a Tanni jeszcze przez jakieś dwadzieścia minut wpatrywała się w ogień. Po rozmowie z Shawem jej nastrój zdecydowanie się poprawił, i to do takiego stopnia, że postanowiła podejść do Kary. Pogadały chwilę, potem Tanni poszła do swojego samochodu i po kwadransie parkowała już przy Harbor Street przed Mocha Mama.

Wnętrze kawiarenki było raczej typowe, dużo ciemnego drewna i staromodnych lamp. Ludzi garstka. Jakaś para pochłonięta rozmową, dwóch gawędzących starszych panów, i to wszystko. Shaw siedział przy jednym z kilku stolików ustawionych koło okna: czarna głowa pochylona nad kubkiem z kawą. Farbował się, Tanni, patrząc pod światło, zauważyła jasne odrosty. Pamiętała też, że Shaw, kiedy jeszcze chodził do szkoły, robił sobie włosy na żel i mocny, gotycki makijaż. Teraz już tego zaniechał.

Na jej widok poderwał głowę.

– Zamówić ci coś? Ja zapraszam.

Ho! Ho!

– Kawę proszę.

Shaw wstał i po chwili wrócił do niej z parującym kubkiem.

– Proszę. Na koszt firmy.

– Dzięki – mruknęła Tanni, odbierając kubek.

– Na koszt firmy? Czy to znaczy, że pracujesz tutaj?

– Tak. Jak tylko zapragniesz frappachino czy coś w tym rodzaju, wal do mnie.

Jakoś nie pasował jej na barmana.

– Jak długo tu pracujesz? – spytała, zerkając do kubka. Shaw przyniósł jej czarną kawę. W porządku, wypije taką, bez śmietanki i bez cukru.

– Od samego początku, od dnia otwarcia. Kawiarnia należy do mojej ciotki i wuja, a ja prowadzę im ten interes.

– Super.

Nachylił się nad plecakiem stojącym na podłodze i wyjął szkicownik.

– Moje prace w porównaniu z twoimi to amatorszczyzna.

Tanni nie znosiła, kiedy ktoś tak mówił. Siebie uważał za zero, bo przecież talent ma tylko ona!

Po pierwszym, gorzkim łyku od razu poczuła miłe ciepło. Wypiła więc jeszcze jeden łyk i zaczęła przeglądać szkicownik, uważnie studiując każdą pracę. Shaw niewątpliwie miał talent. Pierwsze szkice zrobione węglem były bardzo mroczne i dziwaczne. Krajobrazy po bitwie albo kataklizmie. Aż nagle Tanni znalazła się na polu kwitnących żółtych tulipanów pyszniących się na tle błękitnego nieba. Rysunek wykonany był pastelami, dlatego starała się nie dotknąć, nie musnąć, żeby niczego nie zatrzeć.

Była zdumiona tym nagłym przejściem do innej tematyki i kolorów.

– Byłem wtedy w Dolinie Skagit – powiedział Shaw nieswoim głosem, czekając na jej opinię. – No i jak? Co o tym sądzisz?

– A co ty o tym sądzisz? – spytała Tanni.

– Ja?!

– Tak. To twoja praca. Podoba ci się czy nie?

– Gdy Shaw milczał, pewnie nie wiedząc, co odpowiedzieć, podsunęła mu szkicownik. – Na przykład ten szkic, który, jak mówisz, zrobiłeś w Dolinie Skagit. Co czułeś, kiedy to rysowałeś?

– Spokój – odparł po chwili namysłu.

Przerzuciła kartki wstecz i podsunęła mu szkic węglem, przedstawiający krajobraz po trzęsieniu ziemi.

– A co czułeś, kiedy rysowałeś to?

Shaw wzruszył ramionami, dokładniej jednym.

Nie wiem.

Ale Tanni nie miała zamiaru pozwolić mu wykręcić się od odpowiedzi.

– Shaw, gdybyś niczego nie czuł, nie narysowałbyś tego.

– A więc... byłem zły. Tak! Matka zabroniła mi rysować coś takiego w jej domu, wtedy się wściekłem i oczywiście rysowałem dalej. Nienawidzę, kiedy ktoś chce mną sterować. Narzuca mi, co mam myśleć, co czuć.

– Tak samo ze mną... – mruknęła Tanni, przyglądając się rysunkowi z wielką uwagą.

– Co czujesz?

Uniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy.

– Twój gniew. Wyczuwam twoje emocje. Shaw, to dowód, że jesteś artystą! Jeśli ktoś temu zaprzeczy, to nie ma racji, absolutnie. A ty musisz uwierzyć w siebie. Koniecznie, to podstawa. I tego nikt nie jest w stanie ci narzucić. Sam musisz do tego dojść.

Tanni miała sprawę ułatwioną. Nie, nie dzięki matce, która była artystką. Dzięki ojcu, który artystą nie był, ale potrafił z córką godzinami rozmawiać o sztuce. To ojciec wpoił w nią, że technika jest tylko środkiem do osiągnięcia celu. A ten cel to wyrażenie emocji. Może być to reakcja

artysty na coś, co wydarzyło się, co zobaczył, co poczuł w konkretnej sytuacji.

Shaw przewrócił kartki, wracając do tulipanów.

– Tanni, a kiedy patrzysz na to, ty też czujesz spokój?

Przez dłuższą chwilę wpatrywała się w kwiaty.

– Nie do końca.

Było oczywiste, że Shaw nie takiej odpowiedzi oczekiwał. Przez moment była pewna, że chwyci swój szkicownik i wrzuci z powrotem do plecaka.

Na szczęście nie, bo tylko zapytał:

– Dlaczego nie do końca?

– Moim zdaniem, kiedy rysowałeś te tulipany, niczego specjalnie nie odczuwałeś.

– Odczuwałem!

– Niemożliwe. Za bardzo byłeś skoncentrowany na samej technice rysowania, na kolorach, na cieniowaniu.

Zauważyła, jak Shaw lekko przymrużył oczy.

– Tak mówisz? No to już sam nie wiem, czy potrafię być artystą z tymi wszystkimi odczuciami.

– Sztuka, w każdym razie dla mnie prawdziwa sztuka polega głównie na wyrażaniu emocji.

Od roku jej szkice były wyrazem uczuć po stracie ojca. Tata zawsze mówił, że prawdziwe dzieło sztuki naładowane jest emocjami. Irytowało ją, kiedy jako przykład podawał kolaże i patchworki matki. Ale trudno. Tak czy inaczej rozumiała, o co mu chodzi.

Wkrótce po pogrzebie ojca matka zamknęła się w pracowni na wiele dni. Oczywiście musiała od czasu do czasu się przespać czy coś zjeść, ale

kiedy? Tego Tanni nie zauważyła. W każdym razie gdy Shirley znów ukazała się światu, okazało się, że w ciągu tych wielu dni stworzyła z tkaniny dzieło, które niewątpliwie było wielkim dziełem sztuki.

Zionący ogniem ogromny smok.

Tanni nikt niczego nie musiał objaśniać. Po prostu wiedziała, że ten smok to śmierć.

Kiedy minął twórczy szal, matka uspokoiła się, znów stała się sobą. Parę osób oglądało tego smoka. Tanni podejrzewała, że nowy właściciel galerii przy Harbor Street z wielką chęcią zabrałby go do siebie. Gdyby matka się zgodziła, co jednak, jak dotąd, nie nastąpiło, ponieważ smok nadal wisiał w pracowni.

– Czyli dzięki emocjom to, co robisz, jest naprawdę dobre – podsumował Shaw.

– Moim zdaniem tak.

– Tanni, a rysujesz też ludzi?

– Czasami.

– Nie jest to łatwe, prawda?

– Nie. A ty rysujesz portrety?

– Może...

– To dlaczego mi nie pokazałeś?

– Bo... nie mam ich ze sobą.

– Nie wierzę. Gdybyś nie miał, to w ogóle byś o nich nie wspomniał.

Pokaż.

Shaw wbił wzrok w stół.

– Ale ten, co mam, jest całkiem do niczego. Spieszyłem się...

– Nieważne, Shaw. Pokaż. Przecież sam chciałeś, żebym obejrzała twoje prace. I co?

– Tak. Ale... – Bezwiednie wyciągnął rękę, zasłaniając plecak.

– Shaw, kiedy rysowałeś to, czego nie chcesz mi pokazać, czułeś coś? W jego oczach zapaliła się iskierka, jakby miał ochotę się uśmiechnąć.

– Tak. Coś tam czułem.

– Super.

I cisza. Tanni odczekała chwilę, po czym ciszę przerwała głosem lekko już zniecierpliwionym:

– A więc jak, Shaw? Pokażesz mi czy nie?

Powoli nachylił się nad plecakiem i wyjął drugi szkicownik. Przez chwilę jeszcze się wahał, lecz przemógł się i położył szkicownik przed Tanni.

Otworzyła, spojrzała na pierwszą stronę i regularnie ją przytkało.

– Przecież... to ja – stwierdziła, kiedy tylko odzyskała mowę.

– No tak... Wiem – zaszemrał Shaw.

– To ja koło ogniska!

– Tak.

Za pomocą kilku zaledwie kresek Shaw oddał wszystko. W twarzy Tanni, częściowo zakrytej rozwianymi przez wiatr włosami, były jej upór i bunt. Samotność i ból. Cała postać rwała się do walki... samotnej walki.

Shaw obnażył ją. Narysował samą esencję Tanni Bliss. Takiej, jaką była teraz.

– Do niczego, prawda? – wyszemrał.

Do niczego!? Przecież z wrażenia nie jest w stanie wydusić z siebie ani słowa!

– Nieprawda... – wyszeptała mimo wielkiej grudy, która ulokowała się w jej gardle. – Shaw... nie bajeruję, to jest jeden z najlepszych portretów, jakie dotąd widziałam.

Wbił w nią wzrok.

– Mówisz serio?

– Przecież wiesz! Gdyby było kiepskie, na pewno bym ci powiedziała!

A to... to jest super! Nigdy czegoś tak dobrego nie udało mi się narysować!

Przysięgam!

Shaw rozpromienił się. Tak, teraz miała przed sobą człowieka szczęśliwego.

– Tanni, może spotkamy się jeszcze kiedyś? – zaproponował.

– Dobrze. – Skinęła głową.

– Kiedy?

– Kiedykolwiek, Shaw.

– Może jutro? Nie. Jutro jest Święto Dziękczynienia, na pewno będziesz z rodziną, wspólny obiad i tak dalej.

– Jutro. O której?

Miała w nosie święto. Przede wszystkim chciała być z Shawem.

– Dasz radę się wymknąć?

– Jasne. A więc o której?

– Piąta?

– Dobrze. Będę tu o piątej.

Przykrył dłonią dłoń Tanni, splatając jej palce ze swoimi. Nie zabrała swojej ręki. A skąd! I pomyślała, że być może w końcu i ona znalazła sobie przyjaciela. Prawdziwego przyjaciela.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Wczesnym rankiem w Święto Dziękczynienia Emily na palcach przemieściła się z sypialni do kuchni. Nie chciała nikogo obudzić, a dom był przecież pełen ludzi. Jej mieszkający w Spokane rodzice na ten świąteczny dzień tradycyjnie już zjechali do córki. Emily, robiąc sobie kawę, z rozczuleniem słuchała głośnego chrapania ojca dobiegającego z sypialni na tyłach domu. Dla jej uszu były to miłe, tak dobrze znane dźwięki...

Niebawem cały dom ożyje. Dave i ojciec Emily będą oglądać w telewizji tradycyjną paradę organizowaną w Święto Dziękczynienia przez sieć domów towarowych Macy's. Chłopcy będą ganiać się po domu, a Emily i jej matka zajmą swoje stanowiska w kuchni, przygotowując do pieczenia dziesięciokilogramowego indyka.

Teraz jeszcze panowała błoga cisza. Tę chwilę spokoju Emily chciała wykorzystać na zebranie sił przed jakże niełatwym zadaniem. Musiała przebrnąć przez rodzinny obiad, nie dając matce powodu do podejrzeń, że w małżeństwie córki coś jest nie tak. A matkę niełatwo oszukać, dlatego Emily, siedząc sama przy kuchennym stole, oddychała bardzo głęboko, starając się maksymalnie wyciszyć. Przed nią leżała Biblia. Emily każdy nowy dzień zaczynała od szukania – i znajdowania – słów otuchy w psalmach.

Kiedy dzbanek z kawą po raz ostatni wykonał swój sycząco skwierczący refren, Emily wstała i podeszła do szafki. Sięgnęła po kubek i w tym momencie do kuchni weszła Barbara Lewis, jej matka.

Barbara zawiązała mocniej pasek szlafroka i zasłaniając ręką usta, ziewnęła bardzo szeroko.

– Usłyszałam, że już wstałaś i chodzisz po domu. Już! – Barbara zerknęła na zegarek w kuchence.

– Dopiero piąta, dziecko!

– Wiem.

Emily obudziła się już o trzeciej, potem przez dłuższy czas miotała się na łóżku, zmieniając co chwilę pozycję. W końcu spasowała. Było jasne, że już nie zaśnie.

– Kawa pachnie cudownie – stwierdziła matka, siadając przy stole. – Już zaparzona?

– Tak.

Emily naląła kawy do drugiego kubka, dodała śmietanki, usiadła i obie z matką zaczęły popijać ożywczy płyn. Po kilku łykach Barbara, spoglądając córce prosto w oczy, spytała:

– Zastanawiasz się nad czymś, Em?

Emily najchętniej spojrzałaby w bok, ale wiadomo, takiej opcji nie było.

– Tak. Nad menu – wymamrotała. – Pomyślałam, że mogłybyśmy zrobić podwójną porcję nadzienia. Wszyscy lubią, jak coś ze świątecznego obiadu zostanie na następny dzień.

– Jasne. Możemy tak zrobić.

– Wczoraj, przed waszym przyjazdem, zrobiłam sałatkę z żurawin.

Ta sałatka, właściwie bardziej deser, od długiego czasu była ulubionym rodzinnym specjałem. Podawano ją tylko w Święto Dziękczynienia. W sumie nie było to zbyt wyszukane danie, po prostu żurawiny, żelatyna i bita śmietana. Wszystko zmieszać i można wstawić do zamrażalnika.

– Aha, w tym roku zrobię inną zapiekankę, nie z brukselką, lecz z

brokułami. Znalazłam świetny przepis w internecie.

– Em...

– Jeśli chcemy sięść do obiadu o czwartej, indyka trzeba wstawić do piekarnika gdzieś tak około ósmej... – Zdawała sobie sprawę, że trochę bredzi, ale cóż, trzeba coś mówić.

– Emily, powiesz mi wreszcie, co ci leży na wątrobie, czy mam sama zgadnąć?

Jak wspomniano, przed matką niczego nie ukryjesz. Emily zamknęła oczy, otworzyła i w tym momencie przestała już udawać. Ukryła twarz w dłoniach, chociaż nie tak łatwo dawała ujście swoim emocjom. Przyczyna tego była bardzo prosta: jeśli już do tego doszło, łzy płynęły bez końca.

– Em – powiedziała miękko matka, kładąc dłoń na jej ramieniu. – Dobrze wiesz, że możesz mi wszystko powiedzieć.

– Wiem...

– Kiedy tylko weszłam do waszego domu, od razu wyczułam, że coś jest nie tak. Jakiś problem z chłopcami?

– Nie, nie. – Emily pokręciła głową. – Z nimi, chwała Bogu, wszystko w porządku.

– Czyżby... Dave?

Te słowa matka wypowiedziała bardzo ostrożnie, jakby trudno jej było uwierzyć, że właśnie tu może być problem. Wszyscy przecież wiedzieli, że Dave Flemming jest bardzo dobrym i pełnym zalet człowiekiem. Mąż idealny, czuły, kochający, delikatny. Emily poznała go w college'u. Była to miłość od pierwszego wejrzenia, z biegiem lat coraz większa. Emily nigdy do głowy nie przyszło, żeby spojrzeć na innego mężczyznę. Dla niej istniał tylko Dave. Była też pewna, że Dave darzy ją uczuciem równie gorącym. Dopiero ostatnie wydarzenia sprawiły, że zaczęła się nad tym zastanawiać.

– Pracuje za dużo, tak? – spytała Barbara.

Emily przełknęła. Temu, o co spytała matka, nie mogła zaprzeczyć, ale przecież nie o to chodziło!

– Bardzo... dużo przebywa poza domem – powiedziała oględnie.

– Rozumiem. Musi uczestniczyć w spotkaniach kółek parafialnych. Ma tyle obowiązków wobec kościoła, że dla rodziny braknie już czasu. Powinien to jakoś wyważyć.

Emily wyprostowała się.

– Nie, nie o to chodzi, mam. – Wyduszenie z siebie tych słów okazało się dla niej wysiłkiem niemal nadludzkim. – Myślę... to znaczy mam wszelkie powody ku temu, by sądzić, że Dave... że on związał się z inną kobietą.

Oczy matki rozszerzyły się do granic możliwości. To oczywiste, że była wstrząśnięta, od razu jednak zaproponowała:

– Co ty mówisz, Em! To niemożliwe! Dave? Nigdy. Jestem pewna, że się mylisz.

– To właśnie ciągle sobie wmawiałam, mam. Przecież to ja, przede wszystkim ja, nie chciałam uwierzyć!

– Oczywiście... – Matka zamilkła. Żadnej perory, co akurat w przypadku Barbary Lewis było raczej rzadkością.

– Mam dowody – szepnęła Emily. – Najpierw czegoś tam się dowiedziałam, coś zauważyłam, coś znalazłam. I dotarło do mnie, o co w tym wszystkim chodzi!

– Ale kto?! Co to za kobieta?

– Nie wiem, mam. – Emily bezradnie wzruszyła ramionami. – Szczerze mówiąc, wolę nie wiedzieć.

Chociaż zastanawiała się nad tym, co oczywiste. Jedyłą znaną jej

kobietą, z którą Dave w zeszłym roku spędzał mnóstwo czasu, była Martha Evans. Mocno starsza już pani, wdowa. Zmarła we wrześniu. Dave przychodził do niej raz w tygodniu. Odwiedzanie chorych parafian należało do jego duszpasterskich obowiązków, jednak wizyt u Marthy nie traktował jako obowiązek. Bardzo ją polubił, twierdził, że się zaprzyjaźnili.

A teraz Emily zastanawiała się, czy Dave rzeczywiście co tydzień chodził do Marthy Evans! Może do tej kobiety, do której dzwonił w poniedziałek z domu. Która mówiła do niego Davey...

– Naprawdę nie mam pojęcia, kto to może być – wyznała płaczącym głosem. – Nie wiem, po prostu nie wiem.

– Em, zastanówmy się nad tym wspólnie, tak na spokojnie. Przede wszystkim powiedz, z jakiego konkretnego powodu doszłaś do wniosku, że Dave ma kogoś?

– On... on mnie okłamuje, mamó.

– Okłamuje?!

– Tak. Chociaż może inaczej... Nie mówi mi wszystkiego. – Opowiedziała matce o tym, jak spotkała Beldonów i dowiedziała się od Bena, że Dave od roku nie grywa już w golfa. – Poza tym mam jeszcze inny dowód – dodała, zniżając głos. – My... my nie...

– Niestety, poruszanie spraw najbardziej intymnych w rozmowie z matką było bardzo krępujące. – Rozumiesz, o co chodzi... od ponad miesiąca.

A przedtem ich życie intymne było tak bogate, dawało im wielką radość i satysfakcję. Lecz teraz zanikło. Kiedy Dave wieczorem był w domu, zwykle kładł się wcześniej spać i od razu zasypiał. Z kolei kiedy ona pierwsza szła do łóżka, Dave kładł się potem bardzo ostrożnie, starając się jej nie obudzić. Wiedziała o tym, bo wielokrotnie się zdarzyło, że tak

naprawdę jeszcze nie spała.

Kiedyś przytulał się do niej, budził. Nie miała nic przeciwko temu. A teraz nawet nie wiedziała, jak by zareagowała na jego pieszczoty. Dlatego w sumie była zadowolona, że tego nie robił. Choć zarazem bardzo ją to przygnębiało.

– Rozumiem, Emily. Nie współżycie ze sobą. Powiedz mi jeszcze, dziecko, czy sprawdzałaś potwierdzenia płatności kartą? Jego kartą, oczywiście.

– Nie.

Po prostu nie przyszło jej to do głowy. Szczerze mówiąc, gdyby przyszło, też pewnie by tego nie zrobiła, mianowicie ze strachu, bo mogłaby zdobyć informacje, na które psychicznie nie była jeszcze gotowa.

– Emi, czy ty tego wszystkiego nie wyolbrzymiasz? Tak zawsze jest, kiedy człowiek zadręcza się wątpliwościami, zamiast zapytać wprost. Zapytaj więc. Dave moim zdaniem będzie zszokowany twoimi podejrzeniami.

– Mamo, on z miejsca wszystkiemu zaprzeczy. Z tego pytania wprost nic nie wyniknie.

– Owszem, wyniknie, bo na podstawie reakcji Dave'a będziesz mogła się zorientować, czy faktycznie masz powód do zmartwienia. Moim zdaniem, jak powiedziałam, wszystko wyolbrzymiasz. Zauważyłaś jakieś niejasności, co wcale jednak nie musi od razu oznaczać, że twój mąż ma romans!

– Ale mamo...

– Znam Dave'a. To nie jest człowiek, którego stać na coś takiego. Poza tym on nie potrafi kłamać. A gdyby faktycznie miał coś na sumieniu i ciebie okłamywał, od razu wyczułabym pismo nosem. Znasz mnie przecież.

Emily mimo woli uśmiechnęła się. Ona i jej brat wiele razy mieli okazję się przekonać, że przed matką niczego nie można ukryć.

Barbara też się uśmiechnęła, tak bardzo ciepło, serdecznie.

– Głowa do góry, dziecko! Postaraj się o tym nie myśleć, przynajmniej dziś.

– Postaram się, mamo.

– Tym bardziej że masz wiele powodów, by czuć wdzięczność. To twoje pierwsze Święto Dziękczynienia w nowym, pięknym domu, gdzie otoczona jesteś kochającą rodziną. Pomyśl właśnie o tym i nie psuj sobie tego pięknego dnia.

– Dobrze, mamo. Ale obiecaj, że cokolwiek zauważysz czy wyczujesz, od razu mi powiesz.

– Oczywiście! Choć powtarzam, moim zdaniem jest to przede wszystkim wytwór twojej wyobraźni. Za tydzień zadzwonisz do mnie i będziesz się kajać, że niesłusznie oczerniłaś Dave’a.

Przez cały dzień Emily za radą matki starała się zapomnieć o swoich wątpliwościach i skupić na sprawach bieżących, czyli przygotowaniach do świątecznego obiadu. Około drugiej razem z matką zaczęły nakrywać do stołu. W jadalni! Bo w nowym domu spełniło się jedno z marzeń Emily, a mianowicie mieli osobny pokój, w którym spożywało się posiłki. Była bardzo dumna, że wreszcie cała rodzina zasiądzie do świątecznego obiadu nie w kuchni, a właśnie tam, w jadalni.

Meble kupili w komisie. Był to piękny komplet z mahoniem, to znaczy stół, krzesła oraz niewielki kredens. Emily, kiedy wypatrzyła te meble, zakochała się w nich od razu i mimo że cena była dość wygórowana, zmusiła Dave’a, by też na nie spojrział. A potem nagle meble przyjechały do ich domu. Dave powiedział jej, że pogadał z właścicielem komisum, który w

rezultacie opuścił cenę prawie o połowę.

Zawsze spoglądała na swoje meble z zachwytem, a teraz czuła się po prostu wniebowzięta. W jadalni było przepięknie. Mahoniowy stół został przykryty ciemnozielonym lnianym obrusem, na który po brzegach Emily sypnęła liście klonu w urzekających jesiennych barwach, a na samym środku położyła róg obfitości wypełniony żółtymi, zielonymi i pomarańczowymi tykwami oraz miniaturowymi dyniami. Całości dopełniały jasnozielone świece, oczywiście zapalone.

Pomyślała z dumą, że ten stół, znakomicie oddający atmosferę tego święta, mogliby sfotografować do któregoś z tych błyszczących czasopism o urządzeniu domu. Takie magazyny kupowała namiętnie, była to jedna z jej nielicznych ekstrawagancji. A porcelana na stole był to prezent ślubny, używany tylko raz, dwa razy do roku. Dlatego też rozstawianie jej na stole – stole w prawdziwej jadalni! – było wielkim przeżyciem.

Kiedy stała tak i patrzyła na swoje dzieło, podszedł do niej Dave.

– Zrobiłaś to bardzo pięknie – powiedział, całując ją czule.

Barbara uśmiechnęła się do córki, a kiedy Dave spojrzał w inną stronę, poruszyła wargami, przekazując bezgłośnie:

– A nie mówiłam?

Emily w odpowiedzi tylko zabawnie wywróciła oczami.

Tuż przed czwartą na pięknym stole pojawiły się wszystkie potrawy i Dave zaczął kroić indyka. Biesiadnicy umierali z głodu, ponieważ na lunch podano tylko krakersy i ser.

– Ja w tym roku dostanę mostek indyka! Ja! – zawołał Matthew.

– Nie! Ja! – zaprotestował Mark. – On dostał go w zeszłym roku! A ja też chcę raz sobie z niego powróżyć!

– Chłopcy, nie kłóćcie się! – skarcił ich ojciec, spoglądając surowo.

Gdy chłopcy ucichli, powiedział: – A teraz podziękujmy Panu Bogu.

Wszyscy złączyli ręce i pochylili głowy, Dave głośno odmówił krótką, lecz z głębi serca płynącą modlitwę dziękczynną, a gdy wszyscy powiedzieli „amen”, rozległo się wołanie Matthew:

- Hej! Podajcie mi szyjkę z warzywami!
- Matthew, spokojnie – mitygowała go matka.
- Poczekaj, aż półmisek dojdzie do ciebie. No i mówi się „proszę”.
- Ale ja bardzo lubię tę szyjkę! Bardzo!
- Ja też! Ja też! – zawtórował Mark. – I dużo sosu.

Półmiski i salaterki zaczęły krążyć z rąk do rąk, wkrótce talerze biesiadników zapęłniły się mięsem indyka, sosem, ziemniakami zrobionymi na różne sposoby, wyszukаныmi sałatkami i wieloma innymi specjałami.

Po zjedzeniu deseru – dwa rodzaje ciasta – nikt od stołu się nie ruszył. Gawędzono, żartowano, opowiadano rozmaite historie. Dla Emily były to najpiękniejsze chwile w tym świątecznym dniu.

Pierwszy wstał Dave.

- Ja i chłopcy bierzemy na siebie wkładanie naczyń do zmywarki.

Natychmiast zaproponował Matthew:

- Tato! Po co sam się... zgłaszasz!

Mark też był trochę wystraszony.

- Tato! Przecież tych talerzy jest sto tysięcy!

– Czyli trzeba od razu zabrać się do roboty! – ze śmiechem zdecydował ojciec, a gdy chłopcy jęknęli, dodał: – Wasza mama i babcia przez cały dzień gotowały te wszystkie pyszności. Chyba nie będą teraz zmywać, prawda?

- A co będzie robić dziadek? – spytał Mark.
- Pomogę wam – odparł rozbawiony senior rodu.

– Nie, Al – zaprotestował Dave. – Odpocznij po tej uczcie. Damy sobie z chłopakami radę.

– Tato... – odezwał się teatralnym szeptem Mark

– jeśli ktoś chce ci pomóc, nieładnie tak mu odmawiać.

– Masz rację. Al, jeśli jesteś chętny do roboty, zapraszamy do kuchni.

Emily i jej matka pochowały do lodówki to, co uchowało się na półmiskach, a potem rozsiadły się w pokoju dziennym przy herbacie, podczas gdy mężczyźni walczyli z brudnymi naczyniami.

– No i co? – spytała półgłosem Emi, zerkając na matkę. – Co o tym myślisz?

Barbara przez chwilę zwlekała z odpowiedzią. Zastanawiała się intensywnie, przygryzając dolną wargę, aż wreszcie powiedziała:

– Nawet dobrze mu to wychodzi.

– Co, mamó? Co?

– Udawanie. Nie mam pojęcia, w czym rzecz, bo i skąd, ale na moje wyczucie Dave coś ukrywa przed tobą.

Radość, poczucie zadowolenia, czyli stan ducha, jaki Emily udało się z takim trudem narzucić sobie w tym świątecznym dniu, natychmiast uległ zmianie.

Koniec z radością.

– A więc myślisz, mamó...

– Nie! – przerwała jej kategorycznie. – Nie sędzę, żeby chodziło o kobietę, niemniej jestem prawie pewna, że twój mąż coś przed tobą ukrywa.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Christie Levitt, stały gość barku Pink Poodle, popijała piwko samotnie. Tego wieczoru nie była miłą kompanią, bo dziś był piątek, tuż po Święcie Dziękczynienia, kiedy to wszystkich ogarnia szal zakupów. Większego nie ma chyba w ciągu całego roku. Sprzedawcy nazywają ten dzień Czarnym Piątkiem, a Christie na swoje nieszczęście pracowała w supermarkecie WalMart i musiała stawić się do pracy przed szóstą, w związku z czym teraz, o siódmej wieczorem, po całym dniu urzędowania przy kasie, była kompletnie padnięta. Larry, właściciel baru i barman w jednej osobie, a także wszyscy obecni w tym niewielkim lokalu, od razu się zorientowali, że Christie jest nie w sosie, więc dali jej święty spokój. Całe szczęście, bo Christie absolutnie by nie strawiła czyjegoś towarzystwa, nawet rodzonej siostry Teri, która zresztą była na nią wściekła za to, że olała zaproszenie na obiad z okazji Święta Dziękczynienia.

Zła kondycja fizyczna nie była jedynym powodem optowania za samotnością. Christie musiała coś przemyśleć, a dokładniej zastanowić się nad pewnym facetem, nad Jamesem Wilburem, który bardzo ją zainteresował. Tak, zainteresował, choć z przyczyn zupełnie niepojętych, jako że był sztywniakiem o tak zwanych nienaganych manierach, którymi mógł człowieka wykończyć. Niestety wystarczyło, że Christie tylko o nim pomyślała, a jej serce już było zdecydowanie szybciej. A myślała o nim bardzo często, stanowczo zbyt często, co było bardzo dziwne, ponieważ nie mieli ze sobą nic wspólnego. Naprawdę nic. James był kierowcą siostry Christie i jej męża, woził ich piękną limuzyną. Teri niejednokrotnie wysyłała go po Christie. Z początku odnosiła się do niego z wielką rezerwą,

z czasem jednak uległo to zmianie. Zaczęli ze sobą pogadywać, a pewnego wieczoru Christie zastała w limuzynie piękną różę. Leżała na tylnym siedzeniu, czyli wyraźnie czekała na nią. Christie dopiero po jakimś czasie zorientowała się, że wcale nie była to róża od siostry, tylko od Jamesa.

I przeżyła szok, bo wcale nie należała do kobiet, które faceci obsypują kwiatami, dlatego nawet nie bardzo wiedziała, jak zareagować na ten tak miły gest. Naprawdę bardzo miły, chociaż z drugiej strony zainteresowanie Jamesa trochę ją niepokoiło. Teri, kiedy jej się zwierzyła, od razu znalazła wytłumaczenie dla takiej reakcji. Christie czuje się niepewnie, ponieważ po raz pierwszy trafił jej się normalny facet, bez nałogów, uczciwie pracujący na chleb.

A ona przywykła do innego gatunku mężczyzn. Zwykle kręciły się koło niej szemrane typki, faceci, którzy nawet jeśli kiedyś mieli swoją życiową szansę, to ją przegrali na własne życzenie, hazardziści, pijacy i ćpuny naładowani agresją do całego świata, tacy, co to potrafią nie tylko okraść, ale i porządnie przyłożyć. Nie miała pojęcia, dlaczego przyciąga takich właśnie pokręconych koleśków z marginesu. Może namieszały tu geny albo złe wzorce wyniesione z domu. Teri, jej siostrze, kiedy poznała Bobby'ego Polgara, udało się wyjść poza ten schemat, Christie jak dotąd nie. Wiedziała, że jak już kogoś pozna, to na pewno będzie to facet bez pracy szukający pociechy w alkoholu czy narkotykach. Taki gościu potrafi godzinami opowiadać, jak to cały świat sprzysiągł się przeciwko niemu. Zawsze wszyscy go oszukują, szef, partnerzy, o żonie czy dziewczynie już nawet nie wspominając.

Wszyscy jej faceci potrafili godzinami użalać się nad sobą, balansując między płaczącymi pretensjami do losu a wściekłą agresją. Każdy z nich właściwie mówił to samo, lecz i tak czułe serce Christie nie potrafiło

pozostać obojętne na ludzkie nieszczęście i ani się obejrzała, a już brała kolejną ofertę pod swoje skrzydła, starając się jej jakoś wyprostować życie. A także zakochując się przy tym nieprzytomnie.

Głupota, oczywiście. Zdawała sobie z tego sprawę, ale co z tego, skoro znów pakowała się w kolejny toksyczny związek. Jej marzeniem było poznać w końcu kogoś takiego jak Bobby, jej szwagier. Kogoś, kto naprawdę ją pokocha i uszanuje.

Bobby kochał i szanował swoją Teri, Christie natomiast zainteresował się jego kierowca, James Wilbur. Dżentelmen aż do bólu. Szczerze mówiąc, był aż zanadto uprzejmy, poza tym zwracał się do niej per „panno Christie”. Krótko mówiąc, był irytujący do takiego stopnia, że w pewnym momencie oznajmiła, że nie ma ochoty z nim jeździć. W końcu dysponuje własnym środkiem transportu. Niezależnie od łysych opon i szwankującej skrzyni biegów, są to nadal cztery kółka, więc naprawdę nie potrzebuje kierowcy.

Teri może i przywykła do tego, że ktoś traktuje ją jak królową, jednak Christie nie. Kiedy James otwierał przed nią drzwi i pomagał jej wsiąść czy wysiąść, całkowicie traciła pewność siebie. Naprawdę nie potrzebowała niczyjej pomocy. Ta jego usłużność była po prostu śmieszna. Poza tym kiedy James w luksusowym samochodzie pojawiał się przed jej domem, wywoływał niepotrzebną sensację. Sąsiedzi snuli różne wersje na ten temat i Christie czuła się z tym po prostu głupio.

Chociaż z drugiej strony trzeba przyznać, że intencje Jamesa zawsze były jak najlepsze. Po prostu był uprzejmy!

Popijając piwko, na moment przymknęła oczy. James... Ileż on wycierpiał! Kiedy pobiły go te zbiry, które chciały porwać siostrę Christie, jednak przez przypadek zamiast Teri w ich łapy wpadła jej przyjaciółka, Rachel Pendergast. A także James.

Chodziło oczywiście o turniej szachowy. Rywal Bobby'ego chciał w ten sposób zmusić go do wycofania się z gry. Jednak Bobby wcale się nie wycofał, tylko wręcz przeciwnie, dzięki kilku skomplikowanym manewrom mecz wygrał, a jego rywal i łąjdak zarazem został aresztowany.

Christie nie spodziewała się, że polubi Bobby'ego Polgara. Poza tym ze swoją siostrą przez lata całe nie była w najlepszych stosunkach. Unikały siebie, wychodząc z założenia, że tak będzie najlepiej. Jednak kiedy Teri wyszła za mąż, nagle odnowiły rodzinne więzy, a nawet się zaprzyjaźniły. Po prostu znów stały się prawdziwymi siostrami. Dużą rolę odegrał w tym Bobby, pod którego wpływem Teri nabrała pewności siebie i jednocześnie stała się o wiele bardziej tolerancyjna.

Bobby traktował Jamesa w sposób absolutnie wykraczający poza zwykłe stosunki między pracodawcą a pracownikiem. Bez wątpienia łączyła ich przyjaźń. Tak przynajmniej odbierała to Christie, choć nie wiedziała, skąd się wziął ten wzajemny sentyment pracodawcy i kierowcy.

Znów sięgnęła po piwo, życząc sobie z całego serca, żeby w końcu przestała myśleć o Jamesie. Niestety, zagnieździł się w jej głowie na dobre, co było maksymalnie wkurzające.

Wszystko było wkurzające. Powiedziała Jamesowi, że nie będzie z nim jeździć i w ogóle ma dać jej święty spokój. Więc dał, a ona z tego powodu wcale nie była spokojna. Potem go pobili. Zdenerwowała się, pojechała do niego, a on oznajmił w sposób niepozostawiający żadnych wątpliwości, że nie życzy sobie jej towarzystwa. W rezultacie zostawiła tylko różę – tak jak on kiedyś podrzucał jej różę do samochodu – i wyszła z jego mieszkania, czując się jak zbity pies. Gorzej. Jak zbity kundel.

– Jeszcze jedno piwko? – spytał uprzejmie Larry.

Christie pokręciła przecząco głową.

– Nie, dziękuję... Chociaż, jak się nad tym głębiej zastanowić... drugie nie zaszkodzi.

Larry pokiwał głową, potem nachylił się nad kontuarem i spytał konspiracyjnym szeptem:

– Masz doła?

Christie wzruszyła ramionami.

– Można i tak to określić.

Larry postawił przed nią pełną szklanekę.

– Jeśli będziesz chciała pogadać, powiedz tylko słowo.

– Dzięki, ale... chyba nie.

To, co czuła do Jamesa, kompletnie wytrącało ją z równowagi. Z nikim nie umiałaby o tym porozmawiać. Może tylko z Teri. Tak, ona jedna potrafiłaby pomóc zrozumieć, co się właściwie dzieje.

– Ej, popatrzcie no! – zawołał Kyle, hydraulik i stały bywalec Pink Poodle. – Znow zaparkowali tu tę limuzynę!

Limuzyna?! Christie czuła, że robi się czerwona jak burak. Limuzyna, a więc James! Zaparkował koło baru i czeka na nią!

Masakra.

– A co ta limuzyna właściwie tu robi? – spytał Bill, podchodząc do okna. Bill pracował w stoczni i podobnie jak Kyle regularnie zaglądał do barku. Obaj byli rozwodnikami. Zamiast spędzać wieczór sam na sam z telewizorem, woleli posiedzieć w Pink Poodle, czemu Christie wcale się nie dziwiła. Przecież dokładnie z tego samego powodu była tutaj stałym gościem.

– Tę limuzynę widziałem już przedtem – oznajmił Kyle.

– Ale czyja ona jest? Kto tu może mieć taką wypasioną brykę? – spytał Bill, spoglądając na Larry'ego.

– Nie mam pojęcia – rzucił przez ramię, podążając z dwoma czystymi szklankami do kurka, z którego płynęło beczkowe piwo. – Ten samochód czasami tu się pojawia. Postoi i odjedzie.

– Pozwalasz mu parkować na twoim parkingu? – spytała Christie, specjalnie włączając się do rozmowy, żeby nikt jej nie skojarzył z limuzyną. Przecież żartom i kpinkom nie byłoby końca.

– A dlaczego nie? – odparł w imieniu barmana Kyle. – Taki drogi wóz tylko podnosi rangę parkingu! Prawda, Larry?

Larry, pochłonięty napełnianiem szklanek, nie odpowiedział.

Christie dopiła drugie piwo. Zwykle piła trzy, ale tym razem już po dwóch trochę zakręciło jej się w głowie, choć zwykle i trzecie jej nie ruszało. Dziś jednak zanosilo się na to, że po tym trzecim będzie regularnie wstawiona, dlatego zrezygnowała. A poza tym naprawdę była już na ostatnich nogach.

– Wracasz do domu? – spytał Larry, kiedy płaciła.

– Tak.

– Może wezwę taksówkę?

– Dzięki, nie trzeba.

– A więc do zobaczenia!

Pomachała na pożegnanie, włożyła krótką kurtkę z wełny, owinęła się szalikiem i wyszła na dwór stawić czoło żywiołom. Wiało porządnie, o wiele bardziej niż przedtem. Wiatr podrywał z ziemi zeschnięte liście, tańczyły w powietrzu, w którym czuć już było nadciągający mróz. Na pewno wkrótce spadnie śnieg i wszystkie dzieciaki z Cedar Cove będą zachwycone. Christie nie. Z radością obyłyby się bez śniegu.

Rozejrzała się i odetchnęła z ulgą, bo po limuzynie nie było choćby śladu. Tak więc James odpuścił sobie i zwinął żagle. A dlaczego przyjechał,

nietrudno zgadnąć. Chciał pogadać z Christie. Czekał i czekał, a ona z barku nie wychodziła. W końcu zaskoczył, że nie ma ochoty z nim gadać, więc zniknął. Super, tym bardziej że wcale nie miała ochoty, by widziano ich razem.

Może i super, niemniej czuła się trochę rozczarowana. W sumie nie byłoby tak źle, gdyby zobaczyła się z Jamesem. Przede wszystkim mogłaby się przekonać, czy po ciężkim pobiciu wrócił już do formy.

Dziwne, że przyjechał. Przecież kiedy odwiedziła go, dał jej do zrozumienia, że ma spadać. Po prostu spadać. A oto teraz przyjechał do Pink Poodle. Dlaczego? Kiedy obchodziła budynek, walcząc z porywistym wiatrem, przez jej głowę przemykały dziesiątki myśli na ten temat. Przemykały jak liście niesione przez ten wiatr. A kiedy już obeszła bar i ruszyła w stronę swojego samochodu, usłyszała dobrze znany głos:

– Christie.

Wyteżyła wzrok. Obok jej zdezelowanego forda majaczyły w mroku dwie sylwety: jedna wysoka i chuda, zdecydowanie człowiek. Druga całkiem inna. Zdecydowanie samochód.

– Co ty tutaj robisz? – spytała, i wcale nie zabrzmiało to miękko i łagodnie. Przecież ją zaskoczył, poza tym absolutnie nie miała zamiaru robić z siebie słodkiej idiotki.

– Przyjechałem po ciebie.

– Po co? Nie potrzebuję opiekunki! Czy to Teri i Bob przysłali cię po mnie? – Po siostrze można się było tego spodziewać. – Nie wierzę.

Teri zapewne stęskniła się za nią, bo chciała ją ochrzanić. I za co? W końcu na przyjęcie z okazji Święta Dziękczynienia Polgarowie zaprosili cały tłum gości, więc na brak towarzystwa nie mogli narzekać. A gdyby trochę pogłównkowali, to na pewno by się domyślili, że Christie, osoba pracująca w

supermarkecie, w tym gorącym okresie nie ma ani siły, ani ochoty na żadne przyjęcia. Co prawda wypadało do nich zadzwonić i grzecznie usprawiedliwić swoją nieobecność. Cóż, wypadało, ale nie zadzwoniła. Mało tego, nie dała szansy, żeby ktoś do niej zadzwonił z zapytaniem o powód jej nieobecności. Cały świąteczny dzień wprawdzie przesiedziała w domu, ale nie odbierała telefonu. A dzwonił kilkanaście razy.

– Nie przyszłaś na przyjęcie.

– Czyżby? Och, przepraszam, nie wiedziałam, że do twoich obowiązków należy sprawdzenie listy obecności!

Zabrzmiało to bardzo wrednie, ale trudno. Miała w nosie, co James sobie o niej pomyśli.

– Postąpiłaś bardzo niegrzecznie wobec siostry.

– Teraz też jestem bardzo niegrzeczną dziewczynką! Nie podoba się? Bo co, z kolei ty jesteś ekspertem od dobrego wychowania?

O matko! Zachowuje się jak idiotka, tym bardziej że niezależnie od wszystkiego James faktycznie znał się na dobrych manierach jak nikt.

– Panna Teri próbowała złapać cię przez telefon. Kazała poczekać z podawaniem do stołu i dzwoniła wiele razy.

Czego Christie była w pełni świadoma i wcale nie czuła się z tym najlepiej. Ale James nie musiał o tym wiedzieć.

– Niech będzie – rzuciła nonszalancko. – Wytłumacz mi tylko, dlaczego raptem tak to wszystko cię obchodzi?

– Christie, jesteś bardzo nieuprzejma. Nigdy taka nie byłaś.

– Czasami taka jestem. Właśnie masz okazję się przekonać.

– Nie przyszłaś na przyjęcie z mojego powodu?

– Czy ty aby siebie nie przeceniasz, James? – walnęła, choć przecież miał sto procent racji. Nie poszła na to przyjęcie, bo najzwyczajniej w

świecie stchórzyła. Bała się, że James znów potraktuje ją wyjątkowo chłodno, co ona potem będzie bardzo przeżywać. W rezultacie, zamiast objeść się świątecznym indykiem u siostry, musiała zadowolić się pizzą podgrzaną w mikrofalach i spożywaną przed telewizorem, gdzie dawali powtórkę sitcomu „Kroniki Seinfelda”. – Jeśli przyjechałeś tu po to, żeby mnie krytykować, to moim zdaniem powiedziałaś już wystarczająco dużo.

– Nie, Christie. Przyjechałem, żeby cię przeprosić.

– Przeprosić? Po pierwsze, za co? A po drugie, dlaczego tutaj, pod barkiem, żeby wszyscy znajomi mnie podglądali!

– Po prostu wiedziałem, że właśnie tutaj mogę cię złapać. A chciałem przeprosić za swoje zachowanie, wtedy...

– Kiedy? Nie rozumiem... – powiedziała, udając głupią, choć była pewna, że tego, co wtedy jej powiedział, nigdy w życiu nie zapomni.

– W zeszłym miesiącu. Przyszłaś do mnie i...

– A, o to chodzi! – Machnęła lekceważąco ręką.

– Powiedziałeś, żebym się nie kręciła koło ciebie czy coś w tym stylu. James, nie ma sprawy. Wcale się o to nie gniewam. No i, jak na pewno zauważyłeś, wcale się koło ciebie nie kręcę!

Spochmumiał.

– Nie, nie o to chodziło, Christie. – Energicznie pokręcił głową. – Byłem półprzytomny, a nie chciałem, żeby ktokolwiek się nade mną użalał. Dlatego tak głupio wyszło. Przepraszam.

– James, już powiedziałam, że nie ma sprawy.

A poza tym tylko spójrz na mnie. Czy wyglądam na kogoś, kto użala się nad innymi? Raczej nie! – oświadczyła Christie, starając się wszystko obrócić w żart. Próbowwała nawet się roześmiać, niestety zamiast śmiechu wyszła głupia czkawka, co w tej sytuacji było wręcz upokarzające.

– Piłaś?

– A skąd! – Bardzo efektownie wlepiła w niego oczy. – Podejrzewasz, że jak siedziałam w Pink Poodle, to piłam?! No nie!

– Odwiozę cię.

– Nie ma potrzeby.

Taka była prawda. Dwa piwa rozłożyła na kilka godzin, więc bez obawy mogła usiąść za kierownicą.

– Christie...

– Powiedziałaś, że nie! I daj mi wreszcie spokój. Owszem, przeprosiny przyjęte, ale i tak jasno dałeś mi wtedy do zrozumienia, że mam trzymać się od ciebie z daleka. I bardzo dobrze. Bo też nie mam ochoty cię oglądać. Dotarło?

James bez słowa odwrócił się, ale nie odszedł, tylko rzucił tak gdzieś w przestrzeń:

– Wcale tak nie jest.

– A właśnie że tak! – oświadczyła dobitnie, otwierając drzwi swego samochodu. Niestety klamka jęknęła przy tym żałośnie. Dawno powinna oddać forda do warsztatu, tylko czym wtedy by jeździła? Z czego zapłaciła za naprawę?

Piszczące drzwi to pikuś, bo tak ogólnie samochód był już na ostatnich nogach czy tam oponach. Niemniej zamiast tu stać, dyskutować z Jamesem i przy okazji marznąć, wołała wsiąść do starego grata i odjechać. I to jak najszybciej.

Wsiadła i uruchomiła silnik, który zachował się przyzwoicie. Całe szczęście! Gdyby nie zapalił, czułaby się potwornie upokorzona.

Włączyła się do ruchu. W lusterko wsteczne spojrzała dopiero po dłuższej chwili. James, niestety, był tuż za nią. Podjechał pod jej blok i też

się zatrzymał. Christie zaparkowała i wysiadła, a limuzyna wcale nie odjeżdżała.

Christie miała wielką ochotę podejść do niej zdecydowanym krokiem i zagrozić Jamesowi, że jeśli nie przestanie jej prześladować, skończy się tym, że pójdzie na policję! Kiedyś załatwiła w ten sposób pewnego namolnego faceta, tym razem jednak wołała nie posuwać się aż tak daleko. Po prostu udała, że go nie widzi i w normalnym tempie podeszła do drzwi. Ale po schodach gnała już biegiem. Wpadła do mieszkania, trzasnęła drzwiami i ciężko dysząc, oparła się o nie. Potrzebowała kilku minut, żeby dojść do siebie. A potem zauważyła migające w mroku pokoju światełko w telefonie, które sygnalizowało, że ktoś nagrał się na sekretarkę.

W sumie pięć razy. Oczywiście Teri. Pełna determinacji siostrzyczka postanowiła nagrywać się aż do skutku, łudząc się, że Christie za którymś razem wreszcie podniesie słuchawkę. Nadal jednak nie miała na to najmniejszej ochoty. Była pewna, że Teri z miejsca wygłosi jej kazanie, objędzie za to, że nie pojawiła się w Święto Dziękczynienia.

A jednak gdzieś tak po kwadransie wykręciła numer siostry, która odezwała się już po dwóch sygnałach.

– W porządku. Możesz się wyładować – oświadczyła Christie bez żadnych wstępów.

– A dlaczego mam się na ciebie wydzierać? – spytała Teri.

– Bo wczoraj do was nie przyszłam.

Teri westchnęła.

– Obie dobrze wiemy dlaczego.

– Tak. Musiałam być w pracy już przed szóstą.

– Bzzz... – Teri znakomicie udało się oddać dźwięk namolnego brzęczyka. – Zła odpowiedź! Nie przyszłaś, bo nie chciałaś spotkać się z

Jamesem.

Siostry nie oszukasz, lepiej więc od razu wyznać jej wszystko:

– Dziś wieczorem szukał mnie.

– Wiem. I jak, znalazł?

– Mhm. Chciał mnie przeprosić, ale ja... ja, tak szczerze mówiąc, niby przyjął te jego przeprosiny, ale trochę z nim się pożarłam.

– Dlaczego, Christie? Myślałam, że James ci się podoba!

Podoba? To zbyt łagodne określenie na burzę uczuć, którą rozpętuje w niej James Wilbur.

– Tak... Podoba mi się, ale...

– Christie, nie musisz niczego tłumaczyć. Ze mną było podobnie. Kiedy Bobby zainteresował się mną, robiłam wszystko, żeby go do siebie zrazić, a wiesz, jaki jest efekt? Każdego dnia dziękuję Bogu, że Bobby wytrwał. Po prostu coś z nami jest nie tak, droga siostró...

– Ale James mnie nie kocha...

– Co ty wygadujesz! Bardzo mu na tobie zależy.

– Tak? To dlaczego po tym pobiciu, kiedy przyszedłam do niego, kazał mi się wynosić?!

– Christie, on wszystkich wtedy od siebie odpędzał! Nie chciał, by oglądano go w takim stanie, a już w pierwszym rzędzie ty! Przecież był strasznie pobity i wyglądał okropnie! Dlatego zapomnij o tym, co ci wtedy powiedział, i daj mu szansę!

A tego Christie strasznie się bała. Przeżyła już zbyt wiele rozczarowań, a to niewątpliwie byłoby największe.

– Nie wiem, Teri, czy to ma sens.

– Oczywiście, że ma! Spójrz na Bobby'ego i na mnie. Czy ktokolwiek by się spodziewał, że my, właśnie my, zakochamy się w sobie?

– Och, nie porównuj nas. Ty i Bobby to jedno, a ja jestem z całkiem innej bajki. Umówmy się, że rozegram to po swojemu. Zgoda?

Do Teri musiało dotrzeć, że Christie mówiła bardzo serio, dlatego zgodziła się... oczywiście po króciusieńkiej chwili wahania.

– W porządku.

– Obiecuj mi, że nie będziesz się wtrącać!

Teri westchnęła. Jakie to będzie trudne!

– Dobrze – odparła wreszcie. – Nie będę. Skoro tak bardzo tego chcesz...

Problem w tym, że Christie tak naprawdę wcale tego nie chciała.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

– Co na obiad? – zawołał do żony Roy McAfee, podnosząc głowę znad niedzielnego wydania „Cedar Cove Chronicle”. W brzuchu mu burczało, dlatego czekał z utęsknieniem na odpowiedź krzątającej się w kuchni żony.

– To, co nam zostało z obiadu w Święto Dziękczynienia!

– Znowu?!

To prawda, Corrie gotowała wspaniale, a jednak taka sytuacja powtarzała się co roku. Kupowała największego świeżutkiego indyka, którego potem jedli tygodniami. A jak długo można jeść tylko indyka, nawet jeśli podawany jest na dziesiątki wymyślnych sposobów?

Roy tak naprawdę wcale nie robił z tego tragedii. Bardzo lubił Święto Dziękczynienia, a w tym roku oprócz żony do świątecznego stołu zasiadło także aż dwoje spośród ich trojga dzieci. Czyli powodów do narzekania nie było.

– Dziś robię indyka z jarzynami zapiekanego w cieście! – zawołała Corrie z kuchni. – Za kilka minut wyjmuję go z piekarnika.

– W porządku.

– Mack przyjdzie do nas na obiad.

– Bardzo dobrze.

Ostatnio Roy lepiej rozumiał się z synem. Swoim jedynym synem, z którym wiązał wielkie nadzieje. Niestety nastoletni Mack wszedł w okres wielkiego buntu, który trwał i trwał. Między ojcem a synem często dochodziło do starć, jako że syn żadnych rad czy sugestii ojca nie przyjmował do wiadomości. Zamiast ukończyć college i wybrać sobie jakiś

przyzwoity zawód, miał się najprzeróżniejszych zajęć, które często, zdaniem Roya, były tylko stratą czasu i marnowaniem zdolności. Na ten temat między nimi bez przerwy dochodziło do gwałtownych kłótni, co uległo zmianie dopiero wtedy, gdy w ich życiu zaistniała Gloria.

Córka Roya i Corrie. Roy spłodził ją, kiedy razem z Corrie studiowali w college'u. Byli parą, w którymś momencie jednak Roy zerwał z Corrie, nieświadomy, że jego dziewczyna jest w ciąży. Dowiedział się o tym później, o tym, że Corrie urodziła Glorię, jego córkę, i oddała ją do adopcji. Była uboga i zupełnie sama na tym świecie, podjęła więc właściwą decyzję, jednak kiedy w końcu się pobrali, sprawa dziecka zawisała nad nimi. Dziecka dla nich straconego, którego nigdy mieli nie poznać.

Ale życie zatoczyło koło, samo przyprawiając córkę do nich. Gdy Gloria dorosła, zaczęła szukać biologicznych rodziców, pragnąc nawiązać z nimi kontakt. I odnalazła ich. Roy, były policjant, kiedyś starał się skłonić syna do podjęcia pracy w policji. Mack jak zwykle nie posłuchał ojca, ale w ślady nieznanego ojca poszła, jak się okazało, pierworodna Gloria. Niedawno zrezygnowała z pracy w policji w Bremerton i przeszła do Cedar Cove pod skrzydła szeryfa Troya Davisa. Roy był niezmiernie dumny, kiedy widział córkę w mundurze, w służbie dla społeczności, do której należeli i on, i jego rodzina. Teraz z Glorią włącznie.

Corrie wyjrzała z kuchni.

– Zapomniałam ci powiedzieć, że dziś po południu, kiedy byłeś w biurze, dzwoniła Linnette.

Roy, teraz prywatny detektyw, często szedł do biura popracować również w weekendy, zwłaszcza wtedy, kiedy miał zaległości.

Natychmiast odłożył gazetę. Linnette zamieszkała w Dakocie Północnej i pracowała jako kelnerka, twierdząc, że to zajęcie bardzo jej

odpowiada. Roy podejrzewał, że przede wszystkim podoba jej się miasto Buffalo Valley, w którym zamieszkała. Kiedy Linnette oznajmiła, że wyjeżdża z Cedar Cove, Roy, choć ten wyjazd wcale go nie cieszył, stanął po stronie córki. To jej życie, niech sama podejmuje decyzje. A poza tym jak można było mieć do niej pretensje, skoro wiadomo było, dlaczego chce uciec z Cedar Cove. Kiedy Cal Washburn z nią zerwał, była załamana, czuła się upokorzona. Można jej było tylko współczuć i nie przeszkadzać w poszukiwaniu nowej drogi życiowej.

– Na Święto Dziękczynienia zaprosił ją Pete z rodziną – przekazała jeszcze Corrie, przechodząc przez pokój dzienny. – Mówiła, że było bardzo miło.

Jej twarz była zarumieniona od żaru buchającego z piekarnika, fryzura w stanie fatalnym od wielokrotnego przeczesywania włosów ręką w mące. Poza tym Corrie z biegiem lat przybyło kilka kilogramów. Komu jednak ich nie przybywa? Dla Roya jego żona w wieku pięćdziesięciu sześciu lat była piękna jak nigdy dotąd.

– Hej, dlaczego tak mi się przyglądasz? – spytała.

– Bo tak sobie myślę, że wziąłem za żonę wspaniałą kobietę.

– Też coś! – Corrie spojrzała wymownie, a nawet zabawnie wywróciła oczami. – Chcesz posłuchać, co poza tym u Linnette, czy nie?

– Jasne!

Raczej nie spodziewał się żadnych sensacji. Na kilka dni przed Świętem Dziękczynienia rozmawiał z córką, w samo święto również. Wiedział, że Linnette ten dzień spędziła u Pete'a Jakoś Tam, młodego farmera, którego niedawno poznała. Z tego, co mówiła, wynikało, że ów Pete jest przyzwoitym, ciężko pracującym młodym człowiekiem. Roy nie sądził, żeby córka związała się z nim na poważnie, w każdym razie jeszcze

nie teraz. Wierzył, że wykaże się rozsądkiem. Przede wszystkim pragnął, żeby Linnette była szczęśliwa, choć osobiście by wolał, aby to szczęście znalazła bliżej rodzinnego domu.

– Teraz Linnette współpracuje z Hassie Knight – poinformowała go Corrie.

– To chyba ta starsza pani, która ma aptekę w Buffalo Valley?

– Zgadza się. Linnette włączyła się do organizacji nowej poradni medycznej, w której zamierza podjąć pracę.

– To wspaniale!

– Tak! Linnette opowiadała mi, że miasto się rozwija i poradnia medyczna jest bardzo potrzebna. Hassie jest zachwycona, że w mieście pojawił się ktoś z takimi kwalifikacjami. Powiedziała naszej córce, że widzi w tym palec Boży.

Roy nie krył radości, że Linnette wreszcie znalazła zajęcie zgodne ze swoim wykształceniem. W Cedar Cove pracowała bardzo ciężko jako asystentka lekarza i szkoda by było, gdyby nie miała nigdy już wykorzystać zdobytego tu doświadczenia.

– Linnette jest zachwycona nową szansą. Może później do niej zadzwonisz?

– Oczywiście.

Ktoś zapukał i od razu pchnął drzwi. Do domu wkroczył Mack, razem z nim wleciał powiew zimnego powietrza.

– Nie wiem, co tam gotujesz, mamó, ale pachnie cudownie – stwierdził, rozcierając zgrabiałe ręce.

Corrie wyczuła Macka, Roy uśmiechnął się do niego szeroko.

– Dobrze mówisz, synu.

– Boże, pobłogosław tatę! – zareagował Mack dowcipnie.

Roy podniósł rękę w powitalnym geście, ale nie wstał. Wiele lat temu, kiedy pracował w policji w Seattle, odniósł podczas służby bardzo poważne obrażenia. Tak poważne, że musiał iść na wcześniejszą emeryturę. Do dziś nękały go bóle w plecach, które starał się ignorować. Czasami udawało się, czasami było to niemożliwe. Jak na przykład dziś.

Mack podsunął do sofy miękką, wyściełaną stołkę, i usiadł koło ojca.

– Dziś po południu byłem w tutejszej straży pożarnej – zakomunikował.

Roy wyprostował się. Przecież na to właśnie czekał! Oczywiście, że chciał od razu zapytać Macka, czy go przyjęli, ale powstrzymał się. Niech syn ma przyjemność opowiedzieć wszystko po kolei.

Corrie nie miała takich oporów.

– I co, synku?! Przyjęli cię? Mów! Przecież z ojcem umieramy z ciekawości!

– Tak! Od piętnastego grudnia pracuję w Straży Pożarnej Cedar Cove!

Corrie zakryła usta i pisnęła radośnie.

– Moje gratulacje, synu – powiedział Roy i pochyliwszy się nieco do przodu, poklepał Macka po ramieniu. Mimo bardziej powściągliwej reakcji, tak samo jak żona nie posiadał się z radości.

Oczy Corrie rozbłysły.

– Dopóki sobie czegoś nie wynajmiesz, zamieszkasz razem z nami, prawda?

– Raczej nie, mamó.

– Dlaczego? Mack, przecież tu jest twój dom, rodzinny dom...

– Bo już coś sobie znalazłem. Wyobraźcie sobie, że będę mieszkał w mieszkaniu, które przedtem wynajmowała Linnette! Po niej, jak na pewno wiecie, wynajął je Will Jefferson, a teraz zgodził się podnająć mnie.

– Ale dlaczego? – spytał zdziwiony Roy. – Wyjeżdża z Cedar Cove? Przecież ledwie tu się wprowadził. I tak szybko znika?

– Pewnie już wiecie, że kupił galerię przy Harbor Street.

Nie była to najświeższa wiadomość. Kupno galerii wywołało wielką sensację, ponieważ długo nie można było znaleźć nabywcy i wszyscy byli już pewni, że zostanie zamknięta. A tu raptem kupiec się znalazł w osobie Willa Jeffersona, więc miejscowa społeczność mogła odetchnąć z ulgą.

– Tak, oczywiście, że wiemy – powiedziała Corrie. – Ale chyba nie wyjeżdża z miasta? Jakoś trudno mi sobie wyobrazić, żeby Will tylko zainwestował pieniądze, a prowadzenie galerii od razu powierzył jakiemuś pracownikowi.

– Nie wyjeżdża, tylko się przeprowadza. Okazało się, że nad galerią jest niewielkie mieszkanie, w którym przez ostatnie lata był magazyn. Will doszedł więc do wniosku, że po co ma komuś płacić czynsz, skoro ma mieszkanie. Teraz jest tam prawdziwa rupieciarnia. Will ten weekend przeznaczył na sprzątanie. Lata tylko do śmietnika i z powrotem. A musi się sprężyć, bo na poniedziałek zamówił malarzy.

– Pewnie nie tylko odmaluje ściany, ale zrobi porządny remont – powiedziała Corrie.

– Zgadza się. Pomogę mu, kiedy tylko będę miał czas – oświadczył Mack.

Kiedyś, kiedy Roy toczył z synem otwartą wojnę, na pewno rzuciłby w tym momencie kąśliwą uwagę na temat dwóch lewych rąk syna. Teraz oczywiście tego nie zrobił, tym bardziej że Mack ręce miał w porządku. Znakomicie radził sobie z cieszniową, przez jakiś czas pracował też jako malarz pokojowy.

– Will powiedział, że kiedyś być może kupi sobie porządny dom, ale

na razie wystarczy mu to mieszkanie – dokończył Mack.

– W sumie niegłupio – mruknął Roy. – Będzie miał oko na interes.

Mack zaśmiał się.

– Oj, tata! Policjant się w tobie odzywa!

Równie rozbawiona Corrie spytała syna:

– Kiedy wprowadzasz się do dawnego mieszkania Linnette?

– Kiedy tylko zawrzemy umowę. Poza tym muszę się zastanowić. Will jest najemcą jeszcze przez kilka miesięcy, więc na ten czas może mi podnająć mieszkanie, ale potem już mój ruch. Mogę je kupić albo dalej wynajmować. I nad tym, jak powiedziałem, będę się zastanawiać.

– Słusznie, synu. Lepiej wszystko dobrze sobie przemyśleć.

Minutnik w piekarniku głośno dał znać o sobie, więc Corrie popędziła do kuchni.

Mack poderwał się ze stołka.

– Mamo! W takim razie może ja nakryję do stołu?

Roy sięgnął po gazetę, niby zaczął czytać, ale liter nie widział. Myślał o swoich dzieciach. Gloria daje sobie świetnie radę w policji, Linnette zamierza podjąć pracę w poradni medycznej w Buffalo Valley w Dakocie Północnej, a Mack zaczyna odpowiedzialną pracę w Straży Pożarnej w Cedar Cove. Życie nie może być piękniejsze.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

– Olivia wyjdzie z tego, przekonasz się. Da sobie radę – powiedział Cliff Harding, pojawiając się za plecami Grace, zajętej robieniem kawy na śniadanie. Tradycyjnie szykowała cały dzbanek.

Duże ciepłe dłonie męża spoczęły na jej szczupłych ramionach. Grace przykryła jego dłonie swoimi, dziękując Cliffowi za dodanie otuchy. Bardzo tego potrzebowała. U Olivii, jej najlepszej przyjaciółki, zdiagnozowano raka piersi. Rak. Już sam wyraz budził przerażenie. Niestety, nie po raz pierwszy u którejś z bliskich znajomych Grace wykryto tę straszną chorobę. Teraz dopadła Olivię, która była dla Grace tak bliska jak rodzona siostra. Przyjaźniły się przecież od pierwszej klasy szkoły podstawowej.

Życie, wiadomo, nie jest usłane różami. Nie szczędziło obu przyjaciółkom sytuacji dramatycznych. Cięża nastoletniej Grace, samobójstwo jej pierwszego męża, śmierć Jordana, syna Olivii, a potem jej rozwód. W sumie chyba wszystkie nieszczęścia, które mogą dotknąć kobietę. Zawsze się wspierały, zawsze jedna mogła liczyć na drugą.

A teraz... rak... Nie! Grace chciało się krzyczeć, wyć, szlochać. Czuli się też całkowicie bezradna, nie wiedziała, co zrobić, co powiedzieć, by w tej koszmarnej sytuacji wesprzeć przyjaciółkę. Przede wszystkim była przytłoczona tym potwornym strachem o Olivię.

Rak jest taki niesprawiedliwy. Jak mógł dopaść kogoś takiego jak Olivia! Człowieka tak wartościowego, pełnego zalet, o tak wielkim sercu. I rozsądnego. Olivia zawsze jadła bardzo zdrowo, codziennie rano zażywała witaminy, gimnastykowała się, dbała o kondycję i fizyczną, i psychiczną. Co więcej człowiek może zrobić, żeby uchronić się przed tą straszną chorobą?

Co?!

– Jedziesz do szpitala? – spytał Cliff, choć wiedział z góry, jaką usłyszy odpowiedź.

– Tak. Powiedziałam Jackowi, że przyjadę i posiedzę razem z nim. Kiedy będą robili tę operację... Och, Jack!

Grace obróciła się w ramionach męża i objęła go wpół, wtulając twarz w jego pierś.

– Spokojnie, kochanie, spokojnie. – Poglaskał ją po głowie. – Wszystko będzie dobrze.

– Spokojniejsza będę dopiero wtedy, kiedy dowiem się, że nie ma przerzutów!

Dotychczasowe badania napawały optymizmem, ale przecież dopiero w trakcie operacji można zyskać całkowitą pewność, że nie ma przerzutów i węzły chłonne są nienaruszone. Grace wiedziała, że nie zazna spokoju, dopóki nie usłyszy tego z ust chirurga.

Olivia zawsze, nawet w najtrudniejszej sytuacji, miała wszystko pod kontrolą. Tę cechę Grace podziwiała w niej już od pierwszej klasy szkoły podstawowej. Mała Olivia była zawsze taka bystra, dobrze zorganizowana. Nosila grzeczne sukieneczki z kołnierzykiem, buty typu Mary Jane zapinane na rzepy. Warkoczyki zawsze były zaplecione bardzo starannie. W szkole średniej co roku wybierano ją na gospodynię klasy. Bardzo inteligentna, zdolna, o wspaniałym charakterze, cieszyła się wielkim uznaniem wśród rówieśników.

Niestety ta umiejętność panowania nad wszystkim chyba teraz w Olivii zanikła.

Kawa zaparzyła się. Cliff nappełnił dwa kubki i jeden wręczył żonie.

– Chcesz, żebym pojechał z tobą?

W pierwszej chwili pomyślała, że byłaby z tego bardzo zadowolona. Przypomniała sobie jednak, że Cliff tego dnia miał bardzo ważne spotkanie z innym hodowcą koni.

– Dziękuję, kochanie, ale naprawdę nie trzeba. Dam sobie radę. Jak moja Olivia – powiedziała, ciepło uśmiechając się do męża.

Po wypiciu kawy poszła do sypialni, by się ubrać, była przecież jeszcze w koszuli nocnej. Ale w co? Do pracy w bibliotece zwykle wkładała bawełniany golf, a na to wdzianko. Miała tych wdzianek sporo, niektóre uszyła sama. Ubrać się tak do szpitala? Po namyśle uznała, że jednak nie. Włożyła beżowe sportowe spodnie i białą koszulkę polo, a na to rdzawy sweter z dekoltem w szpic.

Sama nie wiedziała, dlaczego przykłada tyle wagi do stroju. Może był to swego rodzaju odruch samoobrony? Chciała choć przez chwilę przestać bać się operacji Olivii i pomyśleć o czymś innym. A może, wnikając głębiej, strój dlatego był taki ważny, bowiem w jakimś sensie ruszała do walki. Oczywiście. Bo to była walka, dla niej też, chociaż miała zająć pozycję poza polem bitwy.

Po przyjeździe do szpitala dowiedziała się, że Olivię zbadano już przed operacją i podano jej środki uspokajające. A po wejściu do pokoju, w którym leżała przyjaciółka, w pierwszej chwili omal się nie rozryczała, kiedy zobaczyła swoją dzielną przyjaciółkę tak strasznie bladą, kruchą i bezbronną. Oczywiście opanowała się, przecież absolutnie nie wolno jej się rozkleić!

– Cześć, kochana!

– Grace... – szepnęła Olivia. – Mówiłam, że nie musisz tu przyjeżdżać. Chociaż mogłam się spodziewać, że nie posłuchasz.

– A pewnie! Nie wyobrażam sobie, żebym mogła być gdzie indziej! Po

prostu takie mam zachcianki!

Olivia nie uśmiechnęła się, tylko skinęła nieznacznie głową.

– Dzięki.

Grace wyciągnęła rękę, Olivia podała swoją. Splotły z sobą dłonie, tak jak to robiły w ciągu minionych lat niezliczoną ilość razy.

– Gdzie jest Jack? – spytała po chwili Grace.

– Poszedł po kawę. Cóż, niestety to tylko wymówka. Jack nie bardzo sobie radzi z... zaistniałą sytuacją.

– Jack? Hej, hej, czy pani nie zauważyła, że ja też wcale nie jestem teraz opoką? – Gdy Olivia wreszcie się uśmiechnęła, Grace mruknęła: – Czyste wariactwo...

– Ten cały rak?

– Akurat ten to na pewno. Ale i coś jeszcze. Ciebie dopadło, a my wszyscy, którzy kochamy cię nad życie, to znaczy twój Jack, twoja matka, brat, dzieciaki, no i ja, gotowi jesteśmy zrobić wszystko, żeby pomóc ci przez to przebrnąć. A w rezultacie tylko się rozklejamy. Jack i ja to już musowo...

Grace zaśmiała się, lecz bardziej przypominało to szloch.

– Największe szaleństwo polega na tym, że w rezultacie to ty nas pocieszasz!

– Nonsens.

– Wcale nie. Spójrz tylko na mnie, Liv – powiedziała Grace, ocierając łzy. – Jestem kompletna dętka. Boże, tak bardzo bym chciała, żeby było już po wszystkim!

– A mnie jest wszystko jedno! – zażartowała Olivia. – Ale tak serio... Wiesz, nigdy bym się nie spodziewała, że coś takiego mi się przytrafi. W mojej rodzinie nie było przypadku raka piersi. Jadam zdrowo, co roku robię

badania kontrolne, a mimo to jestem tutaj. To niesprawiedliwe, prawda?

Niestety rak taki jest. Okrutny i niesprawiedliwy.

Do pokoju, niosąc kawę, wszedł Jack. Wyglądał jak po bezsennej nocy, był blady jak ściana, w czym przypominał Olivię.

A zaraz po nim zjawił się sanitariusz i oznajmił: Pani Griffin, jesteśmy gotowi.

– Ja też – mruknęła Olivia. Spojrzała na Jacka, potem na Grace, i po jej twarzy przemknął uśmiech.

– Pamiętajcie. Nie wolno się martwić!

– Ja nie będę! – skłamała gładko Grace.

– I o to właśnie chodzi – powiedziała Olivia.

W jej głosie słychać było rezygnację. Grace przeraziła się, przecież w tak dramatycznej sytuacji nie wolno akceptować istniejącego stanu rzeczy. Przeciwnie, to jest chwila, kiedy człowiek rusza do walki!

Jack ustawił się obok łóżka i wziął Olivię za rękę, Grace stanęła tuż za nim i usłyszała, jak szepnął do żony:

– Kocham cię.

– Wiem. Ja też – odszepnęła Olivia.

Sanitariusz wyjechał łóżkiem na korytarz i ruszył w stronę bloku operacyjnego.

– Wszystko będzie dobrze – głośno i wyraźnie powiedziała Grace. Koniecznie chciała to usłyszeć, chociażby ze swoich ust.

– Oczywiście – powiedział Jack.

Kiedy Olivię zabrano na blok, poszli do pustej poczekalni zastawionej wyściełanymi krzesłami. Jack usiadł tuż przy drzwiach zapatrzony w dal, zaczął popijać kawę.

– Czy Olivia zastanawiała się, dlaczego tak długo mnie nie było, kiedy

poszedłem do barku? – spytał po chwili, wreszcie spoglądając na Grace.

– Nie wiem – odparła. – Nic na ten temat nie mówiła.

Jack westchnął.

– Poszedłem do kaplicy. W ciągu minionych lat nieraz zdarzyło mi się zrobić coś, z czego nie jestem dumny, i naprawdę nie wiem, czy mam prawo prosić Boga o cokolwiek.

– Świetnie cię rozumiem – mruknęła Grace, świadoma, że też ma na swoim koncie mnóstwo błędów.

I też nachodziły ją obawy, czy wolno jej prosić Najwyższego o cokolwiek.

– Ale teraz postanowiłem zaryzykować. – Jack nerwowo przeczesał palcami włosy. – Poprosiłem Pana Boga, by miał w swej opiece Olivię. Gdybym tylko mógł, zrobiłbym dla niej wszystko. Po prostu wszystko...

– Już robisz, Jack. Jesteś przy niej.

Kochający, wierny mąż. Kiedy Olivia wyszła za niego, zmieniło się całe jej życie. Zupełnie się nie spodziewała, że będzie z Jackiem aż tak szczęśliwa. Takie wyznanie Grace usłyszała od niej wiele razy.

Spojrzała na zegarek. Minęło dopiero dziesięć minut. Czas nie mijał, tylko włókł się niemiłosiernie, prawie stał w miejscu. Tak to jest, gdy czeka się na coś w ogromnym napięciu. Człowiek liczy sekundy...

Po pięciu minutach, które również minęły w ślimaczym tempie, do poczekalni weszły Justine i Charlotte, córka i matka Olivii. Charlotte jak zwykle miała ze sobą olbrzymią torbę, w której trzymała robótkę na drutach.

– Mamę zabrali już na operację? – spytała Justine.

– Tak, mniej więcej przed kwadransem – odparła Grace.

Charlotte usiadła obok Jacka i wyjęła z torby różnokolorową przędzę oraz druty, które zamigotały, wprawione w ruch z nieprawdopodobną

prędkością.

– To mnie uspokaja – powiedziała Charlotte gdzieś w przestrzeń.

– Szkoda, że nie udało mi się zobaczyć z nią przed operacją – powiedziała przygnębionym głosem Justine, nerwowo przemierzając poczekalnię.

– Nie denerwuj się, kochanie – odezwała się miękko Charlotte. – Twoja matka dobrze wie, jak bardzo ją kochasz. Wie, że gdybyś mogła, byłabyś tu wcześniej.

Bliska łez Justine nadal przemierzała poczekalnię.

– Kiedyś myślałam, że mama jest mi niepotrzebna

– wyrzuciła z siebie drżącym głosem. – Byłam przekonana, że sama wszystko wiem najlepiej. Mamie nie podobało się, że umawiam się z Warrenem Sagetem. Miała rację. Teraz myślę, że spotykałam się z nim, żeby zrobić jej na złość. Jaka byłam głupia!

– Justine... – Charlotte odłożyła robótkę na podolek. – Z córkami tak już jest. Twoja matka w stosunku do mnie była identyczna. Zmienia się to dopiero wtedy, kiedy młoda kobieta sama zostanie matką.

– Mama nie myliła się co do Warrena. Wiedziała, że Kocham Seta. W ogóle we wszystkim miała rację. Mama jest mi okropnie potrzebna. Tak samo Leif potrzebuje babci, Leif i to maleństwo, które się urodzi... – Odruchowo położyła dłoń na swoim brzuchu.

Grace już wiedziała, że Justine spodziewa się dziecka. Wiedziała też, jak bardzo Olivia się cieszy na myśl o następnym wnuczku lub wnuczce.

Na kilka minut zapadła cisza. Przez otwarte drzwi Grace widziała, jak pracownicy szpitala ustawiają choinkę i zaczynają wieszać na niej kolorowe ozdoby. A ona całkiem zapomniała, że właśnie zaczyna się grudzień.

Charlotte znów zaczęła robić na drutach, choć teraz o wiele wolniej.

– Mówiłam Benowi, że powinniśmy zrezygnować z tej wycieczki statkiem – odezwała się po chwili. – Chcę być przy mojej córce.

– Ależ babciu! Nie wolno wam tego robić! – zaprotestowała Justine. – Wiesz, jak to zezłości mamę? Ten wyjazd planujecie już od dawna!

– Tak, ale...

– Oczywiście, że nie rezygnujcie z tej wycieczki, Charlotte – oświadczył Jack. – Justine ma rację, Olivia byłaby bardzo niezadowolona, gdybyście zostali w domu.

– Wiem, oczywiście wiem, niemniej jednak...

– Charlotte zamilkła, jej oczy rozbliły, a na twarzy pojawił się promienny uśmiech, bowiem do poczekalni wszedł wielebny Dave Flemming. – Och, jak dobrze, że pastor mógł tu przyjść!

– Bardzo mi na tym zależało – powiedział Dave, sadowiac się obok Charlotte.

– Operacja już się zaczęła – poinformował go Jack. – Najważniejsze jest ustalenie, czy nie ma przerzutów. Wtedy będzie wiadomo, co dalej.

– Cokolwiek się stanie, pamiętajcie, jestem do waszej dyspozycji – powiedział pastor. – Wystarczy zadzwonić.

– Dziękujemy – powiedziała Justine.

– Może pomodlimy się razem? – spytał pastor.

– Tak, tak... – Charlotte odłożyła druty i pochyliła głowę.

Justine usiadła obok Grace, zamknęła oczy. Była cała roztrzęsiona. Gdy Grace w pocieszającym geście wzięła ją za rękę, zacisnęła kurczowo palce.

Modlitwa pastora Flemminga nie trwała długo, ale w duszę Grace wlała spokój. Wreszcie gotowa była przyznać, że wszystko jest w rękach Boga. Także wynik tej operacji.

Kiedy pastor skończył, rozległo się ciche:

– Amen.

Krótką rozmowa z Bogiem na wszystkich wpłynęła bardzo budująco. Jack wyraźnie się uspokoił, podobnie Justine. Charlotte znów zaczęła robić na drutach, a Grace zauważyła, że jest w stanie znowu normalnie oddychać.

Pastor Flemming zamienił z nimi jeszcze kilka słów i wstał.

– Mam spotkanie. Muszę się już z państwem pożegnać.

Jack również wstał.

– Jestem niezmiernie wdzięczny, że pastor przyszedł tu do nas.

Duchowny skinął głową, po czym serdecznie poklepał Jacka po ramieniu.

– Nie zawsze wiemy, co przyniesie nam przyszłość, wiemy jednak doskonale, kto kieruje naszą przyszłością.

– Święta prawda – przytaknęła Charlotte. Druty konsekwentnie migały w jej palcach.

– Pamiętajcie – dodał jeszcze wielebny – gdybym był potrzebny, dzwońcie o każdej porze dnia i nocy.

– Dziękujemy, pastorze – powiedziała Grace, ściskając jego dłoń na pożegnanie. – Proszę się za nią jeszcze pomodlić.

– Oczywiście, że to zrobię. Olivia jest w moich modlitwach tak samo jak w waszych.

Po jego wyjściu wszyscy, w zdecydowanie już lepszej kondycji psychicznej, przez jakiś czas zabawiali się rozmową na tematy ogólne, aż w pewnym momencie Jack wyjął z kieszeni jakiś elektroniczny gadżet.

– Co to takiego? – spytała Justine, zaglądając mu przez ramię.

– Kieszonkowy poker wideo. Bob Beldon mi go kupił i kazał wziąć ze sobą. Powiedział, że pomoże mi przetrwać czekanie na wynik operacji.

Oburzona Justine zareagowała bardzo ostro:

– Czyli co?! Mama walczy o życie, a ty będziesz sobie grał w pokera?!

– Tak – odparł bez wahania Jack. – To właśnie będę robił.

– Hm... – Justine zastanowiła się przez moment.

– A jak myślisz, czy w szpitalnym kiosku mogą mieć coś takiego?

Grace wybuchnęła śmiechem, Justine i Jack zawtórowali. Charlotte podniosła głowę znad drutów, ale chyba nie zorientowała się, na czym polegał dowcip. Na chwilę zrobiło się pogodnie... i w tym momencie w poczekalni pojawił się chirurg.

Wszyscy natychmiast spowaźnieli i zerwali się z krzeseł, wpatrzeni w doktora McBride'a.

– Zlokalizowaliśmy nowotwór, był tam, gdzie podejrzewaliśmy – zaczął lekarz. – I...

– A przerzuty? Nie ma? – przerwała mu Grace, która nie była w stanie czekać ani sekundy dłużej.

– Wygląda na to, że nie, ale całkowitą pewność będziemy mieli po uzyskaniu wyników badań histopatologicznych tkanki, którą wysłaliśmy do laboratorium. Patolog twierdzi, że węzły chłonne nie są zaatakowane.

– Chwała Bogu. – Jack osunął się na krzesło.

Grace z oczami pełnymi łez objęła Justine, która głośno pociągając nosem, wtuliła się w nią.

– Wiedziałam o tym od samego początku – oznajmiła Charlotte. Usiadła, druty znów zamigotały.

– Mówiłam wam przecież, prawda?

– Onkolog prowadzący Olivie opracował już grafik chemioterapii i naświetlań – powiedział chirurg.

Tego, co mówił dalej, Grace słuchała już tylko jednym uchem.

Olivia, jej najlepsza przyjaciółka, była z tych, co to zawsze przetrwają. Ten rak jest po prostu następną kłodą rzuconą jej pod nogi przez los. Przeszkodą, którą Olivia usunie dzięki odwadze i determinacji.

TTLR

ROZDZIAŁ ÓSMY

Dave Flemming ze szpitala w Bremerton pojechał na spotkanie z prawnikiem. Allan Harris nalegał na rozmowę jeszcze przed Świętem Dziękczynienia, jednak Dave kompletnie nie miał czasu. Był bardzo zajęty również dlatego, że zbliżały się Święta Bożego Narodzenia, w końcu jednak zdołali na dziś ustalić termin spotkania.

Harris miał kancelarię przy Harbor Street, która była już wystrojona świątecznie. Między latarniami ulicznymi przewieszono girlandy splecione z gałązek zimozielonych drzew i krzewów, girlandy z kolei opleciono cieniutkimi przewodami z setkami białych lampek. Wyglądało to bardzo ładnie.

Kancelaria znajdowała się w domu na wzgórzu. Dave zaparkował możliwie jak najbliżej i smagany zimnym, porywistym wiatrem znad zatoki pokonał zbocze. W środku zastał asystenta Harrisa, Geoffa Duncana.

– Witaj, Geoff. – Dave miał okazję już go poznać, rozmawiali ze sobą kilka razy po śmierci Marthy Evans. Allan Harris od wielu lat prowadził jej sprawy, a ona zawsze darzyła go bezwzględным zaufaniem.

– Witam pastora.

Uścisnęli sobie dłonie. Geoff był sympatycznym młodym człowiekiem. Jak na prawnika przystało, miał na sobie garnitur i odpowiednio dobrany krawat, zachowywał się też jak najbardziej właściwie, uprzejmie z odpowiednią dozą powściągliwości. Wzbudzał zaufanie, a bez tego, zdaniem nie tylko Dave'a, trudno byłoby wykonywać ten zawód, szczególnie w małym mieście, gdzie, mówiąc z pewną przesadą, wszyscy o wszystkich wszystko wiedzą.

– Bardzo mi przykro, pastorze, ale pan Harris dzwonił przed chwilą, by przekazać, że spotkanie, w którym uczestniczy, jeszcze się nie skończyło

– zakomunikował Geoff. – Pan Harris będzie za kwadrans. Czy mógłby pan poczekać?

– Oczywiście. Nie ma problemu.

– Świetnie. Czy mógłbym panu coś zaproponować? Kawa, herbata, może woda?

– Nie, nie, bardzo dziękuję.

Dave przeszedł do małej pustej poczekalni, gdzie rozsiadł się wygodnie, zakładając nogę na nogę, i sięgnął po „Sports Illustrated”, nieważne, że sprzed trzech miesięcy. Nie zdążył jednak zagłębić się w lekturze, ponieważ w poczekalni pojawił się Geoff.

– Szczerze mówiąc, miałem nadzieję, że będę miał okazję porozmawiać z panem.

– Bardzo proszę – powiedział Dave, odkładając gazetę.

– Może Allan wspomniał panu już o tym wcześniej, w każdym razie zaręczyłem się – wyznał młody prawnik.

– Moje gratulacje.

– Dziękuję! Kiedy Lori Bellamy zgodziła się zostać moją żoną, poczułem się jak najszczęśliwszy człowiek pod słońcem.

Bellamy? Do tej rodziny należała prawie cała wyspa Bainbridge. Dave często słyszał to nazwisko, ponieważ rodzina Bellamych uczestniczyła w wielu akcjach charytatywnych. O ile sobie przypominał, byli również właścicielami teatru oraz najlepszych działek na nabrzeżu w śródmieściu Winslow.

– Kiedy się pobieracie? – spytał.

– W czerwcu.

– Bardzo dobry miesiąc na ślub.

– Mam taką nadzieję. Pastorze... – Geoff przysiadł na krześle obok Dave’a. – Lori wspominała mi o naukach przedmałżeńskich. Co pastor o tym sądzi?

– Gorąco polecam.

– Lori też uważa, że to bardzo ważne, natomiast ja nie mam wyrobionego zdania.

– Są ważne, Geoff. Pomagają rozwiązać wiele problemów, które pojawiają się później. Pomagają też młodym ludziom naprawdę zbliżyć się do siebie, zrozumieć, jeszcze zanim złożą małżeńską przysięgę.

Geoff nerwowo zmienił pozycję na krześle.

– Czy takie nauki są drogie? – spytał, nie patrząc na Dave’a. – Rodzice Lori chcą za to zapłacić. Oni w ogóle chcą płacić za wszystko. Nie mam nic przeciwko temu, żeby pokryli koszty wesela, przecież zgodnie z tradycją jest to na głowie rodziców panny młodej, ale całą resztę powinniśmy wziąć na siebie, to znaczy ja i Lori.

Taka postawa u młodego człowieka podobała się Dave’owi. Jako asystent w renomowanej kancelarii prawnej Geoff musiał zarabiać przyzwoicie, chociaż na pewno nie było go stać na bardzo wystawne życie czy różne ekstrawagancje. Ale miał poczucie honoru i swoje wydatki lubił pokrywać sam.

– Jeśli chcesz, mogę udzielić wam nauk przedmałżeńskich – zaproponował. – Spotkacie się ze mną, ty i Lori, kilka razy...

– A ile to by kosztowało?

– Nic. Po zakończeniu nauk, jeśli stwierdzisz, że warto było poświęcić na to swój czas, wesprzesz kościół dobrowolnym datkiem.

– Naprawdę?! – zdumiał się Geoff.

– Oczywiście. Możemy spotkać się tu, w Cedar Cove, przecież i tak tu pracujesz, więc to dla ciebie wygodne. A Lori? Czy też pracuje w naszym mieście?

– Tak. W sklepie z odzieżą w Silverdale. Dziękuję, pastorze. Porozmawiam z Lori, a potem odezwę się do pastora, jeśli można.

– Bardzo proszę.

Geoff wrócił do swojego biurka, a Dave ponownie sięgnął po gazetę, zdążył jednak przeczytać zaledwie kilka akapitów artykułu o stosowaniu sterydów w sporcie zawodowym, kiedy do kancelarii wtargnął, bo inaczej trudno by to było nazwać, Allan Harris. Był bardzo krzepkim i bardzo energicznym mężczyzną.

– O, witam, pastorze! Przepraszam, że musiał pan czekać!

Dave odłożył gazetę na stolik i wstał.

– Nie ma sprawy, mecenasie.

Allan zdjął wełniany płaszcz i powiesił go na wieszaku obok płaszcza Dave'a.

– Czy Geoff zaproponował panu kawę?

– Tak, ale dziękuję, już piłem.

Allan podszedł do wnęki koło drzwi do swego gabinetu i nalał sobie kawy ze szklanego dzbanka.

– Pogoda pod psem! Cholery można dostać... O, przepraszam, pastorze.

Dave uśmiechnął się. Ludzie zwykle są przekonani, że pastor nie zna żadnych przekleństw, a przecież duchowni wszelkich wyznań, tak jak zwyczajni śmiertelnicy, potrafią ulegać pewnym słabościom...

Allan, ostrożnie niosąc kubek z gorącą kawą, wprowadził gościa do gabinetu i wskazał krzesło przed biurkiem. Sam zajął miejsce za biurkiem.

– Dziękuję, że pastor zechciał spotkać się ze mną.

– Postawił kubek na podstawce ginącej wśród stosów dokumentów i książek.

– Przyznam się, że jestem ciekawy, dlaczego chciał pan spotkać się ze mną.

Dave podejrzewał, że ma to związek z Marthą Evans. Ta bardzo leciwa już pani zmarła we wrześniu. W ostatnim roku jej życia Dave odwiedzał ją, kiedy tylko mógł. Martha pod wieloma względami przypominała mu jego babcię, tak samo jak ona miała bardzo bystry umysł, była odważna, nieugięta. W kruchym już ciele wciąż płonął wielki duch. Zawsze miała pod ręką Biblię, której całe fragmenty znała na pamięć.

– Rozmawiałem ze spadkobierczyniami – powiedział Allan.

– Tak?

Dave nie mógł nie zauważyć, że prawnik, wypowiadając te słowa, zaczyna bawić się nerwowo długopisem. Czyli jest podekscytowany.

– Zaginęło kilka sztuk biżuterii Marthy.

– Słyszałem o tym. – Nie miał jednak pojęcia, dlaczego Harris wspomniał właśnie o tym, tym bardziej że Dave rozmawiał już o tym z szeryfem Davisem i powiedział mu wszystko, co wie o biżuterii Marthy Evans.

– Czy pastor nie ma nic przeciwko temu, jeśli poproszę, by opowiedział mi dokładnie, jak to było, kiedy tamtego poranka znalazł martwą panią Evans?

– Oczywiście. – A jednak dla Dave'a ta prośba była co najmniej zastanawiająca. O tym, co wydarzyło się tamtego poranka, opowiadał już szeryfowi, i to kilka razy, dlatego odniósł wrażenie, że Allan traktuje go jak podejrzanego. Co nie było przyjemne.

– Odwiedzałem Marthę dwa, trzy razy w tygodniu. Tamtego dnia, w sobotę, zadzwoniłem do drzwi, ale Martha nie otwierała. Bardzo mnie to zaniepokoiło, bo wiedziałem, że wychodzi z domu tylko wtedy, kiedy ma wizytę u lekarza.

Allan przestał w końcu bawić się długopisem i pochylając się nieco do przodu, spytał:

– Czy pastor zadzwonił na telefon alarmowy? 911?

– Nie od razu. Najpierw chciałem sprawdzić, co się dzieje.

– Wszedł pastor do domu?

– Tak. Wiedziałem, gdzie Martha chowa zapasowy klucz, dlatego otworzyłem drzwi frontowe i wszedłem do środka. Robiłem to już przedtem. Martha miała zawsze drzwi zamknięte, a ja chciałem jej oszczędzić biegania do drzwi.

– Kiedy pan wszedł do domu, już nie żyła?

– Tak, nie żyła. Zgodnie z raportem lekarza sądowego nie cierpiała. Zmarła w nocy, we śnie. Kiedy zobaczyłem ją tamtego ranka, w pierwszej chwili pomyślałem, że jeszcze śpi.

– A ile czasu minęło do chwili, gdy pan zawiadomił policję?

Dave zaczynał odnosić wrażenie, że Allan sporządza coś w rodzaju raportu śledczego. Szeryf Davis, który kilkakrotnie przesłuchiwał Dave'a, stawiał mu identyczne pytania.

– Wszedłem do sypialni Marthy, sprawdziłem jej puls i wyjąłem komórkę.

– Nie skorzystał pan z jej telefonu?

– Nie.

– No tak...

Allan zanotował coś w swoim notesie.

– Czy to jakiś problem?

– Ależ nie! – zapewnił go Allan. – A kiedy przyjechało pogotowie ratunkowe?

– Bardzo szybko. Po pięciu, może dziesięciu minutach.

– Gdzie pastor na nich czekał? W domu czy na dworze?

– W domu. – Klęczał przy łóżku Marthy i modlił się. A teraz spojrzał prawnikowi prosto w oczy.

– Dlaczego pan mnie o to wszystko pyta? Czy z jakiegoś szczególnego powodu?

– Owszem. – Allan odchrząknął. – Jak już wspomniałem, były u mnie córki Marthy. Powiedziały, że zginęło kilka sztuk biżuterii ich matki. Mówiły już o tym szeryfowi, były bardzo zdenerwowane. Bo Martha, jak z tego wynika, część cennej biżuterii trzymała w domu.

– Pan chyba nie podejrzewa, że to ja ukradłem tę biżuterię? – spytał Dave niby spokojnie, choć narastał w nim gniew.

– Nikt czegoś takiego nie twierdzi, pastorze.

– Przecież nawet nie wiedziałem, że Martha ma sporo cennej biżuterii.

– Przecież nie przeszukiwał jej szuflad czy szaf!

– Wierzę panu, pastorze, ale córki Marthy twierdzą, że kiedy w piątek wieczorem były u matki, wszystko było na swoim miejscu.

– Jeśli tak się bały o biżuterię, dlaczego nie umieściły jej w bezpiecznym miejscu?

Allan wzruszył ramionami.

– Spytałem je o to samo. Nie odpowiedziały, ale podejrzewam, że niezręcznie im było zasugerować to matce.

Czemu Dave się nie dziwił. Martha była osobą wyjątkowo upartą. Skoro doszła do wniosku, że biżuteria w domu jest bezpieczna, to sprawa

była zakończona. Nikt nie był w stanie wybić jej tego z głowy.

– Ale trzymała ją pod kluczem? – spytał Dave. Martha wspomniała mu kiedyś, że kilka sztuk biżuterii trzyma w zamrażarce, ale nic więcej o tym nie wiedział.

– Przypuszczalnie nie – powiedział Allan. – Martha lubiła wszystko robić po swojemu.

O tym Dave wiedział bardzo dobrze.

– Przykro mi, ale w niczym już nie mogę panu pomóc. – Wstał. – Pan wybaczy...

Nie miał zamiaru odpowiadać na żadne nowe pytania. Insynuacje Allana, a także jego ton były po prostu irytujące.

Kiedy otworzył drzwi, w korytarzu zobaczył Geoffa. Był wyraźnie zaskoczony, że pastor zabiera się już do odejścia. Szybko odsunął się na bok, robiąc Dave'owi przejście.

– Pozwolę sobie niebawem zadzwonić do pastora – powiedział. – W sprawie tych nauk przedmałżeńskich.

Dave skinął głową, zadowolony, że znów wraca do spraw zawodowych. Był zirytowany, koniecznie musiał się wyciszyć, dlatego wyjął komórkę i zadzwonił do domu.

Emily zgłosiła się od razu.

– No i jak tam mija poniedziałek, Em?

– Jak zwykle – odparła, lecz zabrzmiało to niezbyt wesoło.

– Tylko jak zwykle?

– Tak. A co u ciebie?

– Też... tylko poniedziałek.

– Jak będzie z lunchem? Może spotkamy się w Pot Belly Deli albo w Wok and Roll?

– Przykro mi, Emily, ale dziś nie mogę.

– Trudno...

– Pójdziemy tam kiedy indziej, jeszcze w tym tygodniu.

Emily milczała, spytała dopiero po chwili:

– A gdzie ty byłeś przez cały rano? Wyszedłeś z domu bez słowa.

– Wybacz, kochanie. Musiałem pojechać do szpitala. Olivia Griffin ma dziś operację. To nowotwór. Jej rodzina oczywiście bardzo to przeżywa. Wpadłem tam na chwilę i prosto ze szpitala pojechałem na spotkanie z Allanem Harrisem.

– Allanem Harrisem? Kto to?

– Prawnik, zajmował się sprawami Marthy Evans. Myślałem, że Martha zapisała coś kościołowi i dlatego Harris chce się ze mną spotkać.

– I co? Nie zapisała?

– Nie. W każdym razie nic mi o tym nie wiadomo.

– Więc czego on od ciebie chciał?

Dave przez sekundę zastanawiał się, ile powiedzieć żonie. Nie chciał jej niczym martwić.

– Miał do mnie kilka pytań.

– Jakich?

– Ach, nic istotnego. – Niestety, pastor też czasami ucieka się do kłamstwa.

– Naprawdę?

– Naprawdę. – Dave pożegnał się z żoną. Czas naglił. Musiał dalej pędzić, teraz do miejsca, o którym za nic nie chciał wspomnieć żonie.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Powrót do Cedar Cove ma niewątpliwie dobre strony, ma jednak również i te nie najlepsze, stwierdziła melancholijnie Faith Beckwith. Właśnie jechała do nowej pracy, to był pierwszy dzień. Poradnia medyczna w Cedar Cove poszukiwała pielęgniarki w niepełnym wymiarze godzin. Faith zgłosiła się i od razu została zatrudniona.

Jej życie prywatne zmieniało się w zawrotnym tempie. A zaczęło się od sprzedaży domu. Kiedy mąż zmarł, została sama jak palec w wielkiej rodzinnej rezydencji pod Seattle, w której ona i Carl wychowali swoje dzieci. Po trzech latach dojrzała do ostatecznej decyzji. Pora na zmniejszenie przestrzeni życiowej, choć sytuacja na rynku nieruchomości w owym czasie nie była zbyt dobra. Faith sądziła, że ze sprzedażą domu woić się będzie miesiącami, lecz dopisało jej niesamowite szczęście. Pierwsi potencjalni kupcy, którzy przekroczyli próg, zdecydowali się bez żadnego targowania zapłacić żadaną cenę. Stawiali tylko jeden kategoriyczny warunek. Faith ma się wyprowadzić do Święta Dziękczynienia. Bez pomocy dzieci, Scotta i Jay Lynn, nie dałaby rady w tak błyskawicznym tempie przerzucić się do Cedar Cove.

A teraz ta praca. Od zaraz. Faith co prawda wolałaby wrócić do zawodu po pierwszym styczniu, było jednak oczywiste, że jeśli nie zgodzi się zacząć z marszu, zatrudnią kogoś innego. Tak więc już od dziś była kobietą pracującą, jednocześnie instalującą się w wynajętym domu przy Rosewood Lane, którego właścicielką była jej koleżanka ze szkoły średniej, Grace Sherman. Teraz, o czym skwapliwie przypomniiał jej Troy, Grace Harding. W tym domu z pomocą swoich dzieci rozpakowała swój dobytek –

blisko czterdzieści lat życia. Cieszyła się bardzo, że będzie mieszkać blisko wnuków. Niestety, również szeryfa Davisa. Rozmowa z nim przed Świętem Dziękczynienia bardzo ją zdenerwowała, z takimi nieoczekiwanymi spotkaniami należy się jednak liczyć. To niewielkie miasto, więc na pewno będą wpadać na siebie.

Oby jak najrzadziej, przecież Troy złamał jej serce, i to dwukrotnie. Co prawda za pierwszym razem do zerwania doprowadziła matka Faith, przechwytyjąc listy Troya i przekazując mu kłamliwą wiadomość, że gdy on wyjechał do wojska, jej córka znalazła sobie innego. W rezultacie zerwał z Faith, która do dziś nie wiedziała tak do końca, jaka była prawda. Dopuszczała nawet skrajną ewentualność, a mianowicie że Troy dlatego tak skwapliwie uwierzył kłamstwu jej matki, bo i tak już nosił się z zamiarem zerwania, a manipulacje z listami tylko mu to ułatwiły.

Ten drugi raz zaczął się od tego, że kiedy Faith dowiedziała się o śmierci żony Troya, wysłała do niego kondolencyjny list. W ten sposób po wielu latach odnowili kontakt, a po jakimś czasie znowu stali się parą. Jednak gdy tylko Faith poczuła, że ich związek stał się czymś naprawdę poważnym, spadł na nią bolesny cios, a mianowicie Troy się wycofał.

Zranił ją dwa razy i naprawdę wystarczy. Mówią co prawda, że do trzech razy sztuka, ale w tym przypadku na pewno tylko do dwóch. Dziwne, że w ogóle jeszcze zawraca sobie Troyem głowę, wciąż o nim myśli. Tak, to dziwne, a przede wszystkim niepokojące.

Zaparkowała na parkingu koło poradni i mimo wieloletniego doświadczenia zawodowego trochę zdenerwowana wkroczyła do nowego miejsca pracy. Wszystko jednak poszło gładko. Miała pracować razem z doktorem Chadem Timmonsem. Młody doktor zrobił na niej bardzo dobre wrażenie, w ogóle szybko zintegrowała się z całym personelem. Pacjentów

zjawilo się niewielu. Jak się domyśliła, we wtorki i środy było to normą, dlatego na początek wyznaczono jej dyżury właśnie w te dni. A od pierwszego stycznia miała pracować w poniedziałki, czwartki i piątki.

Ranek minął na rutynowych przypadkach, szczepieniach i pracy papierkowej, jednak tuż przed lunchem zgłosiła się Megan Bloomquist, lat dwadzieścia dziewięć, która podejrzewała, że jest w ciąży, nie miała jednak całkowitej pewności, co bardzo ją stresowało. Z takim problemem, zdaniem Faith, pomocy powinno się szukać w poradni psychologicznej dla ciężarnych kobiet, ale skoro pacjentka już się zjawiała...

– Dzień dobry – powiedziała, wchodząc do gabinetu lekarskiego. – Jestem Faith Beckwith.

– Dzień dobry.

Megan Bloomquist siedziała na krześle, nogi skrzyżowała w kostkach, oczy w czerwonych obwódkach były wylęknione.

– Pani nie jest lekarką?

– Nie. Jestem pielęgniarką, współpracuję z doktorem Timmonsem. – Pacjentka skinęła głową, cały czas zaciskając palce u rąk i rozprostowując. Była okropnie zdenerwowana. Faith uśmiechnęła się krzepiąco. – Zmierzę pani ciśnienie i temperaturę, a potem zastanowimy się, w czym doktor Timmons mógłby pani pomóc. – Przyłożyła jej do czoła termometr pasek i po chwili zanotowała w karcie, że temperatura jest normalna.

Megan głośno pociągnęła nosem.

– Myślę, że jestem w ciąży i... i nie wiem, co mam zrobić.

Faith zauważyła na jej palcu obrączkę.

– Nie chce pani tego dziecka?

– Ależ chcę! Tylko że ja... – Megan skuliła się i ukryła twarz w dłoniach. Jej plecy zadrżały, widoma oznaka płaczu. Dopiero po dłuższej

chwili uspokoiła się na tyle, że dała radę wykrztusić: – Craig... Craig i ja bardzo chcemy mieć dzieci, ale... trzy miesiące temu poroniłam. Potem tylko raz miałam okres. Dokładnie... – Wyjęła z torebki notesik, zajrzała do niego i podała datę.

A Faith, wpisując tę datę do karty, czuła, jak jej serce gwałtownie przyspiesza. Córka Troya ma przecież na imię Megan i też niedawno poroniła. Czy to możliwe, żeby już pierwszego dnia natknęła się właśnie na nią?

Była przerażona.

– Zrobiłam test w domu. Wynik był pozytywny – powiedziała Megan, powoli się wyprostowując.

– Chciałabym jednak, żeby lekarz to potwierdził. Faith nie zawracała sobie głowy przekonywaniem

Megan, że obecnie domowe testy są całkowicie wiarygodne. Doskonale rozumiała, że Megan po poronieniu jest nieufna i bardzo ostrożna. Jednak kolejne jej słowa zdumiały ją.

– Craig i ja nie planowaliśmy ciąży – oznajmiła Megan.

– W ogóle?!

– Na pewno nie tak prędko. Najpierw powinny się wyjaśnić wszystkie... niejasności dotyczące mojego zdrowia.

– To znaczy?

Megan spuściła głowę.

– Chodzi o stwardnienie rozsiane. Ta choroba zdarzyła się w mojej najbliższej rodzinie, więc mogę mieć ją w genach.

Czyli to na pewno córka Troya...

Faith sięgnęła po ciśnieniomierz.

– Może pani zrobić odpowiednie badania.

– Już zrobiłam. Rezonans magnetyczny nie wykazał jednoznacznie choroby. Moja matka zachorowała na stwardnienie rozsiane, kiedy miała dwadzieścia parę lat. Kilkakrotnie poroniła. Dlatego... rozumie pani... kiedy sama poroniłam, od razu pomyślałam, że powód mógł być taki sam.

Faith zmierzyła Megan ciśnienie i zapisała wynik, który mieścił się w normie.

Kiedy Troy, zrywając z nią, jako powód podał zdrowotne problemy córki, Faith mocno się doksztaciła na temat tej strasznej choroby dzięki wiarygodnym stronom w sieci, a także porozmawiała z kilkoma znajomymi lekarzami.

– Pani Bloomquist, wspomniała pani o stwardnieniu rozsianym, a tak się składa, że niedawno przeczytałam kilka artykułów o wynikach najnowszych badań, także na temat dziedziczności.

Oczy Megan rozbłysły.

– Naprawdę?

– Tak, oczywiście. W jednym z artykułów podano wyniki badań przeprowadzonych na Uniwersytecie Stanu Waszyngton. Zgodnie z nimi chorobę dziedziczy tylko jeden procent dzieci osób chorych na stwardnienie rozsiane.

– Tylko jeden procent?!

– Na stronie Kliniki Mayo twierdzą, że cztery do pięciu procent, zagrożenie jest więc niewielkie. Myślę, że nie powinna się pani tym zadręczać... – Faith uśmiechnęła się ciepło i położyła dłoń na ramieniu

Megan. – Pani matka na pewno pragnęłaby z całego serca, żeby pani żyła bez takiego obciążenia. Po prostu cieszyła się życiem.

Oczy Megan zalśniły od łez.

– To cudowna wiadomość – szepnęła.

– A jeśli chodzi o poronienie, przyczyn może być bardzo wiele. I wcale to nie znaczy, że następną ciążę też pani poroni.

– Craig i ja byliśmy zdruzgotani – powiedziała cicho Megan, mrugając oczami, żeby powstrzymać łzy. – Mój ojciec też.

– Trudno pogodzić się z utratą dziecka. Też kiedyś poroniłam. Oczywiście stało się to wiele lat temu, a potem urodziłam dwoje. Są już dorosłe, pozakładały rodziny, mają swoje dzieci, a ja do dziś pamiętam o tamtym utraconym maleństwie...

– Ja straciłam moje zaraz po śmierci mamy... – szepnęła załamującym się głosem Megan.

– Bardzo pani współczuję. – Gdy Faith delikatnie wzięła ją za rękę, palce Megan natychmiast zamknęły się na jej dłoni.

– Tak bardzo boję się o to dziecko...

– Będzie dobrze, przekona się pani. Za chwilę przyjdzie doktor Timmons i stwierdzi, czy pani jest w ciąży. Wtedy będzie wiadomo, co dalej.

– Tak! – powiedziała Megan mocniejszym już głosem.

– A pani przede wszystkim powinna się wyciszyć, uspokoić. Ma pani może jakieś hobby?

– Kiedyś zbierałam wycinki z gazet i wklejałam do albumu, ale to minęło. Teraz z wielką chęcią porobiłabym na drutach. Mogłabym zrobić dla maleństwa kocyk... o ile rzeczywiście jestem w ciąży.

– Megan, proszę, niech pani zacznie myśleć pozytywnie.

– Staram się... A więc... tak, zrobiłabym kocyk. Koleżanka nauczyła mnie podstaw, nabieranie oczek i tak dalej, ale to było rok temu. Czy pani robi na drutach?

Faith powoli pokiwała głową. Owszem, robiła. Ostatnim jej dziełem

były skarpety dla szeryfa Troya Davisa.

Spojrzała na zegarek.

– Zostawiam teraz panią. Doktor Timmons wkrótce się zjawi. Do widzenia, pani Bloomquist.

– Do widzenia. I dziękuję. Bardzo dziękuję, że pani jest dla mnie taka miła.

Gdy tylko uśmiechnięta Faith wyszła z gabinetu, jej uśmiech natychmiast znikł. Nieprawdopodobne, a jednak możliwe! Chociaż świat podobno jest bardzo mały... W każdym razie z tych ostatnich wydarzeń można wyciągnąć tylko jeden wniosek. Wcale niełatwo będzie wyeliminować ze swego życia szeryfa Troya Davisa.

O sercu nie wspominając...

Przerwa na lunch trwała godzinę. Faith zjadła przyniesioną z domu kanapkę i jabłko, a resztę wolnego czasu postanowiła poświęcić na wizytę w sklepie z materiałami, czyli w Patchworkowej Żyrafie. Sprawa była dość pilna, ponieważ wnuczka poprosiła Faith, by jej uszyła elegancką sukienkę na wigilijne nabożeństwo.

Kiedy wybrała już zielony aksamit, który na pewno spodoba się Kaitlyn, niespodziewanie pojawiła się koło niej Megan Bloomquist. Była rozpromieniona, co Faith wcale nie zdziwiło. Przed wyjściem z przychodni przeczytała wpis doktora Timmonsa, z którego jasno wynikało, że Megan istotnie jest w ciąży.

– Dzień dobry jeszcze raz! – zawołała wesoło.

– Dzień dobry, pani Bloomquist.

Niestety, wypadło to raczej oschle.

– Możemy pogadać? Tylko nie wiem, czy to nie koliduje z jakimiś przepisami. Poznałam panią w poradni...

– Nie ma żadnego problemu.

– Wie już pani, że na pewno jestem w ciąży?

– Wiem. Moje gratulacje.

– Dziękuję! Jestem taka szczęśliwa! I jeszcze raz dziękuję za życzliwość. Dzięki pani mogłam wreszcie spojrzeć na to wszystko z właściwej perspektywy.

– Megan, naprawdę nic nadzwyczajnego nie zrobiłam.

– Ależ tak! Kiedy przyszłam do poradni, byłam kompletnie załamana, a po rozmowie z panią poczułam się tysiąc razy lepiej.

– W takim razie bardzo się cieszę, że mogłam pomóc.

Faith wzięła z półki belę materiału i ruszyła do sprzedawcy, żeby odciął jej tyle, ile potrzebowała. Megan szła za nią krok w krok.

– A ja posłuchałam pani rady. Proszę spojrzeć, mam już cały sprzęt! Kupiłam przed chwilą. – Z dumą zademonstrowała druciany koszyczek, w którym były druty, kilka motków przędzy w pastelowych kolorach i książeczka z wzorami kocyków dla niemowląt.

– Wspaniale. Nic nie uspokaja tak bardzo, jak robota na drutach. Potwierdzono to eksperymentalnie podczas badań naukowych.

– A pani, jasna sprawa, przeczytała gdzieś o tym! – powiedziała Megan z uśmiechem.

Faith odwzajemniła uśmiech.

– Oczywiście!

– Sprzedawczyni obiecała, że nauczy mnie, jak zaczynać nowy rząddek, ale teraz jest zajęta, więc czekam.

Faith położyła belę materiału na stole, na którym przycinano materiały.

– To może ja pani pokażę?

– Naprawdę? Och, dziękuję!

Faith wyjęła druty z opakowania, wyciągnęła wełnę z jednego z motków i zaczęła się lekcja. Nie trwała długo, bo Megan błyskawicznie załapała, o co chodzi. Potem przejrzały książeczkę ze wskazówkami, by upewnić się, czy dla Megan wszystko jest jasne. W tym czasie ekspedientka odcięła żądany kawałek zielonego aksamitu.

Faith i Megan, każda dzierżąc w dłoni zakupy, ruszyły do wyjścia.

– Muszę wracać do pracy – zakomunikowała Faith.

– Ja też – powiedziała Megan. – Pracuję przy Harbor Street, w zakładzie, gdzie oprawiamy obrazy, zdjęcia, w ogóle wszystko, co tylko można oprawić. Ramy, ramki, rameczki. Polecam się!

– Dziękuję, na pewno kiedyś skorzystam z waszych usług.

Faith miała już na końcu języka, że jej syn, Scottie, dawał im niedawno coś do oprawy, ale powstrzymała się. Nie było sensu przedłużać rozmowy, za bardzo zbliżyć się do córki Troya. Zdawała sobie sprawę, że ze względu na swoje zdrowie psychiczne powinna wobec niej zachować jak największy dystans.

Dlatego pożegnała się wcale nie wylewnie i każda z nich poszła w swoją stronę.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Jeszcze rok temu fakt, że Christie od tygodnia nie daje znaku życia, absolutnie nie byłby dla Teri powodem do niepokoju. Z Johnnym, młodszym bratem, od zawsze była bardzo zżyta, z siostrą natomiast nie. Widywały się z rzadka, każda żyła swoim życiem, dopiero zeszłego lata stosunki między nimi zaczęły ulegać zdecydowanej poprawie. Teri konsekwentnie wynajdywała najrozmaitsze powody w celu podtrzymania bliskiego kontaktu z Christie, w rezultacie między nimi również wytworzyła się zażyłość. Dlatego brak odzewu ze strony Christie bardzo zaniepokoił Teri. Kilkakrotnie nagrywała się na sekretarkę i nic, siostra wciąż milczała. Czyżby się obraziła? Niemożliwe. Christie była osobą otwartą i gdyby coś ją ugryzło, Teri natychmiast by się o tym dowiedziała. Czyli milczenie siostry niewątpliwie miało związek z osobą Jamesa Wilbura.

– Bobby, jadę na zakupy!

Tylko tyle. Nie mówiła, co zamierza kupić i za ile, ponieważ Bobby'emu było to całkowicie obojętne. Miał wystarczająco dużo pieniędzy, by stać ich było i na to, czego potrzebują do życia, i na spełnienie wszelkich zachcianek. Poza tym Bobby myślał głównie o szachach, inne aspekty życia niewiele go obchodziły, ale tak to bywa, kiedy się jest jednym z najlepszych zawodników na świecie. Oprócz szachów liczyła się dla niego tylko żona. Kochał ją i strzegł jak oka w głowie, a odkąd zaszła w ciążę, stała się dla niego po prostu pępkiem świata.

– Dobrze – powiedział Bobby, nie odrywając wzroku od monitora. – Zadzwońię po Jamesa.

– Nie trzeba, Bobby. Do Wal-Martu mogę jechać sama. – Gdy Bobby

odwrócił się od monitora i spojrzał na nią z wielką troską i takim samym niepokojem, Teri westchnęła. – Dobrze, zadzwoń.

Owszem, Bobby był nadopiekuńczy, ale czy był to powód do dyskusji lub sprzeciwu? Przecież tak bardzo ją kochał! Dlatego Teri, choć od szesnastego roku życia prowadziła samochód, bez szemrania zgodziła się pojechać limuzyną prowadzoną przez Jamesa, żeby Bobby się nie denerwował.

James, który mieszkał na terenie ich posiadłości, już po pięciu minutach podjechał samochodem pod dom. Jak zwykle ubrany w służbowy strój, czyli czarny garnitur i czapkę bejsbolówkę, czekał przy limuzynie. Kiedy Teri wyszła za Bobby'ego, korzystanie z limuzyny z kierowcą było dla niej bardzo krępujące, tym bardziej że mieszkała w tak małym mieście jak Cedar Cove. Jednak z biegiem czasu przywykła, jak zresztą chyba wszyscy. W każdym razie umilkły głupie komentarze, najwyżej gadano za jej plecami, a o to nie dbała.

James pomógł jej wsiąść, obszedł samochód i zasiadł za kierownicą.

– Dokąd jedziemy, panno Teri?

Wiele razy prosiła, by przestał z tą „panną Teri”, bo czuła się wtedy jak przedszkolanka. Jednak James był pod tym względem nieprzemakalny, więc nie pozostawało jej nic innego jak spasować i pogodzić się z tym, że dla Jamesa jest panną Teri, choć ma męża i jest w ciąży.

– Do WalMartu, James.

Jego plecy jakby trochę zeszywniały, ale nic dziwnego, wiedział przecież, że w tym właśnie supermarkecie pracuje kasjerka Christie.

– Do WalMartu, panno Teri?

– Tak. Dobrze słyszałeś. Do WalMartu.

– Tak jest, panno Teri.

Ruszyli. Teri, rozparta wygodnie na miękkim, obitym skórą siedzeniu, z przyjemnością słuchała przepięknej muzyki, cicho sączącej się z głośników.

– Co oni grają, James? – spytała.

– „Cztery pory roku” Vivaldiego.

– Aha. – Teri pokiwała głową. – Bardzo mi się podoba.

James kochał muzykę klasyczną, zgromadził ogromną kolekcję płyt CD i zawsze w limuzynie miał coś do posłuchania. Na początku Teri prosiła, żeby znalazł stację z muzyką country. Oczywiście James spełniał jej polecenie, kiedy jednak zauważyła, że jednocześnie dyskretnie wkłada do uszu waciki, przestała go dręczyć i słuchała tego, co nastawił. I tak się jakoś stało, że szybko sama rozsmakowała się w utworach starych mistrzów. To była piękna muzyka, i wcale nie nudna, jak to z wielu ust można usłyszeć.

Teri bardzo lubiła Jamesa. Więcej, traktowała go jak osobę zaprzyjaźnioną, naturalnie zachowując pewne granice. Poza tym uważała, że genialnie pasuje do jej siostry. Niestety kompletnie nie wiedziała, jak między nimi naprawdę się układa czy też nie układa, bo oboje nabrali wody w usta. Pod tym względem dobrali się jak w korcu maku, potrafili dochować tajemnicy.

– Jak zaplanowałeś tegoroczne święta? – spytała Teri, kiedy podjeżdżali do WalMartu. Była bardzo ciekawa, co odpowie, przecież w sumie niewiele wiedziała o Jamesie.

– Co zaplanowałem? Nic, panno Teri.

– Nie pojedziesz do rodziny albo przyjaciół?

– Nie, panno Teri.

– W takim razie mam nadzieję, że święta spędzisz razem z nami. Będzie nam bardzo miło. – Gdy James milczał, dodała: – Spokojnie

przemyśl naszą propozycję, odpowiesz później. W każdym razie jesteś zaproszony.

– Dziękuję, panno Teri.

Zatrzymał się przed głównym wejściem.

– James, umawiamy się za godzinę – powiedziała, wysiadając z samochodu.

– Tak jest, panno Teri.

Weszła do środka i przemknęła spojrzeniem wzdłuż rzędu kas. Bingo. Droga siostra siedziała przy kasie numer dziesięć. Teri piorunem wrzuciła do koszyka coś, co akurat było pod ręką, czyli ozdoby na Święto Dziękczynienia (przydadzą się za rok!), zamieniła słowo z kierownikiem i ustawiła się w kolejce, rzecz jasna do kasy dziesiątej.

Cierpliwie swoje odczekała, po czym wyrzuciła na taśmę zawartość koszyka.

– Wesołych Świąt! – powiedziała jak automat Christie profesjonalistka, po czym zerknęła na klientkę. I zbladła. – Teri? A co ty tu robisz? – wyszeptała gorączkowo.

– Nie dzwonisz, a ja tyle razy ci się nagrałam! – odszeptała równie szybko Teri. – Chciałam się przekonać, czy jeszcze żyjesz.

– Żyję, ale jestem zaorana. Mam mnóstwo nadliczbowych godzin. Nie wiem, czy zauważyłaś, ale nadchodzą święta.

– Zauważyłam.

W tym momencie do kasy podszedł zwierzchnik Christie, wziął tabliczkę z napisem „Kasa nieczynna” i postawił na taśmie za rzeczami kupionymi przez Teri.

– Proszę przejść do kasy trzeciej – poinformował ludzi stojących za Teri. – Christie, masz przerwę na lunch.

– Co? Już? – zdziwiła się. – Myślałam, że najpierw ma Cookie.

Gdy kierownik odszedł, sytuację wyjaśniła Teri:

– Nie Cookie, ale ty. Poprosiłam twojego szefa, żeby zwolnił cię trochę wcześniej, bo muszę z tobą pogadać.

– Teri!

– Nie wściekaj się! Bo niby co innego mogłam zrobić?!

– No dobrze... Mogłam się spodziewać, że nie odpuścisz... – Christie zeskanowała zakupy siostry, zapakowała do plastikowej torby, przyjęła pieniądze i spytała: – Teri, ale to nie potrwa długo?

– To zależy od ciebie.

Postanowiły, że zjedzą coś w fast foodzie tuż obok supermarketu. Zamówiły i jakimś cudem udało im się znaleźć wolny stolik. Rozsiadły się, Christie otworzyła pojemnik z kaskami z kurczaka, następnie pojemniczek z sosem do maczania owych kasków. Teri patrzyła na siostrę z zazdrością. Sama zamówiła tylko sałatkę Cezara, ponieważ z racji ciąży musiała skrupulatnie kontrolować wagę. Podczas ostatniej wizyty u lekarza okazało się, że już przekroczyła normę. Niestety, jej jadłospis nie był idealny, do tego między głównymi posiłkami uwielbiała przegryzać to czy tamto. A jednak miała żal nie do siebie, tylko do złośliwego losu, który zrządził, że w ciągu jednego miesiąca przybyło jej aż trzy i pół kilograma!

Bez entuzjazmu otworzyła pojemniczek z sosem, niskokalorycznym oczywiście, i poląła nim sałatę lodową.

– Domyślam się, że chodzi o Jamesa – powiedziała Christie tonem kogoś, kogo zmuszają do wzięcia udziału w rozmowie dla niego bardzo nieprzyjemnej.

– No cóż... W końcu...

– On ci powiedział, tak?!

Christie z wściekłością wbiła zęby w kurczaka. No tak! Teri wie już o tamtym jakże niemiłym spotkaniu, do którego doszło w zeszłym tygodniu, bo James oczywiście musiał się wygadać!

– A więc... – znów zaczęła Teri.

Lecz i tym razem Christie nie dała jej dokończyć:

– Po pierwsze, to wcale nie byłam pijana! – wyrzuciła z siebie jednym tchem, nachylając się ku siostrze.

– W porządku... – mruknęła Teri, która choć nie miała bladego pojęcia, o co chodzi, postanowiła nie zdradzać się ze swoją niewiedzą.

– Powinien przestać to robić! – oświadczyła Christie bardzo dobitnie.

– Masz rację! – poparła ją gorąco Teri. – Tak dalej nie może być!

W tym momencie Christie spojrzała na nią tak, jakby była zaskoczona faktem, że siostra staje po jej stronie.

– Sama rozumiesz, Teri, że to bardzo krępujące!

– Oczywiście!

Christie nachyliła się jeszcze bardziej ku siostrze i zniżyła głos.

– Kiedy parkuje koło Pink Poodle, wszyscy lecą do okna i zastanawiają się, skąd w takim miejscu wzięła się limuzyna! W końcu dojdą, że przyjeżdża tam z mojego powodu!

Teri wreszcie zaskoczyła. A więc o to chodzi...

– Ale do środka nie wchodzi? – spytała.

– Nie! Nigdy tego nie zrobił. – Christie energicznie odsunęła od siebie resztę kasków, jakby nagle straciła apetyt. – Tylko parkuje. A Larry i cała reszta wytrzeszczają oczy. Koszmar!

– Wyobrażam sobie!

– A ostatnim razem James objechał budynek i zaparkował obok mojego samochodu.

– A... rozumiem. Spotkaliście się, jak podeszłaś do swojego forda, a James pozwolił sobie zauważyć, że trochę za dużo wypijaś.

– Tak. Ale to nieprawda! Nieprawda! – Gdy siostra pokiwała tylko głową, nabuzowana Christie mówiła dalej: – Teri, jak powiedziałam, to prawdziwy koszmar! Najpierw zaparkował koło baru. Potem jeden z facetów, co byli w barze, powiedział, że limuzyna odjechała. A on wcale nie odjechał, tylko zaparkował w innym miejscu! – Christie chwyciła papierową serwetkę i zaczęła rwać ją na drobnusieńkie kawałeczki. – Ale to jeszcze nie wszystko! – krzyknęła cała w nerwach. – Wyobraź sobie, że potem jechał za mną! Do samego domu!

– Czy kumple z baru to widzieli?

– Chyba nie... Teri, a może byś pogadała z Jamesem w moim imieniu?

– Ja... no cóż... – Oczywiście bardzo chciała być na bieżąco, wiedzieć dokładnie, jak w danej chwili wygląda sytuacja między siostrą a Jamesem, ale do roli pośrednika wcale się nie paliła.

– Teri! Proszę o tak niewiele. Powiedz tylko Jamesowi, że nie chcę go więcej widzieć.

– Jesteś tego pewna?

Christie zawahała się, ale tylko na ułamek sekundy.

– Oczywiście! Nie znoszę go! – oświadczyła bardzo głośno, jakby sama sobie ten tekst wbijała do głowy. – Niby superuprzejmy, a jednocześnie taki waśniak! Po prostu doprowadza mnie do szału!

– Hm... – Teri spochmumiała. Zupełnie inaczej odbierała Jamesa.

– Nie patrz tak na mnie – powiedziała Christie.

– To znaczy jak?

– Jakbyś... jakbyś mi w ogóle nie wierzyła.

– Christie, wciąż doskonale pamiętam, jak bardzo byłaś

zdenerwowana, kiedy dowiedziała się, że Jamesa uprowadzono!

– No tak... – Spojrzała w bok i milczała przez chwilę, a kiedy znów się odezwała, jej głos, przed chwilą jak dzwon, teraz był cichutki: – On jest trochę nadęty, ale... ale jest prawdziwym dżentelmenem...

– Zgadza się – powiedziała miękko Teri. Kiedy poznała Jamesa, wcale nie była zachwycona. Wysoki, zatrważająco chudy facet, przy tym strasznie oficjalny. Irytował ją, dopóki nie dotarło do niej, że James dla Bobby’ego jest prawdziwym przyjacielem. Nie tylko go wozi, ale także troszczy się, by nieobecny duchem Bobby nigdzie się nie spóźnił czy nie zawieruszył. Jego stosunek do Teri, mimo że zawsze obecnej duchem, był w sumie bardzo podobny. A podczas porwania zachował się jak bohater. Rachel może to poświadczyć. – Chwileczkę, Christie... Bo się w tym wszystkim trochę pogubiłam. Zawsze sądziłam, że cenisz facetów, którzy okazują ci szacunek.

– Tak. Ale ja... – Christie złapała serwetkę Teri, którą spotkał ten sam los co poprzednią serwetkę.

– Po prostu nie mam pojęcia, jak postępować z facetem, który w żaden sposób mnie nie wykorzystuje, rozumiesz?

– Posłuchaj, Christie...

– A tak zawsze było! – krzyknęła bliska łez. – Nie przyciągam porządnym facetów, tylko takie zera! Jakiegoś dupka, co to chce tylko, żeby się nim opiekować, pocieszać i za niego myśleć. A mnie, głupiej, zawsze się zdawało, że jak będę taka dobra i opiekuńcza, to on mnie pokocha...

– Wygląda na to, że obie mamy to w genach.

– Ty nie, przecież masz Bobby’ego. On cię naprawdę kocha i w ogóle jest cudowny.

– To prawda, Christie, ale przecież już ci mówiłam, że na początku tak samo jak ty strasznie się miotalam i próbowałam pozbyć się Bobby’ego.

Wcale nie chciałam, żeby mnie pokochał.

Christie pokręciła gwałtownie głową.

– Mówisz tak, żeby mnie pocieszyć, a przecież zawsze podejmowałaś słuszne decyzje. Znalazłaś dobrą pracę, zawsze miałaś fajnych znajomych. Teraz masz Bobby'ego, będziesz miała dzidziusia, a ja...

– A ty uważasz, że skazana jesteś na koleśków do bani, dlatego odpędzasz od siebie pierwszego przyzwoitego faceta, jaki ci się trafił! Christie, naprawdę nie rozumiesz, że James jest twoją wielką szansą?! Podobasz mu się, i to bardzo, strasznie go ciągnie do ciebie.

– Bzdura! – Christie znów energicznie pokręciła głową. – Gdyby tak było...

– Gdyby tak nie było, moja droga, to James z całą pewnością by nie wyczekiwał na ciebie koło Pink Poodle! On koniecznie chce z tobą porozmawiać.

Christie, zajęta zbieraniem strzępków drugiej serwetki, nieznacznie wzruszyła ramionami.

– Za późno – mruknęła.

Ale Teri w jej oczach dostrzegła jakiś błysk. Czyli jest nadzieja.

– Christie, mogę wam pomóc, oczywiście jeśli tego chcesz. Mogę zaaranżować spotkanie, żebyście w końcu mogli spokojnie pogadać.

– Na przykład?

– Na przykład zaprosić was na obiad.

Ten pomysł absolutnie nie przypadł Christie do gustu, która oznajmiła:

– Bez sensu, bo w efekcie wszyscy będziemy czuli się niezręcznie.

To prawda, pomyślała Teri, choć zarazem i wielka szkoda, bo podczas proszonego obiadu miałyby ich na oku...

– Dobrze, w takim razie nie będę wykazywać nadmiernej inicjatywy.

Wracamy do wariantu poprzedniego. Robisz, co chcesz. Tylko błagam, Christie! Spotkaj się z nim, dobrze?

- Naprawdę uważasz, że powinnam to zrobić?
- Dla mnie nie ma innej opcji.
- A więc dobrze...

Christie pokiwała głową, i to nawet kilkakrotnie.

Za pierwszym razem powoli, jakby z ociąganiem, potem już bardziej energicznie. A w jej oczach coś pobłyskiwało, na co Teri odetchnęła z ulgą, czuła bowiem, że siostra spełni jej prośbę.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Popijając herbatę, Olivia rozkoszowała się faktem, że chociaż to środek tygodnia, ona nie jest w sądzie. Ma urlop zdrowotny, najdłuższy, jaki kiedykolwiek jej się trafił w ciągu wielu lat pracy zawodowej. I oto siedzi sobie w domu, w pokoju nagrzanym przez słońce i popija herbatkę, zamiast prowadzić rozprawę, wysłuchiwać obu stron i ferować wyroki, które wpływają na losy członków miejscowej społeczności.

Olivia Griffin, sędzina w sądzie rodzinnym, bardzo poważnie traktowała swój zawód, może też i dlatego niektóre jej decyzje uznawano za kontrowersyjne. Kiedyś odmówiła udzielenia rozwodu, bo dla niej było oczywiste to, czego inni nie zdołali zauważyć. Stojący przed nią młodzi ludzie na pewno wciąż się kochali, dlatego zdaniem Olivii nie wolno było ich rozdzielać. Równie sensacyjna była decyzja, że to nie dzieci rozwiedzionych rodziców mają mieszkać na zmianę u ojca i u matki, lecz rodzice na zmianę mają wprowadzać się na określony czas do dawnego wspólnego domu, w którym zostają dzieci.

Olivia odstawiła filiżankę na spodeczek, wysunęła nogi do przodu i oparła je na podnóżku. Te puchate kapcie ze sztucznego futerka są przesłodkie. Dostała je w prezencie od Grace, podobnie jak ten szlafrok. Rewelacyjny!

– Potrzebujesz czegoś?! – zawołał z kuchni Jack, który podczas przerwy na lunch wpadł do domu, by namówić żonę do jedzenia.

Bo apetyt u Olivii tak naprawdę był w totalnym zaniku.

Znów popiła herbaty.

– Nie, dziękuję. Niczego mi nie trzeba.

– Może skusisz się na ciasteczka? Podbierzemy trochę z tych, co mają być na święta?

Poprzedniego dnia Justine przyniosła im jeden z tradycyjnych świątecznych wypieków Charlotte, kruche ciasteczka upieczone według bardzo starej receptury.

– Nie, dziękuję.

Herbata, owszem, bo uspokajała, ale już sama myśl o jedzeniu wzbudzała w Olivii obrzydzenie. Wiedziała przy tym, że kiedy zacznie chemioterapię, co miało nastąpić na początku stycznia, jeszcze trudniej jej będzie cokolwiek przełknąć.

– Kupiłem też po drodze te lukrowane ciasteczka z rodzynkami!

Kusił ją łakociami, kiedy wcale nie była pewna, czy uda jej się zjeść parę łyżek zupy!

Jack wyjrzał z kuchni, ukazując męską, surową twarz... a wokół ust białe smugi cukru pudru.

Olivia z trudem powstrzymała śmiech.

– Jack, jesteś niepoprawny! Wiesz przecież, że na ciasteczka masz szlaban!

– Chwileczkę! – Przymrużył oczy. – A kto powiedział, że jadłem ciasteczka?

– Świadców nie mam – surowo odparła pani sędzina – ale za to mam niezbity dowód zbrodni. Chodź tutaj.

Kiedy Jack podszedł, rozpostarła szeroko ramiona. Mąż nachylił się, wsuwając w jej objęcia, a ona powiodła palcem wokół jego warg.

– Cukier, wszędzie cukier puder... – Pocałowała go bardzo słodko.

Kiedy pocałunek się skończył, Jack wyprostował się i oznajmił:

– Tak, cukier. Jestem twoim cukrem. – Zaśmiał się ze swojego

głupiego dowcipku, potem jednak spowaźniał i wyznał ze skruchą: – Olivio, pod ciężarem twoich oskarżeń przyznaję, że pożarłem ciasteczko. Ale tylko jedno!

– Tylko jedno?! Niemożliwe.

Krucze ciasteczka matki przygotowane według bardzo starego przepisu Olivia konsumowała podczas świąt od lat i doskonale wiedziała, że zjedzenie tylko jednego było po prostu niemożliwe. Te ciasteczka wciągały jak narkotyk. Poza tym jej mąż uwielbiał słodczy.

– Tylko jedno! – powtórzył z uporem Jack, spoglądając na zegarek. – To znaczy... tylko jedno w ciągu ostatnich dziesięciu minut.

Olivia znów uśmiechnęła się, zdecydowana zachować spokój, choć dieta Jacka była dla niej największym priorytetem. Miał przecież atak serca, więc musiała go pilnować, by odżywiał się prawidłowo. Przecież to był jej Jack, za którego wyszła po dwudziestu latach smutnej egzystencji samotnej rozwódki. Bardzo męża kochała i pragnęła z nim spędzić jeszcze długie lata.

– Mam wszystko pod kontrolą, Olivio – zapewnił, jakby czytając w jej myślach. – Rano gimnastykowałem się, a na śniadanie zjadłem owsiankę.

– Grzeczny chłopczyk.

Jack zabawnie wywrócił oczami.

– Dziękuję pani. A te wszystkie ciasteczka powinnaś zjeść ty. Koniecznie. Olivio... – Przysiadł przed żoną na podnóżku i spojrzał na nią błagalnie. – Zjesz tę zupę, prawda? Proszę...

Olivia westchnęła.

– No dobrze.

Z miłości do męża. Tylko i wyłącznie, bo na samą myśl o zupie – czy, nie daj Boże, ciasteczkach

– robiło jej się niedobrze.

– Pomidorową?

– Nie. Jarzynową na mięsie.

– Dobrze. Będę siedział przy tobie, dopóki w talerzu nie pokaże się dno!

– Kochanie...

– To już postanowione. Żadnych reklamacji nie uwzględniam.

– A więc będę musiała się ugiąć!

Oczywiście. Poddawała mu się i chwaliła go, ujawniając przy tym, jak bardzo jest dumna i szczęśliwa, że jej mąż jest tak dzielny i w tak bardzo stresującej sytuacji nie sięga po alkohol. Wiedziała, że miał chwilę załamania, kiedy usłyszał, co u niej zdiagnozowano. Ale wytrwał. Nie wypił ani kropli.

Ona też jakoś te okropne chwile przetrwała, choć Bóg tylko jeden wie, co wtedy przeżyła. Ale było, minęło, i teraz, po operacji, czuła się o wiele silniejsza. Zyskała też pewność, że skoro tyle już przeszli, dalej też sobie poradzą.

Jack poszedł z powrotem do kuchni, a ona, wygrzana słońcem, usiadła wygodniej i przymknęła oczy, zapadając w cudowny półsen. Chwila całkowitego relaksu: ciało bezwładne, głowa niby pracuje, ale bardzo, bardzo leniwie...

Niestety Jack wrócił bardzo szybko, miała wrażenie, że już po kilku sekundach. Przyniósł na tacy talerz z gorącą zupą, talerzyk z dwoma ciasteczkami i wazonik z różą. Była nawet złożona starannie płócienna serwetka.

– Znowu oglądałeś kanał o urządzaniu domu? – zażartowała Olivia.

– Uznałem, że kiedy będziesz patrzyła na różyczkę, zupa bardziej ci posmakuje. Jedz.

– Skoro nalegasz...

– Nalegam.

Warował przy niej, aż wreszcie w talerzu pokazało się dno. Potem Olivia, żeby zrobić mężowi przyjemność, nadgryzła ciasteczko i spytała:

– Zadowolony?

– Tak – powiedział wyraźnie usatysfakcjonowany

Jack i odmaszerował z tacą do kuchni. Kiedy wrócił, miał już co prawda na sobie długi płaszcz przeciwdeszczowy, ale widać było, że nie bardzo ma ochotę opuszczać żonę.

– Wrócę jak najprędzej. Spróbuję wyrwać się wcześniej.

– Jack, nie panikuj. Poradzę sobie.

– Czy Grace dzisiaj wpadnie?

– Tak, za dwie godziny, a później ma odwiedzić mnie pastor Flemming.

– Świetnie.

Wszyscy najbliżsi Olivii, czyli mąż, matka, córka i brat bardzo dbali o to, by jak najrzadziej zostawała sama. W rezultacie prawie zawsze ktoś jej towarzyszył, choć nie miała nic przeciwko chwilom samotności. Z tym że oczywiście wszystkim była bardzo wdzięczna za okazane serce. Przecież to dowód, że ją kochają.

Kiedy Jack pojechał do redakcji, Olivia sięgnęła po książkę. Była to dopiero co wydana powieść obyczajowa polecona przez Grace. Nie zdążyła jednak zagłębić się w lekturze, ponieważ ktoś zadzwonił do drzwi. Okazało się, że był to pastor Flemming.

– Przepraszam, może przychodzę nie w porę. Zapowiedziałem się na czwartą, ale tak się złożyło, że akurat teraz mam wolną godzinę, więc pomyślałem, że zajrzę do pani wcześniej.

– Bardzo się z tego cieszę. Proszę wejść, pastorze.

Wprawdzie Olivia chciała przed wizytą Grace trochę się zdrzemnąć, jednak nie musiała tego robić. Co więcej, tylko wyjdzie jej to na dobre, bo do popołudniowych drzemek człowiek szybko się przyzwyczaja, a ona nie mogła sobie na to pozwolić. Ziewająca sędzina to nie jest budujący widok.

Zaprosiła wielebnego do pokoju dziennego. Gdy rozsiedli się w fotelach, pastor, rzecz oczywista, na początek spytał, jak Olivia się czuje.

– Dziękuję, o wiele lepiej.

– To świetna wiadomość – ucieszył się.

Porozmawiali chwilę, potem pastor sięgnął po Biblię. Wtedy zauważyła, że coś zsunęło mu się z ręki. Był to zegarek. Wyraźnie niezadowolony pastor szybko podniósł go z podłogi.

– Zapięcie się zepsuło – powiedział. – Muszę dać do naprawy.

– Jest bardzo piękny. – Olivia nie miała w tej dziedzinie odpowiedniej wiedzy, ale nawet na jej oko laika musiał być to bardzo drogi zegarek. Złoty, pięknie wykonany, do tego stary, pamiątka po ojcu albo nawet dziadku.

– Dziękuję.

Dziwne, ale zachwyty nad rodową pamiątką wcale nie sprawiły przyjemności pastorowi, który szybko zmienił temat. W sumie wizyta trwała nie dłużej niż pół godziny, co wystarczyło, by napić się herbaty, pogawędzić o tym i owym i zmówić krótką modlitwę. Na koniec pastor Flemming odniósł filiżanki do kuchni i pożegnał się.

Grace miała przyjść dopiero za godzinę, więc Olivia ponownie sięgnęła po książkę. Była naprawdę ciekawa i dobrze napisana, jednak Olivia, wstyd przyznać, trochę nad nią przysnęła.

Grace już od drzwi spytała:

– Potrzebujesz czegoś?

– Nie, dzięki.
– Olivio, wyglądasz na zmęczoną!
– Bo trochę jestem.
– To się zdrzemnij!
– Chciałabym, ale się boję. Nie chcę przywyknąć do tego.
– Co ty pleciesz. Jesteś osłabiona po operacji i musisz odpocząć. Kiedy odzyskasz formę, będzie inaczej.

– Dobrze. Prześpię się, ale tylko godzinę!
– Tyle, ile trzeba. Nie będę cię budzić. – Grace weszła do sypialni i odsunęła narzutę z łóżka. – Kładź się. Kiedy będziesz spała, zrobię obiad.

Olivia już bez słowa protestu położyła się do łóżka.

– Grace, nie musisz tego robić.

– Wiem. Ale chcę.

Nie dyskutowała. Podobnie jak Jack, Grace bardzo chciała być użyteczna. Teraz przykryła starannie Olivię kołdrą, zasunęła zasłony i na palcach wyszła z pokoju.

Olivia wtuliła się w wielkie, wypchane prawdziwym pierzem poduchy i zamknęła oczy, zachwycona perspektywą pospania sobie w biały dzień. Była pewna, że zaśnie od razu, a jednak senność przeszła jak ręką odjął. Umysł pracował pełną parą, gdy Olivia zastanawiała się nad dziwnym zachowaniem pastora Flemminga. Przede wszystkim zamiast przyjść o ustalonej godzinie, pojawił się wcześniej, i to niezapowiedziany. A nigdy dotąd tak nie postępował. Poza tym podczas wizyty niby był pogodny i życzliwy jak zwykle, a jednak Olivia wyczuwała, że w środku jest rozdrażniony i bardzo spięty. Wyraźnie czymś się trapił, a już to tak dla niego nietypowe rozkojarzenie... Przecież podczas rozmowy dwa razy stracił wątek. I gdzieś się bardzo spieszył.

Po kwadransie stwierdziła, że nie ma sensu zawracać sobie głowy spaniem. Wstała z łóżka i wymaszerowała na korytarz, gdzie natknęła się na Grace, która spiorunowała ją wzrokiem:

- Co, już? Dlaczego wstałaś?!
- Nie mogę zasnąć.
- Nie kręć. Kiedy tu przyszłam, padałaś z nóg.

Olivia już miała opowiedzieć przyjaciółce o dziwnym zachowaniu pastora, ale po krótkiej chwili namysłu zrezygnowała. W końcu to nie jej sprawa. Nie powinna w nic wnikać, tylko cieszyć się, że pastor ją odwiedził.

- Zrobię herbaty – zaproponowała Grace.
- Świetnie.

Herbatę piły w kuchni przy wielkim dębowym stole.

- A jak twoje sprawy, Olivio? – spytała Grace.
- Wydarzyło się coś nowego?
- Owszem. Przyszły wyniki badań histopatologicznych. Węzły chłonne nie są zaatakowane.

- Och! – Grace podniosła ręce do ust. – To genialnie! Wspaniale!

Olivia z uśmiechem pokiwała głową.

- Nie muszę ci mówić, jak wielką czuję ulgę. A co u ciebie? Co słyszeć w bibliotece?

Grace z detalami opowiedziała o ostatnim posiedzeniu dyrekcji i o tym, co przygotowała dla najmłodszych czytelników z okazji zbliżających się świąt Bożego Narodzenia. Wspomniała też, że bibliotekę odwiedziła jej nowa lokatorka, Faith Beckwith, którą z Olivią znały jeszcze ze szkoły średniej. Wtedy była to Faith Carroll. A Olivia natychmiast sobie przypomniała, że skoro już o znajomych osobach mowa, to kiedyś do biblioteki wpadał Will, jej brat, ale nie po to, żeby zajrzeć do książek.

Miejmy nadzieję, że teraz...

– Ale Will nie nachodzi cię w bibliotece, Grace?

Kochała brata, niemniej gdyby teraz, po powrocie do Cedar Cove, znów próbował namieszać między Cliffem a Grace, nigdy by mu tego nie wybaczyła. Kiedyś Will flirtował z Grace przez internet, na szczęście nie posunęli się poza ten etap znajomości. Will zachował się niepoważnie, a tak naprawdę skandalicznie, bo okłamał Grace, mówiąc jej, że jest rozwiedziony. A przecież nawet nie planował kończyć swojego małżeństwa, które rozpadło się dopiero później, i to nie z jego inicjatywy, tylko żony.

– Will jest obecnie zbyt zajęty galerią, żeby zawracać sobie mną głowę. Nie ma powodu do obaw, Olivio.

– Całe szczęście! Ta galeria to zbawienie. Will ma przed sobą cel i przynajmniej przez jakiś czas nie będzie stwarzał problemów.

Grace pokiwała głową.

– Masz rację... Aha, do biblioteki wpadł dziś też Cliff. Chciał przekazać mi najświeższe wiadomości.

– Mam nadzieję, że dobre?

Grace lekko wzruszyła ramionami.

– Sama nie wiem, jak to ocenić. Ciekawe, co ty o tym sądzisz. Otóż Cliff powiedział, że Cal i Vicki wyjeżdżają do Wyomingu, żeby dalej uczestniczyć w akcji ratowania mustangów.

Czyli na dwoje babka wróżyła. Dla Olivii ta wiadomość była i dobra, i zła. Cal kiedyś był związany z Linnette McAfee, z którą zerwał, kiedy zakochał się w pewnej pani weterynarz. Wszyscy się dziwili, że tak przystojny mężczyzna jak Cal Washburn zainteresował się szarą myszką, bo taka właśnie jest Vicki Newman, kobieta bardzo zwyczajna, mówiąc delikatnie. Z drugiej strony jednak było to logiczne, jako że Cala i Vicki

połączyła wspólna pasja, czyli konie. Właśnie to pchnęło ich ku sobie i okazało się znacznie potężniejsze niż uczucie Cala do Linnette.

– Wyobrażam sobie, jak zareagowała Corrie! – powiedziała Grace. – Pamiętasz, jaka była zła, kiedy jej córka opuściła Cedar Cove? Linnette wyjechała, bo nie chciała widywać Cala, tym bardziej w towarzystwie Vicki. Człowiek, zawsze pragnie uciec z miejsca, gdzie go upokorzono. Wiem coś o tym...

– A teraz Cal i tak wyjeżdża z Cedar Cove, do tego razem z Vicki. Kiedy ruszają do Wyomingu?

– Już niebawem. Cliffowi nie jest to na rękę, bo będzie mu brakować pracownika. Nowego może zatrudnić dopiero od stycznia, a roboty jest więcej, bo opiekujemy się zwierzętami, które będą uczestniczyć w żywej szopce. Powiedziałam Cliffowi, że mu pomogę.

– Z tego, co mówisz, wynika, że Cal wyjeżdża już przed świętami?

– Tak. Przypuszczam, że Vicki sprzedała udziały w klinice weterynaryjnej i nic ich już tutaj nie trzyma. Podobno ślub wezmą w Kalifornii, bo tam mieszkają rodzice Vicki.

– Życzę im jak najlepiej – powiedziała szczerze Olivia, choć oczywiście wolałaby, żeby to wszystko nie działo się kosztem Linnette.

Chociaż ona też na pewno wyprostuje swoje losy, o ile już tak się nie stało. Podczas spotkania z Olivią Corrie wspomniała, że jej córka zakotwiczyła w małym miasteczku w Dakocie Północnej, z kimś się spotyka i w ogóle sprawia wrażenie osoby zadowolonej z życia. Olivia z całego serca życzyła Linnette, by taka właśnie była prawda.

– Co to jest? – spytała zdumiona Grace, wpatrując się w podłogę za przyjaciółką.

– Co? – Olivia obejrzała się przez ramię.

Grace wstała i podeszła do zlewu, przed którym na macie leżał duży męski zegarek na rękę.

– A to – powiedziała, podnosząc go z podłogi.

– Och, zegarek pastora Flemminga! Zsunął mu się z ręki, kiedy piliśmy herbatę. Mówił, że zapięcie przy pasku jest zepsute. Zdenerwował się, chyba ma do tego zegarka wielki sentyment. I popatrz, zaraz potem zgubił go drugi raz, kiedy odnosił filiżanki do kuchni. I nic nie zauważył.

– Jak powiedziałaś? Pastor Flemming? – spytała z wyraźnym niedowierzaniem Grace, spoglądając na kopertę zegarka. – Tu jest wygrawerowane inne nazwisko. Micah Evans. 23 czerwca 1977, w trzydziestą rocznicę wiernej służby.

– Czyli jakiś jego krewny. Prawdopodobnie pastor odziedziczył po nim ten zegarek.

– Evans... Evans... – wolno powtórzyła Grace.

– Znam to nazwisko. Tylko skąd?

– Ja nie znam – oznajmiła Olivia. – Pastor na pewno bardzo się zdenerwował zgubą. Zadzwoń do niego i powiem, że zegarek jest u mnie.

– Wyjęła z szuflady książkę telefoniczną i otworzyła na literze F.

– Dzwonisz do kancelarii parafialnej? – spytała Grace.

– Najpierw zadzwonię do domu. Co prawda pastora na pewno tam nie ma, bo wspominał mi, że gdzieś się spieszy, ale zaraz po jego powrocie żona przekaże mu wiadomość. A jeśli zadzwonię do kancelarii, powiedzą mi o tym dopiero jutro. Zaraz... o, już mam. Flemming, D., Sandpiper Way 8.

– Wystukała numer i po chwili odebrała Emily Flemming.

Olivia szybko wyjaśniła, w czym rzecz, na co żona pastora spytała:

– Złoty zegarek? Dave'a?

– Tak, pani Flemming. Zsunął się z ręki pani męża, kiedy był u mnie.

– Och...

Dziwne, ale jej głos wyraźnie zadrżał.

– Zegarek znalazłam przed chwilą, dlatego dzwonię dopiero teraz.

– Dziękuję, że mnie pani o tym powiadomiła. Do widzenia.

Te słowa z kolei pani Flemming wypowiedziała szeptem, dlatego Olivia po odłożeniu słuchawki powiedziała w zadumie:

– Wiesz co, Grace? Coś mi się wydaje, że między pastorem Flemmingiem a jego żoną nie jest najlepiej.

– Nie mów! A dlaczego?

– Tego nie wiem... – Olivia głośno zamknęła książkę telefoniczną. – Ale jeszcze wspomnisz moje słowa. Flemmingowie mają problemy.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Emily Flemming po zakończeniu rozmowy z sędzią Griffin co najmniej przez dziesięć minut stała jak słup soli, zagryzając dolną wargę. Zrobiła to na tyle mocno, że poczuła smak krwi. Ta wiadomość o znalezionym zegarku... złotym zegarku...

Szok.

– Mamo! Już jestem!

Drzwi frontowe trzasnęły, do kuchni wpadł Matthew, rzucając plecak na podłogę. Tuż za nim wbiegł do kuchni młodszy brat.

– Jestem głodny!

Zwykle Emily miała przygotowane coś do jedzenia dla synków, kiedy wrócą ze szkoły. Tego jednak dnia, wstrętnego dnia, z powodu tylu zmartwień zapomniała o tym na śmierć.

Ale w porządnym domu zawsze coś się znajdzie. Szybko sięgnęła po dwie serwetki i duży plastikowy pojemnik w kształcie beczułki z precelkami, które kupiła poprzedniego dnia w Costco.

Mark nie był zachwycony.

– Ojej – zajęczał. – A nie mogą być ciasteczka?

– Nie, bo nie powinieneś zażerać się ciastkami, ty głupku – wymamrotał Matthew.

Ponieważ Emily nie zareagowała natychmiast, zareagował Mark:

– Mamo! On mnie nazwał głupkiem!

– Matthew! Żeby mi to było ostatni raz! – skarciła starszego syna Emily, nie zabrzmiało to jednak szczególnie groźnie. Ale co się dziwić. Po takich przeżyciach Emily nie tryskała energią.

Rozłożyła na stole serwetki i na każdą z nich wysypała górkę precelków. Do tego sok, tak jak chłopcy lubili, w małych kartonikach, ze słomką.

– A tato o której wróci? – spytał Mark tuż przed wepchnięciem do buzi kilku precelków naraz.

– Ja... dokładnie nie wiem.

– A co będzie na obiad? – dopytywał się Matthew.

Emily szybko spojrzała na kuchenkę. Na obiad miały być lasagne. W chwili, gdy zamierzała dodać nadzienie pykające w rondlu na wolnym ogniu, zadzwonił telefon. Wyłączyła więc palnik i podniosła słuchawkę. Po rozmowie z sędzią, przetrawiając uzyskaną informację, kompletnie o lasagne zapomniała. Bo ta informacja była przerażająca, dzięki niej wszystko nabierało jeszcze większego sensu i niestety utwierdzała w przekonaniu, że jej podejrzenia wobec Dave'a są słuszne.

– Mamo! – zawołał ponownie Matthew. – Co na obiad?

– Coś do jedzenia, głupku – powiedział Mark.

– Nie nazywaj tak brata! – skarciła go matka.

– Ale on nazwał mnie tak pierwszy!

Emily czuła, że dłużej już tego nie wytrzyma.

– Marsz do pokoju! – krzyknęła, wskazując ręką korytarz. – Każdy do siebie! Natychmiast!

Przy Sandpiper Way każdy z chłopców miał swój pokój. Jeszcze jedna z wielu zalet tego domu.

– Mamo! – zawołał Matthew. – Przecież dopiero przyszliśmy ze szkoły!

– Możecie zacząć odrabiać lekcje!

– A co z naszą godziną kształcenia?

- W porządku. Najpierw godzina kształcenia, potem odrabianie lekcji.
- Ekstra!

Nie lubiła tego „ekstra”, tępiła, tym razem jednak puściła mimo uszu.

Chłopcy wzięli plecaki i powlekli się na górę. Emily odczekała, aż trzasną i jedne, i drugie drzwi, po czym podeszła do telefonu, żeby drżącymi palcami wystukać numer kancelarii parafialnej. Sekretarka odebrała natychmiast.

– Kościół Metodystów w Cedar Cove – odezwała się ładnym, modulowanym głosem. – Czym mogę służyć?

– Tu Emily – powiedziała, starając się usilnie, by zabrzmiało to choć w miarę spokojnie. – Angel, czy jest może Dave?

– Witaj, Emily. Niestety, nie ma go. Nie było go przez całe popołudnie. Zadzwoń na komórkę, na pewno ją ma. Widziałam, brał ją ze sobą, gdy wychodził.

– Komórka w przypadku Dave’a to i tak nic pewnego – powiedziała Emily, siląc się na żart, mając jednocześnie nadzieję, że Pan Bóg wybaczy kłamstewko. – Albo ją wyłączy, albo bateria padnie.

– Chwileczkę.

– Tak... – Usłyszała szelest przewracanych kartek, czyli Angel przeglądała terminarz pastora.

– Mam zanotowaną wizytę u sędziny Griffin. Na pewno wiesz już, że wypisano ją ze szpitala.

– Wiem. O której Dave miał do niej pójść?

– O czwartej. Tak jest tu napisane.

– O czwartej... – No tak. To, co usłyszała od sekretarki, całkowicie potwierdzało jej podejrzenia.

– Dzięki. Do widzenia.

Emily odłożyła telefon. Czowała się tak, jakby dostała obuchem w głowę. Była kompletnie oszołomiona, a nawet odrętwiała, szare komórki przestały działać. Trwało to chwilę, po upływie której zaczęła wolnym krokiem podążać w stronę zlewu. Po drodze spojrzała na ugotowany już makaron lasagne, uwielbiany przez Dave'a. Wciąż prosił, by zrobiła to na obiad. Więc zrobiła. Głupia, naiwna żona, która chce zrobić przyjemność mężowi.

Godzina czwarta.

W terminarzu zapisał, że o czwartej będzie u sędziny Griffin, a przecież rano, gdy wychodził z domu, powiedział, że wróci późno, bo o szóstej idzie odwiedzić Olivię Lockhart– Griffin. A najprawdopodobniej był u niej jeszcze przed czwartą.

Wyobrazenie sobie tego, co Dave robi podczas tych wielu godzin po wizycie u sędziny, nie sprawiało Emily większych trudności. Był z jakąś kobietą, której oczywiście nie wpisał do terminarza. Bo niby z jakiego innego powodu jej mąż, pastor, miałby ją okłamywać?

– Mamo? – W drzwiach do kuchni pojawił się Matthew. – U ciebie wszystko w porządku?

– Oczywiście, synku – odparła, zmuszając się do uśmiechu. – A dlaczego pytasz?

– Bo masz taką dziwną minę.

– Naprawdę?

Niedobrze. Emily natychmiast podjęła rozpaczliwą próbę całkowitego zrelaksowania się.

– Co powiecie, gdybyśmy zjedli obiad na mieście?

– Super! – zapiał Mark, pojawiając się obok brata.

– Możemy jechać do McDonalda!

– Oczywiście.

Emily spojrzała na rondel z nadzieniem, na pewno już całkiem zimnym, spojrzała na górkę startej mozzarelli na talerzu i jednym zdecydowanym ruchem odkręciła kran z zimną wodą i włączyła rozdrabniacz odpadków.

– Mamo! Co ty robisz?!

– Przypaliłam. Nie nadaje się do jedzenia.

Jako pierwsze unicestwiła nadzienie z siekanego mięsa, cebuli, pomidorów i ziół. Zabulgotało obrzydliwie. Zaraz potem do nadzienia dołączył ser mozzarella, na koniec makaron lasagne.

– Mamo! – powiedział bardzo głośno Matthew.

– Ja naprawdę lubię lasagne!

– Nie martw się, synku. Zrobię ci lasagne może nawet już jutro.

Tak, jutro. Bo dziś makaronu nie będzie. Wyrzuciła go, czując przy tym dziwną, wręcz perwersyjną radość. Być może później tego pożałuje, ale teraz musiała to zrobić, musiała poczuć tę gniewną satysfakcję.

– A dziś, jak ustaliliśmy, jedziemy do McDonalda.

– A co z tatą? – spytał Matthew.

– Tata sam zadba o siebie.

– Ale...

– Wróci dziś później – poinformowała synów.

– Znowu?! – zapytali chórem.

– Tak. A teraz szybko wkładajcie kurtki! Piorunem! Lecimy!

Udawała, że jest bardzo podekscytowana, a jednocześnie dyskretnie ocierała oczy, w których zaczynały się kręcić łzy.

Ale nie popłyną, o nie. Wyprostowała się z twardym postanowieniem, że płakać nie będzie. Głowę zawsze będzie nosić wysoko. Odegra przedstawienie swojego życia. Jej mąż okłamał ją, najpewniej jest teraz z

jakaś kobietą, ale Emily nie ma zamiaru publicznie okazywać swojej rozpaczy. Albo jeszcze gorzej – upokorzenia.

– Hej, chłopaki! – zawołała wesoło, kiedy wkładała płaszcz. – Co powiecie na matkę blondynkę?

– Chodzi o włosy? – upewnił się Matthew.

– Tak. Mam zamiar ufarbować się na jasno.

– Dlaczego, mamó?

– Bo... blondynki mają zabawniejsze życie.

Chłopcy spojrzeli po sobie. Matthew wzruszył ramionami.

– Wpadnę do Get Nailed i spytam, czy zdołają mnie upchnąć jeszcze dziś. – W czwartki salon otwarty był do ósmej i zawsze istniała możliwość, że któraś z umówionych pań odwołała wizytę. I to będzie szansa dla Emily.

– Jeśli tak, to kiedy będę u fryzjerki, wy pogracie w pasażu w gry wideo. Każdy z was dostanie rulonik ćwierćdolarówek. Zgoda?

– Dobrze – zgodzili się chłopcy, ale bez większego entuzjazmu.

– A może wolelibyście poczekać u pani Johnson?

Pani Johnson opiekowała się chłopcami, kiedy Dave i Emily wychodzili wieczorem. Co nie zdarzało się często. Ostatnią taką „randkę” mieli wiele tygodni temu. Nic dziwnego, pomyślała z goryczą Emily, skoro Dave najprawdopodobniej umawia się z jakąś kobietą.

Kiedy żona robi lasagne i prasuje jego koszule.

– Wolę jechać z tobą – powiedział Mark.

Emily spojrzała na starszego syna.

– A ty? – spytała.

Matthew po raz kolejny wzruszył ramionami.

– Ja też.

Chłopcy bez słowa poszli za nią do garażu i rozsiedli się na tylnym

siedzeniu vana. W radiu puszczały świąteczne piosenki, ale chłopcy zazwyczaj też śpiewali, darli się na całe gardło. Tym razem nie. Ich nastrój był adekwatny do nastroju matki. Impulsywność nie leżała w charakterze Emily, wyczuwali więc, że coś jest nie tak. Najchętniej pogadałaby z nimi, wyjaśniła, skąd u niej takie reakcje, ale wiadomo, że tego w żadnym razie zrobić nie mogła. Mogła tylko udawać.

Nie po raz pierwszy zresztą, co było straszne. Bo teraz życie jawiło się jej jak jedno wielkie udawanie. Czyli kompletna porażka.

Najpierw pojechali do banku Kitsap po ćwierć– dolarówki, potem do centrum handlowego. W Get Nailed był tłok. Emily musiała czekać dłuższą chwilę, zanim recepcjonistka wróciła na swoje stanowisko.

– Tak się zastanawiam... – zaczęła Emily niepewnym głosem, czując, że ta okropna złość, która podsyciała jej determinację, nagle zaczyna zniknąć. Teraz po prostu czuła pustkę. – Widzę, że macie mnóstwo klientek, ale może któraś z pań mogłaby mnie przyjąć. Chcę się ufarbować.

Recepcjonistka spojrzała do terminarza.

– Mogę zapytać się Rachel. Wypadła jej jedna z klientek.

– Naprawdę? – Emily odczuła to nieomalże jak jakiś znak. – Proszę jej spytać. Byłoby świetnie, gdyby znalazła dla mnie czas.

Recepcjonistka znikła, po chwili wróciła z dobrą wiadomością.

– Rachel zaprasza panią.

– Cudownie! – Wręczyła synkom po ruloniku ćwierćdolarówek, zaznaczając, że więcej nie dostaną.

Chłopcy pognali do pasażu z gramami wideo, a recepcjonistka podprowadziła ją do stanowiska Rachel, z którego, jak z zadowoleniem stwierdziła Emily, widać było cały pasaż, dzięki czemu będzie miała chłopców na oku.

– Dzień dobry. Jestem Rachel – przedstawiła się ciemnowłosa kobieta, przykrywając ramiona Emily plastikową pelerynką.

– Emily Flemming. Jakoś dotąd nie spotkałyśmy się. Zwykle podcinałam się u Teri. Gdzieś tak... do lata...

Rachel przeczesła palcami jej włosy.

– Czyli chce pani być blondynką?

– Tak. Słyszałam, że blondynki żyją pełnią życia, a ja właśnie zamierzam to zrobić. – Może i głupio to zabrzmiało, ale co tam. W tym momencie naprawdę było jej wszystko jedno.

– Świetnie. Najpierw umyjemy włosy. Zapraszam panią.

Kiedy Rachel myła i spłukiwała włosy, Emily zamknęła oczy, starając się nie myśleć o niczym, zrelaksować się. Co było jednak niewykonalne, ponieważ myśli, jedna okropniejsza od drugiej, z szybkością błyskawicy przemykały jej przez głowę. Nie mogła ich powstrzymać.

A kiedy Rachel zabrała się do farbowania, w głowie Emily pojawiła się jeszcze jedna myśl, i to niezwykle istotna. Gdy analizowała rozmowę z sędzią, skupiła się na godzinach, to znaczy o której Dave miał tam pójść, o której faktycznie poszedł, gdzie był, kiedy tam nie poszedł.

Ale zapomniała o tym, co najważniejsze. Dave nie ma złotego zegarka. W każdym razie Emily nic o tym nie wiedziała. A tu okazuje się, że ma, a ponieważ na tak drogą rzecz go nie stać, ktoś mu musiał ten zegarek podarować.

Kobieta.

Złoty zegarek. Ostatnia kropla goryczy. Koniec z ociąganiem się w kwestii pytań. Nastąpią, bo ma już po dziurki w nosie tego udawania, że wszystko w porządku. Ma dość nadstawiania drugiego policzka. Duma, udawanie obojętności – to tylko maska dla innych, ale Dave’owi należy

zademonstrować prawdę. Zażądać wyjaśnień, a potem zastanowić się, co dalej.

Kiedy Rachel skończyła, Emily z trudem poznawała samą siebie. Proste ciemne włosy należały do przeszłości. Zastąpione zostały krótką fryzurką koloru blond. Bardzo blond.

– Znakomicie pani wygląda – powiedziała Rachel. – Przyznam się, że na początku miałam pewne obawy, ale teraz widzę, że to strzał w dziesiątkę.

– Dziękuję.

Emily zapłacała, pojękując w duchu. Ale trudno, to jedno jej szaleństwo nie doprowadzi ich do ruiny. Dave musi się z tym pogodzić. Poza tym ciekawe, jak teraz gospodaruje pieniędzmi. Może faktycznie, zgodnie z sugestią matki, powinna sprawdzić jego płatności kartą kredytową.

Matthew i Mark czekali na nią przed Get Nailed, a kiedy wyszła z salonu, po prostu ich zamurowało.

– No i jak? – spytała, poklepując się po nowej fryzurce. – Co o tym sądzicie?

– Bo ja wiem... wyglądasz całkiem inaczej – mruknął Matthew.

– Ale ładnie, prawda? – Emily spojrzała na Marka, mając nadzieję, że chociaż od niego usłyszy coś pozytywnego.

Tymczasem młodszy synek oświadczył:

– Nie wyglądasz już jak moja mama.

– Ale nadal nią jestem. A teraz idziemy coś zjeść. Na pewno jesteście okropnie głodni.

Matthew i Mark błyskawicznie pochłonęli hamburgery i frytki, po czym pobiegli na plac zabaw. A Emily nie mogła nic przełknąć. Miała wrażenie, jakby żołądek zawiązał się na wiele węzełków. Zamówiła burgera,

ugryzła raz i odłożyła na bok.

Po powrocie do domu, kiedy wjechała do garażu, zobaczyła samochód Dave'a, a w drzwiach z garażu do kuchni samego Dave'a.

Chłopcy natychmiast wyskoczyli z auta i pognali do ojca, który mocno ich wyściskał.

– Gdzie byliście? Nie... – Nagle urwał zszokowany. – Na litość boską, coś ty zrobiła z włosami?!

– Mama się ufarbowała – zakomunikował Mark.

– Ale... dlaczego? Jakim cudem? – dopytywał się Dave.

– Żadnym cudem – rzuciła Emily lekko i swobodnie, kierując się do drzwi. – Po prostu byłam u fryzjera, a dokładniej u fryzjerki.

– Potem mama zabrała nas do McDonalda – uzupełnił Mark.

– Chłopcy, idźcie już do siebie – zarządził ojciec.

– Pora odrabiać lekcje.

– Ale tato! – zajęczał Mark, Matthew też, jak echo. – Przecież dopiero wróciliśmy do domu!

Jedno surowe spojrzenie ojca wystarczyło i chłopcy powlekli się do swoich pokoi. Emily poszła do kuchni. Dave za nią, dosłownie deptając jej po piętach.

– Dlaczego zmieniłaś kolor włosów? Dlaczego?

Wtedy nie wytrzymała. Przystanęła, oparła się o framugę drzwi i wybuchnęła.

– A dlaczego ty kłamiesz? Dlaczego?!

– Ja? Kłamię?

– Tak, ty! Powiedziałeś, że jedziesz do sędziny Griffin. Dziś po południu, o czwartej! I wcale tam nie byłeś o czwartej!

– Skąd wiesz?

– A stąd, że sędzina zadzwoniła do nas. Znalazła złoty zegarek, który należy do ciebie. Zgubiłeś go podczas wizyty u niej, ale nie o czwartej, tylko o wiele wcześniej! – Zauważyła jego reakcję. Dokładniej dostrzegła strach w jego oczach, który, rzecz dziwna, jednak ją zaskoczył. – A poza tym może mi wyjaśnisz, skąd u ciebie raptem wziął się złoty zegarek? Skąd?!

Dave usiadł ciężko na krześle i potarł ręką twarz.

– Emily, to nie tak, jak myślisz...

– A jak? Bo tak konkretnie to ja myślę, że w twoim życiu pojawiła się inna kobieta. Oczywiście! Jeśli zaprzeczysz, będzie to kłamstwo!

Teraz był po prostu przerażony.

– Jak możesz tak mówić, Emily! Zawsze byłaś tylko ty! Tak jest i tak będzie zawsze!

– Myślisz, że uwierzę?

– Tak.

– To się mylisz. Bo wcale nie jestem aż tak naiwna, za jaką mnie uważasz!

Dave westchnął.

– Możesz wierzyć albo nie, ale jesteś tylko ty. Nie ma żadnej innej kobiety.

– Naprawdę? A ja myślę, że to od niej masz ten złoty zegarek!

– Zegarek... – Dotknął lewego nadgarstka. – Jest u Olivii? – spytał wyraźnie zaniepokojony.

Dla Emily był to szczyt wszystkiego. Ona o zdradzie, a dla niego i tak najważniejszy jest... zegarek.

– Tak. Nie musisz się martwić – powiedziała lodowatym głosem, odwróciła się i pomaszerowała do sypialni. Drzwi huknęły, przekazując, że szanownemu małżonkowi wstęp do sypialni jest surowo wzbroniony.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Rachel Pendergast miała już zamówione klientki na cały grudzień. Chyba wszystkie panie z Cedar Cove – o pewnych panach nie wspominając – zapragnęły zrobić coś ze swoimi włosami. Ostrzyc, wystylizować, zrobić trwałą lub zmienić kolor. W związku z tym Rachel stawiała się do pracy skoro świt i do nocy nie ruszała się z salonu. Jej narzeczony Bruce i jego córeczka Jolene bardzo narzekali, że im jej brak, ale nie było rady. Ślub już w lutym i dodatkowe pieniądze były bardzo potrzebne.

Brzęczyk dał znać, że pranie w suszarce już wyszło. Rachel wyjęła ręczniki i zaczęła je składać. Kiedy odkładała ostatni, spojrzała na zegarek. Kwadrans po dziewiątej. Jakiś czas temu zadzwonił Bruce i oznajmił, że zabiera ją na obiad. Było to bardzo miłe, jednak Rachel miała tylko jedno marzenie. Klapnąć gdzieś z nogami w górze i wreszcie nic nie robić.

– Skończyłam na dziś! – zawołała do Jane, podchodząc do drzwi.

Jane, odkąd ona i jej mąż stali się właścicielami Get Nailed, zwykle wychodziła ostatnia.

Centrum zamykano o dziewiątej. W korytarzu prowadzącym do wyjścia światło było przygaszone, wszędzie puściusieńko. Jeszcze dwa miesiące temu Rachel absolutnie by to nie przeszkadzało, teraz jednak było inaczej, bo wspomnienie o tamtym strasznym wieczorze, gdy ją uprowadzono, wciąż było żywe.

Po raz pierwszy w życiu znalazła się w sytuacji aż tak niebezpiecznej. Porwało ją dwóch zbirów, którzy, jak się okazało, polowali nie na nią, tylko na Teri Polgar. Rachel znalazła się w limuzynie przypadkiem. Teri nie skończyła jeszcze pracy i zaproponowała, by James, zamiast

bezproduktywnie czekać, podrzucił Rachel do domu. Kiedy do porywaczy dotarło, że się pomylili, jej przerażenie sięgnęło zenitu. Była pewna, że i ją, i Jamesa zaraz zabiją, a ciała gdzieś wyrzucą.

Bandyci rozmawiali ze sobą w jakimś dziwnym języku. Dopiero później Rachel dowiedziała się, że byli Rosjanami. Jednak kiedy to wszystko się działo, wcale nie żałowała, że nie rozumie ani słowa, bo gdyby rozumiała, z pewnością bałaby się jeszcze bardziej.

A przecież i tak już umierała ze strachu. Przez tych kilka godzin, kiedy szykowała się na śmierć, przeanalizowała całe swoje życie. No, może nie była to analiza w dokładnym tego słowa znaczeniu, a raczej błyskawiczna ocena. Poza tym, co było trochę dziwne, miała do siebie ogromny żal, że tego ranka, ponieważ wszystko szło jej jakoś tak opornie, nie zdążyła posłać łóżka. Co robiła zawsze! A tego właśnie dnia nie posłała, w konsekwencji czego, kiedy po odnalezieniu jej ciała lub uznaniu za osobę zaginioną ci wszyscy zastępcy szeryfa zwałą się do jej domu, to co tam przede wszystkim zobaczą? Nieposłane łóżko! I Rachel Pendergast pośmiertnie zostanie uznana za kobietę wyjątkowo niechlujną.

Oczywiście takie myśli nachodziły ją z tych nerwów, to przez nie przejmowała się sprawą zupełnie nieważną. Zaraz jednak pochłonęła ją sprawa największego wymiaru. W chwili, gdy uświadomiła sobie, że tracąc życie, nigdy już nie zobaczy Bruce'a Peytona ani jego dwunastoletniej córki Jolene, dokonała wielkiego odkrycia. Kocha Bruce'a. Tak, kocha go bezapelacyjnie, choć zaręczona jest z pewnym oficerem marynarki wojennej, Nate'em Olsenem. Ale jej prawdziwą miłością jest Bruce.

Po dokonaniu tego odkrycia natychmiast kwestia przeżycia stała się największym priorytetem. Musi żyć, bo tylko wtedy będzie mogła powiedzieć Bruce'owi, że go kocha i chce być macochą Jolene. Chce mieć

z nim jeszcze inne dzieci i resztę życia spędzić u jego boku.

Tak zresztą się stało. Kiedy minęły chwile grozy, Rachel i Bruce wyznali sobie miłość i nagle wszystko stało się takie proste i oczywiste. Trzeba było tylko wyznaczyć datę ślubu. Jolene, mała romantyczka, zaproponowała ceremonię w walentynki, jednak Rachel nie wyobrażała sobie, by mogła ze wszystkim zdażyć do święta zakochanych i zaproponowała kwiecień. Bruce był za grudniem, chciał, by nowy rok rozpoczęli już jako mąż i żona. W rezultacie wybrano złoty środek, czyli luty, dzięki czemu Jolene poczuła się usatysfakcjonowana.

Rachel po jakimś czasie jednak nie. Czekać dwa i pół miesiąca? Tragedia. Była gotowa zostać żoną Bruce'a i pełnoetatową matką Jolene już teraz. Natychmiast.

Kiedy w mrocznym korytarzu przemknął jakiś cień, od razu spanikowała. Na szczęście okazało się, że to ochroniarz, ale Rachel i tak znacznie przyspieszyła kroku. Niebawem dotarła do drzwi, za którymi czekał Bruce, przechadzając się tam i z powrotem. Na widok Rachel oczywiście uśmiechnął się tym swoim uroczym, niespiesznym uśmiechem, i jak zwykle koło niebieskich oczu pojawiały się drobniutkie zmarszczki. Z tym uśmiechem Bruce jeszcze bardziej wyglądał... tak po amerykańsku. I tak pociągająco.

– Długo czekałeś? Przepraszam, ale dopiero skończyłam robotę. – Mówiła mu nie raz, że może sama wracać do domu, ale Bruce, kiedy tylko mógł, przyjeżdżał do salonu i odprowadzał ją do samochodu. Porwanie wystraszyło go tak samo jak Rachel. Zaproponowała mu więc, żeby czekał w środku, w centrum, ale on wolał w samochodzie słuchać radia. – Na pewno zmarzłeś! – Przyłożyła ciepłe dłonie do jego zimnych uszu i wspięła się na palce, żeby go pocałować.

- Hm... – szepnął cicho Bruce i przytulił ją do siebie.
- Stęskniłam się za tobą – mruknęła Rachel w jego pierś.
- A ja za tobą. Długo jeszcze będziesz pracować do nocy?
- Wiesz dobrze, że o tej porze zawsze mamy młyn. Po świętach będę luźniejsza.

To zdanie Bruce słyszał od niej codziennie.

Rachel wzięła go pod rękę i ruszyli w stronę jej samochodu.

- No tak... święta... – rzucił jakby z niesmakiem Bruce.

– Tylko niech pan nie narzeka, panie Peyton! Uwielbiam Boże Narodzenie, Jolene tak samo!

Bruce potrząsnął głową.

– Nie rozumiem, dlaczego kobiety przepadają za tymi wszystkimi świętami, a już Boże Narodzenie po prostu kochają.

- Och, nie musisz rozumieć. Przyjmij, że tak po prostu jest.

Bruce zaśmiał się.

- Masz wielki wpływ na moją córkę. Powiedziała dokładnie to samo!

Rachel, gdy pięć lat temu poznała małą Jolene, wówczas uczennicę klasy drugiej, od razu wyczuła, jak bardzo dziecko łaknie bliskości dorosłej kobiety. Rosło przecież bez matki. Rachel przyjęła więc na siebie rolę starszej przyjaciółki, a w razie potrzeby i matki, co bardzo jej się podobało.

Objęła Bruce'a, przytuliła się do niego.

- Lunch na pewno jadłaś. A potem? – spytał.

– Potem nic.

Nie musiała mówić, bo okropnie zaburczało jej w brzuchu.

– Barbecue House jest jeszcze otwarty. Może wpadniemy tam? – zaproponował Bruce.

Mówił o otwartej na początku tygodnia restauracji, która mieściła się

w tym samym lokalu, gdzie przedtem był Taco Shack. Podobno nadal kolejka była aż na ulicę. Rachel czytała w „Chronicle”, że Barbecue House prowadzi to samo małżeństwo, które prowadziło Taco Shack, jedną z jej ulubionych knajpek. Kiedy ją zamknięto, była bardzo niezadowolona, co nie znaczy, że nie ciekawiło jej, jak jest tam teraz. Chętnie by zajrzała do nowej knajpki, ale nie dziś, kiedy ze zmęczenia po prostu pada na twarz.

– Dzięki, Bruce, ale jestem kompletna dętka. Wybierzemy się tam w przyszłym tygodniu, zgoda?

– A masz w domu coś do jedzenia?

– Oczywiście. W zamrażarce jest kilka filetów z kurczaka w cieście. Wrzucę do mikrofali i gotowe. Możemy jeść.

– Niestety, nie mogę być u ciebie długo.

– Gdzie jest Jolene?

– Na łyżwach. Pozwoliłem jej jeździć do wpół do jedenastej. Potem matka Carrie, jej koleżanki, odwiezie ją do domu.

– Czyli mamy dla siebie prawie godzinę.

Uśmiechnęli się do siebie bardzo ciepłutko, po czym Rachel wsiadła do auta. Bruce poczekał, aż zniknie drzwi, i pobiegł do swojego wozu. Pod jej dom podjechali niemal jednocześnie. Rachel, gdy weszła do środka, powiesiła płaszcz, zebrała z podłogi listy oraz gazetę i pomaszrowała do kuchni. A Bruce, jak to miał w zwyczaju, włączył telewizor i z pilotem w ręku wyciągnął się na sofie. Przelatywał po kanałach, zatrzymując się na dłużej na jakimś show czy wiadomościach.

Absolutnie nie był romantykiem. Nie obsypywał Rachel słowami miłości. Po prostu kochał ją, a ona była tego świadoma. Nie wątpiła w miłość Bruce’a ani przez minutę.

Kiedy kurczak podgrzewał się w mikrofalówce, przejrzała pocztę.

Kilka kart świątecznych, jak zwykle rachunki, a na koniec kwadratowa czerwona koperta. Z San Diego. Nazwiska nadawcy nie było, tylko stempel poczty wojskowej, czyli wiadomo, kto to przysłał.

Nate Olsen.

Spotykali się prawie przez trzy lata. Nate służył w marynarce wojennej. Rachel poznała go na Aukcji Psów i Kawalerów zorganizowanej przez Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami. Przez jakiś czas myślała, że to prawdziwe uczucie z obu stron, póki się nie zorientowała, dlaczego Nate się nią zainteresował. Oczywiście podobała mu się i tak dalej, ale głównym powodem było to, że związek z taką osobą jak ona może okazać się korzystny dla jego przyszłej kariery politycznej. Pochodził z bogatej, wpływowej rodziny, więc małżeństwo z „prostą” kobietą mogło przysporzyć mu wielu wyborców z niższych klas społecznych.

Do kuchni wszedł Bruce.

– Coś się stało, Rachel?

Powiedzieć mu o karcie od Nate’a czy nie? Krótka chwila namysłu... i zapadła decyzja na „tak”. Jej związek z Bruce’em od początku oparty był na szczerości i wzajemnym zaufaniu.

– Chyba Nate przysłał mi życzenia na święta.

Bruce na moment przechwycił jej spojrzenie, ale nie komentował, pozwolił sobie tylko na krótkie pytanie:

– Otworzysz tę kopertę?

– Pewnie tak... A może nie chcesz, żebym otwierała?

Wzruszył ramionami, dając do zrozumienia, że dla niego naprawdę nie jest to sprawą życia i śmierci.

– No wiesz! Ale ty jesteś, Bruce! Przecież teraz powinien nastąpić wybuch zazdrości!

Uśmiechnął się, trochę jednak krzywo.

– Nie ma potrzeby. W końcu masz już na palcu pierścioneł zaręczynowy ode mnie.

– Tak, ale...

– I kochasz mnie – stwierdził z niezachwianą pewnością.

Czemu ona absolutnie nie mogła zaprzeczyć.

A Bruce rozgadał się:

– Miałaś szansę wyjść za Nate'a. O ile sobie przypominam, sam zachęcałem ciebie, żebyś przyjęła jego oświadczenia. W sumie to na pewno miał ci więcej do zaoferowania niż ja.

– Zgadza się. Popierałeś go gorąco, a ja, o ile sobie przypominam, bardzo się wtedy wściekłam.

Do dziś jego nieszczęsne porównanie mocno ją irytowało. Bo i co tu porównywać! Bruce miał do zaoferowania coś najcenniejszego. Miłość bezwarunkową, największą, jaką może obdarzyć człowieka drugi człowiek.

Jego uśmiech stał się szerszy.

– Kochasz mnie – powtórzył z naciskiem – i nic tego nie zmieni.

Rachel też uśmiechnęła się, po czym pogroziła mu palcem.

– A ty, kochany, nie bądź taki pewny siebie! Wiadomo, że kobiety lubią zmieniać zdanie!

Wziął krakersa z pudełka stojącego na blacie, ugryzł, przełknął i oświadczył:

– Ty nie zmienisz. Gdybyś tego chciała, zrobiłabyś to wcześniej.

– Tak sądzisz?

Ostrożnie rozerwała kopertę, wyjęła błyszczący, kolorowy karnet i rozłożyła go tak, żeby Bruce nie widział, co jest napisane, i zaczęła czytać. Robiła to bardzo powoli, wpatrując się w każde słowo. Oczywiście,

specjalnie.

– No i jak? – spytał Bruce po dłuższej chwili. Gdy Rachel bez słowa powolutku zamknęła karnet, odłożyła na blat i ruszyła do mikrofalówki, spytał już trochę głośniej: – No i co tam napisał? – Ruszył za nią krok w krok ku mikrofalówce.

– Na pewno chcesz wiedzieć?

– Jeśli chcesz mi zdradzić, co tam jest, to posłucham. Czemu nie?

Odetchnęła głęboko.

– Och, Nate zawsze będzie mnie kochać. Nasze rozstanie było największą katastrofą w jego życiu. A jednak na dzień zdruzgotanego serca Nate'a tli się wąty płomycek nadziei, że jeszcze raz zastanowię się nad swoją decyzją.

Oczy Bruce'a pociemniały, natychmiast odłożył krakersa.

W tym momencie zabrzączał minutnik i Rachel wyjęła z mikrofalówki kawałki kurczaka w cieście.

– Jeśli chcesz, przeczytaj sam – rzuciła przez ramię, wyjmując z szafki dwa talerze.

– Nie będę zaglądał do cudzej korespondencji.

– Ale ja ci pozwalam!

Bruce energicznie pokręcił głową.

– Nie. To do ciebie.

– Proszę, jaki porządny! – zażartowała i sprawa karnetu jakby została załatwiona.

Rachel ustawiła talerze na niewielkim stole, przyniosła sztucce i kurczaka, po czym oboje zasiedli do jedzenia.

Bruce przełknął kilka kęsów i nagle oświadczył:

– No tak. Wychodzisz za mnie.

Nie zabrzmiało to jednak tak pewnie jak przed chwilą, gdy mówił o jej gorącej miłości do niego. Czyli jednak tym karnetem trochę się zaniepokoił. Rachel, owszem, karnet ten dał odrobinę satysfakcji, ale naprawdę w ilościach śladowych. W końcu, idąc za głosem serca, dokonała wyboru i była głęboko przekonana, że wybrała właściwie. Przyszłość z Bruce'em, Jolene i innymi dziećmi, którymi Bóg zechce ich obdarzyć...

– Bruce, chcę jak najszybciej zająć w ciążę.

Szybko przełknął.

– Kiedy? Dziś w nocy? Nie mam nic przeciwko temu, ale ciągle powtarzasz...

– Tak. Dopiero po ślubie. Ale powinno to nastąpić już w noc poślubną, nie później.

– Dobrze, kochanie.

Chwilę jedli w milczeniu. W pewnym momencie Rachel zauważyła, jak spojrzenie Bruce'a przemyka ku liścikowi spoczywającemu na kuchennym blacie. Wstała, chwyciła karnet i podała go Bruce'owi. Zawahał się, ale jednak przyjął go.

Przeczytał błyskawicznie.

– Chwileczkę! Przecież tu jest napisane tylko: „Wesołych Świąt, Nate”. A gdzie ta cała deklaracja o dozgonnej miłości, płomyczku nadziei i tak dalej?

Rachel na to zachichotała, po czym oznajmiła z godnością:

– A czy ja mówiłam, że o tym napisał?

– Może nie tak dokładnie, ale coś w tym sensie...

– A, kochany, bo ty niczego nie rozumiesz! Napisał krótko, ale sam fakt, że wysłał ten karnet, świadczy, że usycha z tęsknoty za mną. Trzeba umieć czytać między wierszami!

– Niech ci będzie. I niech usycha. A ty nie czytaj za wiele. Bierzymy ślub i na tym koniec! – oświadczył Bruce bezapelacyjnym tonem.

Zachwycona Rachel spojrzała na niego roziskrzonym wzrokiem.

– Bruce! Ty jesteś o mnie zazdrosny. Jesteś!

– Wykluczone...

Nie, nie była głupia, dlatego odczekała.

I warto było.

– No... może trochę – przyznał po chwili. – A powinienem?

Kiedy zobaczyła w jego oczach niepewność, zrobiło jej się przykro. Wystarczy już tych głupich żartów.

– Nie, Bruce. Absolutnie nie ma żadnych podstaw. Nate definitywnie odszedł z mojego życia, a ja jestem nieprzytomnie zakochana w pewnym panu, który nazywa się Bruce. Bruce Peyton.

Uśmiechnął się jakby trochę nieśmiało, jednak głos miał twardy, stanowczy:

– Wiedziałem to. Wiedziałem!

Rachel posłała mu promienny uśmiech.

– No i widzisz, kochany, że czasami warto porozmawiać o uczuciach, prawda? – Mówiła to bardzo serio. Jej narzeczony nie był w tej dziedzinie zbyt elokwentny, troszkę więc trzeba było go pogonić, by od czasu do czasu wyraził słowami to, co mu w duszy gra. A raczej w sercu.

– W takim razie – oświadczył – do końca życia codziennie będę ci mówił, że cię kocham. Tak będzie dobrze?

Kolejny promienny uśmiech.

– Bardzo dobrze.

– A teraz pogadamy o powiększaniu rodziny.

– O tak!

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

– Miała pani rację co do tego robienia na drutach.

Głos zdawał się dobiegać znikąd. Zaskoczona Faith Beckwith poderwała głowę znad książki z wzorami robótek, którą właśnie przeglądała, siedząc przy stoliku w Patchworkowej Żyrafie, i jak się okazuje, tylko po to, by po raz kolejny natknąć się na córkę Troya!

– O, Megan! To pani!

Miała nadzieję, że w jej oczach, w końcu zwierciadle duszy, nie widać szoku. Bo to był jednak szok i potrzebowała chwili na pogodzenie się z faktem, że istotnie obok niej stoi nie ktoś inny, tylko córka Troya.

– Jak się pani czuje, Megan?

– Całkiem nieźle. – Zniżając głos, udzieliła jeszcze jednej informacji:
– W tej ciąży czuję się całkiem inaczej niż podczas pierwszej.
– Cieszę się, że to słyszę – powiedziała Faith również przyciszonym głosem, ucieszona tym, co właśnie usłyszała od Megan.

Która dodała:

– Nikomu jeszcze nie powiedziałam o dziecku. Tylko Craigowi, no bo komu jak komu, ale mężowi musiałam powiedzieć!

– Naturalnie!

– Mój ojciec i teściowie jeszcze nie wiedzą. Przyznam się, że jest mi bardzo trudno trzymać to w tajemnicy przed ojcem.

– To dlaczego pani mu nie powie?

– Bo... – Megan przysunęła sobie krzesło bliżej Faith i usiadła. – Bo tata jest mi naprawdę bliski i nie chcę go niepotrzebnie martwić. Wolę odczekać, chociaż mam przeczucie, że tym razem wszystko będzie dobrze.

– Na pewno – zapewniła żarliwie Faith. – A jeśli chodzi o pani ojca, to moim zdaniem sama pani poczuje, kiedy nadejdzie właściwy moment, by powiedzieć mu, że zostanie dziadkiem. Tak samo teściom. – Wcale nie było jej łatwo mówić o Troyu jak o kimś obcym. Ale cóż...

– Ma pani rację. Tak się cieszę, że panią spotkałam – powiedziała Megan, stawiając na stoliku gigantyczną torbę. – Naprawdę bardzo mi pani pomogła, kiedy byłam w poradni.

– Szczerze mówiąc, był to mój pierwszy dzień w nowej pracy!

– Żartuje pani!

Faith zaśmiała się cicho.

– Wcale nie!

– Byłam kompletnie roztrzęsiona, tylko dzięki pani dałam radę jakoś się pozbierać. Ale to nie wszystko. Powiedziała pani o tym robieniu na drutach. I faktycznie, to rewelacja! Za każdym razem, kiedy przychodzą mi do głowy różne złe myśli, łapię za druty. To pomaga. Proszę mnie źle nie zrozumieć, ale myślę, że coś takiego na pewno podsunęłaby mi moja matka.

– Oczywiście. Pani matka ze wszystkich sił starałaby się podtrzymać panią na duchu.

– Na pewno... Tak bardzo mi jej brak...

Megan pociągnęła nosem i natychmiast zaczęła szperać w przepastnej torbie, niewątpliwie w poszukiwaniu chusteczek.

– Przepraszam panią, ale rozszalały się moje hormony. Oczy mam w mokrym miejscu!

– Ze mną było podobnie, kiedy byłam w ciąży – powiedziała Faith. – Pamiętam, jak oglądałam powtórkę starego sitcomu „The Mary Tyler Moore Show”. Akurat w tym odcinku umierał klaun Chuck– les. Niby tragedia, ale przecież to sitcom, więc się śmiałam, a jednocześnie płakałam jak bóbr.

– Lubi pani ten sitcom? Naprawdę? – Meg była wyraźnie poruszona. – Moja mama go uwielbiała. Kiedy odwiedzałam ją w domu opieki dla przewlekle chorych, oglądałyśmy go razem. Wiem, o którym odcinku pani mówi. – Megan wyjęła z torby robótkę. Jak zapowiadała, robiła kocyk dla maleństwa. – Przyszłam tu z nadzieją, że ktoś mi pomoże.

– Popatrzmy... – Bystre oko Faith od razu wyłowiło błąd. Był w połowie rządka, a to niedobrze.

– Chyba opuściłam jedno oczko – powiedziała Megan. – Nie mam pojęcia, co z tym fantem zrobić.

– Zaraz coś wymyślimy... – Faith wyjęła szydełko, wyłapała krnąbrne oczko i upchnęła wełnę na właściwym miejscu. – Gotowe. Może pani kończyć rząddek. Widziała pani, jak to zrobiłam?

– Tak, patrzyłam bardzo uważnie. Będę musiała kupić szydełko.

– Koniecznie. Bez tego ani rusz!

– Kupię jeszcze dziś. Dziękuję pani za pomoc!

– Cała przyjemność po mojej stronie – odparła elegancko Faith, po czym, co może już nie było zbyt uprzejme, zerknęła na swoją książkę. To przykre, ale rozmowy z Megan wpływały na nią fatalnie. Patrzyła na córkę, widziała ojca i znów zaczynała o nim myśleć, tęsknić...

– Proszę pani... – Słowa Megan zabrzmiały dziwnie nieśmiało. – Oczywiście wiem, że w poradni jest pani w pracy... Poza tym tak naprawdę to my się nie znamy, ale...

– Ale co?

– Czy nie mogłabym zajrzeć tam czasem, żeby po prostu z panią porozmawiać?

– Jak ze znajomą? – spytała Faith z uśmiechem.

– Tak, właśnie tak! – Megan skwapliwie pokiwała głową. – Kiedy

pani ma przerwę na kawę albo na lunch?

A więc powstał poważny problem. Jeśli Troy się dowie, że się zaprzyjaźniły, zapewne nie Megan, ale ją uzna za inicjatorkę. Zacznie podejrzewać, że Faith próbuje dotrzeć do niego okreśną drogą, co oczywiście całkowicie rozmijało się z prawdą.

– Nie, w pracy nie – stwierdziła Megan. – Nie powinnam pani przeszkadzać. Może mogłybyśmy spotkać się czasami gdzieś indziej, poza poradnią?

– Naturalnie – odparła Faith. Nie było przecież powodu, żeby odmówić. – Na przykład tutaj, w Patchworkowej Żyrafie. Z przyjemnością pomogę pani w robocie na drutach. A ten kocyk jest prześliczny. Mogę panią nauczyć, jak zrobić buciki i czapeczkę. Będą potrzebne, kiedy będzie pani wracać z maleństwem ze szpitala do domu.

Megan rozpromieniła się.

– Naprawdę?

– Oczywiście. Mam bardzo dobre wzory, korzystam z nich, kiedy w rodzinie pojawia się nowe dziecko. Możemy spotkać się tutaj, posiedzimy sobie przy tym stole. Tu właśnie zbierają się panie, kiedy organizowane są różne kursy.

– Cudownie, Faith! – wykrzyknęła Megan i zaraz się spłoszyła. – Przepraszam. Nie wiem, czy tak mogę! Faith? Tak po prostu?

– Oczywiście, Megan. Mówmy sobie po imieniu, będzie mi bardzo miło.

Umówiły się na następny tydzień, choć Faith miała mieszane uczucia. Spotkanie się z córką Troya było jej bardzo nie na rękę, jednak z drugiej strony Megan po poronieniu potrzebowała oparcia psychicznego w drugiej kobiecie, starszej i doświadczonej. Po prostu bardzo brakowało jej matki.

Ale co pomyśli o tym Troy?

Jego sprawa. Bez sensu tak się tym przejmować. Między nimi wszystko skończone, a Megan jest dorosła i ma prawo dobierać sobie znajomych. A że to właśnie Faith... Trudno, tak się zdarzyło. Troyowi nic do tego.

Po powrocie do domu zaparzyła herbatę i rozsiadła się w pokoju dziennym. Udało jej się kupić bardzo ładną wełnę w kolorach ziemi. Postanowiła zrobić koc w geometryczne wzory. Pełna zapału chwyciła za druty, lecz właśnie w tym momencie ktoś zadzwonił do drzwi.

Było dopiero po czwartej, ale na dworze, jak to w grudniu, zapadł już zmrok, dlatego Faith zapaliła światło na werandzie, a dopiero potem spojrzęła przez wizjer.

Za drzwiami stał Troy Davis.

Czyli sprawa jasna. Dowiedział się o jej spotkaniach z Megan, Bóg jeden wie, co sobie wyobraził, w każdym razie poczuł potrzebę wkroczenia do akcji. Jeśli tak, to... niech się wypcha. Nie zamierzała nawet go wysłuchać, co ma do powiedzenia w wiadomej sprawie. Bez przesady! I bez jego oficjalnego zezwolenia ma prawo zamienić kilka słów z jego córką!

Mocno podminowana otworzyła drzwi i natychmiast poczuła sosnę. Ten zapach rozsiewał piękny wieniec, który powiesiła na drzwiach po zewnętrznej stronie.

Troy był w mundurze. Czapkę elegancko zdjął i trzymał w ręku.

– Witaj, Faith.

– Witaj, Troy – odparła uprzejmie, ale chłodno.

– Możemy chwilę porozmawiać?

Bez słowa odsunęła się na bok i Troy wszedł do środka. Od razu zauważyła, że od ostatniego spotkania schudł, może nawet kilka

kilogramów. A widzieli się całkiem niedawno. Czyżby coś mu dolegało?

W rezultacie sprawa Megan zeszła na dalszy plan. Faith wpatrywała się w Troya z napięciem, szukając oznak choroby, choć zdawała sobie sprawę, że przyczyna jest również inna. Chciała sobie na niego popatrzeć ot tak, po prostu. By było to jeszcze bardziej pogmatwane, pragnęła przy tym najgoręcej, by ten właśnie człowiek przestał ją wreszcie obchodzić. Przecież za każdym razem, kiedy pojawił się w jej życiu, kończyło się to w sposób żalospny.

– Czy mogę usiąść? – spytał, gdy weszli do pokoju dziennego.

Faith skinęła tylko głową. Wiedziała oczywiście, że zachowuje się nadzwyczaj powściągliwie, ale trudno. Była to swego rodzaju samoobrona.

Usiadła na swoim ulubionym krześle z miękkim, wyściełanym siedziskiem. Troy przysiadł tylko bokiem na pufie, czapkę nadal trzymał w ręku.

– Bardzo dobrze wyglądasz, Faith.

– Dziękuję – odparła, naturalnie bardzo oschle, choć korciło ją, żeby walnąć coś w rodzaju: Brak towarzystwa szeryfa znakomicie mi służy. Na szczęście zdążyła się ugryźć w język i żeby zająć czymś ręce, sięgnęła po druty.

– Wiesz, Faith, tak sobie pomyślałem... może byśmy się gdzieś wybrali? Dziś wieczorem... na obiad?

Szeryf miasta Cedar Cove prawie się jąkał.

Faith odłożyła druty na podolek.

– Przepraszam, ale czy dobrze usłyszałam? Chcesz zaprosić mnie na obiad?

– Tak. W Cedar Cove jest kilka naprawdę dobrych restauracji i...

– Jak śmiesz?! – Widziała, jak Troy zbladł. – Zapraszasz mnie na

obiad? Po tym, co powiedziałaś mi dwa miesiące temu, a także w zeszłym tygodniu?!

– Faith... – Zbladł jeszcze bardziej. Widać było, że opuszcza go cała pewność siebie.

– O ile pamiętam – perorowała dalej – powiedziałaś jasno i wyraźnie, że nie będziemy się już więcej widywać.

– Tak, powiedziałem – przyznał załamującym się głosem – ale nie zdawałem sobie sprawy, jakie to będzie dla mnie trudne. Kocham cię, Faith.

I co z tego? Nie miała najmniejszego zamiaru znów dać się omotać.

– Nie. Wcale mnie nie kochasz. Gdyby tak było naprawdę, nie byłbyś taki szybki w łamaniu mi serca, co weszło ci już w nawyk, a czego najzwyczajniej w świecie mam serdecznie dość. Ten drugi raz był ostatnim.

– Po wygłoszeniu exposé, unikając spojrzenia Troya, sięgnęła po druty.

– Faith, bardzo mi ciebie brak.

Jej też brakowało Troya. Ale cóż, co powiedział, to powiedział. Nie będą się już widywać! Owszem, ani przez chwilę nie wątpiła, że taką decyzję podjął tylko ze względu na córkę, która faktycznie znalazła się w bardzo trudnej sytuacji. Ale mógł to inaczej rozegrać, prawda? Poprosić o cierpliwość, zaproponować, by poczekali, a z czasem wszystko się ułoży.

Ale nawet mu to do głowy nie przyszło! Za jednym zamachem usunął ją ze swego życia. Definitywnie!

A więc w porządku. Jak definitywnie, to definitywnie.

– Nie ma dnia, żebym o tobie nie myślał – powiedział cicho Troy.

Nawet nie spojrzała w jego stronę.

– Kiedy mijam twój dom, zawsze nazywam siebie głupcem.

Tu nie wytrzymała:

– Mogłabym dodać jeszcze kilka określeń.

Nie, to wcale nie miał być żart, a jednak Troy roześmiał się.

– O tak. Na pewno!

Jej palce zacisnęły się mocniej na drutach.

– Faith, przyznam się, że trudno mi było zebrać się na odwagę i przyjść do ciebie. Ale przyszedłem, bo bardzo mi na tym zależało. Tak naprawdę wcale nie chodzi o ten obiad. Chciałbym, żebyś dała mi drugą szansę...

Usta Faith na moment zacisnęły się w cienką kreskę.

– Drugą? A może jednak trzecią?

– Trzecią?

– Pierwszy raz zламаłeś mi serce, kiedy byliśmy bardzo młodzi.

– Och, Faith, dajmy z tym spokój. Przecież wtedy ty też zламаłaś mi serce. Twoja matka mnie okłamała.

– A ty uwierzyłeś jej bez żadnych zastrzeżeń! Ze mną w ogóle nie chciałeś rozmawiać, od razu poczułeś się wolny i znalazłeś sobie Sandy!

– A ty Carla i od razu wyszłaś za niego!

Był zły, wyraźnie zły, ale Faith i tak nie zamierzała ustąpić. Milczała, w ten sposób wyrażając nieugiętą postawę.

– To zdarzyło się tak dawno, Faith – powiedział po chwili Troy. – Oboje ciężko to przeżyliśmy, ale cóż, stało się. Widocznie tak nam było pisane. Każde z nas poszło w swoją stronę. Ty wyszłaś za przyzwoitego człowieka. Ja ożeniłem się z kobietą, którą kochałem. Oboje mamy rodziny.

Tak, owszem. Ale on nie wiedział, ile nocy przepłakała, ile razy zadawała sobie to jedno pytanie: Dlaczego? Dlaczego ją porzucił, dlaczego był taki okrutny! Owszem, poznała Carla, który został jej mężem. Tylko że wcale nie było łatwo zapomnieć o Troyu, którego kiedyś kochała nieprzytomnie!

O Boże... Przecież ta miłość powoli, lecz konsekwentnie zaczyna ożywać w jej sercu...

– Po latach los znów nas zetknął ze sobą, Faith.

– A ty znowu wszystko zepsułeś.

– Zgadza się. Wybacz.

No! Przynajmniej przyznał się do winy.

– Faith, zrozum, to było niedługo po śmierci Sandy. Byłem pewien, że Megan nie zaakceptuje innej kobiety u mego boku. Jest moim jedynym dzieckiem... Faith, proszę. Moje życie bez ciebie jest takie puste. – Jego cichy głos był nabrzmiały wzruszeniem, oczy pełne smutku.

Faith poczuła, że niestety, ale zaczyna mięknąć.

– Może spróbujemy jeszcze raz? – spytał ledwie słyszalnie.

Widziała jego oczy. Patrzył z taką nadzieją...

– Troy, czy naprawdę jesteś świadomy, o co mnie prosisz? Naprawdę tego chcesz?

– Tak!

Zabrzmiało to bardzo stanowczo, w rezultacie Faith poczuła się rozdarta. Chciała mu uwierzyć, chciała jego miłości, jednak strach przed kolejnym odtrąceniem był zbyt wielki.

– To trudna decyzja, Troy. Muszę się zastanowić.

Łatwo było wyczuć, że jest rozczarowany, i to nawet bardzo, ale starał się nie dać poznać tego po sobie. Odczekał moment, a kiedy odezwał się, jego głos był spokojny, opanowany, niemal urzędowy.

– W takim razie proszę, naprawdę się zastanów. Kiedy podejmiesz decyzję, daj znać.

– Dobrze.

– A ja obiecuję, że nie będę już cię nachodził, Faith. Po prostu będę

czekał. – Podniósł się razem ze swoją czapką, której ani na moment nie wypuścił z rąk. – Sam trafię do drzwi.

Ona jednak wstała, żeby go odprowadzić. Troy szedł jak szeryf, wyprostowany, zdecydowanym krokiem. Faith wiedziała, że dotrzyma słowa. Nie skontaktuje się już z nią, będzie tylko czekał. Bo to ona ma wykonać kolejny ruch.

TTLRR

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Justine Gunderson nie mogła się doczekać, kiedy zobaczy się z matką. Ostatni raz była u niej w środę. Przez następne dni dzwoniła codziennie, czasami dwa razy, ale wpaść mogła dopiero dziś, w sobotę. Bardzo chciała pogadać z matką, głównie zresztą na ich ulubiony temat, czyli o Wiktoriańskiej Herbaciarni, w chwili obecnej w budowie. Każdy pomysł Olivii dotyczący nowego lokalu był dla Justine na wagę złota.

Matka dochodziła do siebie po operacji, na szczęście obyło się bez komplikacji. Na początku stycznia miała zacząć chemioterapię. Skomentowała ze śmiechem, że to trochę dziwny sposób na rozpoczynanie nowego roku. Powiedziała to tak zabawnie, że rozbawiła również córkę.

Po drodze Justine załatwiła jeszcze tylko kilka pilnych spraw, to znaczy odebrała rzeczy z pralni, wpadła na moment do biblioteki, a potem do sklepu, żeby kupić cukier puder do pierniczków, z których razem z Leifem budowała chatkę, a potem pojechała już na Lighthouse Road.

Zaparkowała przed domem i wbiegła po schodkach na werandę. Zapukała i otworzyła drzwi swoim kluczem.

– Mamo? Jack?

– Jestem tutaj!

Głos dochodził z sypialni. Justine pognała korytarzem. Dziwne, że matka jeszcze jest w łóżku. Oczywiście operacja pod narkozą nadwątliła jej siły, niemniej znana była z tego, że wstawała z kurami.

W sypialni panował półmrok.

– Możesz podać mi szlafrok? – spytała zaspanym głosem Olivia, siadając na brzegu łóżka.

Justine spełniła jej prośbę, po czym spytała:

– Mamo, rozsunąć zasłony?

– Tak, proszę.

Po chwili blade zimowe słońce rozjaśniło mrok pokoju.

– Mamo, a gdzie Jack?

– Poszedł zrobić wywiad. Pisze artykuł o piłce nożnej w hrabstwie Kitsap. O juniorach. Tak się złożyło, że była to jedyna pora, kiedy może zrobić z nimi ten wywiad... – wyjaśniła Olivia, mocno zawiązując pasek szlafroka. – Lada chwila tu będzie... Zaraz... a która to godzina?

– Piętnaście po dziesiątej.

– Aż tak długo spałam? Niemożliwe.

– Widocznie potrzebowałaś snu. Zrobić herbaty?

– Aha... – Olivia ziewnęła szeroko. – Tak, kochanie. Dziękuję.

Justine pewnym krokiem pomaszerowała do kuchni. W tym pięknym starym domu, w którym się wychowała, znała każdy zakamarek i wciąż czuła się jak u siebie. Nastawiła wodę w czajniku, potem z szafki wyjęła swój ulubiony biały fajansowy dzbanek do herbaty i herbatę miętową w torebkach. Pomyślała, że dla matki lepsza taka herbata niż na przykład mocna Irish Breakfast.

– Co porabia nasz Leif? – spytała Olivia, zjawiając się po dziesięciu minutach w kuchni.

– Razem z tatą pojechał do dziadków.

Justine zdążyła już postawić na stole dwie filiżanki na spodeczkach. Nalała do nich gorącej herbaty, w całej kuchni czuć było świeży zapach mięty. Olivia rozsiadła się na krześle. Nadal miała na sobie flanelową piżamę z wzorkiem przedstawiającym płatki śniegu i czerwony mięciutki szlafrok. Były to prezenty od Grace, które miały przyspieszyć powrót do

pełnej formy.

– Bardzo się cieszę, że cię widzę, Justine.

– Ja też, mamó. Chciałam wpaść wczoraj po południu, ale...

– Ależ kochanie! Tylko się nie tłumacz, przecież wiem, ile masz obowiązków. Poza tym codziennie rozmawiamy przez telefon.

Między nimi bywało różnie, ale od chwili zamążpójścia Justine bardzo się do siebie zbliżyły. Teraz ich wzajemne stosunki były znakomite i Justine bardzo uważała, żeby niczego nie zepsuć.

– Wszystko w porządku? – spytała Olivia, spoglądając znacząco na brzuch córki.

– Znakomicie! Gdybym żyła sto lat temu, pewnie bym rodziła co rok. Uwielbiam być w ciąży!

– Też byłam bardzo szczęśliwa – powiedziała Olivia z uśmiechem – kiedy nosiłam was pod sercem. Ciebie i twojego brata... – Zamilkła, w jej oczach pojawił się smutek.

Osoba postronna może by tego nie zauważyła, córka jednak wiedziała doskonale, że w sercu matki zakłuło, jak zawsze gdy wspomniała o Jordanie, bracie bliźniaku Justine, który zginął śmiercią tragiczną w wieku trzynastu lat. Justine też bardzo to przeżyła. Tak naprawdę do dziś nie pogodziła się ze stratą brata.

Ale mama koniecznie musi się rozpogodzić.

– Chcesz posłuchać, co nowego w naszej herbaciarni?

Olivia natychmiast się wyprostowała.

– Oczywiście! Opowiadaj!

– A więc... Na zewnątrz pomalowana będzie na różowo. Tak zdecydowałam.

– Na różowo... – powtórzyła z wolna Olivia i jednak sposepniała. –

Na różowo...

– Tak! Właśnie na różowo! – radośnie oznajmiła Justine. – Czy wiesz, że Seth, kiedy mu o tym powiedziałam, zareagował w identyczny sposób?

Nie dyskutował, Justine jednak wyczuła, że jej decyzję uważa za co najmniej dziwną. Była jednak święcie przekonana, że ten właśnie kolor jest najodpowiedniejszy. Oczywiście starannie przemyślała tę decyzję. Zawsze tak robiła. Zastanawiała się nad każdym, nawet najdrobniejszym detalem. A decyzje musiała podejmować niemal codziennie, siłą rzeczy więc bardzo często bywała na placu budowy. Bardzo przejmowała się tą inwestycją. Wierzyła, że jej nowy lokal wniesie wiele nowego do życia miejscowej społeczności. A już zwłaszcza okaże się potrzebny kobietom. Panie, jak wiadomo, bardzo lubią gdzieś się wybrać, na przykład na lunch. A lunch w Wiktoriańskiej Herbaciarni na pewno będzie czymś szczególnym. Już Justine się o to postara.

– Zobaczysz, mammo, że do mojej herbaciarni panie będą walić drzwiami i oknami.

Olivia uśmiechnęła się.

– Bo nietrudno będzie tam trafić! Do herbaciarni różowej jak flaming!

– Pomyłka! Mamo, to będzie przygaszony róż.

Roześmiały się, Justine jednak odniosła wrażenie, że matka do śmiechu się zmusza. W pierwszej chwili chciała podpytać, czy coś się stało, ale zrezygnowała. Może matka pokłóciła się z Jackiem, a do kłótni małżeńskiej lepiej się nie mieszać. No i gdyby naprawdę coś się stało, Olivia w odpowiednim momencie sama o tym jej powie, jeśli uzna to za potrzebne.

– Jestem trochę zmęczona – powiedziała Olivia, popijając herbatę.

– Może się położysz?

– Wiesz, że chyba tak zrobię. Ale za chwilę.

– Sięgnęła po dzbanek, żeby dolać sobie herbaty... i dzbanek zadrżał niebezpiecznie.

Justine wyjęła go jej z rąk.

– Należę ci, mamó. – Tak wielki ubytek sił bardzo zaniepokoił Justine, podobnie jak wypieki na policzkach i nerwowe zachowanie matki, która co chwilę zmieniała pozycję na krześle.

– Czy babcia skończyła już z przepisami? – spytała Olivia.

– Prawie. Robi dla nas coś naprawdę wielkiego.

Olivia z uśmiechem pokiwała głową.

– Domyślam się. Kto jak kto, ale moja mama zdolna jest do wielkich czynów!

– Zgadza się. Poprosiłam ją tylko o kilka przepisów, a zebrała już setki. Spieszy się, bo chce skończyć przed tym rejsem. Ben do komputera wpisuje każdy przepis, babcia czyta go jeszcze raz i zawsze coś tam jeszcze od siebie dodaje. Krótko mówiąc, pisze dla mnie prawdziwą książkę kucharską. Zebrała przepisy od wszystkich znajomych pań, między innymi od twojej Grace, a także od Corrie McAfee i Peggy Beldon. W tej książce będą wszystkie babcine przepisy na potrawy świąteczne. Ale wiesz, najlepsze są jej różne uwagi.

– Na przykład?

– Ot, choćby przy przepisie na bułeczki z cynamonem zaznacza, że jeśli będzie się je piec dla Jacka, nie wolno dodawać rodzyneków.

– Święta prawda! – gorliwie przyznała Olivia.

– Babcia mówiła, że to zabawne, bo przecież Jack bardzo lubi winogrona.

– Taki już jest. Ze śliwkami podobnie. Objada się nimi, ale suszonej

nie ruszy.

– No proszę! A wracając do twórczości babci... Otóż jest bardzo skrupulatna i niezwykle uczciwa. Przy każdym przepisie podaje, od kogo go otrzymała i w jakich okolicznościach. Domyślasz się, gdzie zdobyła ich najwięcej?

– Chyba tak...

– A więc wiadomo. Na stypach, na które pilnie chadza od lat. – Mimo woli uśmiechnęły się, po czym Justine podsumowała: – Krótko mówiąc, ta książka kucharska to będzie prawdziwy skarb.

– Cała babcia – mruknęła Olivia. – Jak się do czegoś weźmie, to nie popuści. Książka kucharska... A ja od dawna niczego nie ugotowałam, nie upiekłam... A Jordan tak lubi te pierniczki. Prosił, żebyśmy upiekła, ale nie ludziki, tylko takie zwyczajne okrągłe pierniczki.

Jordan. Zginął w sierpniu. Dwadzieścia lat temu.

– Mamo... bo czegoś nie rozumiem... – zaczęła ostrożnie Justine. – Jordan prosił, byś upiekła pierniczki? Kiedy?

– Jak to kiedy? – Olivia spojrzała na nią ze zdziwieniem. – Dziś rano! Justine zmartwiała. Z matką działo się coś niedobrego, coś bardzo niedobrego...

– Mamo, przypomnij sobie. Naprawdę prosił cię o to dzisiaj?

Olivia przez chwilę wpatrywała się w nią pustym wzrokiem.

– Och... oczywiście, że nie dziś. Nie wiem, skąd mi to przyszło do głowy.

Justine spojrzała na nią uważnie. Te wypieki, te lśniące niezdrowym blaskiem oczy. Na pewno ma gorączkę, i to bardzo wysoką.

– Okropnie mi się chce pić. – Olivia rozdygotaną ręką sięgnęła po filiżankę i herbata prysnęła na serwetki z motywami świątecznymi, zaraz

potem z dłoni wysunęła się filiżanka.

Justine zerwała się z krzesła i podbiegła do matki.

– Ojej, co ja narobiłam – narzekała Olivia.

– Zaraz posprzątam, mamó. A teraz chodź, koniecznie musisz się już położyć.

Olivia spojrzała na nią nieprzytomnym wzrokiem, jakby nie zdawała sobie sprawy, gdzie jest i z kim rozmawia.

Justine, podtrzymując matkę, poprowadziła ją do sypialni. Pomogła się ułożyć, przykryła kołdrą i pognała do łazienki po termometr pasek. Wróciła biegiem do sypialni, położyła termometr na czole matki i poczuła, że jest o krok od paniki. Czterdzieści stopni!

– Nie... martw się, Justine – wymamrotała Olivia.

– Jack wróci niebawem...

– Zadzwoń, żeby przyjechał tu natychmiast!

– Nie trzeba, dziecko. Prześpię się i poczuję się lepiej.

Justine nie dyskutowała, tylko pobiegła do kuchni. Poplamione herbatą serwetki naprawdę były teraz najmniejszym zmartwieniem. Musiała natychmiast zdobyć numer Jacka!

Jest! Na szczęście matka w spisie telefonów umieściła również komórkę męża. Justine wybrała numer i przestępując z nogi na nogę, błagała w duchu Jacka, by odezwał się jak najprędzej. Jeden sygnał, drugi, trzeci. Miała wrażenie, że od jednego do drugiego mija cały rok.

Gdy Jack wreszcie się odezwał, zawołała bez żadnych wstępów:

– Z mamą niedobrze! Ma gorączkę! Czterdzieści stopni! Majaczy, zaczęła mówić o Jordanie. Jack, co mam robić?!

– Skontaktuję się z onkologiem i jadę do domu – odparł bez namysłu.

– Będę za dziesięć minut.

Justine z powrotem pobiegła do sypialni, do Olivii, która rozmawiała z Jordanem. Ze śmiechem wymamrotała:

– Och, synku, zawsze rozbawisz mnie do łez!

– Mamo? – Justine z bijącym sercem przysiadła na brzegu łóżka i wzięła ją za rękę. Po chwili, kiedy usłyszała samochód jadący bardzo szybko i głośno, zerwała się na równe nogi i pognąła do pokoju dziennego, z którego widać było ulicę. Niestety, to nie był Jack, tylko jakiś gówniarz w rozklekotanym gracie bez tłumika pędził ulicą.

Po kilku minutach do domu wpadł Jack, wołając od progu:

– Justine!

– Jesteśmy tutaj! W sypialni!

Gdy zaraz tam wparował, Olivia spojrzała na niego tak, jakby widziała go po raz pierwszy w życiu.

– Jest nieprzytomna – cicho powiedziała Justine, wcale nie próbując ukryć, jak bardzo jest wystraszona. – Ma strasznie wysoką gorączkę!

– Doktor Franklin kazał natychmiast przywieźć ją do szpitala. – Porwał żonę z łóżka razem z kocem i prześcieradłem i ruszył do drzwi.

Kompletnie wyzbyta z sił Olivia nie protestowała. Justine biegła obok, przytrzymując opadający koc. Usadzili ją na tylnym siedzeniu w samochodzie. Justine usiadła obok niej. Jack wykręcił z piskiem opon i pognali do szpitala w Bremerton.

– On chyba nigdy nie dorośnie – powiedziała Olivia, zwracając się do Justine.

– Mamo, chodzi ci o Jordana?

Olivia uśmiechnęła się i oparła o miękkie oparcie fotela.

– Bez przerwy prosił o pierniczki, kiedy miał trzynaście lat. Ale żeby teraz...

Justine wzięła ją za rękę i mocno zacisnęła palce, za wszelką cenę próbując wykazać się jak największym hartem ducha. Jack dawno już przekroczył dozwoloną prędkość. Podjął rozpaczliwą próbę zbiccia gorączki, opuszczając nieco szyby, więc do samochodu wdarło się zimne grudniowe powietrze. Olivia przymknęła oczy, wystawiając rozpaloną twarz na wiatr. Justine zaczęła szczerkać zębami.

Kiedy przyjechali na miejsce, wszystko potoczyło się w zawrotnym tempie. Lekarz Olivii powiadomił już szpital, czekano więc na nią i błyskawicznie zabrano na oddział. Justine i Jack zostali w poczekalni. Siedzieli w milczeniu, aż wreszcie zjawił się doktor Franklin.

– Wygląda na to, że Olivia ma rozległą infekcję wokół cięcia operacyjnego – zakomunikował.

– Mój Boże... Ale jak mogło do tego dojść? Jak?! – spytał zrozpaczony Jack. – Przecież byliśmy bardzo ostrożni. Robiliśmy wszystko według państwa zaleceń.

– Raczej już nie dojdziemy, co było przyczyną. Teraz najważniejsze to obniżyć temperaturę. Podamy dożylnie antybiotyk.

Wyszedł, rzucając na odchodnym, że przyjdzie tu, kiedy tylko będzie mógł.

Jack był blady jak papier, z jego oczu bił paniczny strach.

– Nie powinienem był wychodzić z domu, nie powinienem... Chwała Bogu, że akurat przyszedł ją odwiedzić, chwała Bogu...

Z głębi szpitala dobiegały dźwięki świątecznej piosenki, co akurat teraz bardzo rozdrażniło Justine. Jednocześnie przypomniała sobie, że tego dnia wieczorem miała razem z Sethem ubierać choinkę.

Choinkę! Jakby miała głowę do jakichś choinek...

– Mama wyjdzie z tego – powiedziała głośno i wyraźnie, bo w takich

momentach człowiek bardzo chce usłyszeć te najważniejsze słowa.

– Tak – potwierdził Jack, nie zabrzmiało to jednak przekonująco.

Czekali. Justine zadzwoniła do Seta, żeby powiedzieć mu, co się dzieje. Zapewnił, że zajmie się Leifem jak trzeba i prosił, by gorąco pozdrowić Olivię.

W poczekalni znów pojawił się doktor Franklin. Minę miał posępną.

– Stan Olivii jest stabilny. Jak powiedziałem, na początek podaliśmy silną dawkę antybiotyku. Temperatura wyraźnie spadła. Chora leży na kocu termicznym, bo to pomaga przy zbijaniu gorączki.

– Chwała Bogu – szepnął Jack.

– Mimo że stan Olivii ustabilizował się – ciągnął lekarz – nie ukrywam, że jest to bardzo poważna infekcja. Gdyby przywieziona została cztery, pięć godzin później, już byśmy nie zdołali jej pomóc.

– Och... – Przerażona Justine zakryła dłonią usta.

– Zrobimy wszystko, co w naszej mocy. Niestety, system odpornościowy Olivii jest bardzo osłabiony. Będziemy musieli sobie z tym poradzić. Nie tylko zresztą z tym. Prawdopodobnie będzie musiała zostać w szpitalu co najmniej przez kilka dni.

Jack skinął głową.

– Chciałbym być razem z nią.

Gdy doktor Franklin też skinął głową i wyszedł, Jack podał Justine kluczyki.

– Możesz przywieźć mi z domu jakieś ubranie na zmianę? Zostaję tutaj, słyszałaś zresztą.

– Ale Jack...

– Nie ruszę się stąd. Nigdy już nie zostawię Olivii samej. Nigdy.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Shirley Bliss wyjrzała przez okno od frontu. Latarnie uliczne palą się już chyba od godziny, a Tanni jak nie było, tak nie ma. Znów spóźnia się na obiad. Odkąd poznała Shawa, zrobił się to standard. Shirley też miała okazję go poznać. Widziała go dosłownie przez chwilę, chłopaka, który ma chyba tylko imię, bo nazwisko jakoś nie przechodzi Tanni przez gardło. W ogóle córka, z niezrozumiałych dla Shirley powodów, zupełnie nie jest chętna do opowiadania matce o tym młodym człowieku.

Gdyby Jim żył, byłoby inaczej. Tanni była z ojcem bardzo zżyta. Kochała go, do dziś nie potrafi pogodzić się z jego stratą.

Shirley też, choć od jego śmierci minął już rok. Rok rozpaczony, który zaczął się tamtego dnia, w styczniu, dokładnie w chwili, gdy do jej drzwi zadzwonił młody oficer z drogówki stanu Waszyngton. Siedziała wtedy w suterenie, w swojej pracowni, zajęta nowym patchworkiem. Była zła, że ktoś przeszkadza jej w robocie.

Jim, jej mąż, wyszedł z domu przed dwoma godzinami. Był pilotem Linii Lotniczych Alaska, latał na trasie Seattle – Anchorage. Tamtego dnia pojechał na lotnisko nie samochodem, lecz ukochanym motocyklem, harleyem– davidsonem.

Shirley była bardzo zaskoczona widokiem policjanta. Nie miała pojęcia, czego może od niej chcieć. A on zaczął mówić o wypadku. Wypadku, którego jej mąż nie przeżył.

Słowa policjanta docierały do niej z trudem. To znaczy słyszała je, rozumiała ich znaczenie, ale... nie. To musi być jakaś pomyłka. Zaledwie przed dwoma godzinami Jim, nie chcąc przeszkadzać w pracy czułościami,

cmoknął ją w policzek i wyszedł z domu.

Mężczyzna, u którego boku spędziła dwadzieścia lat. Powiedziała, że wraca jutro.

A ten młody człowiek mówi, że Jim... nie żyje? Nie, to po prostu niemożliwe.

Policjant, najpewniej przyzwyczajony do takich reakcji, spytał, czy mogłaby powiedzieć mu, z kim mógłby się skontaktować w jej sprawie. Z córką albo innym członkiem rodziny. Może z pastorem albo z osobą z nią zaprzyjaźnioną...

O Boże... Shirley mocno zacisnęła powieki, starając się już nie myśleć, przynajmniej teraz, o tamtym dniu, który na zawsze zmienił jej życie i życie jej dzieci.

Spośród całej ich trójki najszybciej pozbiierał się

Nick i błyskawicznie wszedł w rolę jedynej mężczyzny w domu. Wobec matki i młodszej siostry stał się bardzo opiekuńczy. Jim byłby z niego dumny. Dzielny chłopiec... Teraz Nick przyjeżdża do domu na święta, zostanie na całe ferie zimowe. Shirley zamierzała wykorzystać jego obecność i porozmawiać z nim o Tanni.

Która po śmierci ojca bardzo się zmieniła. Zaczęła unikać ludzi, wszystkich, i rówieśników, i członków rodziny, a już w pierwszym rzędzie matki, bo dla Tanni ten wypadek to była jej wina. Gdyby matka sprzeciwiła się bardziej stanowczo, ojciec nie kupiłby tego głupiego motocykla, a tamtego dnia mogła kategorycznie zażądać, by jechał samochodem. Powinna była to przewidzieć, powstrzymać go, coś zrobić. Cokolwiek.

Tak jest podczas każdej ich rozmowy. Shirley spasowała, przestała się już bronić. Nie było sensu, skoro Tanni była ślepa i głucha na wszystkie jej argumenty. Z tym że rozmowy między nimi należały już do rzadkości.

Tanni, która poświęciła się sztuce, przebywała głównie w swoim pokoju. Jednak swoich rysunków nigdy nie pokazywała matce.

Kiedy córka zaczęła spotykać się z Shawem, Shirley była bardzo zadowolona, bo dzięki tej znajomości w Tanni znów obudziła się chęć do życia. Wreszcie miała przyjaciela, kogoś, kto był dla niej naprawdę ważny. Poznali się na krótko przed Świętem Dziękczynienia i od tej chwili stali się prawie nierozłączni.

Ale problem był. Shaw podjeżdżał pod dom, Tanni, mruknąwszy coś w stronę matki, wybiegała na dwór i znikwała na wiele godzin. Potem Shaw ją odwoził. Gdzie była i co robiła, tego Shirley nie mogła się dowiedzieć, bo każde jej pytanie budziło w Tanni wrogość, porównywała matkę do inkwizycji. Nie udzielała żadnych wyjaśnień, powtarzając tylko jak mantrę:

– Zostaw mnie w spokoju.

Ale Shirley nie mogła tego zrobić. Bała się, że psychicznie rozbita po tragicznych przeżyciach Tanni zacznie współżyć z Shawem, co może mieć określone konsekwencje. Matczyna wyobraźnia podsuwała okropne scenariusze: ciąża nastolatki, choroba, wykorzystywanie i złe traktowanie ze strony partnera. Tanni była stanowczo zbyt młoda na poważny związek. Zbyt ufna, zbyt naiwna. Zbyt mocno dotknięta przez los.

A porozmawiać z matką nie chciała, bo każda próba nawiązania rozmowy kończyła się porażką. Shirley czuła się kompletnie bezradna.

Nagle rozdzwonił się telefon. Shirley szybko sięgnęła po słuchawkę, mając nadzieję, że to Tanni. Wreszcie jak normalny człowiek dzwoni do domu, by uprzedzić, że wróci później. Albo, i tak byłoby najlepiej, córka dzwoni, by powiedzieć, że zaraz tu będzie.

Niestety, dzwonił jakiś nieznajomy mężczyzna.

– Dzień dobry! Czy mam przyjemność z panią Shirley Bliss?

– Tak. Słucham – odparła, już bliska paniki. Nieznajomy mężczyzna...

Z jakąś wiadomością?

Boże, już raz to przerabiała! Chodzi o Tanni?! Nie, tylko nie to!

– Witaj, Shirley! Mówi Will Jefferson.

Chwileczkę, spokojnie. Nie ma powodu do paniki, bo nazwisko znajome, na pewno znajome...

Po króciutkiej chwili przypomniała sobie. Jefferson... Will Jefferson, nowy właściciel galerii. Przecież miała nawet okazję go zobaczyć, kiedy odbierała czek za sprzedany kolaż. Zauważyła wtedy, że Will Jefferson jest wyjątkowo przystojny. Coś też już o nim słyszała. Urodził się i wychował w Cedar Cove, po czym wrócił tu po wielu latach, plotkowano o nim, że jest nieuleczalnym kobieciarzem.

– Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, że pozwoliłem sobie do ciebie zadzwonić? – spytał Will Jefferson.

A ona pomyślała, że nowy właściciel galerii jest jakiś taki zbyt... gładki. No i za szybki. Tak od razu na ty? Trochę się pospieszył.

– Czym mogę panu służyć, panie Jefferson?

– A nie może być Will? Proszę.

Shirley w tym momencie, owszem, skrzywiła się, ale głupio by było zaprotestować.

– W porządku. Jestem Shirley. Dzwonisz do mnie, ponieważ...

– ... niedawno kupiłem Harbor Street Gallery.

– Wiem. – Bardzo się ucieszyła, gdy galeria znalazła nabywcę. Przecież wstawiała do niej swoje prace, miała z tego określone pieniądze, a dla wielu miejscowych artystów galeria była jedynym źródłem dochodu.

– Powiedziano mi, że z tobą zawsze warto porozmawiać – wyjaśnił Will. – Oczywiście jestem bardzo zainteresowany twoimi pracami, ale

oprócz tego mam kilka pomysłów dotyczących galerii i organizacji pracy, dlatego byłbym bardzo wdzięczny, gdybyś pogadała ze mną na ten temat. Zależy mi na twojej opinii. Może znajdziesz dla mnie trochę czasu na początku przyszłego tygodnia?

– Może... – Poderwała głowę. Ktoś przyjechał, słyszała, jak głośno zamknął drzwi samochodu.

– Shirley, w takim razie co powiesz na wtorek? Odpowiada?

– Owszem. – Chciała tylko jednego, czyli jak najprędzej zakończyć tę rozmowę. Will zasugerował, żeby spotkali się w jego galerii, Shirley nie zgłaszała sprzeciwu. Uzgodnili godzinę spotkania, Shirley wpisała ją do kalendarza. Wreszcie pożegnali się, a stało się to w chwili, gdy trzasnęły drzwi frontowe.

Odłożyła słuchawkę. Widziała, jak przez korytarz przemknęła Tanni i weszła do swojego pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Shirley poszła za nią i zastukała do drzwi.

– Co znowu? – spytała opryskliwie Tanni, drzwi nie otwierając.

Shirley zdecydowała, że nie spyta o nic, bo to bezcelowe, więc tylko zakomunikowała:

– Obiad czeka.

– Już jadłam!

– Ale byłoby bardzo miło, gdybyś chociaż posiedziała ze mną przy stole. Co wieczór jadam sama, a to staje się już nudne.

Cisza.

Shirley odczekała kilka minut. Nadal żadnej reakcji, więc bardzo niezadowolona wróciła do kuchni. Na obiad ugotowała jedną z ulubionych zup Jima – kalafiorową z ziemniakami i żółtym serem. Świetne danie na zimowy wieczór.

Nalała sobie zupy do talerza, usiadła przy kuchennym stole i zgodnie ze swoim obyczajem przed jedzeniem na chwilę skłoniła głowę i zmówiła krótką modlitwę dziękczynną. Przy okazji prosząc Pana Boga, by pomógł jej dotrzeć do córki.

Kiedy podniosła głowę, zobaczyła, że do kuchni wchodzi Tanni. Świetnie, tyle że nie należy skakać z radości.

Shirley powoli strząsnęła lnianą serwetkę i rozłożyła na kolanach.

– Co to jest? – spytała Tanni, wskazując palcem szybkar.

– Zupa.

– Przecież widzę, że zupa. Ale jaka?

Zachowywała się okropnie. Shirley powinna reagować, ale nie robiła tego. Znała przecież przyczynę takiego a nie innego zachowania córki i wiedziała, że najlepiej nie zwracać na to uwagi, tylko starać się być jak najbardziej miłą i komunikatywną.

Dlatego zamiast wydzierać się, łagodnym głosem poinformowała:

– Kalafiorowa.

Oczy Tanni rozbliły. Tak samo jak Jim też przepadała za tą zupą.

– Dasz się skusić? – spytała Shirley z uśmiechem, co było błędem.

Przecież wiadomo, że Tanni na każdą jej propozycję z reguły odpowiada przecząco.

– Nie. Mówiłam, że już jadłam.

– Rzeczywiście. Przepraszam.

Shirley zaczęła jeść, już nawet bojąc się odezwać.

Jednak ta martwa cisza była nie do zniesienia.

– Miło spędziłaś czas z Shawem? – spytała ostrożnie, starając się nie zerkać na czerwoną plamkę na szyi córki.

Tanni wzruszyła ramionami.

– Chyba tak.

Shirley miała wielką ochotę spytać, gdzie byli tyle godzin, uznała jednak, że znów popełniłaby błąd, bo Tanni od razu by się schowała w swoim pokoju.

Lepiej poruszyć temat o niebo bezpieczniejszy:

– Tuż przed twoim przyjściem zadzwonił do mnie Will Jefferson, nowy właściciel Harbor Street Gallery. Chce się ze mną spotkać w przyszłym tygodniu.

– Słyszałam, że sprzedali galerię – mruknęła Tanni. – A o czym chce z tobą rozmawiać?

– Planuje pewne zmiany w galerii i chce poznać moją opinię na ten temat.

– Aha.

Sukces, bo Tanni wysunęła krzesło spod stołu i wreszcie usiadła.

Oczywiście Shirley nie dała poznać po sobie, jak bardzo jest z tego zadowolona. To znaczy była, bo zaraz pomyślała, że córka usiadła pewnie tylko dlatego, bo czegoś od niej chce.

– Jak będzie ze świętami? Mamy jakieś plany? – spytała Tanni.

– Tak – powiedziała Shirley, nic więcej jeszcze nie dodając.

– To znaczy?!

Boże, co za ton! Jak prokurator!

– Przede wszystkim przyjeżdża twój brat...

– Super.

– Poza tym odwiedzimy twoich dziadków.

Rodzice Jima mieszkali w Seattle. Dla Shirley było bardzo ważne, żeby dzieci utrzymywały z nimi kontakt.

– Do nich mogę jechać kiedy indziej!

– Oczywiście, ale ponieważ jakoś dotąd nigdy to się jeszcze nie zdarzyło, pomyślałam, że pojedziemy tam wszyscy razem. A oni bardzo czekają na naszą wizytę.

– No tak... – Tanni spochmumiała, opuściła głowę, zaczęła uważnie oglądać swoje ręce. Miała więc wszelkie symptomy osoby, która ma dylemat. W jej przypadku zapewne brzmiał następująco: Co wybrać? Obowiązek czy przyjemność?

– A ty masz jakieś swoje plany? – spytała Shirley oczywiście spokojnie, bez żadnych wyrzutów.

Tanni wzruszyła ramionami.

– Shaw i ja...

Na tym koniec.

– Może chcesz go zaprosić do nas?

Tanni poderwała głowę. Czyżby o to właśnie jej chodziło?

– Może chcę...

– A więc bardzo proszę.

– On ma talent, mamó.

Shirley nie chciała wydać się córce idiotką, ale wiadomo przecież, że człowiek może posiadać bardzo różne talenty.

– A konkretnie? – spytała.

– Sztuki piękne – poinformowała Tanni i westchnęła z ubolewaniem, jakby po raz enty musiała tłumaczyć matce coś, co jest oczywiste. – Rysuje.

Zapadła chwila ciszy, wreszcie Shirley o tak, mimochodem spytała:

– Chcesz, żebym spojrzała na jego prace?

Tanni przez dłuższą chwilę milczała zapatrzona w dal, jakby zastanawiała się nad odpowiedzią, która jednak wreszcie padła:

– Moim zdaniem jeszcze na to za wcześnie. Trzeba dać mu trochę

czasu. Powiem ci.

– W porządku.

– Chociaż... jest mały problem... – Tanni znów na moment zagłębiła się w swoich myślach.

– A jaki? – spytała ostrożnie matka.

– Te jego rysunki... mogą cię... trochę zdenerwować.

– Myślę, że jestem w stanie spojrzeć na to chłodnym okiem.

– A poza tym to ja sobie tak pomyślałam...

Teraz, o dziwo, opryskliwa Tanni sprawiała wrażenie speszonej.

– Co sobie pomyślałaś?

– No... że gdybyś uznała prace Shawa za dobre... może porozmawiałabyś o nim z panem Jeffersonem?

– Chcesz, żeby wystawiał w swojej galerii jego prace? Mam zbadać grunt?

– Tak jakby...

Przez chwilę patrzyły sobie w oczy.

Shirley skinęła głową.

– W porządku. Jeśli jego prace są dobre, jak mówisz, to nie powinno być z tym problemu.

Tanni uśmiechnęła się. Po raz pierwszy od co najmniej miesiąca uśmiechnęła się do matki. Nie był to co prawda szeroki uśmiech, raczej taki półuśmiech, ale lepsze to niż nic.

– Jesteś przekonana, że Shaw ma talent? – Gdy Tanni skwapliwie pokiwała głową, Shirley spytała:

– Większy niż twój?

Oczywiście Tanni znów pomyślała chwilę, po czym odpowiedziała bez fałszywej skromności:

– Nie, ale on ma o wiele trudniejszy start niż ja. Nie ma mamy artystki ani taty, który bardzo interesował się sztuką.

W sercu Shirley zrobiło się ciepłutko. To miło, że Tanni wspomniała o niej, najważniejsze jednak, że wspomniała o ojcu. Robiła to bardzo rzadko, a wtedy jej twarz się mieniła. A teraz powiedziała to po prostu normalnie.

– Ja go uczę, mamó. Chcę go nauczyć wszystkiego, czego nauczyłam się od was, od ciebie i taty.

Kiedy Tanni była mała, Shirley nie zajmowała się jeszcze tkaniną artystyczną, tylko rysowała, a córeczka bawiła się gdzieś w pobliżu. Kiedy Tanni miała cztery latka, dostała od mamy swój pierwszy szkicownik i zaczęła rysować. Co robi do dziś. Shirley była zrozpaczona, gdy dowiedziała się, że

Tanni po powrocie z pogrzebu ojca zniszczyła swoje najstarsze szkicowniki.

– Bardzo się cieszę, że uczysz Shawa.

Tanni uśmiechnęła się.

– On również mnie czegoś uczy. – Jej palce odruchowo zakryły czerwoną plamkę na szyi. – Różnych rzeczy...

A tego właśnie obawiała się Shirley.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Sytuacja była coraz bardziej napięta, dla Dave'a stała się wprost nie do wytrzymania. Doszło do tego, że już tylko w obecności dzieci zachowywali się jak ludzie cywilizowani, lecz gdy chłopców nie było w zasięgu wzroku, Emily traktowała go jak powietrze. Kiedy pytał ją o coś, odpowiadała tylko monosylabami, o ile w ogóle, bo najczęściej po prostu wychodziła z pokoju. A te jej jasne włosy drażniły go. Miał wrażenie, że Emily za ich pomocą wyśmiewa się z niego, urąga mu.

Niestety, do zasadniczej rozmowy jeszcze nie doszło. Dave nadal ociągał się z wyznaniem żonie prawdy, bał się bowiem, że wpłynie to negatywnie na ich małżeństwo... które już stało się co najmniej dziwne.

Jego niedzielne kazanie było najtrudniejszym kazaniem, jakie przyszło mu wygłosić w ciągu wielu lat pracy duszpasterskiej, a gdy już się z tym uporał, poczuł się jak zdrajca. Same podniosłe słowa, tylko kto je mówi? Mały, słaby człowiek, który zawiódł wszystkich. Swoich wiernych, swoją rodzinę i, co najgorsze, Pana Boga.

Zanim kościół opustoszał, Emily zdążyła już wyjść z synkami. Dave został jeszcze chwilę. Usiadł w pierwszej ławce i rozmyślał, dochodząc do wniosku, że może rozwiązać tę paskudną sytuację tylko w jeden sposób, a mianowicie przyznając się do błędu. Tylko jak miałby to zrobić? Nie miał pojęcia. Długo siedział w pustej świątyni, zastanawiał się nad zasadniczą rozmową z Emily. Jak zacząć, jak rozwinąć. I nic nie wymyślił. Kto by się spodziewał, że właśnie on będzie miał taki problem z wyznaniem prawdy?

Spuścił głowę i pomodlił się, prosząc Boga, by mu wybaczył, a potem ruszył do domu, by tam poprosić o wybaczenie żonę.

Kiedy szedł na parking, nogi ciężkie miał jak ołów. Bardzo by się ucieszył, gdyby coś lub ktoś spowodował choćby kilkuminutowe opóźnienie jego marszu, czyli kilkuminutowe odroczenie wyroku. Bo czuł się tak, jakby podążał na swój prywatny szafot. Gdyby mógł cofnąć czas, na pewno dokonałby lepszego wyboru, to jednak nie jest możliwe, dlatego będzie musiał wyznać żonie, że wpadł w sidła zastawione przez jego dumę.

Kiedy zajechał na Sandpiper Way, nie wysiadł od razu z samochodu. Przez dłuższą chwilę siedział nieruchomo za kierownicą, wpatrując się w dom, który dla Emily był miłością od pierwszego wejrzenia. Bardzo chciała mieć właśnie ten dom, a on, ponieważ kocha Emily, zrobił wszystko, co było w jego mocy, by spełnić jej życzenie. Niestety, nie zdawał sobie w pełni sprawy, jak wielki ciężar bierze na swe barki. Na barki całej rodziny.

W kuchni przy stole siedzieli obaj synkowie.

– Cześć, tato! – zawołał Mark. – Mama zrobiła makaron z żółtym serem!

Dave żartobliwie zwichrzył mu włosy.

– Ho, ho!

– Dlaczego dopiero teraz przyjechałeś? – dopytywał się Matthew. – Mama powiedziała, że nie będziemy czekać na ciebie z lunchem.

– A gdzie jest mama? – spytał Dave, rozglądając się dookoła.

– Chyba poszła do waszego pokoju. Źle się czuje – powiedział Mark z bardzo poważną miną.

– Zrobiła nam lunch, a potem powiedziała, że idzie się położyć.

– I mama płakała! – dodał Matthew, po czym chłopcy zmierzli ojca surowym wzrokiem, jakby byli pewni, że to on jest przyczyną tych łez.

– W takim razie idę do waszej mamy – oznajmił Dave. – Mam nadzieję, że zostawicie trochę makaronu i sera dla głodnego ojca!

W sumie nie zabrzmiało to wesoło, ale trudno. Dave uśmiechnął się jeszcze do chłopców i wyszedł z kuchni. Kiedy wszedł do małżeńskiej sypialni, tuż za progiem przystanął, nie był bowiem jeszcze tak do końca zdecydowany. Może jednak odłożyć tę rozmowę, może w tym czasie coś się wydarzy... Nie, bo jak kiedyś powiadali: Co się odwlecze, to nie uciecze. Nie tylko „nie uciecze”, także wcale nie będzie łatwiejsze.

Wolnym krokiem podszedł do łóżka i usiadł. Materac ugiął się pod jego ciężarem, jednak Emily ani drgnęła. Leżała na boku zwrócona ku niemu twarzą. Była blondynką od czterech dni, a jeszcze się do tego nie przyzwyczaił. Zauważył, że nowy kolor włosów i nowa fryzura pani pastora wzbudziły w kościele małą sensację. I tego chyba chciała Emily. Zwrócić na siebie uwagę. Przede wszystkim uwagę męża. Przypomnieć mu, że istnieje i pragnie jego miłości oraz uznania.

Oczy miała zamknięte. Jeśli tylko udawała, że śpi, robiła to znakomicie. No cóż, Emily w tej dziedzinie, to znaczy w ignorowaniu męża, osiągnęła wyżyny.

– Myślę, że nadeszła pora wszystko wyjaśnić – powiedział głośno i stanowczo.

Nie spała, ale też i nie odezwała się ani słowem, przekręcając się na drugi bok. Teraz leżała twarzą do ściany, czyli wcale nie była zainteresowana rozładowaniem atmosfery, jednak pełen determinacji Dave nie zamierzał już ustąpić.

– Myślisz, że mam romans, prawda? – spytał, zaraz jednak uznał, że niepotrzebnie. Po co te wstępy, lepiej od razu powiedzieć, jak jest. – Nieważne – mruknął odruchowo.

I w tym momencie Emily ożyła. Błyskawicznie usiadła, wbijając w Dave’a płonący wzrok.

– Nieważne?! Twój romans?! A to zabawne, bo mnie się wydaje, że to właśnie jest bardzo ważne!

– Emily, przede wszystkim uwierz w końcu, że żadnego romansu nie mam! Nigdy nie miałem i nie będę! Nigdy ciebie nie zdradziłem i nie zdradzę. – To przede wszystkim powinna usłyszeć, cała reszta może poczekać. Emily musi uwierzyć, że on nie łamie złożonej przysięgi.

Niestety, spojrzała na niego bardzo sceptycznie.

– Każdy mąż, który zdradza, przysięga żonie, że jest jej nieskończenie wierny. Może przysięgniesz na Biblię? Zaraz ją przyniosę.

– Emily, proszę!

– Proszę! Proszę! – sparodiowała go. – Myślisz, że jestem ślepa? Nie, nie jestem i widzę wszystko, a z tego, co widzę, można wyciągnąć tylko jeden wniosek!

Mówiła to z takim przekonaniem, że Dave’a kompletnie zamurowało.

– Oczywiście uważasz mnie za głupią, naiwną idiotkę! A ja mało tego, że widzę, to poczytałam też trochę o tego rodzaju sytuacjach. Żony zawsze wyczuwają zdradę, choć niektóre wolą przymknąć oczy. Ale i tak wiedzą. Oczywiście! Mówią, że żona dowiaduje się na samym końcu. Bzdura! Zawsze wie pierwsza.

– Emily, posłuchaj...

– Nie! Teraz ty słuchasz mnie! Naprawdę myślisz, że nie zauważyłam, że dwa, trzy razy w tygodniu zjawiasz się w domu bardzo późno? Za kogo ty mnie masz? Za jakąś idiotkę?

– Tylko trzy razy wróciłem rzeczywiście późno.

– A więc przyznajesz się! Masz kogoś!

– Nie! – Uznał, że na razie najrozsądniej będzie poprzestać na „tak” lub „nie”. Niech Emily się wyładuje. Kiedy to nastąpi, spokojnie wszystko

jej wyjaśni.

– A ja uważam, że masz! A teraz próbujesz się wykręcić! Ale nie mam zamiaru dłużej udawać, Dave, że z nami wszystko w porządku. Chcesz rozwodu? Proszę bardzo. Bo mam już tego wszystkiego serdecznie dość.

Rozwód?! Chyba oszalała!

– Nie chcę żadnego rozwodu! Pozwól mi teraz wszystko wy...

– Oczywiście, że nie chcesz! Rozwiedziony, dwoje dzieci. Trochę głupio to pisać w CV pastora, prawda?

– Emily, przestań!

– Nie przestanę! – Odrzuciła na bok kołdrę i uklękła na łóżku. – Jestem wściekła! Tak bardzo jestem na ciebie wściekła, że muszę to wyrzucić z siebie! Czy wiesz, że inni też już to widzą? Moja matka powiedziała, że z tobą na pewno coś jest nie tak!

Dave jęknął.

– Rozmawiałaś o tym z matką?!

– A co, dziwisz się?

Owszem, był tym zdziwiony, a przede wszystkim upokorzony.

– Dzielisz się swoimi podejrzeniami z matką, a ze mną nie? – To bolało. Bolało, że była w stanie aż do takiego stopnia go zignorować.

– Na początku udawałam sama przed sobą, że nic się nie dzieje – powiedziała trochę już spokojniej. – Tak samo jak w tym artykule, który potem przeczytałam. Każda zdradzana żona przez to przechodzi.

– Emily, powtarzam jeszcze raz! Nie jesteś żadną zdradzaną żoną!

– Powiedzmy... – mruknęła, robiąc znaczącą minę i krzyżując ramiona.

A Dave, wreszcie dopuszczony do słowa, wyznał:

– Wziąłem dodatkową pracę.

Ręce Emily natychmiast opadły, w oczach pojawiło się bezbrzeżne zdumienie.

Dave spokojnie wytrzymał jej wzrok.

– Pracuję jako ochroniarz w First National Bank. Wieczorami, po zniknięciu banku, stąd moje późne powroty do domu trzy razy w tygodniu.

Było to optymalne rozwiązanie. Prawie cały czas był w środku, więc ryzyko, że ktoś go zobaczy, było minimalne. Czasami zastępował kogoś, jak choćby tamtego dnia, kiedy miał odwiedzić Olivię. Zwykle jednak pracował od czwartej po południu do dziesiątej wieczorem. Wymagano od niego niewiele, przede wszystkim miał siedzieć murem przed monitorami, do których podłączone były kamery na terenie banku. To stanowisko pracy utworzono po kilku włamaniach, które wydarzyły się w pobliżu banku. Nie miał broni, wyposażono go tylko w radio.

Emily milczała. Albo była w szoku, albo zastanawiała się, czy uwierzyć mu, czy też nie, bo na pewno jest to kolejne kłamstwo.

– Ale... ale dlaczego ty to robisz? – spytała drżącym głosem.

To była najtrudniejsza część wyznania. Nie zdążył jednak otworzyć ust, bo Emily wystąpiła z własną wersją:

– Dave, czyżbyś... wciągnął się w hazard?

Poczuł, że zaczyna go to wszystko po prostu drażnić.

– Co ci przyszło do głowy?! Czyżbyś zupełnie mnie nie znała? Nie, nie hazard! Chciałem tylko, żebyś miała dom, który tak bardzo chciałaś mieć!

– Dom?! Nasz nowy dom?

– Tak, nasz nowy dom... Emily, kiedy podpisywaliśmy dokumenty, wiadomo było, jak wielkie czeka nas obciążenie finansowe.

– Tak, ale myślałam...

– A ja nie wyprowadziłem cię z błędu.

Bo to on był motorem wszystkiego i dopiero poniewczasie dotarło do niego, że doprowadzi rodzinę do ruiny. On, który zarządzał finansami. Co miesiąc dawał Emily pieniądze na dom, którymi ona zresztą gospodarowała rewelacyjnie.

– Dave, czy chcesz mi powiedzieć, że nie stać nas na ten dom?

Czuł, jak serce skacze mu do gardła. Spuścił głowę, niezdolny spojrzeć Emily w oczy.

– Tak – powiedział głucho. – Mamy obciążoną hipotekę. Spłacamy ją, ale co pół roku wysokość raty się zwiększa. Tak jest w umowie.

Raz podnieśli już ratę, przez co budżet domowy stał się napięty do granic możliwości. A czeka ich kolejna podwyżka...

– I to dlatego wzięłeś dodatkową pracę? Nic mi o tym nie mówiąc?

W każdym słowie Emily słyhać było ogromne rozżalenie.

– Nie chciałem cię martwić, że możemy stracić ten dom – powiedział cicho Dave.

– Wolaleś, żebym myślała, że jesteś z inną kobietą?

– Oczywiście, że nie. Byłem pewien, że kładziesz to na karb zwiększonych obowiązków pastora.

– Na początku owszem, myślałam, że musisz częściej chodzić na zebrania kółek parafialnych. Odbywają się przecież wieczorami. Zauważyłam jednak, że jesteś jakiś inny, roztargniony. A potem...

– Co potem?

– To było kilka tygodni temu. Zamknąłeś się w swoim gabinecie. Wiedziałam, że przedtem dokądś dzwoniłeś. A więc ja... – Emily westchnęła, umykając wzrokiem – poszłam do kuchni do telefonu i nacisnęłam „redial”. Zgłosiła się jakaś kobieta, mówiła na ciebie „Davey”...

Dave westchnął ciężko.

– To Maxine! Ochroniarka, pracuje w tym samym banku. Chciała, żebyśmy zamienili się dyżurami. Nagrała się na sekretarkę, więc oddzwoniłem do niej. Maxine ma sześćdziesiąt lat, jest babcią. Z nią, oprócz pracy, na pewno nic mnie nie łączy!

– No tak... Ale tak często wychodziłaś...

Co było prawdą, bo dodatkowa praca była czasochłonna, a do domu wracał zmęczony i w nie najlepszym humorze.

Emily podniosła głowę.

– Tak dalej być nie może, Dave. Sprzedamy dom.

– Niestety, Emily, nie możemy tego zrobić. Przy obecnych cenach nieruchomości dom znacznie stracił na wartości. Aż tak bardzo, że sprzedaż nie rozwiązałaby sytuacji.

– W takim razie... Już wiem! Ja też pójdę do pracy. Mam trochę doświadczenia, w końcu nie tylko siedzę w domu. Pracowałam jako wolontariuszka w szkole, może tam spróbować. Albo... Tak! Dowiem się, czy nie potrzebują kogoś w Patchworkowej Żyrafie, wiesz, to ten sklep z materiałami. Znają mnie tam bardzo dobrze.

– Emily, kiedy braliśmy ślub, zdecydowaliśmy, że nasze dzieci będą miały mamę w domu.

– Znajdę taką pracę, która umożliwi mi zajmowanie się chłopcami. Po prostu będę pracować, kiedy oni będą w szkole.

Ale nawet ten wariant nie przypadł Dave'owi do gustu.

– Wcale mi się ten pomysł nie podoba. To ja powinienem utrzymywać rodzinę! Tylko ja!

– Przestań! Żyjemy w dwudziestym pierwszym wieku. Miło słyszeć, że chcesz, żebym była w domu, co zresztą bardzo mi odpowiada, ale nasi chłopcy dawno już wyrosli z pieluch. Nie widzę powodu, żebym i ja nie

mogła przynieść do domu paru centów. Nie zamierzam ustąpić!

Po tym wywodzie żony Dave, choć duma nieco ucierpiała, poczuł wielką ulgę.

– Myślisz, że pracując w szkole czy w sklepie, będziesz mogła dopasować godziny pracy do planu lekcji chłopców?

Emily skwapliwie pokiwała głową.

– Oczywiście! W szkole mogłabym się zaangażować jako pomoc nauczycielska, czyli robiłabym to samo, co robiłam jako wolontariuszka. Muszę ci powiedzieć, że dyrektor sam mi to sugerował, a szkoła wystąpiła o zezwolenie na zatrudnienie osoby na tym stanowisku. Dyrektor mówił mi, że kiedy tylko je dostaną, będę mogła napisać podanie, a wtedy mnie zatrudnią.

– Nic mi o tym nie mówiłaś!

– A nie! – Uśmiechnęła się. – W końcu też mogę mieć jakieś tajemnice, prawda? Poza tym wciąż się nad tym zastanawiałam, decyzję podjęłam dopiero teraz.

– Rozumiem... – mruknął Dave, z tej wielkiej ulgi na wpół przytomny. Nie dość, że wyznał w końcu żonie prawdę, to jeszcze pojawiło się konstruktywne rozwiązanie! Głupio zrobił, że dotychczas wszystko przed nią ukrywał, bardzo głupio. – Powinienem był powiedzieć ci o tym wcześniej. Powinnaś wiedzieć, co się dzieje...

– Tak, Dave. Powinnam.

Na szczęście w końcu to z siebie wydusił i zrzucił z pleców wielki ciężar. Tak z tym zwlekał, choć był pastorem i służył Bogu. Zignorował Biblię, a to w niej przecież jest napisane, że prawda uczyni cię wolnym. I tak się stało. Gdy wyznał Emily prawdę, po raz pierwszy od wielu miesięcy poczuł się człowiekiem wolnym.

Gdy podsunęła się bliżej, objął ją mocno, a ona czule objęła go za szyję.

Kiedy usłyszał jej cichy szept, cały zeszywniał.

– Ze... zegarek? – wykrztusił.

– Tak. Dobrze by było, gdybyś mi to również wyjaśnił.

Dave opadł na łóżko. Nie mógł sobie wybaczyć, że zgubił ten zegarek.

I to gdzie! W domu sędziny!

– Dave, powiedz, skąd masz ten złoty zegarek?

– Od Marthy Evans – odparł z westchnieniem.

– Podarowała mi go tuż przed śmiercią. – Niestety, stało się to, czego się tak obawiał, mianowicie żona sposepniała, jakby wcale mu nie wierzyła.

– Emily, wiem, co sobie myślisz. Nie powinienem był przyjmować od niej pamiątki rodzinnej.

– Nie, nie, tego wcale sobie nie pomyślałam...

Odsunęła się trochę i wlepiała w niego oczy. Dosłownie. Wpatrywała się w niego tak intensywnie, że chciało mu się krzyczeć z gniewu i rozpacz.

– Emily, powiedz szczerze. Podejrzewasz, że ten zegarek ukradłem? Tak? Za kogo ty mnie właściwie masz?!

– Ja... ja...

– Najpierw oskarżasz mnie o zdradę małżeńską, teraz o kradzież!

Był przerażony faktem, że żona ceni go tak nisko.

I nadal nie ma do niego zaufania! Jeśli własna żona wątpi w jego uczciwość, to co dopiero inni. Od razu okrzyknęliby go złodziejem. Na szczęście istnieje dowód na piśmie, że była to darowizna.

Jego gwałtowna reakcja odniosła pożądany skutek. Emily natychmiast go przeprosiła.

– Wybacz, Dave.

– Kilka dni przed śmiercią Martha Evans powiedziała, że chce mi podarować zegarek po mężu. Pan Evans dostał go, kiedy przechodził na emeryturę. Oczywiście że nie chciałem przyjmować tak cennej rzeczy, ale Martha uparła się. Bardzo jej zależało, żebym to ja miał ten zegarek, poza tym powiedziała, że akt darowizny uwzględniony będzie w jej testamencie.

Niemniej Dave i tak miał poczucie, że się pospieszył. Zanim przyjął zegarek, powinien był porozmawiać z prawnikiem, upewnić się, czy istotnie dokonano takiego zapisu, tym bardziej że prawnik nigdy nie wspomniał o tym zegarku.

– Teraz rozumiesz, Emily, jak się czułem, kiedy dowiedziałem się, że część biżuterii Marthy zaginęła. Przestraszyłem się, że skoro mam ten zegarek, będę pierwszym podejrzanym.

– Dlatego przedtem go nie nosiłeś?

Niestety zabrzmiało to bardzo oschle, jakby nadal jego uczciwość stała pod znakiem zapytania.

– Zgadza się. Nie nosiłem, ale w pewnym momencie to się zmieniło. Przecież nie mam nic do ukrycia. Martha podarowała mi ten zegarek, zrobiła zapis w testamencie, który znają jej krewni. Dlatego kiedy w moim zegarku wyczerpała się bateria, pomyślałem, że mogę założyć zegarek od Marthy. Nie wiedziałem, że zapięcie przy pasku szwankuje...

– No tak.

– Emily, nigdy nie sięgam po cudze! – Nie tylko dlatego, że jest to jedno z głównych przykazań. Także dlatego, że życie dało mu już kiedyś bardzo bolesną nauczkę. Gdy żona milczała uparcie, spytał:

– Wierzysz mi... czy nie? – Znów to milczenie. Czyli się wahała. – Emily?

– Wierzę ci. – Znów go objęła.

– Wybacz mi – szepnął. – Powinienem był powiedzieć nie tylko o naszych problemach finansowych, ale także o tym zegarku.

– A ja powinnam bardziej być wciągnięta w nasze finanse.

– Masz rację.

Szczerze mówiąc, chętnie by scedował na Emily obowiązek płacenia rachunków. Zrozumiałaby wtedy, pod jaką jest presją. Przecież mimo dodatkowej pracy i tak nie wyszli na prostą.

Za każdym razem, kiedy miał już nadzieję, że sytuacja się poprawi, pojawiał się niespodziewany wydatek. W zeszłym miesiącu na przykład nowe opony do samochodu Emily. Kosztowały niemało, ale trzeba było kupić. Nie miał zamiaru narażać żony i dzieci na niebezpieczeństwo. Zapłacił kartą. Miał już tylko jedną, wszystkie inne oddał. Tę jedną zostawił na takie właśnie niespodziewane, ale niezbędne wydatki. Wykorzystał już cały limit, o spłacie całości nie miał co marzyć. Był w stanie spłacać tylko comiesięczne minimum.

Szkoda, że nie sprzedał tego zegarka. Byłby to niezły zastrzyk finansowy. Ale nie sprzedał, mało tego, zaczął, idiota, ten zegarek nosić i zgubił go. I to gdzie? W domu sędziny Griffin!

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Popołudnie mijało, nadciągał zmierzch. Grace Harding czuwała przy Olivii. Siedziała na krześle ustawionym tuż przy łóżku i niby drzemała, ale tak naprawdę budziła się co chwilę i spoglądała czujnie na podłączoną do kroplówki Olivie. Podawano jej dożylnie antybiotyki, także roztwór soli fizjologicznej, by zapobiec odwodnieniu organizmu. Poza tym za pomocą innych rurek podłączona była do rozmaitych aparatów medycznych kontrolujących jej stan. Gorączka na szczęście spadła, ale personel medyczny i tak nie spuszczał z Olivii oka. Bez przerwy ktoś do niej zaglądał.

Kiedy w pokoju zrobiło się całkiem ciemno, Grace spojrzała na zegarek. Nie było jeszcze tak późno, a już zapadła noc. Nic dziwnego, przecież to grudzień i święta za pasem, ale Grace nie to miała teraz na głowie. Jej najlepsza przyjaciółka była ciężko chora. Kiedy wyjdzie z tej infekcji, czeka ją chemioterapia. Nikt nie był w stanie przewidzieć, jak Olivia to zniesie.

Grace wyprostowała plecy i pochyliła się do przodu, żeby rozluźnić zeszywniały kark. Jack miał wrócić tu lada chwila, a ona bardzo nie chciała, żeby zastał ją obolałą i wystraszoną. Jack niezmiennie trwał u boku Olivii. Dopiero gdy koło dwunastej tu przyjechali, udało im się go przekonać, że na kilka godzin może opuścić szpital. Grace obiecała, że murem posiedzi przy Olivii, natomiast Cliff zaoferował się, że zawiezie Jacka do domu, by wziął prysznic i włożył czyste ubranie. Jack, co prawda z wielkim ociąganiem, w końcu na to przystał.

Drzwi uchyliły się, do sali zajrzał Cliff.

– Jak sytuacja? – spytał półgłosem.

– Szczerze mówiąc, nie wiem. Olivia cały czas śpi. A gdzie Jack?

– Spotkaliśmy w holu Justine. Jack przekazuje jej najświeższe informacje.

Grace do końca życia będzie błogosławiła Justine za to, że wczoraj wpadła z wizytą do matki. Gdyby Olivia była sama... Przecież lekarz nie ukrywał, że była to kwestia zaledwie kilku godzin.

– Charlotte i Ben też są tutaj – dodał Cliff.

Matka Olivii wraz z mężem przyjechali tu z samego rana, potem na trochę wpadli do domu, teraz znów wrócili.

Pokój Olivii był niewielki, dlatego kiedy zjawili się Justine i Jack, Grace postanowiła wyjść, żeby nie robić tłoku, no i mówiąc szczerze, zateśkniła za małą przerwą. Filiżanka kawy i łyk świeżego powietrza, tego właśnie potrzebowała najbardziej.

W poczekalni siedziała Charlotte z mężem. Oglądali telewizję, przy czym Charlotte oczywiście robiła na drutach.

– Zjeżdżam na dół – zakomunikowała Grace.

– Muszę się napić kawy.

Charlotte poderwała głowę.

– O, Grace! Już nie śpisz! Zaglądałam wcześniej, ale nie chciałam cię budzić.

Ben i Cliff nie odzywali się, pochłonięci końcówką meczu futbolowego, w którym grała drużyna stąd, Seattle Seahawks.

– Może komuś coś przynieść z barku? – spytała Grace trochę głośniej.

Charlotte uśmiechnęła się i podziękowała. Cliff i Ben, o dziwo, usłyszeli ją. Cliff, podobnie jak Charlotte, uśmiechnął się i podziękował. Ben, nie odrywając oczu od telewizora, pokręcił tylko głową.

Grace wiedziała od Cliffa, że jest to niezwykle ważny mecz, bo zwycięska drużyna zakwalifikuje się do rozgrywek play-offu. Grace nawet dość lubiła futbol, teraz jednak liczyła się tylko Olivia.

Zjechała do barku. Ustawiała się w kolejce i wzięła kubek średniej wielkości. Po chwili zorientowała się, że ktoś za nią stanął. Oczywiście nie obejrzała się, bo i po co.

Dopóki ten ktoś się nie odezwał.

– Witaj, Grace!

Wtedy w jednej chwili zrobiła półobrót. Naturalnie starała się nie dać poznać po sobie, jak bardzo zaskoczył ją widok Willa Jeffersona. Jego obecność w szpitalu nie powinna dziwić, przecież odwiedza chorą siostrę. Kto wie, czy nie był tutaj poprzedniego dnia wieczorem. Pewnie tak, na szczęście nie natknęli się na siebie.

– Witaj, Will – przywitała go doskonale uprzejmym i obojętnym tonem. Po tym, co wydarzyło się między nimi, nadal była czujna, tym bardziej że Will osiągnął mistrzostwo świata w stwarzaniu kłopotliwych sytuacji. Po prostu urodził się z tym talentem.

– Jak się czuje moja siostra? – spytał.

– Bez zmian. Tak samo jak rano.

– No tak... Zagrożenia życia już nie ma?

– Nie, ale nadal walczy z infekcją.

– Biedna Liv... – mruknął Will.

Grace podeszła do ekspresu i naląła sobie kawy, Will zrobił to samo. Wtedy zauważyła, że ma mokre ubranie.

– Pada? – spytała mocno rozczarowana, jako że chciała łyknąć świeżego powietrza.

– Leje jak z cebra. A miałem nadzieję, że wreszcie spadnie śnieg.

Grace uśmiechnęła się.

– Ty i wszystkie dzieci z Cedar Cove!

Will odwzajemnił uśmiech.

– Zgadza się. Bo w głębi serca chyba nadal jestem chłopakiem.

– Pewnie tak... – mruknęła. I to pod wieloma względami, dodała w duchu i pomaszerowała do kasy, żeby zapłacić za kawę.

Kiedy szperała w torebce, szukając drobnych, usłyszała, jak Will komunikuje kasjerce:

– Płacę za obie kawy.

Grace natychmiast zaproponowała:

– Ależ po co, Will? Nie trzeba.

– Proszę, potraktuj to jako wyciągnięcie ręki na zgodę. Usiądziemy na chwilę? – Wskazał wolny stolik. Gdy jednak Grace zawahała się, dodał szybko:

– Jeśli uważasz, że Cliff byłby niezadowolony, to nie nalegam.

Cały Will. I tak kusi, choć niby nie nalega! Posiedzieć z nim czy nie? Cliff, mąż Grace, był człowiekiem rozsądnym, o chorobliwej zazdrości nie było mowy, ale to właśnie przez Willa kiedyś zwątpił w Grace.

– Chciałem pogadać z tobą o galerii – powiedział.

– Tylko kilka pytań.

Demonstracyjnie spojrzała na zegarek.

– Pięć minut wystarczy?

– Oczywiście.

Kiedy usiedli przy stoliku, Will oznajmił z dumą:

– W zeszłym tygodniu podpisałem ostatnie dokumenty.

– Tak szybko? Nie sądziłam, że już w grudniu zostaniesz właścicielem galerii.

– Ja też nie, ale wszystko poszło nadspodziewanie gładko. Poza tym poprzedni właściciele ze względów podatkowych chcieli zawrzeć umowę w starym roku.

– Rozumiem. A więc moje gratulacje, Will. Wypijmy za twój nowy biznes!

Grace, uśmiechając się wesoło, uniosła kubek. Stuknęli się.

– Gdyby nie Olivia, nigdy bym się nie dowiedział o tej galerii.

– Bardzo dobrze, że się dowiedziałeś. Całe miasto się z tego cieszy.

Wielu tutejszych artystów zaczynało karierę od wystawiania prac w tej galerii. Jednym z nich był Jon Bowman, zięć Grace. Jego fotografie po raz pierwszy zostały wystawione w Harbor Street Gallery, kiedy prowadziła ją córka Grace, Maryellen. Można więc powiedzieć, że ta galeria połączyła młodych. Teraz Jon miał profesjonalnego agenta i wystawiał prace w wielkiej galerii w Seattle. Poza tym jego fotografie wykorzystywano w ogłoszeniach reklamowych, między innymi w całej serii reklam turystycznych, finansowanych ze środków stanowych.

– Jestem zaskoczony, że macie tu tylu utalentowanych ludzi – powiedział Will. – A kiedy ty po raz ostatni byłaś w galerii?

Szczerze mówiąc, od jej ostatniej wizyty upłynął już szmat czasu.

– Po odejściu z galerii Maryellen byłam tam raz czy dwa.

Dzięki jej córce galeria przeżywała złoty okres. Zaczęła podupadać w momencie, kiedy Maryellen z powodu ciążowych komplikacji musiała zrezygnować z pracy.

– Wszyscy mówią mi o Maryellen, wciąż podkreślają jej sukcesy – powiedział Will. – Chciałbym kiedyś dłużej z nią pogadać. Teraz spotykam się z miejscowymi artystami, podpytuję, co ich zdaniem należy zrobić, żeby z powrotem przyciągnąć ludzi do galerii.

– Bardzo dobrze robisz, Will.

– Dzięki... A słyszałaś kiedyś o Shirley Bliss?

– Oczywiście. Jej prace zrobiły na Maryellen wielkie wrażenie.

– Zajmuje się tkaniną artystyczną. Robi patchworki, ale nie tylko. Ma naprawdę wspaniałe pomysły. Też jestem pod wrażeniem.

Dlatego, mimo że zamierzał skoncentrować się przede wszystkim na malarstwie i fotografii, postanowił wystawiać również artystyczne wyroby z tkanin.

– Spotykam się z nią w przyszłym tygodniu, licząc bardzo, że zaskoczy mnie swoimi pomysłami – powiedział Will, dosypując do kawy jeszcze trochę cukru. – Matka mówiła, że robienie patchworków i robienie na drutach jest teraz modne.

– Zgadza się.

– Mama poradziła mi, żebym zrobił osobną ekspozycję patchworków. Kto wie... Taki patchwork to niby coś bardzo zwyczajnego, popularne rękodzieło gospodyń domowych, ale może też być prawdziwym dziełem sztuki.

Zapał Willa bardzo podobał się Grace, czuła też ulgę, że ten niespokojny duch poświęcił się zadaniu, dzięki któremu jego niespożyta energia zostanie pożytecznie ukierunkowana.

Szybko dopiła kawę.

– Przepraszam, ale powinnam już wracać.

– Oczywiście! Powiedz wszystkim, że zaraz tam będę.

– Jasne. A więc do zobaczenia!

Kiedy wróciła do poczekalni, mecz już się skończył. Ben i Cliff z wielkim ożywieniem dyskutowali o zwycięstwie dosłownie w ostatniej sekundzie.

Grace usiadła koło męża. Cliff wziął ją za rękę i splótł palce z jej palcami.

Spojrzała na Charlotte.

– Spotkałam w kawiarence Willa.

– O, to świetnie... – mruknęła Charlotte, zajęta liczeniem oczek. – Zapowiadał, że tu wpadnie.

– Zamieniłam z nim kilka słów – powiedziała Grace, tak na wszelki wypadek, żeby Cliff nie był niemile zaskoczony, jeśli Willowi przyjdzie do głowy pochwalić się, że pił dziś kawę z jego żoną.

Cliff pokiwał tylko głową, a Grace trochę mocniej ścisnęła jego palce.

Z pokoju Olivii wyszła Justine, a zaraz po niej Jack, który powiedział:

– Koniec dyżuru.

Dlatego wyproszono wszystkich odwiedzających, by personel kończący pracę mógł spokojnie przekazać zmiennikom informacje o stanie chorych.

– Jak wygląda Olivia? – z niepokojem spytała Charlotte.

– Całkiem nieźle – odparła Justine. – Wiadomo, że mama zawsze jest dzielna jak żołnierz.

– Obudziła się – dodał Jack. – Cliff, Grace, mieliście rację. Ona nie zorientowała się, że przez jakiś czas nie było mnie przy niej.

– Zobaczycie! Z mamą wszystko będzie dobrze! – głośno i stanowczo ogłosiła Justine. – Nie ma innej opcji!

Grace niczego bardziej nie pragnęła. Oby proroctwo

Justine, tak bardzo przepełnione niezłomnym optymizmem typowym u młodych ludzi, spełniło się. A musi, skoro wspierane jest przez tyle miłości ze strony bliskich, tyle wiary i modlitw...

– Cześć wszystkim!

W drzwiach poczekalni pojawił się Will.

– Cześć, Will. – Cliff wstał i podał mu rękę.

Po tym powitaniu Will nachylił się nad matką, żeby cmoknąć ją w policzek, a następnie przysiadł obok Bena.

– Słyszałeś, że Seattle Seahawks wygrali? – spytał Ben.

– Tak. Jakiś lekarz mówił o tym w windzie. – Will pochylił się nieco i oparł łokciami o kolana. – No, mówcie wreszcie, co z moją siostrą.

– Porządnie nas wystraszyła – powiedział Jack – ale dochodzi do siebie.

– Uff... Cieszę się, że zdrowieje.

– A my mamy problem – oznajmiła Charlotte

– Ben i ja nie jesteśmy pewni, czy płynąć na ten wycieczkowy rejs.

– Babciu! – Justine żartobliwie pogroziła jej palcem. – Macie jechać! Mama, gdyby się dowiedziała, że zostaliście z jej powodu, po prostu by się wściekła i mogłaby dostać jakiegoś ataku!

– Wykupiłem ubezpieczenie podróżne – oznajmił Ben – więc w każdej chwili możemy odwołać wyjazd. Oczywiście bardzo bym chciał, żeby Charlotte wypoczęła, oderwała się od codzienności, ale jeśli cały czas będzie martwić się o Olivię... Nie wiem, czy ten wyjazd ma sens.

– Ma! Jedzicie, koniec dyskusji! – oznajmił stanowczo Jack, wiodąc wzrokiem po innych. – Olivia zostaje pod naszą opieką i możecie być pewni, że zadbamy, by jak najszybciej wróciła do formy. Chyba macie do nas zaufanie, prawda?

Ta deklaracja przesądziła.

– Jedziemy, Ben – oświadczyła Charlotte. – Z tym że najpierw do domu. Nagotuję rosółu z kurczaka, z kluseczkami. Kiedy Olivia chorowała w dzieciństwie, ten rosółek zawsze stawiał ją na nogi, więc i teraz pomoże.

– Uwielbiam rosół mamy – wyznał Will. – Często udawałem, że jestem chory, bo chciałem, żeby go ugotowała.

– Ty łobuzie! – zawołała Charlotte, rozbawiając wszystkich.

– Ciekawe, czy onkolodzy wiedzą o cudownych właściwościach twojego rosołu – zażartował Jack.

– Może im powiedzieć?

– Ja to zrobię – zadeklarowała Justine. – I zapoczątkujemy rewolucję w medycynie.

Charlotte wrzuciła do torby robótkę.

– Ben, jedziemy. Wrócimy z termosem rosołu.

Wstała powoli, opierając się na mężu. Grace nie po raz pierwszy ze smutkiem zauważyła, że u Charlotte wiek daje już znać o sobie. Z Benem to samo, pomyślała, patrząc, jak tak samo ostrożnie wstaje z krzesła. Podał żonie ramię i niespiesznym krokiem wyszli z pokoju.

Jack na moment przechwycił spojrzenie Grace. Było oczywiste, że pomyśleli o tym samym. Jeśli ten rosółek faktycznie czyni cuda, Charlotte i Ben powinni jeść go jak najczęściej.

Po chwili do poczekalni weszła pielęgniarka.

– Olivia może przyjmować już gości – oznajmiła z uśmiechem. – Czuje się dobrze. Rozmawiałam z doktorem Franklinem. Powiedział, że najprawdopodobniej już pojutrze będzie mogła wrócić do domu. Najpóźniej za dwa dni.

– Cudownie! – zawołała Grace.

– Świetnie! – zawtórował jej Jack. – No i patrzcie! Czuje się dobrze, a przecież jeszcze nie jadła cudownego rosołku!

Wszyscy uśmiechnęli się, Grace najszerzej. Jack odzyskuje poczucie humoru, a to znak, że istotnie wszystko idzie ku dobremu.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Proszony obiad u siostry mocno zdenerwował Christie. W zeszłym tygodniu ustaliły, że sama, bez niczyjej pomocy, dogada się z Jamesem, ale Teri swoim zwyczajem nie wytrzymała i wyskoczyła z tym obiadem, na który oczywiście zaprosiła też Jamesa.

Może to i dobry pomysł, niemniej Christie nie mogła się do niego przekonać. A jeśli James znów powie coś takiego, że pójdzie jej w piąty? I jeszcze coś. Teri uprzedziła ją, że zaprosiła Jamesa, on jednak nie został poinformowany o obecności Christie, która uważała, że to nie jest w porządku. Ale Teri jej wątpliwości skwitowała krótkim:

– Wiem, co robię.

W dniu, w którym miał się odbyć ów proszony obiad, dzwoniły do siebie kilkakrotnie. Podczas ostatniej rozmowy, godzinę przed obiadem, Teri spytała siostrę, co zamierza na siebie włożyć. A Christie nadal nie miała na to pomysłu. Przejrzała całą garderobę, wymyślała różne warianty, ale wszystkie wydawały jej się do bani.

Odpowiedziała więc zgodnie z prawdą:

– Na nic nie mogę się zdecydować. Może mi coś podpowiesz?

– Owszem. Przede wszystkim strój swobodny, żadna tam superelegancja. To ma być miły, kameralny wieczór.

Spoglądając na swoje odbicie w lustrze, Christie zaczęła rozpinąć wyszywaną cekinami bluzkę. Nawet się ucieszyła, że ją zdejmuje, bo była jednak za bardzo... no, po prostu strasznie obcisła.

– To może po prostu dzinsy i sweterek? – W zeszłym tygodniu była wyprzedaż dzinsów. Christie, której z racji pracy w supermarkecie

przysługiwała dodatkowa zniżka, kupiła sobie lewisy dosłownie za bezcen.

– Dżinsy? Nie, Christie, to trochę zbyt swobodnie. Może masz w szafie czarne spodnie?

– Chyba mam. – Jeżeli ich nie wyrzuciła, to od bardzo dawna leżały upchnięte z tyłu szafy, bo to nie był jej styl. Najchętniej chodziła w dżinsach. Wyglądała w nich świetnie, no i były bardzo wygodne.

– Czyli czarne spodnie i ładny sweterek – zdecydowała Teri. – Christie, muszę już kończyć...

– Poczekaj... Czy James nadal nie wie, że też tam będę?

– Niestety wie. Bobby niechcący się wygadał.

– Och...

– Nie przejmuj się, na pewno przyjdzie. A więc widzimy się za godzinę. Pa!

Już za godzinę! Christie błyskawicznie zaczęła przekopywać szafę. Sukienki, spódnice i bluzki poleciały na podłogę. Wszędzie walały się ciuchy, i to w pokoju, w którym przedtem i tak już był bałagan. Christie, zrywając się do pracy skoro świt, nie zawracała sobie głowy słaniem łóżka.

Krajobraz jak po włamaniu. Ciekawe, co pomyślałby pedantyczny James, gdyby tutaj zajrzał...

James tutaj. Christie natychmiast wyobraziła sobie, jak nagi James w jej łóżku... No właśnie, ciekawe, jaki jest w łóżku? Och, wiadomo! Jak zwykle wzór uprzejmości, czyli sprawa beznadziejna.

Potrząsnęła głową, żeby odpędzić głupie myśli, tym bardziej że jej serce zaczynało przyspieszać, choć nadal nie miała pojęcia, dlaczego tak bardzo jej zależy na tym nadętym sztywniaku. Dlaczego chce mu się podobać, dlaczego chce mu się pokazać od najlepszej strony?

Nie mogła zapomnieć rozczarowania w jego oczach, kiedy wyszła z

Pink Poodle. Owszem, dwa piwka wypiła, ale tylko dwa. Absolutnie nie była wstawiona! A poza tym co go to niby obchodzi? Nie jego sprawa, gdzie ona bywa, co robi i z kim!

Ale i tak nie mogła zapomnieć rozczarowania w jego oczach.

Teri ma rację, pomyślała. Wilbur jest pierwszym przyzwoitym facetem, który się mną zainteresował... i dlatego czuję się przy nim taka bezradna. To jednak nie wszystko, bo czuła się też trochę urażona, odnosiła bowiem wrażenie, że choć pociąga Jamesa, to zarazem bardzo wiele mu się w niej nie podoba.

W sumie więc to wszystko razem nie było łatwe. Weźmy na przykład ten dzisiejszy obiad. Przecież to żadna randka, tylko zwyczajny obiad u siostry, więc mogłaby nie zawracać sobie głowy strojem. Po prostu coś tam włożyć i iść. Ale nie, bo to, jak się zaprezentuje, stało się sprawą życia i śmierci. Dlaczego? Bo na proszonym obiadku ma być James!

Podeszła do lustra i uważnie przyjrzała się swemu odbiciu. Nie, absolutnie nie była ani wzorem elegancji, ani ucieleśnieniem pewności siebie. Starszej siostrze nie dorastała do pięt. Może właśnie dlatego zawsze chciała mieć to, co miała Teri?

W dzieciństwie chodziła za nią jak cień. Teri nienawidziła tego i ciągle ją od siebie odpędzała. Z biegiem lat czuły do siebie coraz większą niechęć, co omal nie doprowadziło do całkowitego zerwania stosunków. Christie zazdrościła siostrze wszystkiego. Jeśli Teri coś miała, też koniecznie musiała to mieć. Dotyczyło to również chłopaków, a później mężczyzn. A było ich wielu i Christie nieustannie zadawała sobie pytanie, co w tej Teri jest, że faceci ciągną do niej jak pszczoły do miodu.

Teri wyszła za mężczyznę, który kocha ją aż do bólu. Christie, owszem, też kiedyś odbyła ślubną ceremonię, lecz jej małżeństwo już na

starcie skazane było na porażkę. Człowiek, który przysięgał, że będzie kochać ją i opiekować się nią, po alkoholu stawał się bestią i bił żonę. Przemoc narastała, faktycznie Christie była katowana, aż wreszcie dotarło do niej, że musi coś z tym zrobić, bo jeszcze trochę, a zabraknie jej wśród żywych.

Teri miała zabezpieczenie nie tylko finansowe, ale również emocjonalne, czyli zdobyła to wszystko, czego siostronom tak bardzo brakowało i w dzieciństwie, i później. Po ślubie Teri bardzo się zmieniła i było oczywiste, że stało się tak pod wpływem bezgranicznej miłości Bobby'ego. Obecnie była całkiem inną osobą. Po prostu szczęśliwą. I tego Christie zazdrościła jej najbardziej.

Do domu Polgarów dotarła z piętnastominutowym opóźnieniem. Czarnych spodni nie odnalazła, włożyła więc inne, szare, ze stretchem, trochę już znoszone, do tego długi czerwony sweter. I ozdobiła się naszyjnikiem ze srebrnych dzwoneczków, które gdy tylko się poruszyła, podzwaniały radośnie. Pantofle trochę za ciasne, ale trudno.

Drzwi otworzyła Teri. Była tak promienna, jak powinna być kobieta w ciąży.

– Spóźniłaś się. – Chwyciła ją za rękę i bezceremonialnie pociągnęła do salonu.

Christie kamie podążała za nią, po drodze wytrzeszczając oczy. Na Boże Narodzenie wszyscy przyozdabiają domy, ale ilość akcentów świątecznych w tym konkretnie domu była, delikatnie mówiąc, oszałamiająca. Przede wszystkim zauważyła trzy – tak, trzy! – choinki. W salonie, na podeście schodów i w rogu holu. Poza tym wszędzie były porozstawiane figurki Świętej Rodziny, różnej wielkości i w różnym stylu.

– Bobby powiedział, że mogę udekorować dom jak chcę i czym chcę –

wyjaśniła Teri.

– Ale dlaczego aż trzy choinki? – spytała Christie, z wrażenia na chwilę zapominając o Jamesie.

– A może jest ich jeszcze więcej?

– Pięć.

– Pięć choinek? Pięć ustrojonych choinek?!

– Tak. Bo ja kocham święta Bożego Narodzenia.

– Żartujesz... – mruknęła zjadliwie Christie. Ona też kochała, nigdy jednak nie mogła pozwolić sobie na tyle choinek i ozdób. Po pierwsze trzeba na to mnóstwo kasy, a po drugie nie miałyby jak tego upchnąć w swoim mieszkanku. – To musiało kosztować majątek!

Teri uśmiechnęła się nieśmiało.

– Dla Bobby'ego to nieważne. Dla niego najważniejsze, żebym była zadowolona.

– Żartujesz... – znów złośliwie mruknęła Christie i znów rozejrzała się wokół, spodziewając się – jednak! – że w jakimś kącie zobaczy pewną wysoką chudą postać, pewnego trochę speszzonego faceta.

Nie dostrzegła nikogo.

– Teri, a gdzie James? – spytała, zniżając głos.

– Nie ma go.

– Spóźni się? – zdumiała się, bo było to do niego niepodobne.

– W ogóle nie przyjdzie – oznajmił Bobby, wkraczając do salonu. – Przepraszam, Christie, ale wygadałem się. Kiedy powiedziałem mu, że też jesteś zaproszona, odparł, że nie może przyjść.

– Jego sprawa... – Christie wzruszyła ramionami, po czym zdjęła płaszcz i rzuciła na oparcie krzesła, na które rzuciła torebkę.

Teri zabrała płaszcz i powiesiła w szafie.

– Obiad prawie gotowy. Zapraszam! – Przeszli do kuchni, gdzie Teri otworzyła piekarnik i zajrzała do środka. – Jedno z ulubionych dań Bobby’ego – poinformowała siostrę.

Christie również zajrzała do piekarnika. Zapiekanek z ryżem. W sumie nic nadzwyczajnego. A tak w ogóle to jedzenie zupełnie jej nie interesowało. Od rana była cała w nerwach, co odbiło się na żołądku. W rezultacie nieważne, czy ten James jest, czy go nie ma, ona i tak nic nie przełknie.

– Przykro mi, że jesteś rozczarowana – odezwała się półgłosem Teri.

– Spokojnie! – Christie znów wzruszyła ramionami. – Zdarzyło mi się już spłoszyć o wiele fajniejszych facetów!

Teri najpierw mruknęła coś niezrozumiale, po czym dodała:

– Jestem na niego naprawdę zła!

– Teri, proszę, nie zwracaj sobie nim już głowy. Najpierw sugerowałaś, żebym sama z nim pogadała. Nie zrobiłam tego, więc wymyśliłaś wspólny obiad. Też nie wypaliło. Czyli, podsumowując, z tego romansu nici. C’est la vie, moja droga!

Teri uniosła brwi.

– No proszę! Nie wiedziałam, siostrzyczko, że władasz francuskim!

Christie żartobliwie trzepnęła ją po ramieniu i obie się zaśmiały.

Obiad upłynął w bardzo miłej atmosferze, z tym że Christie jadła bardzo mało. Jednocześnie była nadzwyczaj rozmowna, ponieważ nie chciała, żeby siostra i jej mąż zorientowali się, jak bardzo jest rozczarowana. A była, dlatego postanowiła, że nie będzie długo siedzieć, tym bardziej że Teri wyglądała na zmęczoną. Nic dziwnego, cały dzień ozdabiała ten swój wielki dom, sprzątała i jeszcze pichciła. Dlatego podczas obiadu zdarzyło jej się nawet ziewnąć.

Bobby pożegnał się z Christie w salonie i poszedł do swojego gabinetu. Teri odprowadziła ją do drzwi. Kiedy je otworzyła, odruchowo spojrzały w stronę wielkiego garażu, gdzie na pięterku mieszkał James. Światło było zapalone, gospodarz był więc w domu.

– Christie, postaraj się z nim jednak pogadać – szepnęła Teri. – Może teraz...

– O nie! Nigdy w życiu!

Było oczywiste, że James nie chce mieć z nią do czynienia, a gdy się nad tym głębiej zastanowić, to w sumie miał rację. Tak jest po prostu lepiej... w sensie ogólnym. A konkretniej, Christie ma wystarczająco dużo na głowie, żeby jeszcze brać sobie na tę głowę kogoś tak wkurzającego jak James.

– W środę mam wizytę u lekarza – zakomunikowała Teri. – Po raz pierwszy będę miała badanie ultradźwiękami. Lekarz powiedział, że da mi zdjęcie. Potem zadzwonię do ciebie.

– Koniecznie! A zdjęcie musisz mi pokazać! I to jak najprędzej!

Uściskały się serdecznie i Christie pomaszerowała do samochodu. Kiedy siadała za kierownicą, jej spojrzenie bezwiednie przemknęło po rozświetlonych oknach mieszkania Jamesa. Tchórz! Tak!

James Wilbur jest zwyczajnym tchórzem, a ona za nim latać nie będzie. O nie!

Włożyła kluczyki do stacyjki i przekreśliła. Silnik zacharczał, a potem cisza. Czyli super. Bobby w niczym nie pomoże, bo zna się tylko na szachach. Teri też nic nie wymyśli, a poza tym w tak zimny wieczór nie zamierzała wyciągać ciężarnej siostry na dwór. Do automobilklubu nie miała co dzwonić, ponieważ od ładnych kilku lat nie była już członkiem. Po prostu nie stać jej było na opłacanie składek.

Spojrzenie Christie z pewnymi oporami znów powędrowało w górę, ku rozświetlonym oknom nad garażem. Czyli mimo wszystko będzie musiała zobaczyć się z Jamesem. Masakra. Wysiadła z samochodu, raczej niespiesznie pokonała zewnętrzne schody i zapukała do drzwi.

James otworzył. Był w garniturze. Christie wiele razy zastanawiała się, czy ten facet ma choć jedną parę dżinsów.

– Mój samochód nie chce zapalić – oznajmiła bez żadnych wstępów.

– Nie zadzwonisz do automobilklubu? – spytał, wciąż trzymając rękę na klamce, jakby nie mógł się doczekać, kiedy znów te drzwi zamknie.

– Myślisz, że gdybym była członkiem, zawracałabym ci głowę? – spytała ostrym, nieprzyjemnym głosem, dlatego natychmiast go zmieniła i dokończyła miękko: – Byłabym bardzo wdzięczna, gdybyś podrzucił mnie do domu.

– Oczywiście. Za chwilę będę gotowy.

– Dziękuję.

O Boże! Jakie to wszystko jest żenujące!

James znikł w głębi mieszkania, po chwili wrócił w płaszczu, kapeluszu i rękawiczkach.

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu, spróbuję zapalić twój samochód.

– Bardzo proszę! – powiedziała, szerokim gestem wskazując swój wóz. – Możesz zrobić z nim, co tylko chcesz!

James najpierw podniósł maskę. Przez chwilę patrzył, poszperał, po czym z ponurą miną oznajmił:

– No tak... Moim zdaniem potrzebny jest nowy akumulator.

– Super.

Nie miała pojęcia, ile to może kosztować, ale i tak wiedziała, że nie będzie jej na to stać. Czynnysz, niespłacone długi... Krótko mówiąc, ledwie

więzała koniec z końcem.

– Wyprowadzę samochód – powiedział James.

Skinęła głową, nadal przetrawiając w duchu rewelację o akumulatorze. Trzeba będzie odholować wóz stąd do warsztatu, co też swoje kosztuje. Cóż, już gorzej być nie może.

James wyjechał z garażu, wysiadł z limuzyny, obszedł ją i otworzył drzwi z tyłu.

– Potrafię sama otworzyć!

– Tak, panno Christie – powiedział tym swoim beznamytnym głosem, którego tak bardzo nienawidziła.

– I mówiłam ci już tysiąc razy, żebyś nie mówił do mnie per panna Christie!

– Tak.

– Więc dlaczego tak robisz? Bo chcesz mnie zirytować?!

Teraz była już naprawdę zła. Cały ten wieczór okazał się porażką, i to z winy Jamesa.

– Wiesz co? Nie, dziękuję. Nie trzeba mnie odwozić. Mam ochotę się przejść.

Walnęła drzwiami aż miło. Poprawiła na ramieniu pasek od torebki i zdecydowanym krokiem ruszyła przed siebie. Co zrobiła krok, cholerne dzwoneczki odzywały się tym swoim „dzyń, dzyń”, a stopy w za ciasnych butach zaczynały już boleć. Ale przecież ich nie zdejmie!

Zdażyła przejść zaledwie kilka metrów, kiedy obok niej pojawił się James.

– A ty tu po co? Idź sobie!

– Nie mogę.

– Dlaczego?

– Noc, a ty idziesz sama. To niebezpieczne.

– Tak naprawdę to jestem sama przez całe moje życie. Nie potrzebuję goryla, rozumiesz? – Tę kwestię starała się wygłosić tonem najbardziej twardym i odpychającym.

– Wiem – odparł łagodnie James.

– Tak? A co ty raptem możesz o mnie wiedzieć?

– Christie... – Jego głos był nieskończenie łagodny, jakby przemawiał do dziecka.

A to doprowadziło ją do furii.

– Spadaj! – krzyknęła histerycznie. – Daj mi spokój! Powiedziałam, że nie chcę, żebyś szedł ze mną! Czy do ciebie to nie dociera?!

Byli dopiero na końcu długiej, biegnącej w górę drogi dojazdowej, a Christie już zaczynało brakować tchu, do tego trzęsła się z zimna, a buty coraz mocniej cisnęły. Stopy na pewno już zaczęły puchnąć, a do domu trzy kilometry z okładem.

James trochę się cofnął, ale nadal za nią szedł.

– Wszyscy myślą, że z ciebie wielki bohater – mruknęła Christie, starając się w ten sposób odwrócić swoją uwagę od obolałych, piekących stóp.

– Pokonałeś dwóch zbirów, Teri mówi, że być może uratowałeś życie Rachel. I tylko... – Przerwała na moment. – Tylko ja znam prawdę o tobie. Najprawdziwszą prawdę. Jesteś tchórzem. Sam powiedz. Jesteś?

James nie odzywał się.

Wtedy odwróciła się i rzuciła mu prosto w twarz:

– Słyszałeś, co powiedziałam, tchórzku?!

– Tak.

– Czy masz coś na swoją obronę?

– Nie.

O matko! Wkurzał ją już maksymalnie! Rozwścieczona tupnęła nogą jak dzieciak, a także jak idiotka, zważywszy na stan jej stóp, odwróciła się i poszła dalej. Czuła, że na pięcie robi się bąbel. Baleriny były o numer za małe, ale skusiła się, bo obniżyli cenę, poza tym świetnie pasowały do czerwonego swetra.

– Dlaczego kulejesz? – spytał James.

– Wcale nie kuleję. A tak w ogóle to spadaj.

– Christie, bądź rozsądna.

– Nie! – wrzasnęła, walcząc ze łzami. – Nie chcę być rozsądna! Bo nienawidzę mojego życia! Nienawidzę siebie! I ciebie też!

– Nieprawda – oświadczył ze stoickim spokojem.

Z nim nie można było walczyć. To po prostu niewykonalne!

Znów odwróciła się gwałtownie, wzięła pod boki, znów wykrzyczała mu prosto w twarz:

– Co mam zrobić, żebyś w końcu zniknął?! Co?! – Gdy odpowiedziała jej cisza, dodała równie głośno: – W takim razie, skoro tak się uparłeś, idź przynajmniej za mną! Jak najdalej!

Udało jej się dojść do końca ulicy, ale dalej ani rusz. But zdarł już skórę i zaczął trzeć o żywe mięso. Musiała go zdjąć. Koniecznie!

Zrobiła jeszcze kilka chwiejnych kroków i pewnie by upadła, gdyby ktoś temu nie zapobiegł. Oczywiście James. Zanim zdążyła pomyśleć, dopadł do niej, porwał na ręce i choć taki chudzina, trzymał ją w górze bez najmniejszego wysiłku, jakby ważyła nie więcej niż mała ptaszynka! A nawet mniej. Jakby w ogóle straciła taki parametr jak waga.

– Puść mnie, idioto! Puść!

Oczywiście, że miała zamiar dalej wrzeszczeć, a także kopać, lecz

kiedy spojrzała na zaciśnięte szczęki Jamesa, zrozumiała, że wszelki opór jest bezcelowy. Ten facet nie dopuści, by dalszą drogę pokonywała samotnie.

Zrobiła więc coś innego. Bardzo głośno pociągnęła nosem.

– Coś cię boli? – spytał James.

Skinęła głową i znów pociągnęła nosem.

– Dlaczego... dlaczego tak bardzo mnie nienawidzisz, James? – spytała żalnym głosem, jednocześnie wściekła na siebie, bo przecież powinno być jej wszystko jedno. Niczego od niego nie chciała, ani nienawiści, ani troski. Niczego!

– Miałbym cię nienawidzić? Nieprawda, Christie.

– Ale na obiad nie przyszedłeś! Bo ja tam byłam!

James milczał.

Minęła chwilka i Christie kategorycznie zażądała, by postawił ją na ziemi. James nie reagował, a ona czuła, że rozkleja się całkowicie. Zarówno pod względem fizycznym, jak i psychicznym była wrakiem człowieka. Najgorsze, że po policzkach płynęły już łzy, co widział James. Właśnie James!

Westchnął głośno, wręcz demonstracyjnie, i wcale jej nie puścił, tylko mocniej przycisnął do siebie. A ona, kompletna już dętka, oparła głowę na jego ramieniu.

– Christie, czy teraz zgodzisz się, żebym odwiózł cię do domu?

Pokiwała głową. Bolało ją okropnie, dlatego postanowiła dłużej nie robić z siebie idiotki.

– Dobrze – powiedział James i ostrożnie postawił ją na ziemi. – Dasz radę przejść kawałek?

Znów pokiwała głową, James wziął ją za rękę i powolutku wrócili pod

garaż. Tym razem, gdy James otwierał drzwi limuzyny, Christie nie protestowała.

Była już do połowy w samochodzie, kiedy James wykonał nieoczekiwany manewr. Mianowicie nachylił się i jego usta przywarły do jej ust. Po prostu zaczął ją... całować! Rękę wsunął we włosy Christie, a jego wargi zaserwowały pocałunek tego rodzaju, od którego osoba całowana cała drży.

Kiedy podniósł głowę, Christie resztę drogi do wnętrza samochodu pokonała z zawrotną szybkością. Chciała zapytać, dlaczego to zrobił, jednak odjęło jej mowę. W drodze do domu nie powiedziała ani słowa. James podwiózł ją pod jej blok i pomógł wysiąść, a ona nie była w stanie spojrzeć mu w oczy. Kątem oka widziała jednak, jak skinął głową.

I stał. Czyżby... czyżby miał zamiar znów ją pocałować?

Nie rozczarował jej. Pocałunek był długi, bardzo żarliwy. Taki pocałunek, od którego Christie zakręciło się w głowie.

I tak kręciło się przez chwilę, a James w tym czasie wsiadł do limuzyny i odjechał.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

We wtorek rano, kiedy Faith była w pracy, zadzwoniła do niej córka Troya. Faith ucieszyła się, bo szczerze mówiąc, miała ochotę spotkać się z nią. A biedna Megan przepraszała po stokroć, że przeszkodziła jej w pracy, ale nie знаła innego numeru, a zdobyć nie mogła, bo nie było go w żadnym spisie telefonów.

Ostatnią wizytę Troya Faith rozpamiętywała wielokrotnie. Zastanawiała się, czy postąpiła słusznie, wykazując się tak wielką nieustępliwością. Po którymś z kolei rozpamiętywaniu orzekła, że tak. Właśnie taka postawa była właściwa.

Myślała też dużo o tym, dlaczego przy ich drugim zerwaniu Troy jako argumentu użył swojej córki, którą Faith zdążyła już dość dobrze poznać. Megan sprawiała wrażenie osoby rozsądnej. Było oczywiste, że bardzo kocha ojca, dlatego Faith trudno było uwierzyć, że nie chce, by był szczęśliwy i odmawia mu prawa do związania się z jakąś kobietą. Najprawdopodobniej Troy źle zrozumiał córkę... Albo nie był pewny swych uczuć do mnie, pomyślała.

– Czy mogłybyśmy się spotkać? – spytała Megan.

– Mam trochę problemów z kocykiem. Byłabym bardzo wdzięczna, gdybyś spojrzała na niego doświadczoneym okiem. Zapraszam cię na lunch!

– Megan, proszę! Za swój lunch zapłacę sama, a na twój kocyk spojrzę z największą przyjemnością.

Umówiły się w Pot Belly Deli podczas przerwy na lunch. Faith po odłożeniu słuchawki zapadła w zadumę. Między nimi powstaje pewna zażyłość, a przecież Megan nie wie, że Faith była związana z jej ojcem.

Może ten wtorkowy lunch będzie świetną okazją, by o tym pogadać. Faith, w przeciwieństwie do Troya, wcale nie zależało na zachowaniu wszystkiego w tajemnicy, chociażby dlatego, że dla niej ten związek należał już bezpowrotnie do przeszłości.

Megan przyszła do restauracji pierwsza i zajęła stolik przy oknie. Pomachała radośnie na widok wchodzącej Faith, a gdy ta przeszła przez zatłoczoną restaurację i znalazła się przy stoliku, zerwała się z krzesła i serdecznie ją uściskała.

– Przyszłam wcześniej, żeby upolować dobry stolik! – powiedziała.

Faith z przyjemnością stwierdziła, że Megan wygląda kwitnąco. Włosy lśnią, policzki ozdobione pięknymi rumieńcami. Była najlepszym dowodem na to, że kobiety w ciąży rozsiewają wokół siebie jakiś blask. Ciekawe, czy Megan powiedziała już Troyowi, że będzie dziadkiem. ¡Warto o to spytać, oczywiście w odpowiednim momencie.

Do stolika podeszła kelnerka.

– Dziś zupą dnia jest zupa brokułowa z żółtym serem, a danie specjalne to kanapka z krabów z roztopionym serem.

Megan i Faith zamówiły po zupie, a krabem postanowiły się podzielić. Miały też ochotę na herbatę, więc kelnerka przyniosła parujący niebieski dzbanek i dwie filiżanki.

Megan wyjęła zrobiony już do połowy kocyk.

– Coś mi tutaj nie wychodzi – powiedziała, demonstrując problematyczne miejsce.

Faith już na pierwszy rzut oka zorientowała się, na czym polega problem. Wzór był nieskomplikowany, po prostu kwadraciki z czterech rzędów, a Megan w tym miejscu dwukrotnie przerobiła trzeci rząd.

– Przeszkadza ci to? – spytała Faith.

– Na początku pomyślałam sobie, a co tam, i robiłam dalej. Ale teraz...

Faith taką sytuację przerabiała już wiele razy.

– Ale teraz drażni cię?

– Oczywiście.

– W takim razie nie ma rady. Musisz spruć do tego miejsca i poprawić.

– Serio, Faith? Mam spruć aż tyle?

– Tak, aż tyle. Mnie zdarza się to często. Czasami pruję jakiś kawałek trzy, cztery razy, zanim zrobię go dobrze. Oczywiście drobnym błędem nie ma co się przejmować, ale...

– Ale to jest duży błąd, prawda?

– No... to już zależy od tego, jak sama oceniasz

– stwierdziła dyplomatycznie Faith.

– Rozumiem... A co ty byś zrobiła na moim miejscu?

– Ja, jak ci wspomniałam, nie waham się przed spruciem.

– To ja też pruję i już – zdecydowała Megan.

– Aha, a wiesz, powiedziałam już tacie i teściom o dziecku.

– Wyobrażam sobie, jacy są szczęśliwi!

– Owszem, a już zwłaszcza mój tata. – Megan znów wlepiała oczy w robótkę.

– Meg, jeśli chcesz, to jak zjemy lunch, pomogę ci przy tej poprawce.

– Dzięki.

Megan nalała herbatę do filiżanek.

– Dzięki, Faith, że się ze mną spotkałaś.

– Cała przyjemność po mojej stronie. – Miała przeczucie, że Meg poprosiła o spotkanie nie tylko z powodu problemu z robótką.

Postanowiła zapytać wprost:

– Powiedz, o co jeszcze chodzi?

– Przejrzałaś mnie na wylot! – skomentowała ze śmiechem Megan. – Masz rację, chodzi nie tylko o robótkę. Muszę koniecznie o czymś pogadać, i to natychmiast, po prostu siedzę jak na szpilkach.

– Cieszę się, że do tej rozmowy wybrałaś mnie.

– Bo wydajesz mi się najodpowiedniejsza. Na pewno będziesz szczerą, a poza tym dla mnie wszystkie twoje rady są bezcenne. Wspominałam ci już, że byłam bardzo zżyta z moją mamą.

– Tak.

– Musiała iść do domu opieki dla przewlekle chorych. Niestety, przy jej stanie zdrowia okazało się to konieczne, ale widywałam się z nią codziennie. Pod koniec miała ogromne trudności z mówieniem, raczej więc słuchała, wtrącając słówko, dwa... A słuchała z wielką uwagą. Tata i ja byliśmy przy niej, kiedy umierała. Umierała... pięknie... – Megan zamrugała, starając się powstrzymać łzy. – Śmierć też może być piękna, prawda?

– Tak, dziecko... – Faith delikatnie uścisnęła jej dłoń. – Też tak uważam.

– Mama chorowała bardzo długo... – Megan zamilkła na chwilę, starając się zapanować nad wzruszeniem. Z powodzeniem, bo kiedy odezwała się ponownie, mówiła normalnym głosem: – Wkrótce po jej śmierci tata powiedział, że chciałby się spotykać z pewną kobietą. Nie muszę ci chyba mówić, jak byłam tym przerażona.

Serce Faith zatrzepotało. Czy to możliwe, żeby tak bardzo się pomyliła, oceniając postępowanie Troya? Przecież z tego, co właśnie wyznała Megan, jasno wynika, że Troy wcale nie przesadził z reakcją córki, więc jego decyzja mogła być całkowicie uzasadniona.

Megan na moment mocno zacisnęła usta.

– W pierwszej chwili myślałam, że żartuje. Przecież od śmierci mamy minęło zaledwie kilka miesięcy!

Faith nie wiedziała, co powinna powiedzieć. Sytuacja była nad wyraz trudna. Megan nie miała bladego pojęcia, że właśnie rozmawia z tamtą kobietą!

– Mówiłaś, że twoja matka chorowała od dawna – powiedziała ostrożnie.

– Tak, a ja wreszcie zrozumiałam, jak bardzo samotny był mój ojciec przez te wszystkie lata. Ale był tak bardzo oddany mamie...

W tym momencie do stolika podeszła kelnerka, przynosząc zamówione dania i dodatkowy talerz. Na kilka minut Megan i Faith skupiły się na jedzeniu. Połowa kanapki z krabem przerzucona została na pusty talerz, potem zaczęły jeść zupę, dzieląc się spostrzeżeniami odnośnie jej smaku. Zwekslowanie rozmowy na inny temat było Faith bardzo na rękę, bo zyskała trochę czasu na zastanowienie. I doszła do wniosku, że nie wolno jej wysłuchiwać zwierzeń Megan, nie informując jej, że zna jej ojca. Bo to po prostu jest nieuczciwe.

– Megan, twoim ojcem jest szeryf Troy Davis, prawda?

– Tak. Znasz go?!

– Owszem, sprzed lat. Chodziliśmy do tej samej szkoły średniej.

– Naprawdę? – Megan radośnie klasnęła w dłonie. – Nigdy bym się nie spodziewała. To cudownie!

– Twój ojciec zawsze był bardzo przystojny.

– Wiem – powiedziała z dumą Megan. – Wiele razy oglądałam jego szkolne albumy. Rzeczywiście, był bardzo przystojny...

I to się nie zmieniło. Zdaniem Faith nadal wyglądał rewelacyjnie.

Natomiast Megan mówiła dalej:

– A więc, wracając do tematu, bardzo się wzburzyłam, ale teraz doszłam do wniosku, że wcale nie jest dobrze, że tata jest sam. Powiedziałam mu wprost, że powinien się z kimś spotykać, ale tata podszedł do tego bardzo ostrożnie. Nie dziwię się, przecież przez to, że już się kiedyś spotykał, wpadłam w histerię. Teraz tego żałuję, ale było to zaledwie parę miesięcy po śmierci mamy, no i poroniłam... Lecz teraz widzę to inaczej. – Megan umknęła wzrokiem. – Zachowałam się fatalnie, po prostu jak skończona egoistka.

– Kochanie, każdy ma prawo do okazywania uczuć. Nie rób sobie wyrzutów.

Megan nabrała łyżką zupy, przełknęła.

– Tata nie jest wcale taki stary i nie chce reszty życia spędzić w samotności. Rozumiem to i nie mam do niego żadnych pretensji. Jasne, że nie będzie mi łatwo widzieć go z inną kobietą... Mama... no cóż, to trudne, ale za nic nie chcę być egoistką.

– Moim zdaniem twoja reakcja była jak najbardziej naturalna – powiedziała cicho Faith. – Nie udawałaś, byłaś wobec ojca szczerą, a to takie ważne.

– Naprawdę tak to widzisz? – Megan odetchnęła z ulgą.

Faith podjadła trochę zupy, po czym wystąpiła ze swoją rewelacją:

– Może będziesz zaskoczona, ale powinnaś wiedzieć, że w szkole średniej umawiałam się z twoim ojcem.

– Nie mów! – Zaskoczona Megan wlepiła w nią oczy. – Ty i mój tata?

– A tak. Twój tata bardzo podobał się dziewczynom. – Gdy Megan zachichotała, mówiła dalej:

– Mnie też się bardzo podobał. – Specjalnie użyła czasu przeszłego. W

jakiś pokretny sposób miała nadzieję, że umiejscawiając wszystko w odległych latach, łatwiej jej będzie przekazać informację o tym, że jest również tą tajemniczą kobietą, z którą Troy spotykał się po śmierci żony. O ile oczywiście rozmowa potoczy się w taki sposób, że tej informacji będzie można udzielić.

– Faith, pomyślałam sobie, że gdyby tata spotykał się z kimś takim jak ty, łatwiej by mi było się z tym pogodzić...

Tak? Miała już na końcu języka wyznanie, że owszem, spotykała się z nim i potem, wiele lat po ukończeniu szkoły średniej. Ale w tym momencie Megan powiedziała coś jeszcze, i to coś bardzo istotnego:

– ... ale ta konkretnie wcale mi się nie podoba.

– Ta? Przepraszam, to znaczy kto?

– A... taka jedna wdowa. Na imię ma Sally.

Zimny dreszcz, który przebiegł po plecach Faith, nie miał nic wspólnego z zimową pogodą. To był szok. Bo i jakimże człowiekiem jawi się teraz szeryf Troy Davis? Człowiekiem, który w życiu osobistym nie wykazuje się konsekwencją. Gorzej. Jednego dnia wyznaje kobiecie miłość, a następnego dnia umawia się z inną.

– Mam wrażenie, że ojciec wcale nie chciał, żebym w ogóle się o niej dowiedziała – wyznała Megan z ponurą miną.

– Z całą pewnością – powiedziała cierpko Faith.

Wiedziała przecież najlepiej, że szeryf Davis swoje romanse lubi trzymać w najgłębszej tajemnicy.

– Craig mówi, że niektórzy mężczyźni bardzo potrzebują kobiety u swego boku. Nigdy nie myślałam, że mój ojciec może być jednym z nich, ale teraz widzę, że tak. Przedtem była tamta kobieta, teraz jest Sally.

– Może to jedna i ta sama osoba? – spytała znów bardzo cierpko Faith.

Była zła, czuła się upokorzona. Ciekawe, kiedy Troy zaczął spotykać się z Sally? Może w tym samym czasie co z Faith? Oszukiwał obie? W sumie nie powinno to nikogo zaskakiwać.

– A wiesz, że to całkiem prawdopodobne. Może to właśnie z Sally spotykał się po śmierci mamy.

A Faith czuła, że zaczyna ją rozrywać, bo wszystko to razem zaczynało ją przerastać. Jak on śmiał tak ją potraktować! Tak instrumentalnie! Wmawiał jej, że jest jedyną kobietą, na której mu zależy! Powiedział nawet, że ją kocha!

– Znasz tę Sally? – spytała cicho Faith, podejrzewając, że w tym swoistym kontredansie tamta kobieta uplasowała się wyżej niż ona, w związku z czym Troy przedstawił ją swojej córce.

– Widziałam ją raz. – Megan popiła herbaty.

– Byliśmy z Craigiem w Wal–Marcie na zakupach i tam natknęliśmy się na tatę i Sally.

– Aha...

Czyli siedzi już u niej pod pantoflem. Troy supermarketów nie trawi, a jednak dał się tam zaciągnąć.

– Tata nie wyglądał na zachwyconego. Udawał, że mnie nie widzi, ale i tak podeszliśmy do nich.

– Jak ona wygląda? – Była cała w nerwach, bo jeśli okaże się, że ta Sally jest młoda, szczupła i blond, to ona nie ręczy już za siebie.

– Taka przy kości, mniej więcej w wieku taty.

– Ale... ładna?

– Bo ja wiem... Taka sobie. Przede wszystkim wygląda na kobietę niezwykle apodyktyczną.

– Apodyktyczną?

– Tak. Powiedziała, że potem idą na sushi, a tata nie znosi sushi. Tak samo jak robienia zakupów.

O tym Faith wiedziała od dawna.

– Czyli wszystko wskazuje na to, że twój ojciec jest pod urokiem... Sally.

Wymówienie imienia tej kobiety wymagało od Faith dużego wysiłku. Była okropnie zdenerwowana, dlatego uznała, że najwyższy czas pożegnać się z Megan.

Chwyciła swoją torebkę i postawiła na podolku. Cała w środku trzęsła się jak galareta. Jeszcze kilka dni temu Troy próbował ją namówić, żeby dała mu kolejną szansę. Czyli szanowny szeryf żongluje kobietami jak klaun piłeczkami. Klaun... O, właśnie tak! To określenie świetnie pasuje do szeryfa Troya Davisa.

– Może powinnam powiedzieć coś tacie o tej całej Sally? Naprawdę mi się nie podoba, takie wstrętne babsko. Rządzi tatą, potem będzie chciała rządzić i mną. Z drugiej strony to faktycznie nie moja sprawa. Może się więc nie wtrącać. Co sądzisz o tym wszystkim, Faith?

– Ja... ja, szczerze mówiąc, nie bardzo wiem... co powiedzieć. – W ciągu kilku minut zmieniła się w dukającą idiotkę.

Megan bezradnie potrząsnęła głową.

– A ja kompletnie nie rozumiem, dlaczego do taty nie dociera, że ta Sally absolutnie do niego nie pasuje! Jednak mężczyźni potrafią być beznadziejni!

Faith zaśmiała się krótko, niemal histerycznie.

– Święta racja...

Przerwa na lunch dobiegała końca, restauracja pustoszała. Faith i Megan musiały wracać do pracy. Kiedy kelnerka położyła na stoliku

rachunek, Faith wzięła go do ręki i spojrzała na kwotę.

– Faith, naprawdę nie możesz czuć się zaproszona? – spytała Megan.

– Absolutnie nie. – Otworzyła torebkę. Jej ręce drżały, kiedy z małej portmonetki zapinanej na zamek błyskawiczny wyjmowała pieniądze.

– To powinno wystarczyć za moje jedzenie plus napiwek – powiedziała, kładąc na stole dwanaście dolarów.

– Bardzo ci dziękuję, Faith, że wybrałaś się ze mną na lunch.

Nie udało jej się uśmiechnąć równie promiennie.

– Było mi bardzo miło, Megan. Obawiam się tylko, że nie okazałam się szczególnie pomocna.

– Natomiast dla niej to spotkanie okazało się niezwykle pouczające. Otworzyło jej oczy na szeryfa Troya Davisa.

– Ależ bardzo mi pomogłaś – zapewniła gorąco Megan. – Uwielbiam z tobą rozmawiać. Jeszcze raz bardzo ci za wszystko dziękuję.

Faith wydusiła z siebie krótkie słowo pożegnania i z ulgą pospieszyła do drzwi. Było bardzo zimno, dlatego do restauracji podjechała samochodem i zaparkowała w bocznej uliczce.

Wsiadła do auta, włączyła silnik i ogrzewanie, ale nie ruszała, czekając, aż emocje opadną. I opadły. Gniew znikł, jego miejsce zajął smutek.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

To był naprawdę dobry dzień. Powodów do zadowolenia nie brakowało, jako że Emily Flemming rozpoczęła pracę w idealnym wprost miejscu, czyli w Patchworkowej Żyrafie. No i ta świadomość, że dzięki temu przyczyni się do rozwiązania domowych problemów finansowych. A na koniec najistotniejszy powód: wreszcie porozmawiali z mężem szczerze. Stało się to w niedzielę, a wynik rozmowy był bardzo pozytywny. Dave całkowicie odzyskał jej zaufanie. Jedna kwestia co prawda pozostała niewyjaśniona, mianowicie sprawa kolczyków z diamentami, o które Emily po prostu zapomniała zapytać, jednak nie robiła z tego tragedii. Zapewne Martha podarowała kolczyki Dave'owi razem z zegarkiem, on zaś czeka do świąt, ponieważ chce podarować je żonie na Gwiazdkę. Dlatego Emily na razie dała sobie z kolczykami spokój. Zapyta o nie w swoim czasie.

Z perspektywy czasu Emily żałowała, że swoimi wątpliwościami nie podzieliła się z Dave'em wcześniej. Gdyby nie nosiła się z tym jak przysłowiowa kura z jajkiem, zaoszczędziłaby i sobie, i mężowi niepotrzebnego zdenerwowania i zamartwiania się. Oczywiście Dave też nie był bez winy, bo o problemach finansowych powinien był powiedzieć wcześniej. Nie miała pojęcia, że jest aż tak źle. Dotarło to do niej ostatecznie, kiedy Dave pokazał stos niezapłaconych rachunków. Ale faktem, że jej mąż pastor podjął dodatkową pracę, była jednak zszokowana.

We wtorek, w pierwszym dniu pracy, Emily odwiozła synków do szkoły i pojechała do Patchworkowej Żyrafy. Sklep znajdował się na terenie centrum handlowego, gdzie wielu biznesmenów prowadziło swoją działalność, między innymi mieścił się tu salon Get Nailed. W

Patchworkowej Żyrafie, należącej do Roxanne York, sprzedawano najrozmaitsze tkaniny i przędzę, a także to wszystko, co potrzebne jest do zrobienia patchworku. Poza tym właścicielka sklepu organizowała różnego rodzaju kursy dla pań. W ubiegłym roku na przykład takie kursy prowadziła znana miejscowa artystka, Shirley Bliss, zajmująca się tkaniną artystyczną, jednak po śmierci męża zrezygnowała ze współpracy z Patchworkową Żyrafą. Emily marzyła o ukończeniu tego kursu, niestety zajęcia odbywały się wieczorem, w tym samym czasie co spotkania pań w parafii, w które Emily już się zaangażowała i nie wypadało jej się wycofać.

Od lat zaglądała do Patchworkowej Żyrafy. Zaprzyjaźniła się z właścicielką, która co jakiś czas proponowała jej pracę u siebie. No i teraz okazało się to wręcz wymarzonym rozwiązaniem. Pastorostwo nie mogli wprost uwierzyć, że wszystko zaczyna iść tak gładko. W ciągu kilku minut Emily miała pracę, i to w godzinach, które jej odpowiadały. O tej porze roku w sklepie panował wielki ruch i Roxanne bardzo się ucieszyła, że pozyskała nową ekspedientkę, i to z doświadczeniem, Emily bowiem przed urodzeniem dzieci pracowała w domu towarowym.

Synkowie, kiedy usłyszeli o jej nowym zajęciu, nie byli zachwyceni.

– Mamo, a jeśli nagle zachoruję i trzeba będzie odebrać mnie ze szkoły? – spytał Matthew.

– A kto upiecze nam ciasteczka, którejemy, jak wracamy ze szkoły?

No tak, właśnie o ciasteczka Mark martwił się najbardziej.

– Matthew, nie martw się – uspokajała pierworodnego. – Pod tym względem nic się nie zmieni. Jeśli będę ci potrzebna, wystarczy zadzwonić i natychmiast jestem w szkole.

Matthew jednak i tak cały ranek chodził naburmuszony, natomiast Marka udało się udobruchać.

– Nadal będę piekła te ciasteczka. Oczywiście! – obiecała solennie Emily. – Jutro upiekę twoje ulubione, z daktylami. Co prawda zwykle piekę je na święta, ale raz możemy zrobić wyjątek.

Po takiej deklaracji Mark odzyskał humor.

– Dzień dobry, Roxanne! – rzuciła wesoło Emily, wkraczając do dobrze znanego sklepu.

– Dzień dobry!

Na Emily czekał już identyfikator z imieniem i specjalny fartuch z tuzinem kieszeni. Odebrała nowy rynsztunek i pomknęła na zaplecze, gdzie z kolei przydzielono jej już półkę. Postawiła tam torebkę, zrzuciła płaszcz i dumna jak paw włożyła ten rewelacyjny fartuch oraz przypięła identyfikator. I była gotowa do pracy.

Po dziesięciu minutach Roxanne musiała wyjść do banku, więc Emily została w sklepie sama, co bardzo ją ucieszyło, ponieważ mogła spokojnie się rozejrzeć. Niestety, już po chwili pojawiły się pierwsze klientki, zaprzyjaźnione z sobą od lat Peggy Beldon i Corrie McAfee. Bardzo je zaskoczył widok Emily w nietypowym fartuchu.

– Pracuje pani tutaj? Świetnie – powiedziała Peggy z miłym uśmiechem. – A w tych nowych włosach jest pani rewelacyjnie!

Peggy robiła przepiękne patchworki. Potrafiła cudownie dobierać kolory, czego zazdrościły jej wszystkie panie z patchworkowego cechu. Peggy i jej mąż Bob byli właścicielami pensjonatu Thyme and Tide, o którym w pewnym ogólnokrajowym – tak, ogólnokrajowym! – czasopiśmie zajmującym się podróżami napisano w samych superlatywach.

– Dziękuję, pani Beldon. Pracuję tu od niedawna, niecałą godzinę! – poinformowała uradowana Emily.

– Czym mogę służyć?

– Na razie dziękujemy – powiedziała Corrie, która niedawno zasilila szeregi patchworkowego cechu. Była pełna zapału, a za mentorkę, zdaniem Emily, wybrała sobie najlepszą z najlepszych, czyli Peggy Beldon.

Klientki rozpoczęły wędrowkę wzdłuż półek z tkaninami. Emily nie lubiła, kiedy ktoś z personelu deptał jej po piętach, dlatego została przy kasie, oczywiście gotowa podejść do pań w każdej chwili. Trochę się denerwowała, na szczęście Roxanne obiecała, że wróci niebawem. Bardzo dobrze, może się przecież zdarzyć, że Emily nie będzie potrafiła odpowiedzieć na jakieś pytanie.

Słyszała, jak Corrie, delikatnie głaszcząc kolejną tkaninę, mówi do Peggy:

– Roy, niestety, znów wpadł w ten swój nastrój.

No tak. Ci wspaniali mężczyźni i ich nastroje!

Dave też przez kilka miesięcy nie był sobą. Wiedziała już, że była to oznaka czegoś okropnego. Przecież niewiele jest gorszych problemów od kłopotów finansowych.

– Może ma coś ważnego na głowie – powiedziała Peggy.

– Owszem. Zaginioną biżuterię Marthy Evans. Rozmawiał już o tym z szeryfem.

Emily odruchowo wysunęła się zza kasy, stanęła trochę bliżej klientek i zaczęła oglądać książkę z wzorami, jednocześnie – trudno! – nadstawiając ucha.

– Troy powiedział Royowi, że córki Marthy przychodziły już do niego kilkakrotnie – ciągnęła Corrie.

– Są bardzo zdenerwowane. Matka co prawda ubezpieczyła biżuterię, ale suma ubezpieczenia jest stanowczo zbyt niska. Poza tym na pewno darzą biżuterię matki wielkim sentymentem.

Emily przełknęła. Czuła się okropnie, podsłuchując prywatną rozmowę, ale nie miała wyboru. Każda informacja w tej sprawie była dla niej na wagę złota, przecież Dave, ponieważ znalazł panią Evans martwą, siłą rzeczy był w kręgu tej sprawy.

– Przepraszam, ale mimo woli usłyszałam, o czym panie rozmawiają – powiedziała, zamykając książkę z wzorami. – To okropne, co stało się z tą biżuterią. Daj Boże, żeby szybko się odnalazła.

– Wszyscy bardzo by tego chcieli – powiedziała Corrie. – A zaginęła nie tylko biżuteria, także złoty zegarek.

Złoty zegarek?! Emily natychmiast dostała gęsiej skórki.

– Roy mówił mi, że najstarsza córka Marthy... nie pamiętam jej imienia... wczoraj znowu była u szeryfa. Zapomniała o tym zegarku i poprosiła, żeby dopisać go do wykazu przedmiotów zaginionych.

W tym momencie nogi pod Emily się ugięły. Matko święta, nie! To musi być jakieś koszmarnie nieporozumienie. Dave twierdzi, że Martha podarowała mu złoty zegarek. I nosi go! A przecież żaden złodziej o zdrowych zmysłach nie będzie publicznie paradował ze skradzionym przedmiotem! Poza tym Dave powiedział, że Martha uwzględniła tę darowiznę w testamencie. A więc jak to w końcu jest?!

Emily powoli przemieściła się w okolice kasy, natomiast klientki zmieniły temat:

– Nasz Mack wprowadził się już do nowego mieszkania – oświadczyła Corrie.

– To dobra wiadomość – skomentowała Peggy, biorąc z półki belę materiału. – Podobno Will Jefferson zamieszkał nad galerią.

– Tak twierdzi Mack.

– Jak to dobrze, że nadal mamy w mieście galerię sztuki...

Dalszą ich rozmowę Emily puściła mimo uszu. Mack, galeria... teraz zupełnie jej to nie obchodziło.

Peggy i Corrie kupiły po kilka metrów materiału i wyszły, zastanawiając się, dokąd wybiorą się na lunch. Emily została sama. Była bardzo zdenerwowana rewelacją o złotym zegarku. Zaraz jednak zebrała się w sobie i zaczęła bardziej na chłodno analizować sytuację. Po chwili doszła do wniosku, że zamiast gryźć się i rozpaczać, pewnym aspektem tej sprawy sama może się zająć. I musi zrobić to jak najprędzej, najlepiej już dziś, podczas przerwy na lunch.

Pojechała do kancelarii Allana Harrisa, jednak znanego prawnika nie zastała. W biurze był tylko młody elegancki mężczyzna, który siedział za biurkiem niedaleko drzwi wejściowych.

– Dzień dobry – spytał uprzejmie. – Czym mogę pani służyć?

– Jestem Emily Flemming.

– Miło panią poznać.

Zabrzmiało to tak, jakby nie skojarzył, z kim ma do czynienia.

– Jestem żoną pastora Flemminga.

– Ach tak! – Zerwał się na równe nogi i wyciągnął rękę. – Witam panią! Jestem Geoff Duncan, asystent pana Harrisa. Niedawno rozmawiałem z pani mężem. Zgodził się udzielić mi i mojej narzeczonej nauk przedmażeńskich.

– To świetnie. Dave bardzo lubi pracować z młodymi ludźmi, którzy zamierzają się pobrać – odparła Emily, zastanawiając się jednocześnie, jak tu chytrze przejść do sprawy zegarka, który uważany jest za zaginiony, a tak naprawdę ma go jej mąż. Była przekonana, że zaszło jakieś fatalne nieporozumienie, które wyjaśni się po przestudiowaniu testamentu pani Evans.

– Czy chce pani umówić się na spotkanie z panem Harrisem? Niestety, jest w sądzie, wróci po południu. Ale mogę panią zapisać na jakiś dzień.

– Nie, dziękuję, nie chodzi mi o spotkanie z panem Harrisem. Przyszłam tu, ponieważ bardzo potrzebuję pewnej informacji.

– Więc może ja mógłbym pomóc?

– Naprawdę? Bo widzi pan, po prostu chciałabym tylko na coś spojrzeć. – O zrobieniu kopii, którą chciała przedstawić szeryfowi, nie odważyła się wspomnieć. Zdawała sobie przecież doskonale sprawę, że potajemne kopiowanie testamentu obcej osoby jest niezgodne z prawem, o stronie moralnej takiego uczynku nawet nie wspominając.

– Chciałabym spojrzeć na coś, o czym wspomniał mój mąż.

– To znaczy?

No cóż... wreszcie trzeba to wydusić z siebie.

Emily nabrała głęboko powietrza.

– Chciałabym zobaczyć testament Marthy Evans.

– Gdy Geoff zmrużył oczy i powoli pokręcił głową, spytała nerwowo:

– Czyli... nie mam prawa o to prosić?

– Nie, pani Flemming. Nie wolno mi pani pokazać tego dokumentu.

– Fatalnie... – Zabrzmiało to jak smętne pojękiwanie. Ale cóż, po pierwsze Emily nie zobaczy testamentu, a po drugie okazała się kompletną idiotką, decydując się na taki krok.

– Czy to dla pani jest aż tak ważne? – spytał Geoff.

– Oczywiście! Niezmiernie ważne, tylko dlatego zdecydowałam się pana o to poprosić.

– Rozumiem... A czy mogłaby mi pani powiedzieć, dlaczego tak wielką wagę pani do tego przykładu?

– Tak, już mówię... Na pewno pan wie, że to mój mąż znalazł panią

Evans martwą.

– Wiem, oczywiście, że wiem.

– Obawiam się, że w związku z zaginięciem pewnych cennych przedmiotów mój mąż będzie osobą podejrzaną.

Geoff sposepniał.

– Pastor Flemming? Niemożliwe, żeby pani mąż, którego poznałem, a przy tym osoba duchowna, przywłaszczył sobie cudzą rzecz!

Fakt, że Geoff odruchowo stanął w obronie Dave'a, bardzo Emily ucieszył.

– Oczywiście, że to niemożliwe, boję się jednak, że w związku z zaginięciem tych przedmiotów mój mąż może mieć poważne problemy. Pani Evans podarowała mu złoty zegarek po zmarłym panu Evansie. Mąż nosi ten zegarek, niedawno nawet zgubił go podczas wizyty u sędziny Griffin, która teraz dochodzi do siebie po operacji. Sędzina znalazła zegarek, Dave go odebrał. Czyli, jak mówię, Dave dostał zegarek w prezencie i nosi go, o czym wiedzą już osoby trzecie, a jednocześnie ten właśnie zegarek jest w wykazie zaginionych przedmiotów należących do spadku po pani Evans.

– A... rozumiem, pani Flemming. Z tego rzeczywiście może być problem. A jaki ma to związek z testamentem? – spytał Geoff, z powrotem siadając za biurkiem.

– Bardzo istotny – powiedziała Emily, nachylając się ku niemu. – Pani Evans powiedziała mojemu mężowi, że tę darowiznę uwzględni w testamencie. Teraz rozumie pan moją prośbę. Żeby spać spokojnie, muszę zobaczyć ten zapis. Gdybym jeszcze miała kopię testamentu... – Uff! Jednak się na to zdobyła.

Na co Geoff Duncan zareagował gwałtownie:

– Kopię?! – Był wyraźnie zszokowany.

– Och nie, o to nie śmiem pana prosić...

– Kopię... – Na moment zamyślił się, miarowo postukując po biurku długopisem. – No tak... – mruknął po chwili. – Mówiłem już pani, że pani mąż zamierza udzielić mi i mojej narzeczonej nauk przedmażeńskich?

– Tak.

– Bezpłatnie, co dla mnie istotne, bo jako asystent w kancelarii prawnej dużo nie zarabiam. Pastor robi mi wielką przysługę, a więc... – Rozejrzał się czujnie, chociaż w kancelarii oprócz nich nie było nikogo.

– Pani Flemming – powiedział prawie szeptem – czy zdaje sobie pani sprawę, że gdyby ktoś się dowiedział, że pokazałem pani ten testament i przekazałem kopię, to z miejsca wylatuję z pracy?

– Naprawdę? Aż takie konsekwencje? W takim razie zapomnijmy o tym! Nie mam prawa narażać pana na tak wielkie ryzyko.

Uniósł rękę, by ją uciszyć.

– Owszem, ryzyko jest duże, ale skoro ma pomóc pastorowi w zachowaniu dobrego imienia, to warto zaryzykować.

– Naprawdę? Dziękuję. Bardzo panu dziękuję... Mówi pan, że pan Harris jest w sądzie?

– Tak.

– W takim razie... Panie Duncan, może zrobimy tak. Proszę pozwolić mi przeczytać testament, bo przecież pan rozumie, że tak ważną informację chcę zobaczyć na własne oczy. Jednak o kopię nie śmiem prosić... najwyżej tylko ten fragment o darowiźnie, a to dlatego, by mój mąż miał w rękę dowód, że jego sytuacja jest czysta. Tej kopii użyje tylko wtedy, jeśli szeryf Davis zacznie go wypytywać.

– Dobrze. – Wstał i podszedł do wysokiej szafy wypełnionej teczkami z dokumentami.

– Nie wiem, jak panu dziękować...

– Nie trzeba. Pastor robi mi przysługę, więc z radością się zrewanżuję.

– Nikt o tym się nie dowie, przysięgam! W ostateczności mąż pokaże kopię szeryfowi, ale nikomu innemu. Ma pan moje słowo – zapewniała żarliwie, nie mogąc się doczekać chwili, kiedy wreszcie weźmie do ręki upragniony dokument.

Geoff Duncan odnalazł odpowiedni skoroszyt i wyjął kilka zszytych kartek, które Emily odebrała skwapliwie. Usiadła w poczekalni na obitej skórą kanapie i pospiesznie zaczęła przerzucać kartki. Przypuszczała, że interesujący ją zapis będzie w załączniku na końcu dokumentacji.

Szybko przebiegła wzrokiem po spisie biżuterii. Martha rzeczywiście posiadała imponującą liczbę kosztownych błyskotek. Dave kiedyś wspomniał, że jej mąż był dyrektorem w dużej spółce papierniczej, w związku z czym dużo podróżował. Martha często mu towarzyszyła, a z każdej podróży przywoziła pamiątkę, i zawsze to było coś z biżuterii, najchętniej starej, do tego cennej. Mąż ochoczo spełniał jej życzenia, tak więc każdy pierścionek czy para kolczyków niosła ze sobą wspomnienia z jakiegoś odległego zakątka świata. Spis zajmował dwie bite strony, przy każdym przedmiocie było umieszczone nazwisko osoby, której Martha chciała dany przedmiot podarować.

Jednak złotego zegarka w tym wykazie nie uwzględniono. Emily czując, że serce podchodzi jej do gardła, jeszcze raz przeczytała bardzo uważnie obie kartki.

– Znalazła pani coś? – spytał już trochę zniecierpliwiony Duncan.

Emily przełknęła.

– Przepraszam, czy do tego testamentu nie ma jeszcze jakichś załączników?

– Nie. Przynajmniej nic mi na ten temat nie wiadomo.

– A czy mógłby pan, tak na wszelki wypadek, sprawdzić w teczce? – poprosiła, starając się nie zdradzić, jak bardzo jest spanikowana.

Znów podszedł do szafy z dokumentami i zaczął w niej szperać.

– Coś tu jeszcze jest – zakomunikował po chwili.

– Tak. To zdjęcia biżuterii. Wiem, że pani Evans między innymi miała bardzo drogie kolczyki z diamentami i kilka broszek ze szmaragdami. Najpewniej pan Harris poradził jej, by traktując to jako dokumentację, zrobiła fotografie najcenniejszej biżuterii. To ważne, bo nie ubezpieczała tych klejnotów tak, jak powinna.

– Czy... mogłabym zerknąć na te zdjęcia?

– Proszę – powiedział Geoff, podając jej teczkę.

– Może znajdzie tu pani zdjęcie tego zegarka.

– Jestem pewna, że tam będzie – oświadczyła Emily, choć oczywiście żadnej pewności nie miała, i zaczęła przewracać kartki.

Miała wielką nadzieję, że akurat tego zdjęcia tu nie zobaczy. Niestety – było. Zdjęcie kolczyków z diamentami, dokładnie takich, jakie znalazła w kieszeniach marynarki męża tamtego wieczoru, kiedy świętowali rocznicę ślubu.

– Znalazła pani już to, czego potrzebowała?

– Geoff Duncan był coraz bardziej zniecierpliwiony, co zresztą zrozumiałe, jako że w każdej chwili ktoś mógł wejść do kancelarii. A jeśli będzie to szef, jego podwładny narazi się na bardzo poważne kłopoty.

– Proszę.

Oddała mu testament i resztę dokumentów, które błyskawicznie schował w szafie, po czym odwrócił się do Emily.

– Pani Flemming, jak się pani czuje? Jest pani taka blada.

– Wszystko w porządku – skłamała mu w żywe oczy.

– Mam nadzieję, że znalazła pani odpowiedzi na swoje pytania. A co do tej kopii...

– Nie, nie trzeba. Zapomnijmy o tym.

– Jeszcze raz bardzo proszę nikomu nie mówić, że udostępniłem pani akta pani Evans.

– Nikt się o tym nigdy nie dowie, panie Duncan. I jeszcze raz dziękuję. Jestem panu bardzo wdzięczna za pomoc.

Kilka godzin temu Emily była pewna, że w jej życiu znów wszystko się ułożyło. Dave kocha ją. Nie ma żadnego romansu, tylko dodatkową pracę, ponieważ kredyt hipoteczny z rosnącą ratą ich wykańcza. Emily, żeby nie siedzieć z założonymi rękami, też poszła do pracy. Jeśli chcieli zatrzymać dom, który tak bardzo pokochała, musieli zdobywać dodatkowe pieniądze.

Teraz nie było już żadnej pewności. Emily pozostawała tylko nadzieja, że Dave nie wymyślił jeszcze jednego sposobu zdobywania pieniędzy. Takiego sposobu, który może zaprowadzić go do więzienia.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Teri Polgar nadal kręciło się w głowie, każdy jednak by przyznał, że informacja, której udzielił jej ginekolog, była szokująca. Owszem, jednocześnie była to informacja radosna, po prostu niewiarygodnie cudowna, ale jednak w pierwszym rzędzie szokująca.

I to aż tak bardzo, że Teri miała poważny problem: powiedzieć już o tym Bobby'emu, czy jednak poczekać? A jeśli powiedzieć, to jak?

– James – rzuciła półgłosem do pleców kierowcy – proszę, zawieź mnie do Get Nailed. – Musiała koniecznie z kimś o tym pogadać. Z kimś, to znaczy z Rachel Pendergast, czyli z najlepszą przyjaciółką.

– Jak pani sobie życzy, panno Teri.

– Dziękuję.

Oderwała rękę od ust. Matko święta, z tych nerwów znów zaczęła obgryzać paznokcie! A była pewna, że udało jej się pokonać ten obrzydliwy nawyk!

Kiedy James zajechał przed centrum handlowe, błyskawicznie wyskoczyła z auta, nie dając mu szansy na otwieranie drzwi i pomaganie przy wysiadaniu.

Zdezorientowany James zastygł przy drzwiach z przodu limuzyny.

– Mam czekać tu na panią, panno Teri?

– Tak – rzuciła przez ramię, maszerując do drzwi.

W środku był dziki tłum. Takiej ciżby Teri chyba jeszcze nigdy nie widziała. Niedaleko wejścia zauważyła dużą czerwoną beczułkę, a obok niej stała pani z dzwoneczkiem, którego miłe dźwięki przypominały, że na świecie jest mnóstwo ludzi, dla których los okazał się mniej łaskawy niż dla

nas. Teri bez wahania wetknęła do beczułki dwadzieścia dolarów. Ona i Christie, córki matki alkoholiczki, niewiele miały radości z Bożego Narodzenia, więc pewnie dlatego Teri trochę przesadzała ze świętami. Ale w tamtych czasach jedynymi prezentami gwiazdkowymi były podarki z akcji dobroczynnych. Takich jak ta, z czerwoną beczułką. Bo ich matka prawie wszystkie pieniądze, które zostały po opłaceniu najpilniejszych rachunków, topiła w kieliszku.

Niedobre wspomnienia... W sercu Teri na moment zagościł chłód, ale tylko na chwilę, bo przecież pochłonięta jest czymś innym, na pewno nie smutnymi obrazami z przeszłości. No i szła bardzo prędko, pragnąc jak najszybciej dotrzeć do celu, czyli salonu Get Nailed.

– Hej, spójrzcie, kto nas odwiedził! – zawołała wesoło Jane, zajęta paznokciami klientki. Z okazji nadchodzących świąt miała głowę ozdobioną plastikową gałązką ostrokrzewu.

Teri natychmiast obstały przyjaciółki, przekrzykując się nawzajem:

– Wesołych świąt!

– Cudnie, że wpadłaś!

Rozdając uśmiechy na prawo i na lewo, odszukała wzrokiem najważniejszą z przyjaciółek, czyli w chwili obecnej koło ratunkowe. Była pewna, że kto jak kto, ale Rachel pomoże jej spojrzeć na wszystko z właściwej perspektywy.

Ona zaś jak zwykle od razu wyczuła, że z Teri coś jest nie tak, i zaraz usłyszała:

– Możemy pogadać? – Złapała Rachel za rękę.

– Jasne. Właśnie skończyłam trwałą. Teraz mam strzyżenie i modelowanie, ale pani Holman może trochę poczekać.

Poszły na zaplecze, gdzie Teri ciężko opadła na krzesło i od razu

przeszła do rzeczy:

– Właśnie miałam badanie ultradźwiękami. Bob– by udzielał ważnego wywiadu w radiu i nie mógł jechać ze mną. W sumie nie żałowałam, bo okropnie wszystkim się denerwuje i zamartwia. Badanie trwało ponad dwie godziny!

– Tak długo? Dlaczego?

– Bo co chwilę przychodził ktoś nowy, żeby mnie obejrzyć. W sumie kilkanaście osób. Mówię ci, wcale nie jest przyjemnie pokazywać goły brzuch całemu światu.

– Ciesz się, że nie musiałaś pokazywać gołego tyłka.

– Serdeczne dzięki... – Kochana Rachel! Zawsze znajdzie coś pozytywnego.

– Ale wszystko w porządku, Teri?

– Sama ocenisz. – Drżącymi dłońmi otworzyła wielką torbę, wyjęła zdjęcie i położyła je na stole.

Rachel pochyliła się i z wielką uwagą zaczęła się mu przyglądać, w pełni świadoma, że Teri nie spuszcza z niej oka.

Wreszcie z radosnym piskiem poderwała głowę i zawołała:

– Teri! Masz bliźniaki!

– Przyjrzyj się jeszcze raz – odparła na to słabym głosem.

Rachel ponownie wlepiała oczy w zdjęcie i tym razem krzyknęła głośno, kładąc rękę na sercu:

– Trojaczki?!

Teri pokiwała głową.

– W zeszłym tygodniu lekarz powiedział mi, że słyszy dwa serca, dlatego zalecił badanie ultradźwiękami... – Nadal była w szoku. Bliźnięta? Czemu nie? Już przyzwyczała się do myśli, że będzie dwoje dzieci. Ale

trojaczki?! Trzeba przyznać, że ona i Bobby dostarczają rozrywki miejscowej społeczności. Bobby, wiadomo, jest celebrytą, do tego człowiekiem bardzo oryginalnym. A ona, jego żona, za jednym zamachem wyda na świat troje dzieci!

– Teri, brałaś tabletki na płodność?

– Coś ty! Nigdy w życiu! – Między innymi dlatego podczas badania wzbudziła sensację. Trojaczki, które pojawiają się w sposób naturalny, bez pomocy tabletek, należą do rzadkości.

– Trojaczki... – Rachel pokiwała głową. – No tak! To dlatego czujesz się ciągle zmęczona!

– Pewnie tak, chociaż na sto procent nie wiem. W końcu to moja pierwsza ciąża, więc nie mam żadnego doświadczenia. Ale faktycznie, może dlatego jestem ciągle zmęczona, psychicznie też nie czuję się najlepiej.

– Wcale się nie dziwię. Masz w brzuchu troje dzieci!

– Poza tym lekarz powiedział, że mogę być w ciąży dłużej, niż przypuszczałam. To możliwe, bo niezbyt dokładnie kontroluję mój cykl.

– No i, kochana, trochę jednak przytyłaś!

– Trochę? Jestem strasznie gruba, a przecież odżywiam się prawidłowo.

Rachel uśmiechnęła się szeroko.

– Wyobrażam sobie, co musisz przeżywać. Szok, prawda? Ale to przecież cudowna wiadomość! Bobby już wie?

I tu właśnie był problem.

– Nie pisnęłam mu ani słowa i wcale nie jestem pewna, czy chcę mu o tym powiedzieć.

– Żartujesz! Nie możesz trzymać tego w tajemnicy przed własnym mężem!

– Dlaczego? A może jednak powinnam? On szaleje z niepokoju, jak to będzie z narodzinami jednego dziecka, no to tylko pomyśl, co będzie się działo, kiedy mu powiem, że urodzę trójkę! Troje dzieci! Rachel, tak się boję, że nie dam sobie rady...

– Oczywiście, że dasz – powiedziała Rachel, choć trochę zbyt stanowczo, jakby starała się ukryć pewne obawy. – Będiesz wspaniałą mamą, a Bobby tatą.

– O Boże... – jęknęła Teri. – Spodziewałam się jednego dziecka, a tu się okazuje, że mam w brzuchu prawie całą drużynę hokejową.

– Nie pękaj. Poczekaj, aż oswoisz się z tą myślą, i wtedy przekażesz Bobby’emu tę rewelację.

Teri pokiwała głową i na moment odpłynęła, zastanawiając się, jak to właściwie będzie. To znaczy jaką okaże się matką. Z domu nie wyniosła dobrych wzorców, dlatego zdążyła już przeczytać sześć książek na ten temat. Niestety, żadna z nich nie trafiła jej do przekonania. Było w nich mnóstwo sprzecznych informacji, bo jedna teoria kolidowała z drugą.

– Troje dzieci – powiedziała Rachel. – Genialnie. Teri, poradzisz sobie, przecież możesz nająć kogoś do pomocy. Chwała Bogu, stać cię na to!

– Nianię! Jasne! – Że też nie przyszło jej to do głowy! Niania! Oczywiście! Pomoże przy karmieniu i kąpieli!

– Czy mogę jeszcze raz popatrzeć na zdjęcie? – spytała Rachel. – Trojaczki! Tak mnie to zafascynowało, że nie zwróciłam uwagi, czy to chłopcy czy dziewczynki.

– Dwóch chłopców – poinformowała Teri.

– Trzecie ułożyło się niekorzystnie, a więc nie wiadomo. Trzecie... – Dramatycznym gestem objęła się za głowę.

– A ja też mam do przekazania nowinę – szepnęła Rachel, zerkając przez ramię, jakby chciała się upewnić, że nikt ich nie usłyszy. – Bruce i ja pobieramy się.

– I to ma być sensacja? Przecież wiem, zaznaczyłam walentynki w kalendarzu na czerwono! – Czyli bardziej romantycznie być nie może. Rachel chciała, żeby była to prawdziwa ceremonia, z całą oprawą, i mimo że Teri w lutym będzie już w szóstym miesiącu ciąży, poprosiła ją, by została jej pierwszą druhną.

– Tak, w lutym będzie wesele – powiedziała Rachel. – Ale ślub... Teri, mam nadzieję, że dwudziestego grudnia znajdziesz trochę czasu?

– Dwudziestego grudnia? – zdumiała się. – Bierzecie ślub wcześniej?

– Tak, bo nie ma sensu czekać z tym dwa miesiące. Wiemy doskonale, czego pragniemy, a to czekanie nas wykańcza.

– To może wprowadź się do niego. Mnóstwo ludzi tak robi.

– Akurat w naszym przypadku to niemożliwe, bo ze względu na Jolene chcemy, by wszystko działało się... no, po bożemu. Najpierw ślub, chociaż Bruce i tak okropnie się niecierpliwi. Ja zresztą też. Kocham go nieprzytomnie.

Teri doskonale rozumiała przyjaciółkę. Jej ślub również odbył się w przyspieszonym tempie. Bobby nie chciał, by najpierw zamieszkali razem, tylko od razu miał być ślub. Bo Bobby wiedział, Teri zresztą teraz też, że małżeństwo to coś o wiele więcej niż zamieszkanie pod jednym dachem. Małżeństwo to obietnica, co prawda często niedotrzymywana, niemniej jednak obietnica dozgonnej miłości i wspólnego życia. Zawsze razem, na dobre i na złe.

A noc poślubna... Była nie tylko cudowna, ale i wzruszająca.

Teri zatrzepotała powiekami, czując, że robi się pod nimi wilgotno.

Co oczywiście nie uszło uwadze Rachel.

– Teri, dalej się martwisz tym, że jest ich troje?

– Nie, nie... Ale wiesz, pomyślałam o Bobbym, o tym, jak bardzo go kocham.

– Dlatego jak najprędzej powiedz mu o trojaczkach. Na pewno będzie zachwycony. Jasne, że trochę się też zaniepokoi, ale o to nie można mieć do niego pretensji. Najpewniej do maja nie będzie odstępował cię ani na krok.

– Do kwietnia. W ostatnim tygodniu kwietnia mam już być w pogotowiu. Lekarz mówi, że przy trojaczkach mogą być komplikacje, dlatego zrobią mi cesarkę. Termin wyznaczył na dwudziestego siódmego kwietnia.

– Cudnie!

– Trojaczki... Teraz rozumiem, dlaczego w czwartym miesiącu ciąży czuję się jak krowa Elsie – nawiązała do znanego filmu rysunkowego, – Wyobrażasz sobie, jak będę wyglądała w ósmym miesiącu?

– Sama wołała sobie tego nie wyobrażać.

– Teri, a skoro mamy okazję pogadać... powiedz, jak tam z twoją siostrą i Jamesem. – W tej kwestii Rachel zawsze chciała być na bieżąco.

– Już mówię... – Teri nachyliła się ku Rachel.

– Tylko... o czym mówiłam ci ostatnio?

– O tym, że zaprosiliście ich do siebie na obiad.

– A tak. Ale nie wypaliło, bo James nie przyszedł.

– A niech go... O matko, ależ ci faceci potrafią być zawzięci!

– Pomyślałam to samo – przyznała Teri – ale wyobraź sobie, że zaraz po obiedzie coś musiało się wydarzyć.

– Tak? No już, mów!

– Nie wiem dokładnie co, ale następnego dnia rano samochód Christie

nadal stał na podjeździe do naszego domu.

– Czyżby więc Christie nie wróciła do siebie?

I spędziła noc z Jamesem?

– Też tak mi się zdawało, jednak okazało się, że było inaczej.

– Więc jeśli nie była u niego, to gdzie?

– W domu, u siebie – powiedziała Teri z wyraźną ulgą. – Prawdopodobnie jej samochód nie chciał zapalić.

– Aha, rozumiem... I James tylko odwiózł ją do domu...

Rachel, w przeciwieństwie do Teri, takim rozwiązaniem była rozczarowana.

– Najpewniej tak – oznajmiła Teri. – Spytałam go zresztą o to, ale wyobraź sobie, że nic mi nie odpowiedział. A w samochodzie Christie na pewno coś się zepsuło, bo widziałam, jak James w nim dłubał. A potem samochód znikł, tak samo James. Nie na długo, więc pewnie odprowadził wóz Christie pod jej dom, nie uprzedzając jej o tym.

– Oni są po prostu niemożliwi.

A szkoda. Rachel, po tym porwaniu, Jamesowi Wilburowi z całego serca życzyła jak najlepiej.

– Znam dobrze moją siostrę – powiedziała Teri.

– Zaczyna czuć miętę do Jamesa, ale stara się to w sobie zwalczyć.

– Dlaczego? Przecież jest o niebo lepszym facetem niż ten jej były mąż.

– Seryjny morderca byłby dla niej lepszy niż ten jej były – rzuciła z goryczą Teri. – No, trochę przesadziłam, ale dobrze wiesz, o co mi chodzi.

Rachel spojrzała w stronę salonu. Przy jej stanowisku czekała klientka. Ktoś, najprawdopodobniej Jane, włożył jej już plastikową pelerynkę i dał do czytania „Vogue”.

– Teri, niestety, muszę już wracać do pracy.

– Ależ oczywiście. Dzięki, Rach, że mnie wysłuchałaś.

Wstały i uściskały się serdecznie.

– Pamiętaj, Teri, że dwudziesty grudnia to jeszcze tajemnica, jasne?

– W porządku.

– Nie mówiłam jeszcze o tym nikomu, nawet Jolene. Ślubu udzieli pastor Flemming, w kościele, po południu. Będzie to tak zwany cichy ślub.

– Ale ja jestem zaproszona?

– Oczywiście! Nie mogę przecież wyjść za mąż, nie mając przy sobie pierwszej drużny! O jej mężu nie wspominając!

Teri delikatnie ścisnęła przyjaciółkę za ramię.

– Dziękuję. Będziemy z Bobbym.

– To ja ci dziękuję, Teri, że przyjdziecie. A teraz muszę już lecieć. Niestety, kochana, niektórzy ciężko muszą pracować na chleb!

Roześmiały się. Teri wiedziała, że w przyjaciółce nie ma cienia zazdrości. Rachel mogła pozwolić sobie na takie żarty, w końcu naprawdę była najlepszą przyjaciółką.

– Aha, i proszę cię jeszcze raz, powiedz Bobby’emu o trojaczkach jak najprędzej. Nie bój się

– powiedziała Rachel na pożegnanie. – Na pewno będzie zachwycony. A potem zadzwoń do mnie!

Niestety, to wcale nie było takie proste, bo to Teri bardzo chciała zająć w ciąży. Po porwaniu Bobby, mając na względzie bezpieczeństwo żony, chciał z tym jeszcze poczekać. Kiedy dowie się, że Teri nie tylko jest w ciąży, lecz spodziewa się całej trójki, wpadnie w panikę.

Kiedy rozsiadała się w limuzynie, James spytał:

– Panno Teri, czy wszystko w porządku?

– W najlepszym. A dlaczego pytasz?

James uruchomił silnik.

– Wizyta u lekarza trwała bardzo długo, wyszła pani bardzo zdenerwowana i kazała przywieźć się tutaj. Domyślam się, że spotkała się pani z panną Rachel.

– Owszem. Jest moją najlepszą przyjaciółką. Ona... Och, przepraszam.

Rozmowę przerwała komórka. Teri wyjęła ją z torby. Dzwoniła siostra.

– Cześć, Christie!

Zauważyła, że James natychmiast zeszywniał.

– Cześć, Teri! Dzwoniłam do was do domu.

Bobby powiedział, że nie wróciłaś jeszcze od lekarza. Co robisz po południu? Masz jakieś plany?

– Raczej nie...

– To może byś mnie podcięła, co?

– Oczywiście. Wpadnij o czwartej. Pasuje? – Pasowało przede wszystkim jej. Powie Bobby’emu o dzieciach, potem przyjdzie Christie, więc zamiast się denerwować, zajmie się siostrą, a mąż wszystko sobie przetrawi.

– Dzięki. Będę o czwartej... Słuchaj, a James jest tam gdzieś w pobliżu?

Teri uśmiechnęła się.

– Owszem.

– Naprawił mi samochód. W dowód wdzięczności coś mu kupiłam. Nic wielkiego, taki tam drobiazg. Przekażesz mu go?

– Sama nie możesz? Musisz się mną wyręczać?

– Niby nie... ale nie mam pojęcia, jak to zrobić.

– No dobrze, zastanowimy się nad tym. Czyli jesteście o czwartej?

– Tak. Jeszcze raz dzięki. Cześć!

Teri schowała telefon do torby i niby mimochodem rzuciła półgłosem:

– Po południu wpadnie do mnie moja siostra.

– Nadal problem z samochodem? – spytał James.

– Nie wiem. Nic o tym nie wspomniała.

– Ten samochód długo już nie pociągnie, a tak w ogóle to powinna kupić nowe opony.

Teri wcale się nie podobało, że jej siostra jeździ takim gruchotem. Ten problem, wstyd przyznać, odłożyła jednak na później.

– Christie kupiła ci jakiś drobiazg. Chce podziękować za naprawę samochodu. – Ciekawa jego reakcji, wpatrywała się w Jamesa.

– Nie ma potrzeby – mruknął.

– Masz bardzo dobre serce.

W lusterku wstecznym widziała, że na tę pochwałę zaczerwienił się.

– Dziękuję, panno Teri.

Bobby czekał na nią przed domem. Kiedy tylko James otworzył drzwi, natychmiast wetknął głowę do samochodu.

– Nareszcie! Co tak długo?

– Wszystko w porządku, Bobby – odparła spokojnie. – Ale mam dla ciebie pewną wiadomość.

– Wiadomość?! – Jak mogła się tego spodziewać, od razu zaczął panikować. – Jaką wiadomość? Od lekarza? Co ci powiedział? Co? – dopytywał się gorączkowo, pomagając Teri wydobyć się z limuzyny.

– Powiem ci w domu. – A kiedy weszli do salonu, zarządziła: – Lepiej usiądź, Bobby.

Blady jak ściana opadł na sofę. Teri usiadła Bobby'emu na kolanach i

czule objęła go za szyję.

– Co byś powiedział, kochany, na bliźnięta? – spytała, na początek sugerując możliwości posiadania większej ilości dzieci.

– Bliźnięta! – Bobby aż podskoczył, w związku z czym Teri omal nie poleciała na podłogę. – Bliźnięta... – Na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

– Bliźnięta...

– Podoba ci się?

– Tak!

Teri odchrząknęła i Bobby natychmiast się zorientował, że droga żona nie powiedziała jeszcze wszystkiego. Spojrzał na nią czujnie, a ona spytała niewinnym głosem:

– Kochanie, a co byś powiedział na jeszcze jedno?

Bobby sposepniał i zmarszczył brwi, jak to zwykł czynić, gdy intensywnie myślał.

– Jedno... Ale co? Jedno co?

– Dziecko.

– Chcesz mieć jeszcze jedno dziecko? – spytał zdezorientowany.

– To dziecko już mam, kochanie. Już tu jest.

Bobby zaskoczył dopiero po chwili. Brwi wróciły na swoje miejsce, twarz rozpogodziła się. Więcej. Zwykle poważny i skupiony Bobby Polgar ryknął śmiechem głośnym, serdecznym i dudniącym, obejmując przy tym żonę, ściskając, całując i głaszcząc, w ogóle na różne sposoby dając jej do zrozumienia, jak bardzo ją kocha.

Tak samo jak Teri kochała Bobby'ego. Nad życie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Christie zastukała do drzwi i zaraz się cofnęła, znieruchomiała. Choć nie tak całkiem, bo ręka bezwiednie dotknęła króciusieńkich teraz włosów. Teri porządnie je podcięła. Christie zwykle pozwalała włosom dorosnąć do ramion, ale co szkodzi zrobić raz inaczej, szczególnie gdy okazało się, że w nowej fryzurze jest jej bardzo do twarzy. No i krótkie włosy to wielka wygoda.

Gdy James otworzył, co najmniej przez minutę żadne z nich nie powiedziało ani słowa, tylko patrzyli na siebie. Wreszcie Christie, przypomniawszy sobie cel wizyty, wyciągnęła rękę, w której trzymała niewielkie pudełeczko.

– To dla ciebie. – Gdy wyraźnie zakłopotany James spojrzął na upominek, dodała: – Chciałam podziękować za naprawienie auta.

– Udało mi się uruchomić akumulator, powinnaś jednak jak najszybciej sprawić sobie nowy samochód.

– Wciąż skrepowany, odebrał od niej pudełeczko.

– Nie stać mnie na taki zakup – wyznała szczerze Christie. – Nie stać mnie nawet na oddanie samochodu do warsztatu.

Utrzymywała się przecież sama i musiała się nieźle nagłowić, by wystarczyło i na życie, i na rachunki, i na spłacanie długów byłego męża. Nadgodziny w okresie przedświątecznym były dla niej zbawieniem.

– Dziękuję. – James znów spojrzął na pakuneczek. – Ale naprawdę nie trzeba było.

– To tylko taki drobiazg.

Miała nadzieję, że lubi cukierki firmy Almond Roca wyprodukowane

w Cedar Cove. Sprzedawano je w Wal–Marcie, Christie kupiła cukierki w sreberkach.

– Bardzo miło z twojej strony. – Gdy odwróciła się i zaczęła schodzić po schodach, James zawołał:

– Christie! Naprawdę nie powinnaś jeździć już tym wozem!

Przystanąła i wzruszyła ramionami.

– Cóż, zapewne masz rację. – Przecież doskonale wiedziała, że jej samochód rusza się jeszcze tylko jakimś cudem. Teraz akumulator, a za chwilę nawali coś innego. Grat wreszcie dokończy żywota, a jej pozostanie tylko transport miejski. Niestety, w tak małym mieście jak Cedar Cove wachlarz tych usług nie był imponujący. Westchnęła cicho i popatrzyła na Jamesa, który nadal trzymał pudełeczko, jakby nie wiedział, co z tym fantem zrobić. – Mogłabym cię o coś zapytać?

– O, podcięłaś włosy – powiedział, jakby dopiero teraz to zauważył.

Jej palce całkiem bezwiednie dotknęły odsłoniętego karku.

– Tak. Teri mnie podcięła. Podoba ci się?

– Wyglądasz... inaczej.

Czyli reakcja typowa, a inaczej to ujmując – dezaprobata. Wszyscy faceci, z którymi się umawiała, chcieli, żeby miała długie włosy. No i okazało się, że James pod tym względem nie różni się od nich. Choć tak dla ścisłości, Christie z nim się nie umawia. To, co zdarzyło się między nimi, można by określić jako swoiste wzajemne podchody,

Z tym że już ją pocałował, i właśnie w związku z tym miała owo pytanie:

– James, dlaczego mnie wtedy pocałowałeś? – I dodała dla ścisłości: – No wiesz, w poniedziałek wieczorem.

– A co? Chcesz, żebym cię przeprosił? – spytał.

– Nie. Po prostu chcę wiedzieć dlaczego.

Może to i głupie, ale miała jednak nadzieję, że usłyszy teraz coś naprawdę miłego. Coś w stylu, jak bardzo mu się spodobała. A może nawet James posunie się do śmielszych wyznań. Powie, że jej pragnie, że doprowadza go do szaleństwa. Może to i trochę melodramatycznie, ale która kobieta nie chce czegoś takiego usłyszeć?

James odezwał się dopiero po dłuższej chwili:

– Bo... bo się ucieszyłem, że w końcu zdołałem cię namówić na podwiezienie. I tak w ogóle, że przestałaś krzyczeć. Bo na początku odniosłem wrażenie, że jesteś porządnie wkurzona.

– I byłam.

– Poza tym zachowywałaś się co najmniej dziwnie. Tak... irracjonalnie.

Czemu nie mogła zaprzeczyć, tyle że jej zachowanie było czymś w rodzaju aktu rozpaczki. Ciekawe, w jakim James byłby nastroju, gdyby zepsuł mu się samochód i nie miał kasy na naprawę. A do pracy chodził na szóstą.

– No dobrze. Pierwszy pocałunek był wyrazem zadowolenia z sytuacji ogólnej. A co z drugim?

– Przecież wyczuwała jego podniecenie co najmniej równie silne jak u niej.

James spojrzał na nią czujnie, po czym odparł samokrytycznie:

– To był czysty egoizm.

– Aha... – Palce Christie dotknęły poręczy.

– Zaskoczona?

– Nie.

James na pewno niewiele wiedział o niej, o jej przeszłości, a dla niej

jeden namiętny pocałunek chwilowo napalonego faceta naprawdę nie był powodem do obrazy. Poza tym choć James nie tylko nie składał żadnych płomiennych deklaracji, ale jeszcze wykręcał się jakimś tam egoizmem, ona i tak była przekonana, że wcale nie był to pocałunek jakiegoś tam chwilowo napalonego faceta.

Ponieważ jej nie zatrzymywał, jedyną opcją był odwrót. Ruszyła dalej w dół, za każdym razem, gdy pokonywała kolejny stopień, modląc się w duchu, by James coś powiedział, cokolwiek, co spowodowałoby, że nie musiałyby odchodzić. Tylko on mógł wykazać się inicjatywą, bo ona miała związane ręce.

Prezencik wręczyła, spytała, o co chciała, więc nie pozostaje jej nic innego, jak wracać do domu.

Na dworze było już ciemno, niebo bez chmur pięknie usiane gwiazdami.

– Christie!

Na to zawołanie odwróciła się tak gwałtownie, że omal nie poleciała na dół.

– Tak?

– Jedź ostrożnie!

Tylko tyle. Jej rozczarowanie było przeogromne, druzgoczące i przytłaczające. Nogi nie chciały nieść, plecy wygięły się w zboląły pałąk, choć zarazem Christie nie bardzo rozumiała, dlaczego tak bardzo jej zależało, by James zaprosił ją do siebie. Bo w sumie jakie to ma znaczenie, czy chce z nią pobyć, czy nie? Znała mnóstwo facetów, którzy uwielbiali jej towarzystwo. James, jak widać, do nich nie należy, ale to jeszcze nie koniec świata.

– Christie! Twoje opony są prawie łyse!

I niech sobie będą! Udawała, że go nie słyszy. Jej ego, poobijane do granic możliwości, było w stanie całkowitego znieczulenia. A poza tym, do cholery, czym tu się w ogóle przejmować! Przecież nie cierpi tego faceta, tej jego uprzejmości, nadskakiwania, sposobu mówienia. Niech się wypcha. Już nigdy więcej przez niego nie zrobi z siebie idiotki.

W drodze do domu przejeżdżała koło Pink Poodle. Miała wielką ochotę wpaść tam na chwilę, ale za piwo, niestety, trzeba zapłacić. Poza tym może i była w nastroju do topienia smutków w kieliszku, niemniej istnieje wiele innych sposobów spędzania wieczoru. Dlatego skierowała samochód w stronę parku na nabrzeżu, które zostało pięknie udekorowane z okazji zbliżających się świąt. Dlaczego akurat Christie udała się tam? Bo przypomniała sobie, że w WalMarcie w pomieszczeniu dla pracowników powieszono kartkę z zawiadomieniem, że tego dnia w parku orkiestra ze szkoły średniej da świąteczny koncert.

Koncert... Czemu nie? Człowiek wchłonie trochę świątecznej atmosfery.

Zaparkowała wóz i podeszła do tłumku zgromadzonego przed estradą. Był tam między innym szeryf Davis w towarzystwie młodej pary. Z uwagi na podobieństwo musiała to być jego córka, a mężczyzna zapewne był jej narzeczoną lub mężem.

W pierwszym rzędzie siedzieli Charlotte i Ben Rhodesowie. Znało ich całe miasto, a tego dnia Charlotte robiła zakupy w supermarkecie. Powiedziała Christie, że z mężem wybierają się na wycieczkę statkiem. Była bardzo podekscytowana zbliżającą się wyprawą i oczywiście jak zawsze bardzo miła. Gadały ze sobą, jakby były starymi przyjaciółkami.

Nieco dalej zobaczyła Grace Harding z biblioteki, też z mężem. Stali trochę z boku. Mąż objął Grace jedną ręką, a ona złożyła głowę na jego

ramieniu. W tej parze było coś poruszającego, ta ich wzajemna czułość i oddanie. A obok Grace stały dwie młode kobiety z mężami. Każda z nich trzymała niemowlę. Christie wiedziała, że to córki Grace, ich imion jednak nie mogła sobie przypomnieć.

Orkiestra zaczęła grać. Najpierw żywą, skoczną „Jingle Bells”, do wykonania której młodzi muzycy wykorzystali również prawdziwe dzwoneczki do sań, a potem piękna kolęda „W Betlejem, małym mieście...”.

Christie z trudem powstrzymywała łzy. Wszyscy przyszli tu z bliskimi. Mieli kogoś, kogo kochali, kto był dla nich kimś szczególnym. Wszyscy – oprócz niej. Gdyby nagle znikła z powierzchni ziemi, nikt by tego nie zauważył. Może tylko Teri i Johnny, jej brat, ale dopiero po iluś tam dniach czy nawet tygodniach.

Łzy niestety popłynęły, ale szybko otarła je ręką. Nie ma nic gorszego niż samotne spędzanie Bożego Narodzenia. Teri zaprosiła ją na świąteczny obiad, ale wiadomo, to takie zaproszenie z litości. Johnny święta spędza ze swoją dziewczyną i jej rodziną. Christie jeszcze nie odpowiedziała siostrze. Nie bardzo miała ochotę iść do nich, wiedząc doskonale, że będzie czuła się intruzem, który wpycha się do ich życia. Zwłaszcza teraz, kiedy Teri spodziewa się trojaczków i nie powinna mieć na głowie żadnych gości.

Pełna współczucia dla siebie samej wolnym krokiem wyszła z parku. Przeszła kawałek nabrzeżem, po czym zatrzymała się koło przystani, popatrując na żaglówki. Wiele masztów przyozdobiono kolorowymi lampkami, na kilku pokładach stały ustrojone choinki.

Kiedy odwróciła się, zamierzając wracać do samochodu, zauważyła, że na bibliotece wisi ogromny baner zachęcający do przekazywania zabawek dla dzieci żyjących w trudnych warunkach.

Christie była takim właśnie dzieckiem...

Tak! Wreszcie wiedziała, jak spędzi święta. Zostanie wolontariuszką, będzie roznosić koszyki z jedzeniem i podarkami. Zamiast uzalać się nad sobą, zrobi coś pożytecznego. Kiedy była małą dziewczynką, wielu ludzi wyciągało do niej pomocną dłoń. Teraz jej kolej, teraz ona pomoże innym. Jeśli nie będzie mogła roznosić koszyków, zgłosi się do domu opieki dla przewlekle chorych i zapyta, czy nie potrzeba kogoś do pomocy podczas świątecznego obiadu dla chorych i ich najbliższych. O!

Zdecydowanie już w lepszym nastroju ruszyła do domu. A kiedy już tam dojechała, zdumiona przetarła oczy. Przed jej domem stała limuzyna. Oczywiście z Jamesem w środku.

Wysiadła ze swojego auta, a James wysiadł z limuzyny i zaczął podchodzić do Christie.

Jej serce omal nie wyskoczyło z piersi.

– Wiesz, będę wolontariuszką! – wykrzyknęła, pragnąc podzielić się z kimś swoim szlachetnym pomysłem. Poza tym wypadało coś powiedzieć.

– Włączę się do akcji charytatywnej. W Wigilię będę roznosić koszyki z prezentami dla dzieci żyjących w trudnych warunkach... – Gdy zobaczyła w oczach Jamesa bezbrzeżne zdumienie, zaśmiała się. – Zaskoczyłam cię? Ale to dobry pomysł, prawda? Zaczęłam uzalać się nad sobą, aż nagle przyszło mi do głowy, że zamiast się rozklejać, mogę zrobić coś dla innych... – Nagle zamilkła, uświadamiając sobie, że nie wie, co sprowadziło Jamesa pod jej dom. Powinien ją poinformować. Ale on też milczał, czyli wyglądało na to, że z reguły ma problemy z wytłumaczeniem się. – Może chciałbyś popracować jako wolontariusz razem ze mną? – spytała, znów tylko po to, żeby coś powiedzieć.

James skinął głową.

– Chciałbym.

– Super. A może masz ochotę na... – O matko!

O mały włos, a zaproponowałyby mu piwo! – Na herbatę?

– Tak. Wielką ochotę – powiedział, uśmiechając się szeroko.

Wprowadziła go do swojego mieszkania, w którym tego dnia na szczęście panował wzorowy porządek. Nie był to Ritz, ale mieszkanie było wygodne i przytulne, zostało nawet świątecznie udekorowane. Karnisz opleciony był błyszczącym łańcuchem, a na środku małego stolika stał fajansowy bałwanek.

James zdjął płaszcz, złożył go bardzo starannie i położył na oparciu sofy.

– Słuchaj... czy ty... czy przyjechałeś tu z jakiegoś konkretnego powodu? – spytała, nalewając wody do czajnika.

– Gdzie byłaś?

O nie, z tego faceta niczego nie można wydusić!

– Na nabrzeżu, na koncercie świątecznym orkiestry uczniowskiej. Gdy słuchałam pięknej muzyki, wpadłam na pomysł, że zostanę wolontariuszką.

– Ale dlaczego właśnie podczas świąt Bożego Narodzenia?

Oczywiście nie miała najmniejszego zamiaru mówić mu, że tak naprawdę nie ma dokąd pójść na święta. Nie, tego od niej nie usłyszy. To zbyt prywatne, zbyt kłopotliwe... zbyt przykre.

– Spłacam dług. Kiedy byłam małą dziewczynką, nie dostawałam w domu prezentów gwiazdkowych, ale życzliwi ludzie potrafili temu zaradzić. Teraz ja będę... życzliwa dla innych.

– Słusznie.

– Dzięki. James, ale nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Dlaczego tu przyjechałeś?

– Chciałem się z tobą zobaczyć. Myślałem, że pojechałaś do Pink

Poodle.

Cóż, mało brakowało, by wylądowała właśnie tam, ale o tym James nie musi wiedzieć.

– Chciałeś się ze mną zobaczyć? Jak miło! – Gdy pokiwał głową i uśmiechnął się nieśmiało, dodała:

– Podobasz mi się, James. – Bez zbędnych słów, bez obszernego wstępu. Po prostu kawa na ławę, czyli najprawdziwsza prawda. James może ją zaakceptować... albo nie. Christie nie miała pojęcia, czego się spodziewać.

James przez dłuższą chwilę patrzył jej prosto w oczy, a potem na jego twarzy pojawił się uśmiech. Zniwalaający.

– Ty też mi się podobasz, Christie.

Bingo.

Żeby nie dać poznać po sobie, jak wielką sprawił jej przyjemność, odwróciła się do szafki i wyjęła torebki z herbatą oraz cukiernicę. Na małym stoliku postawiła na świątecznych podkładkach dwa kubki. Niestety, koło stolika stała tylko jedna sofa i chcąc nie chcąc, musiała usiąść obok Jamesa.

Odczekał, aż Christie popije herbaty, po czym też sięgnął po kubek.

– Cieszę się, że wpadłeś do mnie – powiedziała, spoglądając w bok.

– Mnie też jest bardzo miło. A twoje włosy bardzo mi się podobają. Jesteś bardzo ładna, Christie.

Była przyzwyczajona do komplementów. Większość facetów doskonale wiedziała, co powiedzieć, żeby dostać to, czego chcieli od niej. A ona słuchała tych kłamstw, bo bardzo chciała uwierzyć, że facet mówi szczerze.

Wszystkie te komplementy razem wzięte były niczym w porównaniu z tymi kilkoma słowami, które wypowiedział James.

Z wrażenia zaniemówiła, dopiero po długiej chwili zdołała wydusić:

– Dzień... dziękuję. – I znów po chwili, kiedy zebrała się już w sobie, spytała Jamesa pół żartem, pół serio: – Czyżbyś miał ochotę znów mnie pocałować?

Jej pytanie potraktował z powagą.

– Tak, mam. Ale nie teraz. Później.

Na co omal nie wybuchnęła śmiechem. Nie teraz? Później? Każdy inny facet ciągnąłby ją już do łóżka. Woleli inny rodzaj rozgrzewki niż gorąca herbata.

Znów chwila ciszy.

– A ja o tobie właściwie nic nie wiem, James. Od dawna jesteś kierowcą Bobby’ego? – Była pewna, że odpowie na to pytanie.

Ale nie, bo tylko stwierdził:

– Bobby i ja jesteśmy zaprzyjaźnieni.

– Od dawna?

– Tak.

I cisza.

– James, ty po prostu nie chcesz, żebym czegokolwiek się o tobie dowiedziała, prawda?

Poruszył się niespokojnie.

– Może teraz. – Odstawił kubek na świąteczną podstawkę.

– Przepraszam, ale co teraz? – spytała zdezorientowana.

James znów uśmiechnął się zniewalająco i wyjął kubek z jej rąk.

– Pocałunek. – Odszukał ustami jej usta.

Christie, natychmiast cała w płomieniach, w pierwszej chwili omal nie krzyknęła, a zaraz potem z jej ust uleciał cichutki szept:

– Och, James...

Najpierw pocałował on, a potem ona, objawszy go za szyję. Zrobiła to najbardziej słodko, jak umiała. Potem znowu on, wsuwając palce w jej podcięte włosy. Nie spieszył się, jakby dawał sygnał: Jestem twój, ty moja. Spokojnie. Nie ma powodu rozwijać nadmiernej szybkości.

Kiedy ją puścił, Christie, nadal z zamkniętymi oczami, oparła się o oparcie sofy, starając się złapać oddech.

– Och... – westchnęła.

– Było miło – przyznał, też uspokajając oddech. Oparła się czołem o czoło Jamesa.

– Ty o mnie też niewiele wiesz... – powiedziała cicho.

– Nie szkodzi.

– Ale ja chciałabym, żebyś pewne rzeczy wiedział. – Po to, by uniknąć przykrych niespodzianek.

– Zdążyłam już kiedyś wyjść za mąż. To nie było dobre małżeństwo...

Opowiedziała mu to i owo, oszczędnie, ale wystarczająco, by mógł się zorientować, że mąż nie był ani pierwszym mężczyzną w jej życiu, ani ostatnim. Kiedy skończyła, ukryła twarz na ramieniu Jamesa i z bijącym sercem czekała na jego reakcję.

On zaś objął ją tymi swoimi długimi chudymi rękami i szepnął:

– Dziękuję. – A kiedy spojrzeniem spytała, za co niby dziękuje, dodał:

– Na pewno nie było ci łatwo to wszystko mi powiedzieć.

– Nie.

– Christie, czy dla ciebie jestem... ważny?

– Tak – odparła w zadumie. – Na tyle ważny, że chciałam, byś poznał prawdę.

Pocałował ją w skroń.

– Prawda to bardzo cenny prezent. – Nadal ją obejmował. Trwali tak

przez chwilę, póki James nie mruknął do jej włosów: – Muszę już jechać do domu.

– Wstał z ociąganiem i powiedział jeszcze raz:

– Dziękuję, Christie.

Wykonała ręką jakiś nieokreślony gest. Nie wiedziała, co powiedzieć. Owszem, miała już na końcu języka prośbę, żeby jeszcze kiedyś się spotkali, ale na szczęście powstrzymała się. Zrobiłaby z siebie idiotkę, a poza tym to, co widziała w jego oczach, dawało pewność, że do niej zadzwoni. Świadczył o tym również fakt, że przyjechał do niej. Christie była dla niego tak samo ważna jak on dla niej, dlatego otworzyła się przed nim. Powiedziała mu to, co jej zdaniem powinien wiedzieć o niej – i nie usłyszała ani jednego słowa krytyki.

Było jej bardzo smutno, że James musi już iść, ale widocznie naprawdę musiał. Pocałował ją na pożegnanie i wyszedł. Może i lepiej, bo po tych wszystkich przeżyciach całkiem się rozkleiła. Nogi drżały, dopiero po dłuższej chwili stanęła na nich w miarę pewnie.

Nigdy dotąd nie wyznała nikomu swoich grzeszków tak otwarcie. Dopiero teraz Jamesowi, i dziwne, że czuła się z tym tak dobrze. Czuła się w jakimś sensie wyzwolona. Na początku bała się, że wystraszy go swoją szczerością, ale wysłuchał jej i nadal trzymał ją w ramionach.

Nie powiedział, że ją kocha, ale czuła, że tak właśnie jest. James kochają, co więcej, jest to miłość absolutnie odwzajemniona.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

– Mamo, wiem, że jesteś rozczarowana – mówiła Linnette do komórki. Ona też była rozczarowana, ale wyjazd na święta do Cedar Cove nie wchodził w grę. Absolutnie nie, jeśli chciała wykonać to, czego się podjęła, a co było konieczne, by nowa poradnia medyczna w Buffalo Valley została otwarta w zaplanowanym terminie, czyli w lutym.

Spojrzała ze skruchą na Pete'a Masona. Zaprosił ją na lunch do 3 of a Kind, restauracji z barkiem, gdzie Linnette przez jakiś czas pracowała jako kelnerka. Przed chwilą ich obsłużono, ledwie jednak zdążyła nadgryźć kanapkę, kiedy rozdarła się komórka. Teraz Linnette żałowała, że ją odebrała, bo matka wcale nie zamierzała ustąpić.

– Linnette, w Święto Dziękczynienia obiecałaś, że na Boże Narodzenie przyjedziesz do domu!

– Tak, mamo, obiecałam, ale naprawdę nie mogę. Bardzo mi przykro.
– Oczywiście, że miała wyrzuty sumienia, i to ogromne, bo w głosie matki pobrzmiwała rozpacz.

Corrie zamilkła, a Linnette, tłumiąc głębokie westchnienie, zastanawiała się gorączkowo, co by tu jeszcze powiedzieć, żeby chociaż w minimalnym stopniu ją pocieszyć. Siebie zresztą też, przecież tęskniła za najbliższymi i za przyjaciółmi z Cedar Cove. Marzyła o świętach w rodzinnym domu, było to jednak niewykonalne. Zbyt mocno zaangażowała się w nową poradnię medyczną, poza tym bilety lotnicze w okresie świątecznym były piekielnie drogie. Absolutnie nie na jej kieszeń.

– Mamo, przecież Mack będzie z wami, prawda? Gloria też?

– To jeszcze nic pewnego – powiedziała Corrie ponurym głosem. –

Oboje pracują od niedawna i o ile znam życie, każą im pracować w wolne dni. I wychodzi na to, że podczas świąt będziemy z ojcem sami!

– Oj, to niedobrze... – Linnette westchnęła, po czym postanowiła zmienić temat. – Mamo, a co u Macka? Jak sobie radzi?

– Ogólnie bardzo dobrze, choć niedawno miał powód do smutku. Dwa tygodnie temu oszedł Lucky.

– Ojej... jaka szkoda. Mack był do niego bardzo przywiązany.

– Jego ukochany pies... Lucky miał już czternaście lat, ale człowiekowi zawsze trudno pogodzić się z utratą przyjaznej istoty. Na szczęście poza tym u Macka wszystko w porządku. Bardzo przejmuje się pracą i wygląda na to, że radzi sobie nieźle.

– Wiedziałam, że tak będzie – mruknęła Linnette.

– A, byłabym zapomniała. O tym koniecznie muszę ci opowiedzieć. Wyobraź sobie, że w tym roku w naszym kościele będzie niezwykła szopka, wiesz, taka z żywymi ludźmi i zwierzętami. Bob Beldon namówił do udziału twojego ojca i brata!

– Żartujesz, mamo! – Nie wierzyła własnym uszom. – Tata się zgodził?

Udział Macka jej nie dziwił, bo brat uwielbiał najbardziej niesamowite akcje, ale tata? Na pewno trudno go było namówić.

– Zgodził się. Mack będzie pasterzem, a twój ojciec jednym z trzech króli, mędrcem ze Wschodu.

– Nie mów. – Linnette zachichotała. – Ciekawe, jak udało się pastorowi Flemmingowi i panu Beldonowi namówić ojca?

– Nie powiem ci, bo sama nie wiem. Ale udało im się! – Matka wreszcie trochę się rozpogodziła.

– Szkoda, żeś nie widziała Macka, jak podczas pierwszej próby uganiał

się za owieczką!

– Żywą owieczką?

– Oczywiście! Mamy mnóstwo zwierząt, wszystkie przytulił na swoim ranczu Cliff Harding, a wieczorem biorą udział w żywej szopce. Jest nawet wielbłąd! Nie mam pojęcia, jak pastor go zdobył, ale najważniejsze, że twój ojciec będzie z tym wielbłądem krążył wokół stajenki ze świętą Rodziną.

– Tata... i wielbłąd?

Gdy brwi Pete'a przemieściły się w górę, Linnette posłała mu promienny uśmiech.

– Tak. Wielbłądy podobno mają swoje humory, dlatego przydzielono do niego twojego ojca. Słyszałam, że tylko on sobie z nim poradzi. Albo z nią, bo nie znam płci.

– Słyszałam, że plują i gryzą! – nie omieszkała poinformować matki Linnette.

– Dobrze słyszałaś. Widziałam to na własne oczy razem z Glorią, kiedy twój ojciec podczas próby zmagił się z tą bestią. Uśmiełyśmy się do łez.

– O rany... No to tata rzeczywiście ma teraz wielkie przeżycie...

Ojciec w powłóczystej szacie i sandałach poskramiający krnąbrnego wielbłąda... Linnette była o krok od zmiany świątecznych planów. Może jednak pojechać? Przecież czegoś takiego już nigdy nie zobaczy!

– Mamo, pamiętaj, masz zrobić mnóstwo zdjęć!

– Oczywiście! Dlatego jako prezent gwiazdkowy kupiłam sobie kamerę cyfrową. Mogę robić nie tylko zdjęcia, ale nawet nakręcić film. Twój tata właśnie uczy mnie ją obsługiwać.

– To dobrze. – Bo dla niego to pestka. Detektyw McAfee ma taką kamerę od lat.

– Prześlę ci filmik pocztą elektroniczną. Albo nie... lepiej niech to zrobi twój ojciec.

– W każdym razie, mamó, błagam, nie zapomnijcie o tym! Muszę to wszystko zobaczyć! – Nagle poczuła się nijako. Od przyjazdu do Dakoty Północnej nigdy jeszcze tak bardzo nie tęskniła za domem. To będą jej pierwsze święta z dala od bliskich.

– Linnette, a jak ty spędzisz święta? – spytała matka.

Wymownie spojrzała na Pete’ a, przepraszając, że rozmowa trwa tak długo. Wskazała też ręką na stół, dając mu do zrozumienia, żeby nie czekał na nią, tylko jadł. Gdy kamie zabrał się za konsumpcję, Linnette poinformowała matkę:

– Święta spędzę z Hassie Knight. Przygotujemy świąteczny obiad, potem pogramy w karty.

Hassie była właścicielką apteki Knight’s Pharmacy, a także pomysłodawczynią poradni medycznej. Z jej inicjatywy powstał komitet, w skład którego weszło kilku miejscowych biznesmenów oraz oczywiście Linnette. Komitet nawiązał współpracę z agencjami stanowymi i wystąpił o dotację.

– Nie spędzisz świąt razem z Pete’ em?

– Mamó! On spędza je ze swoją rodziną!

– No tak, ale wspominałaś już o nim kilkakrotnie, więc pomyślałam...

Nieważne. Cieszę się, że postępujesz rozsądnie.

Wiadomo, o co chodzi. Związek Linnette z Calem Washbumem rozpadł się, Linnette była wolna, ale to jeszcze nie powód, by błyskawicznie pakować się w nowy romans. Dowiedziała się niedawno, że Cal i Vicki pobrali się już i przeprowadzają się do Wyomingu. Linnette życzyła im wiele szczęścia. Szczerze, bo dziwna sprawa, ale wcale nie umierała z

rozpaczy, że straciła Cala bezpowrotnie. Przeciwnie, spoglądając wstecz, dochodziła do wniosku, że nie mogli zrobić nic lepszego, tylko się rozstać, bo zbyt wiele ich dzieliło. Inne zainteresowania, inne wizje wspólnej przyszłości. Owszem, kiedyś darzyła Cala miłością, a kiedy od niej odszedł, była zdruzgotana. Ale to już przeszłość, która czegoś ją nauczyła.

– Cal jest już w Wyomingu – powiedziała matka, jakby czytała w jej myślach.

– Wiem – powiedziała Linnette głosem idealnie beznamiętnym i szybko przeszła do innego tematu:

– Jak się czuje sędzina Griffin?

Podczas poprzedniej rozmowy matka opowiedziała o nagłych komplikacjach u Olivii.

– Znacznie lepiej. Udało się zlikwidować infekcję, więc już ją wypisali ze szpitala.

– Bardzo się cieszę.

– Ja też. Było naprawdę nieciekawie. Jack bardzo to przeżywał... A skoro już o Jacku Griffinie mowa... Napisał uroczy artykuł o naszej żywej szopce. Naprawdę uroczy!

– Koniecznie mi go przyślij. Koniecznie!

– Dobrze, córciu. Och, nie mogę odżałować, że nie będzie cię tu z nami.

– Mamo, przestań, bo zaraz się rozryczę. A ja naprawdę nie mogę przyjechać, także dlatego, że bilety na samolot są nieludzko drogie. A samochodem nie pojadę. W zimie, tak daleko, i do tego sama. Nie, to zbyt niebezpieczne. – Jej spojrzenie bezwiednie powędrowało ku oknu, za którym widać było dwumetrowe zwały śniegu.

– Zapłacimy za bilet, córeczko.

Propozycja była bardzo kusząca, niestety nie do przyjęcia.

– Nie, mamó. Nie ma mowy. Jestem dorosła. Poza tym niebawem na pewno was odwiedzę.

– Tylko odwiedzisz...

Zabrzmiało to bardzo wymownie. Corrie gorąco pragnęła, żeby Linnette wróciła do Cedar Cove na stałe, zwłaszcza teraz, kiedy Cal i Vicki już wyjechali. Ale Linnette, odkąd osiadła w Buffalo Valley, nigdy nawet nie zastanawiała się nad powrotem. Tu, w tym małym miasteczku w Dakocie, odzyskała spokój. Poza tym spełniła swoje marzenie. Po uzyskaniu dyplomu asystentki lekarza zawsze marzyła o wyjeździe gdzieś daleko, na wieś, gdzie tacy fachowcy są najbardziej potrzebni.

– Mamó, a jak wy spędzicie święta?

– No cóż... około dziesiątej rozpakujemy nasze prezenty, a prezenty dla ciebie wyślemy pocztą, choć nie wiem, czy dojdą na czas...

– Mamó, naprawdę niczego mi nie trzeba.

– Córeczko, a masz już jakieś mieszkanie?

Omam nie wybuchnęła śmiechem. Matka, która nigdy nie widziała takiej miejsciny jak Buffalo Valley, nie była w stanie wyobrazić sobie tutejszych warunków. Linnette do niedawna mieszkała w pokoiku na piętrze nad restauracją.

– Mamó, tu nie ma mieszkań do wynajęcia. Teraz wynajmuję pokój u Hassie.

– Pokój?!

– A tak. I mieszka nam się świetnie.

A potem, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, Linnette dostanie służbowe mieszkanie przy nowej poradni. Właśnie czekali na dotację ze środków stanowych. Była to nadzwyczaj pilna sprawa, bo budynek, w

którym miała się mieścić poradnia, przez wiele lat stał pusty i wymagał generalnego remontu. Czekali więc na pieniądze, natomiast z rękoma do pracy nie było problemu, bo co najmniej dwadzieścia osób zgłosiło się już na ochotnika.

– A tu miałaś takie ładne mieszkanie – powiedziała Corrie. – Z takim pięknym widokiem.

– Owszem, ale przecież do tego właśnie mieszkania wprowadził się Mack... Mamo, przepraszam, ale muszę już kończyć.

– Szkoda. Linnette, naprawdę nie chcesz, żebyśmy z ojcem kupili ci bilet na samolot?

– Wykluczone, mamo. Zadzwoń do was w święta, dobrze?

– Zadzwońisz... To nie to samo.

– Wiem, mamo.

Pożegnały się. Linnette zamknęła komórkę i położyła ją na stole.

– Twoja matka jest bardzo rozczarowana? – spytał Pete, spoglądając na Linnette tymi swoimi bardzo niebieskimi oczami. – Ty chyba też.

Wzruszyła lekceważąco ramionami.

– Wszystko będzie dobrze. Jestem już dużą dziewczynką, nie muszę spędzać świąt z mamusią i tatusiem!

– Ale z chęcią byś do nich pojechała.

– A pewnie! – Nadgryzła kanapkę z bekonem, sałatą i pomidorem, ale jakoś nie czuła głodu, odłożyła więc ją na talerz. Frytek w papierowej torbie nie tknęła. Usiadła wygodniej, ręce oparła na łokciach i rozejrzała się po restauracji. Poznawała wiele twarzy, przecież pracowała tutaj, bo to właśnie Bob Carr, zwany Buffalo Bob, zaproponował jej pracę, kiedy zjawiała się tutaj prawie bez centa przy duszy, szukając jakiegoś miejsca na ziemi.

A teraz nie wyobrażała sobie, żeby to miejsce mogło być gdzieś

indziej. Nawet w Cedar Cove.

Z kuchni wyłonił się Bob przepasany białym fartuchem nie pierwszej świeżości.

– Pete, zupa grzybowa gotowa! – zawołał. – Nadal jesteś nią zainteresowany?

– Jasne!

– Możesz skończyć moją kanapkę, jeśli chcesz – powiedziała Linnette. Pete miał prawie dwa metry wzrostu i ciągle był głodny.

– Nie, dziękuję. Też powinnaś coś zjeść.

Bob przyniósł wyjątkowo duży talerz z zupą, postawił przed Pete’em i spojrzał podejrzliwie na Linnette.

– Wszystko w porządku?

– Oczywiście... Po prostu nie jestem głodna.

– I właśnie ten twój brak apetytu spędza mi sen z powiek – stwierdził Bob. – Poza tym minę masz naprawdę niewesołą.

– Wcale nie. – Na poparcie swoich słów uśmiechnęła się do Boba wyjątkowo promiennie. – Grudzień, święta za pasem. Czy można być smutnym?

– Owszem. Znacie piosenkę „Smutne Boże Narodzenie”? Śpiewa Elvis.

– A ty, mądrało, znasz piosenkę „Wesołe Boże Narodzenie”?

– Znam, znam... Ale tak na serio, Linnette...

– U mnie naprawdę wszystko w porządku, Bob. Naprawdę.

Bob, czyli Buffalo Bob, był potężnie zbudowanym facetem, zawsze w dżinsach, T- shircie i skórzanej kamizelce. Cienkie włosy związywał zwykle w długi, sięgający prawie do połowy pleców kucyk. Wyglądał groźnie, ale Linnette od razu zorientowała się, że to człowiek o złotym

sercu. Wystarczyło spojrzeć, jak odnosi się do swojej żony Merrily i trójki dzieci.

Pete skończył sandwicza i zupę, po czym sięgnął po rachunek.

– Ja płacę.

– Dzięki. – Linnette czuła się trochę głupio, bo prawie przez cały lunch była przyklejona do komórki. Ale cóż, bardzo chciała pogadać z matką.

– Odbiorę części i muszę wracać na farmę – o– świadczył Pete.

Jechał do miasta prawie godzinę, żeby odebrać części do traktora, które zamówił Dennis Urlacher dla jego brata. Linnette wiedziała, że Pete pod byle pretekstem pojawia się w mieście, żeby z nią się zobaczyć. Te spotkania sprawiały jej wielką przyjemność. Pete jasno określił swoje uczucia, jednak Linnette, choć cieszyła się z jego towarzystwa, była bardzo ostrożna. Uważała, że na poważniejszy związek było jeszcze za wcześnie, choć Pete, co oczywście wyczuwała, miał na to wielką ochotę.

Wyciągnął portfel, wyjął dwadzieścia dolarów i położył na stole.

– Od soboty grają nowy film – powiedział. – Pójdiesz ze mną? Kupię ci największą torbę z popcornem, jaką będzie można dostać.

– Nie musisz mnie przekupywać, Pete. Pewnie, że pójde.

Tutejsze kino było całkiem inne niż multikino w Cedar Cove. Tylko jeden ekran, grali najczęściej powtórki, z nowościami spóźniali się o kilka miesięcy. Linnette na początku bardzo bawił fakt, że w kinie puszczały filmy, które od dawna są dostępne na DVD.

Pete uśmiechnął się tak szeroko, jakby oznajmiła mu, że wygrał główną nagrodę na loterii stanowej.

– Przyjadę po ciebie około szóstej.

– Super.

Zdjął z oparcia krzesła jej długi, wełniany płaszcz i pomógł włożyć. Linnette dwa razy owinęła szal wokół szyi, włożyła czapkę i rękawiczki. Zima w Dakocie Północnej nie miała w sobie nic z łagodności. Zawsze trzeba było ubrać się porządnie, nawet jeśli miało się do przejścia kilka kroków, a tylko tyle dzieliło restaurację od apteki.

Wyszli na dwór. Linnette odprowadziła Pete'a do jego pikapu. Był to najnowszy model, kupiony zaledwie przed kilkoma miesiącami, a widać już było zadrapania i wgniecenia. Kiedy zobaczyła pierwszą rysę, od razu zaczęła biadolić, ale Pete wyjaśnił, że to samochód „pracujący”, więc tego właśnie należy się spodziewać.

Teraz delikatnie musnął palcami jej policzek.

– A więc do soboty!

– Do soboty! – odpowiedziała z uśmiechem, kuląc się przed podmuchami porywistego wiatru.

– Przedtem do ciebie zadzwonię.

Pokiwała głową. Było jasne, że Pete nie ma jeszcze ochoty odjeżdżać.

– Linnette, a może byś ze mną spędziła święta?

– Dziękuję, Pete, ale to już postanowione. Razem z Hassie damy sobie radę.

– Nie wątpię. – Westchnął, po czym rozejrzał się dookoła, upewniając się, że nikt ich nie widzi, i pocałował Linnette. Pocałunek nie należał może do szczególnie żarliwych, ale i tak był bardzo przyjemny.

Pete zwykle nie okazywał jej swoich uczuć w miejscu publicznym. Linnette, trochę zaskoczona pocałunkiem, uśmiechnęła się jeszcze na pożegnanie i pomaszerowała w stronę apteki.

W domu zastała rozpromienioną Hassie, która zawołała:

– Przyszła odpowiedź! Dostaliśmy dotację z funduszy stanowych!

Linnette aż klasnęła w dłonie ukryte w ciepłych rękawiczkach.

– Cudownie! Fantastycznie!

– Rozpuściłam już wici...

– Niesamowite, że przyznali tak szybko! Kto by się spodziewał?

Hassie mrugnęła wesoło.

– Tak to jest, kiedy znasz odpowiednich ludzi w Bismarcku!

Godzinę później były już w opuszczonym budynku, który wkrótce miał się stać poradnią medyczną. Przyszło też wiele innych osób, między innymi Buffalo Bob, i od razu wzięli się do roboty. W mgnieniu oka rozebrali niepotrzebny mur okalający budynek. Kiedy skończyły się lekcje, dołączyła młodzież szkolna i zabrała się do uprzątnięcia gruzu. Oczywiście

Linnette też próbowała włączyć się do tych prac, odnosiła jednak wrażenie, że pożytku z niej niewiele.

O zmierzchu, gdy wszyscy się rozeszli, Linnette została sama w wielkim pokoju od frontu. Odstawiła miotłę i śmietniczkę do kąta i rozejrzała się wokół z wielką satysfakcją. W ciągu kilku godzin odwalono kawał dobrej roboty.

I sięgnęła do kieszeni po dzwoniącą komórkę.

– Halo?

– To ja, Pete.

– A gdzie ty...

– Tutaj.

Drzwi otwarły się i do pokoju wmaszerował Pete.

Linnette roześmiała się, zamknęła komórkę i powiedziała:

– Czy wiesz...

– Wiem, wiem! Przyznali dotację! Gratuluję i mam dla ciebie jeszcze jedną dobrą wiadomość.

– Jaką?

Przyciągnął Linnette do siebie, ręce oparł na jej ramionach.

– Na święta jedziesz do domu.

– Co? Nie, to niemożliwe! Pete, właśnie teraz, kiedy...

– Możliwe, możliwe. Zawiozę cię. Do najbliższego weekendu mają dostarczyć nam wszystkie narzędzia i materiały, a jeśli się sprężymy, remont potrwa dziesięć dni. I można jechać do Cedar Cove. Zrobisz swoim rodzicom niespodziankę.

Wzruszona Linnette poczuła, że łzy napływają jej do oczu.

– Och, Pete! – Objęła go mocno za szyję i uściskała z całej siły. – Dziękuję – szepnęła. – Dziękuję, dziękuję...

Silne ręce Pete'a objęły ją w pól.

– Bardzo chcę poznać twoją rodzinę, Linnette.

– Też bardzo chcę, żebyś ich poznał.

– Glorię, Macka i twoich rodziców. Tyle mi o nich opowiadałaś. Naprawdę pragnę ich poznać, tym bardziej że mam nadzieję... że kiedyś będę należeć do twojej rodziny...

Jej oczy rozszerzyły się. Zdawała sobie sprawę, że to, co teraz w nich widać, to zaskoczenie. I czujność.

Dlatego Pete szybko dodał:

– Linnette, nie mam zamiaru na ciebie naciskać. Proszę tylko, żebyś mi powiedziała, kiedy... kiedy zachcesz tego co ja. Nie spiesz się, poczekam. Mówiłem ci już kiedyś, że jestem wyjątkowo cierpliwym facetem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Z Emily działo się coś niedobrego. Trudno było tego nie zauważyć i nie martwić się o nią. Przecież Dave Flemming był pewien, że jego życie prywatne wróciło do normy, a jednak okazało się, że wcale nie. Pojawił się nowy problem, przy czym jedno było pewne. Nie miało to żadnego związku z pracą Emily. Wystarczyło przecież o niej wspomnieć, a Emily już promieniała.

Dave problemu nie bagatelizował, niemniej postanowił przymknąć oczy i odczekać. Szczerze mówiąc, był już na ostatnich nogach. Praca w dwóch miejscach plus przygotowywanie szopki to naprawdę sporo jak na jednego człowieka. Postanowił więc, że podpyta żonę później. Zawsze istniała też nadzieja, że jeśli sprawa naprawdę jest ważna, Emily prędzej czy później sama zacznie rozmowę. Jeśli nie, to po Nowym Roku, jak to się wszystko już przewali, Dave zacznie dążyć.

W czwartek po południu, gdy Dave zbierał się do wyjścia, nieoczekiwanie w kancelarii parafialnej pojawiła się Emily.

– Musimy porozmawiać – oznajmiła zdecydowanie, wkraczając do środka po bardzo starannym zamknięciu za sobą drzwi.

– Teraz?! Emily, za dziesięć minut mam spotkanie z kierownikiem chóru.

– No to się spóźnisz – ucięła szokująco apodyktycznym tonem.

Dlatego Dave zrezygnował z dalszej dyskusji.

– Dobrze. – Usiadł za swoim biurkiem, mając nadzieję, że rozmowa z małżonką nie potrwa długo.

Emily usiadła naprzeciwko na krześle ustawionym przed biurkiem. Jej

oczy były rozbiegane, palce kurczowo zaciśnięte na torebce.

Dave odczekał cierpliwie kilka minut, wreszcie rzucił ponagląco:

– Em?

Najpierw westchnęła głęboko, a potem wyrzuciła jednym tchem:

– We wtorek rano byłam w kancelarii Allana Harrisa.

Przez głowę Dave'a natychmiast przemknęło mnóstwo niepokojących myśli. Czyżby Emily miała kłopoty z prawem? A może – nie daj Boże! – chce rozwodu?! Czyżby ona...

– Poprosiłam, żeby pokazali mi testament Marthy Evans.

Dave nie wierzył własnym uszom.

– Testament? Marthy Evans? Emily, przecież...

– Wiem, tego się nie robi, ale ja musiałam.

Pomógł mi w tym pewien bardzo miły młody człowiek. Zrobił to w wielkiej tajemnicy, za coś takiego przecież może stracić pracę. Dlatego proszę, żebyś nikomu o tym nie mówił.

– Nie powiem – obiecał Dave zrezygnowanym głosem, przypominając sobie, że on również ma sprawę do owego młodego człowieka, którym był oczywiście Geoff Duncan, asystent Allana Harrisa. Dave zobowiązał się, że udzieli i jemu, i jego narzeczonej nauk przedmażeńskich. Pierwsze spotkanie Geoff odwołał, trzeba będzie ustalić nowy termin.

Nagle zauważył, że oczy Emily zalśniły podejrzenie, jakby miała zaraz się rozplakać.

– Em, co się stało?

– Coś okropnego, Dave! Czy wiesz, że w dokumentach nie ma żadnej wzmianki o tym, że Martha chce podarować ci ten złoty zegarek?!

Dave poderwał się z krzesła.

– Jak to nie ma?! Niemożliwe!

– Możliwe! Przejrzałam wszystko dokładnie. Nie ma o tym ani słowa.

Dave, czując, że robi mu się słabo, z powrotem opadł na krzesło. Za dużo tego wszystkiego. Jego własna żona sprawdza go, jakby absolutnie nie miała do niego zaufania, po czym przekazuje mu tę właśnie informację. A raczej hiobową wieść, bo jak inaczej to określić?

– Niemożliwe, Emily. Przecież na własne oczy widziałem list, który Martha miała przekazać prawnikowi. W tym liście napisała, że ponieważ nie ma synów, chce podarować mi złoty zegarek po mężu. Darzyła go wielkim sentymentem, dlatego czułem się zaszczycony jej decyzją.

– A co z zięciami?

– Starsza córka jest rozwiedziona. Młodsza nie, ale z rozmów z Marthą wynikało, że drugiego zięcia nigdy nie poznała osobiście.

– A wnuki? Nie miała?

– Nie.

Przesłuchanie, normalne przesłuchanie! Dave czuł się bardzo zraniony podejrzliwością żony.

– Dave, czy zdajesz sobie sprawę, jak to wszystko nieciekawie wygląda? – spytała, przewiercając go tym swoim prokuratorskim spojrzeniem na wylot.

– Owszem. Dlatego jak najszybciej zwrócę ten zegarek. – Nie powinien był go przyjmować, ale Martha nalegała. Poza tym, jak wspomniał żonie, czuł się zaszczycony, że chce podarować mu tak drogi jej sercu przedmiot.

Wstał i zaczął nerwowo przemierzać pokój. Wszystko to razem to jakieś koszmarnie nieporozumienie. Trzeba jak najszybciej zadzwonić do Harrisa i spytać o list pani Evans. Owszem, widział ten list na własne oczy, nie był jednak przy tym, gdy pani Evans wręczała go prawnikowi. Wiedział

tylko, że tego samego dnia ma się z nim spotkać.

Ostatnia rozmowa Dave'a z prawnikiem była po prostu irytująca. Allan Harris szczegółowo wypytywał go o tamten dzień, w którym Dave znalazł panią Evans martwą. Pytał takim tonem, jakby był pewien, że Dave ukradł tę biżuterię, w związku z czym zaczął się bronić, a to irytowało go jeszcze bardziej. W rezultacie nie przyszło mu do głowy, żeby poprosić prawnika o sprawdzenie, czy sprawa ze złotym zegarkiem została udokumentowana w papierach pani Evans.

– Najlepiej będzie, jak porozmawiam z Harrisem – wymamrotał. – I to jak najszybciej.

– Ale to jeszcze nie wszystko – oznajmiła Emily.

Dave jęknął.

– A o co jeszcze chodzi?

– O to. – Emily otworzyła torebkę i wyjęła z niej plastikową przezroczystą torebeczkę.

Dave spojrzał na torebeczkę, potem bardzo zaskoczony na Emily.

– Nie rozumiem...

– Naprawdę ich nie poznajesz? – spytała równie zaskoczona Emily.

– Oczywiście, że nie. A powinienem?

– Powinieneś – powiedziała zdławionym głosem, tłumiąc łzy. – Te kolczyki znalazłam w kieszeniach twojej marynarki.

Dave poczuł się tak, jakby dostał kijem bejsbolowym w żołądek. Dosłownie wbiło go w krzesło.

– Kiedy? – spytał zachrypniętym głosem.

– Tego dnia, kiedy obchodziliśmy naszą rocznicę ślubu. Wybieraliśmy się na obiad. Czekałam na ciebie w kancelarii i zdjęłam z wieszaka twoją marynarkę. Wtedy z kieszeni wypadł kolczyk. Drugi znalazłam w drugiej

kieszeni.

– I ty... ty pomyślałaś... – Nie był w stanie wypowiedzieć tego do końca.

– W pierwszej chwili byłam pewna, że ma to związek z inną kobietą, ale potem, kiedy dowiedziałam się o zegarku, pomyślałam, że pani Evans podarowała ci również te kolczyki i ty... chciałeś podarować mi je na Gwiazdkę.

– Te kolczyki też należały do Marthy?!

Emily bez słowa skinęła głową. Po jej pobladłych policzkach popłynęły łzy.

– Tak... Widziałam je na zdjęciu. Do testamentu dołączone są zdjęcia biżuterii pani Evans...

No tak, czyli wszystko jasne. Wiadomo, co było przyczyną złego nastroju Emily.

Dave wyprostował się.

– Emily – powiedział, patrząc żonie prosto w oczy. – Przysięgam, że nigdy dotąd nie widziałem tych kolczyków.

– Tak? To skąd się wzięły w kieszeniach twojej marynarki?

– Nie mam pojęcia.

Zakryła dłonią usta i rozplakała się na dobre. Dave w jakimś sensie też płakał, tyle że bezgłośnie, gdzieś tam w środku. Zamieszanie z zegarkiem to już był koszmar, a teraz te kolczyki...

– Nie może być... – wymamrotał zdruzgotany.

– Nie może być...

Po chwili Emily udało się nad sobą zapanować. Płacz ucichł, wlepiła w męża zaczerwienione oczy.

– Dave, powinieneś porozmawiać o tym z Troyem Davisem.

Chyba postradała zmysły, pomyślał.

– Chcesz, żeby mnie aresztował?! – Przecież ten zegarek był niezbitym dowodem, który go obciążał. Kryminalnie obciążał!

– Musisz z nim porozmawiać, Dave – powtórzyła z uporem Emily. – Musisz wszystko wyjaśnić.

Jak? Bez listu Marthy Evans udowodnienie, że zegarek należy do niego, jest niemożliwe. A jeśli chodzi o te kolczyki, to on naprawdę nie ma nic do powiedzenia. Przecież nie ma bladego pojęcia, jakim cudem trafiły do kieszeni jego marynarki.

– Proszę, Dave.

– Nie mogę.

– Dlaczego nie możesz?

– Emily, zastanów się! Za niecałe dwa tygodnie święta. Jestem odpowiedzialny za wszystko, co się z nimi wiąże, łącznie z dostarczeniem koszyków z prowiantem dla potrzebujących. Poza tym nadal pracuję w tym banku, prawda? – A także musi napisać piękne kazanie, które wygłosi podczas wigilijnego nabożeństwa. A tego kazania wolałby nie pisać w więzieniu.

– Dave, nie wolno ci tego odkładać na później!

– Nie mam wyboru. Emily, czy komuś o tym wszystkim mówiłaś?

– Nie.

– Chwała Bogu!

– Ale ty koniecznie musisz iść z tym do szeryfa Davisa, i to jak najprędzej! Pomyśl, co to będzie, jeśli ktoś się dowie, że masz zegarek pani Evans, ale tak naprawdę to nie wiadomo, czy ci go podarowała!

O Boże, przecież zgubiłeś go u sędziny Griffin!

Owszem, Dave na początku trochę się tym zdenerwował, ale po chwili

zastanowienia doszedł do wniosku, że nie ma co panikować. Bo i niby dlaczego Olivia od razu ma mieć jakieś podejrzenia? On zgubił, ona zadzwoniła, on następnego dnia odebrał od niej zegarek. Grzecznie podziękował i Olivia najprawdopodobniej o całej sprawie już zapomniała.

– Nie, Emily. Poczekam z tym. Chyba nie zdajesz sobie sprawy, ile mam teraz na głowie. A poza tym, co najważniejsze, jestem niewinny.

– Oczywiście. – Wcale nie powiedziała tego z pełnym przekonaniem.

– Nie wierzysz mi?

– Oczywiście, że wierzę – powiedziała szybko, jednocześnie jednak umykając wzrokiem. – Ale byłabym o wiele spokojniejsza, gdybyś spotkał się z szeryfem. Mogłabym pójść z tobą. Szeryf jest człowiekiem bardzo rozsądnym.

– Zgadza się, ale jeśli zgłoszę się do niego, może mnie zatrzymać, co teraz dla mnie, w tym gorącym okresie, byłoby katastrofą. Pójdę do szeryfa za dwa tygodnie.

– Dopiero?! Dave!

– Emily, czy naprawdę nie masz już do mnie ani odrobiny zaufania? Powiedz mi, ale tak szczerze, czy w ciągu tylu lat naszego małżeństwa kiedykolwiek miałaś powody, by zwątpić w moją uczciwość?

Niestety nie odpowiedziała od razu. Czyli znów się zawahała.

– Nie, Dave. Dopiero teraz... jest jakoś inaczej. Na przykład te problemy finansowe. Mamy je od dawna, a ty powiedziałeś mi o tym dopiero teraz.

– Przeprosiłem, Emily. Nie mówiłem, bo myślałem, że rozwiążę je sam, biorąc dodatkową pracę!

– Był zły. Miał już dość tej rozmowy, która w sumie prowadziła donikąd. No i znany z punktualności kierownik chóru siedzi tam i czeka.

A Emily, niestety, wcale nie zamierza kończyć.

– Jesteś ciągle w złym humorze.

– Ty też nie byłabyś radosna, gdybyś musiała tyrać po tyle godzin co ja. Bez przerwy ktoś czegoś ode mnie chce. Ani chwili spokoju!

– Myślałam, że czujesz się szczęśliwy jako pastor.

– Oczywiście. Bóg wyznaczył mi tę pracę, ja ją kocham, ale czasami za dużo tego stresu, tych wymagań. Emily, proszę, nie kłóćmy się. Wiesz, że cię kocham, tym bardziej zależy mi na twoim zaufaniu.

– Dave, przede wszystkim bardzo bym chciała, żebyś wykazał się rozsądkiem i poszedł do szeryfa jak najprędzej. Bo coś mi się wydaje, że odkładasz to przede wszystkim z jednego powodu. Masz nadzieję, że wszystko jakoś samo się wyjaśni bez twojego udziału!

– Emily, po raz kolejny powtarzam, że jestem zawałony robotą. Do szeryfa pójdę zaraz po świętach. Pójdę, masz moje słowo!

Ciche pukanie do drzwi przerwało burzliwą rozmowę małżonków. Dave przymknął na moment oczy i odetchnął głęboko.

– Tak, Angel!

W drzwiach pojawiła się sekretarka.

– Bardzo przepraszam, że przeszkadzam...

– Nie szkodzi, już skończyliśmy.

– Chciałam tylko powiedzieć, że przyjechała ciężarówka z paszą dla zwierząt.

Dave jęknął.

– Tutaj? Dlaczego? Przecież mieli zawieźć na ranczo Hardinga.

Dave do końca życia będzie wdzięczny, że Cliff przygarnął cały inwentarz występujący w szopce.

– Tak, wiem, ale kierowca mówi, że w papierach jest napisane, żeby

dostarczyć tutaj. Musi pan z nim porozmawiać.

– Zaraz do niego pójde.

– Panie pastorze, jeszcze coś. Pan Stevenson czeka w zakrystii.

Kierownik chóru znany był nie tylko ze swojej punktualności. Także z tego, że bardzo nie lubi czekać.

– Proszę powiedzieć, że już do niego idę.

Angel skinęła głową i wycofała się na korytarz, zamykając za sobą drzwi.

Dave spojrział na żonę.

– Przepraszam, Emily, ale sama widzisz. Dokończymy tę rozmowę później.

– A o czym tu jeszcze rozmawiać? Decyzję już podjąłeś! – Gwałtownym ruchem zgarnęła z biurka torebkę z kolczykami, wrzuciła ją do torby i pobiegła do drzwi.

Dave zdążył jednak zauważyć, że jej oczy znów zalśniły od łez.

Problem polegał na tym, że jego argumenty do Emily nie docierały, czyli ta rozmowa musi mieć ciąg dalszy. Nie chciał się z nią kłócić, nienawidził tego, jednocześnie jednak ogromnie mu zależało, by jakoś ją przekonać do swoich racji i uspokoić.

Szansa na dokończenie rozmowy pojawiła się dopiero wieczorem, po powrocie Dave'a do domu, czyli o wpół do jedenastej. Po wyjaśnieniu sprawy, dokąd wieźć paszę, oraz po rozmowie ze Stevensonem, pojechał od razu do banku. Po drodze wpadł do Mocha Mama po muffinkę. O zjedzeniu czegoś na miejscu nie było mowy, spóźniłby się do pracy.

Najpierw zajrzał do synków. Obaj już spali, poszedł więc do pracowni Emily. Był wykończony fizycznie i psychicznie, ale też zdesperowany. Wiedział, że koniecznie musi dogadać się z żoną.

– Emily...

Siedziała przy maszynie do szycia. Nie podniosła głowy zajęta patchworkiem. W radiu grali kolędy, ale Dave odniósł wrażenie, że żona wcale ich nie słucha.

– Porozmawiajmy, Emily. – Usiadł na krześle i pogłaskał ją po kolanie.

Emily natychmiast się odsunęła.

– Zmieniłeś zdanie, Dave? Porozmawiasz z szeryfem już teraz?

– Nie. Potem.

– W takim razie nie mamy o czym rozmawiać!

– Em, proszę, posłuchaj. Przemyślałem wszystko, co mi powiedziałaś. Pod jednym względem na pewno masz rację. Jeśli ktoś przypadkiem dowie się o tym zegarku, może być problem.

Emily zaśmiała się niewesoło.

– Wielki problem!

– No właśnie. Dlatego pomyślałem, że z kimś jednak porozmawiam już teraz.

– Z kim? – Po raz pierwszy od chwili, gdy wszedł do pokoju, raczyła na niego spojrzeć.

– Z Royem McAfee. Mam do niego bezwzględne zaufanie. Roy nie jest prawnikiem, ale na prawie się zna. Na pewno mi coś mądrego poradzi.

A po świętach ty i ja pójdziemy razem do szeryfa. Zgoda?

Usatysfakcjonowana Emily skinęła głową.

– Zgoda.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

– Tato, proszę! Jesteś uparty jak osioł! – biadoliła Megan, stojąc na podjeździe koło swego samochodu.

– Masz jechać z nami!

Troy wcale nie miał ochoty na przedświąteczne zakupy. Kiedyś jeździli na nie we czwórkę, Troy, Sandy i Meg z mężem. Ale kiedy Sandy musiała iść do domu opieki, święta dla Troya przestały być ważne i nie zwracał sobie głowy zakupami czy choinką. W końcu choinka była u Megan i przy tej choince cała rodzina spędzała świąteczny dzień.

W tym roku w ogóle chciał zapomnieć o świętach. Absolutnie nie był w nastroju do kupowania choinki razem z córką i zięciem. Ten piątkowy wieczór mógł spędzić o wiele ciekawiej, na przykład... oglądając stare odcinki serialu CSI. Dlatego tak bardzo starał się wykręcić od wspólnej wyprawy. Niestety Megan była nieugięta, mimo że wysuwał niepodważalne argumenty.

Ten był już ostatni.

– Sztuczne choinki są o wiele bezpieczniejsze. I wygodniejsze, bo nie tracą igieł!

– I co z tego? Zawsze mieliśmy prawdziwą choinkę, tato. Taka już u nas tradycja. Tradycja... No cóż... z czymś takim nie powinno się walczyć.

– Dobrze, już dobrze. Jadę z wami.

– Cudnie! – Rozradowana Meg aż klasnęła w ręce. – Tato, proszę, rozchmurz się. Poczuj, jak to mówią, magię świąt! Kupimy pachnącą, zieloną choinkę, a przy okazji postawię ci gorącą czekoladę. Sam powiedz, czy to nie miła perspektywa?

– Tak, tak, bardzo miła – mruknął szeryf, lecz wcale się nie rozpogodził, pewnie również dlatego, że miał za sobą bardzo nieciekawą tydzień, który włókł się w nieskończoność. Chociażby ta wczorajsza wizyta w jego biurze córek pani Evans. Przyjechały i narobiły szumu. Chciały dokładnie wiedzieć, co dotychczas zrobiono w sprawie zaginionej biżuterii matki, czyli ich spadku. Obie były bardzo nieprzyjemne, roszczeniowe. Niestety, miały pełne prawo domagać się wyjaśnień, ale szeryf niewiele miał im do przekazania. Właściwie nic. Owszem, namierzył już sobie pewną osobę, ale brakowało dowodów. A wiadomo, że chociaż gliniarz potrafi mieć genialne wyczucie – przynajmniej w powieściach kryminalnych, które namiętnie czytywała Sandy – to jeszcze nie wystarczy, by posłać kogoś za kratki.

Cały ubiegły tydzień minął też na rozmyślaniach o Faith. Tęsknił za nią i bardzo żałował, że kiedyś postąpił wobec niej tak bezwzględnie i niesprawiedliwie. Przesadził z reakcją Megan, chociaż w pewnym stopniu był usprawiedliwiony. Przez całe lata patrzył, jak Sandy stopniowo i nieodwołalnie traci zdrowie. Teraz bał się o swoją jedyną córkę, choć doskonale wiedział, że medycyna i w tej dziedzinie robi ogromne postępy. Niemniej karmił się wciąż okrutnym założeniem, że Megan może kiedyś przechodzić taką samą gehennę, jaką przeszła jej matka. Dlatego bez wahania zerwał z Faith, całkowicie pewien, że musi to zrobić, bo jest potrzebny córce. Teraz jednak w głębi duszy pojawiły się wątpliwości. Czy przypadkiem Megan nie posłużyła tylko jako parawan, bo tak naprawdę bał się ponownie zakosztować szczęścia z kobietą?

O tym myślał przez cały długi tydzień. A teraz, z racji zbliżających się świąt, musi jechać z dziećmiakami po choinkę. Jednym słowem, życie go nie oszczędza.

Craig prowadził. Troy siedział z przodu, obok zięcia, Megan z tyłu. W radiu nadawali kolędy i piosenki świąteczne. Craig i Megan z zapalem wtórowali solistom, Troy tylko czasami, ot tak, żeby się nie wyłamywać, kiwał do rytmu głową. Ale naprawdę mało go obchodziły wszystkie radosne pienia o bałwanku Frosty czy Rudolffie, czerwono nosym reniferze.

Kiedy dojechali na farmę z choinkami, okazało się, że szpilki tam nie wetkniesz. Były dzikie tłumy, jakby na farmę zleciało się całe Cedar Cove, a przecież był to piątkowy wieczór.

Panowała świąteczna atmosfera. Wszędzie porozwieszano kolorowe lampki, a w centralnym miejscu ustawiono dwa wielkie kotły. W jednym była gorąca czekolada, w drugim jabłecznik. Troy zerknął na cenę. Nie, stanowczo z tym przesadzili.

Jakimś cudem udało im się znaleźć wolne miejsce do zaparkowania.

– Co tu się ich tyłu nazjeżdżało? Raptem jednego dnia wszystkim zachciało się choinek – marudził szeryf, wydobywając się z samochodu.

– Na jutro zapowiadają deszcz, dlatego wszyscy zwalili się dzisiaj – powiedział Craig.

Troy spojrział w niebo. Wciąż było bezchmurne, gdzieniegdzie migotały już gwiazdy. Potem spojrział na tłum, starając się wyłowić znajome twarze.

– Tato! Proszę! – zawołała nagle Meg. – Chciałabym, żebyś z kimś się przywitał.

Troy obejrzał się i znieruchomiał. Obok Megan stała ni mniej, ni więcej, tylko... Faith Beckwith.

– Pamiętasz, tato, że wspominałam ci o pewnej pielęgniarce, osobie nieskończenie cudownej?

Nie, nie pamiętał. A teraz stał i nie odzywał się, bo tylko to był w

stanie zrobić. Trwać w bezruchu i gapić się na Faith.

Na szczęście już po krótkiej chwili zdołał się otrząsnąć.

– Witaj, Faith!

Ona jednak milczała.

– Niedawno byliśmy razem z Faith na lunchu – świergotała rozpromieniona Megan. – Opowiadała mi o tobie.

Wspólny lunch? Opowiadała o nim? Troy spojrział czujnie i na córkę, i na Faith.

– Jadłyście razem lunch?!

– A tak! Robię na drutach kocyk dla dzidziusia. Miałam z tym pewien problem, więc wyciągnęłam Faith na lunch i poprosiłam o pomoc. Faith mówiła mi, że znacie się jeszcze ze szkoły!

– Zamierzchłe czasy – rzuciła półgłosem Faith, pilnie studiując wzrokiem ziemię zasłaną sosnowymi igłami i gałązkami. Gdy jednak wreszcie podniosła głowę, Troyowi udało się przechwycić jej spojrzenie. Które, delikatnie mówiąc, nie było zbyt życzliwe.

Megan musiała wyczuć jakieś napięcie, ponieważ darowała sobie dalsze odniesienia do przeszłości.

– Faith, oczywiście też przyjechałaś po choinkę? – spytała.

– Tak. Z synem i jego rodziną.

– A ja wyciągnęłam tatę. Chciałam, żeby zakosztował przedświątecznej atmosfery.

Faith spojrziała gdzieś za siebie.

– Muszę wracać już do swoich – powiedziała. – Miło było cię zobaczyć, Megan. Troy... – Dostojnie skinęła głową. – Życzę wam wszystkim sytych i wesołych świąt!

Czyli jest bardzo źle, pomyślał Troy, odprowadzając wzrokiem Faith,

od której wiało lodem. W jego stronę, oczywiście.

– To urocza osoba, prawda, tato?! – piała Megan.

– Tak.

– I pomyśleć, że znacie się jeszcze ze szkoły! Niesamowite! – Gdy Troy milczał uparcie, dodała: – Tato, powinieneś się z nią umówić!

Co? Umówić się? Nie wierzył własnym uszom.

Jeszcze kilka miesięcy temu Megan szalała, absolutnie nie przyjmując do wiadomości, że jej ojciec mógłby zbliżyć się do jakiejś kobiety.

– O co ci chodzi, Meg?

– Nie udawaj, tato! – odparła ze śmiechem.

– Przecież wiadomo, że o randkę! Faith jest bardzo miła i serdeczna. Pomogła mi nie tylko w robocie na drutach. Podtrzymała mnie na duchu, kiedy bardzo się denerwowałam, bo tak na sto procent jeszcze nie wiedziałam, czy jestem w ciąży, czy nie. Opowiedziała mi o wynikach najnowszych badań nad stwardnieniem rozsianym. Ona jest wspaniała. Tato... – Wzięła ojca pod rękę i dokończyła półgłosem: – Tato, ona jest wdową...

Troy w odpowiedzi coś tam mruknął.

– Jeśli wreszcie nabierzesz ochoty do randkowania, to pamiętaj, że Faith byłaby idealna! Całkiem inna niż... No tak, jednak zaczęłam, a Craig mówił, żebym się nie wtrącała, bo to twoje życie, ale...

Troy spojrzał na córkę bardzo przenikliwie.

– Ale co? O kogo ci chodzi?

– O tę kobietę, z którą widzieliśmy cię w centrum handlowym. No, o tę... Sally. Przepraszam, tato, ale sprawiła na mnie wrażenie osoby szalenie apodyktycznej.

– Szczerze mówiąc, na mnie też.

– No właśnie. Czy masz zamiar jeszcze się z nią spotykać?

– Nie! – Rozbawiony komicznie się wzdrygnął.

– Absolutnie nie!

– Super! – Meg również się zaśmiała. – Tato, spójrz! Tam stoi Faith!

Idź i pogadaj z nią... na przykład o starych czasach.

Troy spojrział we wskazanym kierunku. Faith istotnie stała kawałek dalej otoczona wnucętami i choinkami. Wyglądała pięknie.

– Tato! Nie wstydź się! Możesz jej zanieść gorącą czekoladę.

Czemu nie? Pomysł był niezły. Przecież bardzo chciał, żeby w końcu coś zaczęło się dziać między nim a Faith. Po jego ostatniej wizycie u niej wszystko zawisło w próżni. Niby miał czekać na jej odpowiedź, ale jak długo można czekać z założonymi rękami?

– Dobrze, pójdę do niej.

– Super! – Megan ścisnęła go za ramię. – Powodzenia, tato!

– Dzięki.

Troy kupił dwa kubki gorącej czekolady i podszedł do Faith, obok której pojawił się także syn.

– Dzień dobry, szeryfie! – powitał go Scott Beckwith. – Co słychać?

– A świetnie, świetnie.

Faith na jego widok wyraźnie zeszywniała.

– Przyniosłem ci gorącą czekoladę, Faith.

Wyciągnął do niej rękę z kubkiem. Ręce Faith, schowane do kieszeni płaszcza, ani drgnęły.

– Dziękuję, Troy, ale nie mam ochoty.

– Ale ja mam! Ja! – zawołała jej wnuczka, panienka w wieku sześciu, może siedmiu lat.

– Proszę. A jak się nazywasz?

– Dziękuję. Angela.

– A ja Bradley! – poinformował niewiele starszy od siostry chłopczyk, nie spuszczając oczu z drugiego kubka z czekoladą.

Troy z ulgą pozbył się i drugiego kubka.

Angela popiła czekolady i uśmiechnęła się do szeryfa.

– A mi rusza się ząb! – oświadczyła z dumą.

– Pokazać ci?

Nie zdążyła, ponieważ w tym momencie rozległ się głos Scotta:

– Angela! Bradley! Chodźcie, pomożecie mi ściąć tę choinkę!

Dzieci pobiegły do ojca, rozchlapując po drodze czekoladę. Troy na chwilę został z Faith sam, za co był losowi nieskończenie wdzięczny.

– Megan mówiła mi, że jesteś jej bardzo życzliwa.

Faith w odpowiedzi pokiwała tylko głową i zaczęła iść tam, dokąd poszedł syn z dziećmi.

– Poczekaj! – powiedział Troy, przytrzymując ją za ramię. – Jesteś zła na mnie?

– Ja? Na ciebie? A niby dlaczego mam być na ciebie zła?

– No... nie wiem. Proszę, może mi powiesz...

Faith odwróciła się. Jej wzrok płonął.

– Przecież to ty zerwałeś ze mną...

– Faith, na litość boską, nie możemy wreszcie o tym zapomnieć? Bardzo chciałbym się znowu z kimś spotykać i...

– W takim razie zadzwoń do tej swojej Sally!

Troya po prostu przytknęło. Co jest? Raz w życiu trafiła mu się randka w ciemno i wygląda na to, że całe hrabstwo wie już o tym. Nie dość, że wpadł na Megan i Craiga, to jak się okazuje, Faith również jest biegła w temacie.

– Chyba jest w twoim typie... – powiedziała trochę dziwnym, takim zamierającym głosem.

– Nie – zaprzeczył energicznie Troy. – Ty jesteś w moim typie.

Miał wrażenie, że Faith jakby się odprężyła, choć jej oczy wciąż były smutne, tak samo jak odpowiedź:

– A ja myślałam, że ty jesteś w moim. Ale się pomyliłam.

A Troy powoli zaczynał tracić cierpliwość.

– Faith! O co chodzi? Raz zdarzyło mi się wyjść z kimś innym, owszem. Ale tylko raz i na tym koniec!

Milczała przez chwilę, wreszcie wzruszyła ramionami, jakby tak naprawdę to wszystko przestało już ją obchodzić.

– Chyba nie ma o czym mówić. W końcu możesz umawiać się, z kim chcesz.

– Chcę spotykać się z tobą, Faith.

– Ze mną? Miło słyszeć, ale to niemożliwe. Owszem, dobrze było mi z tobą, ale to już przeszłość.

– Dla mnie nie, Faith.

Zaśmiała się cicho.

– I ty to mówisz? Ty, który jednak umówiłeś się z kimś innym? Troy, naprawdę życzę ci jak najlepiej, ale będę szczerą. Trudno dogadać się z mężczyzną, który mówi co innego, a robi co innego.

– O czym ty mówisz?

– Niestety znowu o przeszłości, choć tak bardzo tego nie lubisz. Chodzi mi o to, co mi wtedy powiedziałaś. Że Megan absolutnie nie pogodzi się z faktem, że ty po śmierci żony umawiasz się z jakąś kobietą.

– Tak, ale...

– Teraz mam dowód, że dotyczyło to tylko mnie. Bo twoja randka z

Sally nie była dla Megan problemem, skoro jednak się odbyła. Logiczne, prawda?

I proszę, nie zrozum mnie źle. Rozpatruję to wszystko absolutnie na chłodno. Chodzi mi po prostu o zwykłą ludzką uczciwość.

Troy czuł, że dłużej już tego nie wytrzyma.

– Faith, byłem przecież u ciebie, chciałem się dogadać. Ale okazało się to niemożliwe, bo ty wciąż żyjesz przeszłością! A skoro mówimy o uczciwości, to co ja mam powiedzieć na tę twoją przyjaźń z moją córką? Za moimi plecami?

– Przede wszystkim, Troy, to była inicjatywa Megan. To ona chciała zbliżyć się do mnie. Nie miała pojęcia, że się znamy.

– Ale ty jej wcale do tego nie zniechęciłaś!

– A dlaczego miałabym to robić? Jest bardzo miła. A skoro, jak sam powiedziałeś, mówimy o uczciwości, to powiedziałam Megan, że znam cię z lat szkolnych.

– No właśnie. Z lat szkolnych!

– A tak. Uznałam, że nie ma potrzeby mówić jej o tym, jak ponownie nawiązaliśmy znajomość i jak to się skończyło. Chociaż może i warto było o tym wspomnieć.

– Może.

– W każdym razie, Troy, jedno ustalmy. Dwa razy próbowaliśmy i nic z tego nie wyszło. Jak myślę, oboje popełniliśmy błędy. Za moje przepraszam, ty za swoje mnie już przeprosiłeś.

– A nie moglibyśmy spróbować jeszcze raz?

– Nie, Troy. Przede wszystkim dlatego, że mam tylko jedno serce, a jego wytrzymałość ma już swoje granice. Na pewno związane jest to z wiekiem, w każdym razie niełatwo mi jest pozbierać się po ciężkim

przeżyciu.

Troy nie miał wyboru. Musiał zaakceptować jej decyzję.

– W takim razie... no cóż... rozstańmy się w przyjaźni.

– Oczywiście!

Faith wyjęła rękę z kieszeni i wyciągnęła ją do Troya.

Który zmarszczył brwi.

– Miałem nadzieję, że się uściskamy! Po przyjacielsku!

Faith, uśmiechając się, podeszła do niego. Troy objął ją i zamknąwszy oczy, wciągnął mocno w płuca znajomy zapach.

Po minucie wysunęła się z jego objęć.

– Troy, ponieważ przyszło nam mieszkać w tym samym mieście, mam nadzieję, że będziemy zawsze wobec siebie uprzejmi. – Po raz pierwszy jej głos tego wieczoru zabrzmiał normalnie.

– Oczywiście, Faith. A jeśli chodzi o Megan, to bardzo się cieszę, że wzięłaś ją pod swoje skrzydła. Moja córka bardzo potrzebuje kogoś takiego jak ty.

Faith zarumieniła się. Z zimna? Chyba nie.

– Przepraszam, że byłam na ciebie taka zła – szepnęła. – Nie powinnam była w ogóle się wypowiadać na temat tej Sally.

Troy wzruszył ramionami.

– To była taka randka w ciemno. Do Barta, jednego z moich zastępców, przyjechała teściowa z Nowego Jorku. Tamtego dnia Bart z żoną musieli wyjść. Mieli pewne zobowiązania, a nie chcieli, żeby Sally siedziała w domu sama. Poprosili, żebym zabrał ją gdzieś na obiad. To wszystko.

– Rozumiem. W każdym razie jeszcze raz przepraszam, nie powinnam tego komentować. Zachowałam się tak, jakbym była zazdrosna!

– Wcale nie...

Rozmowę przerwały im radosne pokrzykiwania dzieci:

– Babciu, babciu! Chodź tu! Zobacz, jaką mamy ładną choinkę!

– Wrócę już do nich – powiedziała Faith.

– To ja poszukam Megan i Craiga.

– Cieszę się, że pogadaliśmy, Troy.

– Ja też. – Skinął głową.

– Wesołych świąt! – powiedziała miękko Faith.

– Wesołych świąt! – powtórzył jak echo.

Rozeszli się. Troy wrócił do córki i zięcia, którzy, jak się okazało, zdążyli już wybrać choinkę i ściąć ją.

– No i jak wrażenie, tato? – spytała Megan.

– Bardzo ładna – odparł, uważnie przyglądając się drzewku. – Będziesz ją ubierać już dziś?

– Tato! Ja nie pytam o choinkę, tylko o Faith!

– A... o Faith? No cóż... bardzo sympatyczna, ale niewiele mamy ze sobą wspólnego.

– Żartujesz! Ona jest dla ciebie idealna!

– Megan, daj spokój – powiedział Craig. – Tu ojciec sam decyduje, nie ty.

Wyraźnie miała ochotę podyskutować, ale posłuchała męża. Temat Faith został wyczerpany. Troy pomógł Craigowi ułożyć choinkę na dachu samochodu, po czym ruszyli w drogę powrotną do domu. Kiedy wyjeżdżali z parkingu, Troy zauważył Faith. Stała niedaleko, obok swoich bliskich, i patrzyła w jego stronę.

Kiedy przechwycił jej spojrzenie, podniosła rękę.

Do widzenia? Nie, ten gest mówił o wiele więcej.

Żegnaj. Tym razem – na zawsze.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

– Gdzie jesteście? Gdzie?! – wydierała się Christie do komórki. Chciała koniecznie pogadać z Teri, oczywiście o Jamesie. Po jego wizycie wciąż o nim myślała, bo wspólnie spędzone chwile okazały się czymś szczególnym, przynajmniej dla Christie. Zrozumiała więc, że chciała to i owo zreferować siostrze, dlatego zaraz po pracy przyjechała do Polgarów. Jednak ich nie zastała, za to przed bramą zastała kogoś innego, kto był powodem, że już wręcz rozpaczliwie łaknęła kontaktu z siostrą.

Głos Teri zanikał, do Christie dotarła tylko szczątkowa informacja:

– ... zakupach. Ja...

– Nie pytam, co robisz, tylko gdzie jesteś! Muszę się z tobą zobaczyć, i to natychmiast!

– ... Seattle! Razem z Bobbym. Chcemy kupić trochę rzeczy dla dzieci. Jedziemy do centrum handlowego.

Seattle... Christie denerwowała się coraz bardziej.

– Zaraz po pracy podjechałam do was, Teri. Myślałam, że będziesz w domu!

– Przykro... cię rozczarowałam, ale...

– Teri! James jest z wami?

– Kto? Nie dosłyszałam!

– Nie szkodzi...

Pewnie, że szkodziło.

– Christie, co się dzieje?! – W głosie Teri słyhać było niepokój. Mimo tych trzasków i przerw musiała wyczuć panikę w głosie siostry.

– Teri! Tu był taki jeden facet!

– Kto? Gdzie? – odkrzyknęła Teri.

– W waszym domu! Przy bramie!

– Kto?

– Reporter. I wcale nie chce rozmawiać z Bobbym, tylko z Jamesem.

– Naprawdę?

– Tak. I pierwsza sensacja. James wcale nie nazywa się Wilbur.

– Nie mów! A jak?

– Gardner, James Gardner.

Teri z Bobbym jechała limuzyną i oczywiście, że James też tam był, dlatego rozmowa na ten temat była ryzykowna. Słowa Christie były przeznaczone tylko dla uszu Teri. Miała nadzieję, że siostra domyśliła się tego i będzie swoje wypowiedzi formułować w taki sposób, by ani James, ani Bobby nie zorientowali się, o kogo w tej rozmowie chodzi.

– Co jeszcze mówił? – spytała Teri.

– Ten reporter myślał, że jestem waszą gospodynią. Oczywiście nie wyprowadziłam go z błędu.

Powiedziałam, że Bobby z żoną wyjechali na kilka dni. Limuzyną, więc wyjechał i James.

– Świetnie to wymyśliłaś. – Jej głos zabrzmiał zdecydowanie głośniejszy, czyli zasięg uległ wyraźnej poprawie.

– Teri, muszę porozmawiać z Jamesem. To ważne. Chodzi o to, że go namierzili i mogą to roztrąbić.

– Nie rozumiem.

– Wyjaśnię ci później. Możesz też spytać Bobby'ego, przecież on to wszystko dokładnie wie, od samego początku.

– Dobrze, spytam.

Christie czuła, jak do jej oczu napływają łzy.

– Teri, powiedz, czy nigdy nie miałaś żadnych wątpliwości co do Jamesa?

– Szczerze mówiąc, tak.

– James i Bobby znają się od bardzo dawna. Słuchaj, koniecznie muszę porozmawiać z Jamesem! On musi wiedzieć, co się dzieje!

– Rozumiem... – Teri zniżyła głos prawie do szeptu. – Bobby i ja zatrzymujemy się w hotelu, ale James wraca do Cedar Cove. Będzie tam około wpół do siódmej.

– W porządku.

– Christie, nie możesz mi powiedzieć czegoś więcej?

– Nie, Teri. To zbyt skomplikowane... – Christie drżącą ręką odgarnęła włosy z czoła. – I kto by się spodziewał... Nie, to jest po prostu nieprawdopodobne...

– Christie, skoro zaczęłaś, to mów!

– Teri, przecież powiedziałam. Dziś wieczorem, jak będziesz sama z Bobbym, pociągnij go za język.

– Myślisz, że już go nie pytałam? I nic!

– Tym razem powiedz mu, że... że niebawem cały świat dowie się o wszystkim!

Christie najchętniej kopnęłaby samą siebie. Przysięgała sobie, że przynajmniej na razie będzie trzymała język za zębami. I co? Prawie ze wszystkim już się wygadała!

– To znaczy o czym? – spytała Teri.

To oczywiste, że siostra teraz nie odpuści. Podąży za tropem jak pies myśliwski, koniecznie musi poznać szczegóły.

Christie westchnęła.

– No dobrze. Więc posłuchaj. James prawdopodobnie urodził się w mieście Wilbur, to chyba gdzieś na Wschodnim Wybrzeżu. Stąd się wzięło jego nowe nazwisko.

– Kto ci to powiedział?

– Ten reporter... Teri, z tego naprawdę może zrobić się wielka sprawa.

– Słuchaj... Naprawdę masz pewność, że chodzi o... tę właśnie osobę?

– spytała ostrożnie Teri.

– Tak. Widziałam zdjęcia. To na pewno James. Znacznie młodszy, ale bez wątpienia to on.

– Christie... – Teri jeszcze bardziej zniżyła głos.

– Dojechaliśmy do hotelu. Kończę. Za dziesięć minut oddzwonię do ciebie.

Zadzwoniła dokładnie po dziesięciu minutach i bez żadnych wstępów przystąpiła do rzeczy:

– A więc chcesz porozmawiać z Jamesem, rozumiem, że w cztery oczy. Najlepiej tam, gdzie nikt nie będzie wam przeszkadzał. Czyli u nas. A więc tak. James jedzie już z powrotem do Cedar Cove. Prosiłam go, żeby kilka paczek wniósł do domu.

– Och, nie! Tego nie wolno mu robić!

– Dlaczego?

– Bo ten cholerny reporter może gdzieś tam czatować na Jamesa. – Jak tylko artykuł ukaże się w gazecie, temat natychmiast podchwyci telewizja, najpierw lokalna z Seattle, a potem CNN i Fox, a także internet. No i rozpocznie się wielki medialny pościg za Jamesem.

Masakra.

– Christie, przecież powiedziałaś temu reporterowi, że wyjechaliśmy na kilka dni.

– No tak.

– Więc na pewno go tam już nie ma – oświadczyła Teri tonem tak bezapelacyjnym, że Christie do głowy nie przyszło z tym dyskutować. – Poza tym do naszego domu nikt obcy się nie dostanie. Kiedy James wejdzie do środka, będzie bezpieczny. Brama jest na pilota, poza tym mamy najlepszy system alarmowy, jaki w ogóle można kupić. Żeby do nas się dostać, naprawdę trzeba się napracować. A więc tym się nie przejmuj.

– Jesteś pewna?

– Oczywiście. Zaufaj mi. Najbezpieczniejszym miejscem dla ciebie i Jamesa będzie nasz dom.

– Dobrze.

– Będziesz tam na niego czekać, rozumiesz?

Teri, cała w nerwach, zaczęła wydawać rozkazy.

Christie, wcale nie taka uległa z natury, tym razem nie protestowała.

– Przygotujesz coś pysznego, ładnie nakryjesz stół, zapalisz świece. Aha, i koniecznie jakaś nastrojowa muzyka.

– Ale po co? – spytała Christie. Przecież w tej sytuacji wszystko powinno dziać się błyskawicznie, a Teri każe jej zorganizować coś w rodzaju kolacyjki podczas miesiąca miodowego.

– Bo tak będzie najlepiej! Niech się najpierw odpręży, zje coś dobrego, dopiero potem zacznij pytać. Delikatnie!

– Domyślam się, że stosujesz tę metodę, kiedy chcesz coś wyciągnąć z Bobby'ego?

– Zgadza się – odparła ze śmiechem. – Niestety, nie zawsze okazuje się skuteczna. No tak... Klucz od domu masz, prawda?

– Mam. Dałaś mi go, żebym mogła u was posiedzieć przez kilka dni, kiedy pojechaliście na weekend nad ocean.

– Tak... Klucz masz, kod systemu alarmowego też znasz...

– Znam.

– W lodówce są filety z łososia, a w lodówce do win znajdziesz butelkę savignon blanc. I łosoś, i wino są do twojej dyspozycji.

– Wątpię, czy cokolwiek będę w stanie przełknąć.

– Będziesz! – Znów ten ton generała wyszczekującego do żołnierzy rozkazy! – Aha, Bobby’emu już powiedziałam, obiecał, że dziś opowie mi wszystko.

– Ale James nic nie wie o tej aferze?

– Nic. Nie wie też, że będziesz na niego czekać w naszym domu.

– Teri! Trzeba go było ostrzec!

– Nie. Na razie im mniej wie, tym lepiej.

Christie w duchu przyznała siostrze rację. Cała rozdygotana wróciła pod dom Polgarów, weszła do środka, wzięła prysznic, umyła głowę i pożyczyła trochę kosmetyków Teri. Wszystkie najlepszych marek, nie takie byle co, czym malowała się Christie. A potem skrupulatnie wykonała rozkazy generała Teri. Kiedy filety z łososia kończyły się piec, zabrzączał alarm, dając znać, że ktoś wchodzi do domu.

Christie trochę spanikowała. Najchętniej pobiegłaby do Jamesa i od razu wyrzuciła z siebie wszystko, czego się dowiedziała, jednak mądra Teri kazała jej postępować rozważnie.

A więc dobrze. Nie będziemy się spieszyć.

James, kiedy wszedł do kuchni i zobaczył Christie, wcale nie okazał radości.

– Bobby nie mówił, że tu będziesz – powiedział dość oschle, kładąc na stole kilka pakunków.

Okropnie zdenerwowana Christie znieruchomiała. Poruszały się tylko

jej palce, kręciły guzik u bluzki. Trwało to jednak tylko chwilę. Szybko zdjęła z siebie fartuch.

– Witaj, James! Teri powiedziała, żebym posiedziała u nich i zrobiła sobie łososia. Zjesz ze mną?

– Gdy milczał, dodała: – Nie lubię się chwalić, ale podobno gotuję całkiem nieźle.

Spojrzenie nadal milczącego Jamesa przemknęło po lodówce, w której chłodziło się wino. Nadal zero odpowiedzi, więc Christie zmieniła metodę. Odwróciła się i zabierając się do dokończenia sałatki, rzuciła przez ramię:

– Czy mógłbyś otworzyć wino?

I tu szok. Bo James, nadal nie odzywając się ani słowem, po prostu wyszedł z kuchni. Tak, wyszedł. Przerazona Christie była pewna, że już nie wróci.

A tu niespodzianka, bo jednak wrócił, ale już bez płaszcza.

– James, domyślałam się, że jesteś zaskoczony moim widokiem, mogę jednak w sposób logiczny wytłumaczyć moją obecność.

Brzęczyk przy piekarniku oznajmił, że pora wyjmować łososia. Christie włożyła grube kuchenne rękawice, wyjęła rybę i natychmiast w całej kuchni zapachniało bardzo pociągająco.

Jednocześnie na kuchence w garnku, w którym gotował się ryż, zawrzała woda i zaczęła się wylewać. Christie i James rzucili się na ratunek, oczywiście wpadając na siebie. James spojrział na Christie, Christie na Jamesa, który z uśmiechem zdjął garnek z palnika, a potem powiedział:

– Cieszę się, że cię widzę, Christie.

Usłyszawszy tę króciutką wypowiedź, omal się nie rozryczała.

– Ja... ja też się bardzo cieszę, że cię widzę – powiedziała i ku swemu wielkiemu niezadowoleniu poczuła na policzkach ciepło. Czyli zarumieniła

się, i to mocno.

A potem kolejny szok, bo James delikatnie powiódł palcem po jej twarzy od skroni w dół, brzegiem policzka. Niby nic, przecież dotknął jej tylko opuszką, a ona w jednej sekundzie stopniała, gotowa już rzucić mu się w ramiona.

Niestety, na tego rodzaju posunięcia nie była to właściwa pora.

Przymknęła oczy, dyskretnie zwilżyła czubkiem języka dziwnie suche wargi, a kiedy otworzyła oczy, zauważyła, że James jej się przygląda.

– Czy ty... zamierzasz mnie pocałować? – spytała prawie szeptem, a gdy skinął głową, dodała: – James, nie sprawi ci to różnicy, jeśli... jeśli pocałujesz mnie później?

– Sprawi – odparł z uśmiechem, po czym zbliżył usta do jej ust.

Pocałunków było kilka. Pierwszy delikatny, ostrożny, każdy następny bardziej żarliwy. A przy tym każdy pocałunek... po prostu coś cudownego. Słodkie chwile trwały kilka minut, wreszcie James poderwał głowę i przez następną chwilę po prostu stali naprzeciwko siebie bardzo blizutko spleceni w ciasnym uścisku.

Oddychał głośno, a wtopiona w Jamesa Christie była zachwycona. I kto by pomyślał, że najbardziej namiętne chwile w swoim życiu – tak! – przeżyje w kuchni siostry. Na stojąco i kompletnie ubrana.

Uznała, że co tam łośoś i wino. Nie wytrzyma, musi pogadać z Jamesem zaraz, natychmiast.

– Posłuchaj... Muszę ci powiedzieć coś bardzo ważnego. Usiądźmy i porozmawiajmy. – Wysunęła się z jego objęć, wzięła go za rękę i zaprowadziła do salonu.

Usiedli na sofie. Christie trochę bokiem, zwrócona do Jamesa, dzięki czemu ich kolana się stykały.

– James – zaczęła, zamykając jego dłonie w swoich dłoniach – Kiedy tu przyjechałam jakiś czas temu, przy bramie zastałam nieznanego faceta. Czekał na ciebie.

– Na mnie? – Gwałtownie spochmurniał.

– Tak. I myślał, że jestem gosposią Polgarów. Nie sprostowałam tego i w sumie dobrze zrobiłam.

– Dlaczego?

– Bo zaczął mnie wypytywać, ale nie o Polgarów, tylko o ciebie. Ile lat pracujesz u Bobby’ego, czy grywasz w szachy. Co mówisz, kiedy ktoś cię spyta, skąd jesteś... – Próbowała spojrzeć mu w oczy, ale unikał jej spojrzenia. – James, ja już wszystko wiem. Dla mnie nie ma to żadnego znaczenia. – Jego oczy rozszerzyły się. Szarpnął się, chciał oswobodzić rękę, ale Christie nie puszczała, jednocześnie zsuwając się z sofy. Uklękła przed Jamesem. – Nie potrafię sobie tylko wyobrazić, jakim cudem tobie i Bobby’emu udało się przez tyle lat zachować wszystko w tajemnicy. – Znów się szarpnął. Tym razem Christie w inny sposób nie dopuściła, by się wyrwał. Po prostu usiadła mu na kolanach. – James... – szepnęła, obejmując jego twarz, a kiedy już to zrobiła, nie potrafiła oprzeć się pokusie. Pocałowała go raz, potem drugi... – James... dwadzieścia lat temu to ty byłeś w szachach cudownym dzieckiem. Nie Bobby.

Odwrócił głowę, znów unikając jej wzroku.

– Ja... ja miałem załamanie nerwowe.

– Wiem, James.

– Od trzynastego roku życia nigdy już nie zagrałem w szachy.

Christie powoli pokiwała głową. Dzięki podchwytliwym pytaniom i udawaniu, że w sumie to jest nieźle poinformowana, udało jej się sporo wyciągnąć od tego reportera. James i Bobby rywalizowali ze sobą. Rodzice

Jamesa naciskali na syna, oczekiwali, że będzie najlepszy i zawsze pokona Bobby'ego. Aż wreszcie James przegrał najważniejszy pojedynek na tamtym etapie kariery i wylądował w szpitalu psychiatrycznym.

Po wyjściu ze szpitala nigdy już w szachy nie zagrał, a w każdym razie nikt nie widział, by grał. Christie przypuszczała, że nawet gdy był sam w swoich czterech ścianach, też już nigdy nie zasiadł do szachownicy. W każdym razie szachistę Jamesa Gardnera zmiotło z powierzchni ziemi. Znikł jak kamfora i choć przez kilka lat starano się go odszukać, nikomu się to nie udało.

Z czasem zapomniano o nim. Reporter mówił, że James wraz z upływem lat bardzo się zmienił. Pokazał Christie jego zdjęcie, gdy miał trzynaście lat. Oczywiście z wiekiem chłopięce rysy wyostrzyły się, a włosy pociemniały, no i obecnie James był znacznie wyższy. Wyglądał inaczej, ale Christie od razu go rozpoznała.

– Wtedy okazało się, że mam tylko jednego prawdziwego przyjaciela, Bobby'ego Polgara – powiedział cicho James.

– Tak.

– I nadal nim jest.

– Mylisz się.

– Jak to?

– Mylisz się, mówiąc, że jest jedynym twoim przyjacielem. – Christie wyprostowała się. – Bo ja też jestem twoim przyjacielem. No, przyjaciółką.

– Dziękuję... Może wiesz, jak ten reporter mnie odnalazł?

– Nie sądzę, żeby to było trudne. Zainteresował się porwaniem, potem zaczął szukać szerzej i głębiej, poszperał tu i tam, pogadał z tym i owym i po nitce doszedł do kłębka. Chce napisać o tobie artykuł.

– Hm... Kiedy ma się ukazać?

– Niebawem.

Ręce Jamesa kurczowo objęły Christie. Był to mocny, wręcz desperacki uścisk, jakby nigdy nie miał zamiaru jej puścić.

Zdaniem reportera zastanawiający był fakt, że James, który niby usunął się ze świata szachowego, tak naprawdę w nim pozostał. Woził Bobby'ego z turnieju na turniej. Zaczął to robić, kiedy on i Bobby mieli po dwadzieścia parę lat. Trzymał się jednak na uboczu, nie wychylał, w rezultacie nikt go nie rozpoznał.

– Bobby jako jedyny okazał mi życzliwość – powiedział James. – Odwiedzał mnie w szpitalu.

Christie w ogóle to nie zdziwiło. Miała już okazję nie raz się przekonać, że Bobby Polgar jest człowiekiem nadzwyczaj życzliwym i lojalnym. Kiedy go poznała, zazdrościła Teri, że udało jej się zdobyć taki skarb. Wtedy to, wstyd przyznać, przyszła jej do głowy bardzo brzydka myśl, czy nie udałoby się podkraść siostrze tego skarbu. Ale Bobby dał wyraźnie do zrozumienia, że jest bezwzględnie wierny swojej żonie. Innych konfiguracji nie uznaje.

– Czyli nigdy już nie zagrałeś w szachy? – spytała Christie, kładąc głowę na jego ramieniu. – Naprawdę nigdy? Nawet w swoim domu? Albo z Bobbym?

– Nigdy. Bo widzisz, owszem, miałem głowę do szachów, ale nie miałem do nich serca. Co innego Bobby. On ma do nich i głowę, i serce. Stworzony jest do tego, by wygrywać. Pod tym względem też nie miałem co z nim się równać.

Christie westchnęła. Cóż, dla niej te całe szachy to jedna wielka czarna magia. Tak jak jej siostra, nigdy nie miała ani cierpliwości, ani ochoty, by nauczyć się grać.

– A jak spędzasz czas po pracy? – Ogromnie ją to ciekawiło, tym bardziej że James sprawiał wrażenie człowieka bardzo zajętego.

– Różne rzeczy. Dużo czytam, bardzo interesuje mnie historia, ale najwięcej czasu spędzam na wymyślaniu gier komputerowych. To coś dla mnie. Lubię tworzyć, ale w samotności. Nienawidzę wszelkiego typu występów publicznych.

Wtuliła twarz w jego szyję i pomyślała, że mogłaby tak trwać i trwać. Było jej tak dobrze... Może to właśnie jest miłość? Nie była pewna, bo w tej dziedzinie była nowicjuską. Pożądanie, zapamiętanie się, namiętność – wszystko to już wiele razy przerabiała. I wszystko okazało się ulotne. Wszystkie jej związki rozpadły się. Namiętność wygasła, pojawiały się gorycz i gniew. Tylko to.

Kiedyś bardzo chętnie wskakiwała facetowi do łóżka, po prostu nie miała żadnych oporów, a z Jamesem ani razu jeszcze nie spała. Pocałowali się zaledwie kilka razy, lecz była szczęśliwa. Dla jej eks-kochanków byłoby to szokiem, podejrzewaliby, że z nią – albo z Jamesem – coś jest nie tak.

Jednak sprawa miała się całkiem inaczej. Po raz pierwszy w jej życiu było właśnie tak jak trzeba.

– Moje sekrety już znasz, James. W porównaniu z twoimi są takie jakieś... niechlubne... – Szkoda, że wcześniej jej nie powiedział o swojej przeszłości. Pomyślała też gorzko, że gdyby nie objawił się ten reporter, może nigdy by się o tym nie dowiedziała.

Pomyślała, owszem, ale postanowiła tą myślą się nie zadrećcać.

James pocałował ją w czubek głowy.

– Czy ty i Bobby wspominiacie czasami dawne czasy? – spytała.

– Nie. Nie ma do czego wracać. A żyję tak, jak sam tego chciałem. Bobby mnie potrzebuje, a przecież to on okazał się prawdziwym

przyjacielem, kiedy kogoś takiego bardzo potrzebowałem.

– A twoja rodzina?

James wzruszył ramionami.

– Dla rodziców byłem tylko kimś, a raczej czymś, co w przyszłości miało dostarczyć worki pełne pieniędzy i medialnego rozgłosu. Nigdy mi nie przebaczyli, że zrezygnowałem. Nigdy więcej nie zamienili ze mną ani słowa.

– To bardzo smutne, James.

– Tak, Christie, smutne. Ale cóż, oboje już nie żyją. Teraz Bobby jest całą moją rodziną. I Teri.

Bardzo chciała szepnąć mu do ucha, że kocha go i bardzo by chciała też należeć do jego rodziny. Oczywiście, nie zrobiła tego. Na tego rodzaju wyznania było jeszcze stanowczo za wcześnie. Przede wszystkim James jeszcze do tego nie dojrzał. Za dużo w nim było rezerwy wobec innych, zbyt mocno był rozwinięty odruch samoobrony. Ale wierzyła, że powoli zacznie się otwierać. I pokocha ją, tak jak ona kochała jego.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Kiedy tego dnia dzwonek zadzwonił po raz ostatni, Tanni wybiegła ze szkoły i jak strzała pomknęła do starego niebieskiego forda kombi. Wsiadła z tyłu, nachyliła się do przodu, do Shawa, który niezwłocznie obdarzył ją pocałunkiem.

– Jak tam było w szkole? – spytał, wyjeżdżając na ulicę.

– Jak zwykle. – O tej porze, czyli na tydzień przed przerwą świąteczną, nikt nie jest już w stanie skoncentrować się na nauce. Nauczyciele chyba też, bo wszyscy sprawiają wrażenie pochłoniętych jedną myślą: uciec z tego miejsca jak najprędzej. – A jak u ciebie w pracy, Shaw? – spytała uprzejmie, choć doskonale wiedziała, że tego zajęcia po prostu nie znosi. Oczywiście był wdzięczny wujostwu, że go zatrudnili, ale praca w kawiarni to nie było to. Marzyło mu się całkiem coś innego, a mianowicie artystyczna kariera.

Nadal mieszkał z rodzicami, dzięki czemu mógł odkładać pieniądze na studia w Wyższej Szkole Sztuk Pięknych. Złożył też podanie o stypendium, niestety odrzucono je, ponieważ nie miał dyplomu ukończenia szkoły średniej. Jego ojciec, który był prawnikiem, nalegał, by syn poszedł w jego ślady. Shaw buntował się, dochodziło do spięć. I to właśnie z powodu ojca i tej ciągłej walki między nimi Shaw rzucił szkołę dosłownie na kilka tygodni przed rozdaniem dyplomów. A na uczelni poradzono mu, żeby w tej sytuacji skończył szkołę średnią zaocznie. Shaw miał zamiar zrobić to w styczniu.

– Też jak zwykle. – Rzadko opowiadał o swojej pracy.

– Nad czym teraz pracujesz? – Wiadomo, że nie chodziło o Mocha Mama, lecz o sztukę.

– Hm... no wiesz, coś tam próbuję, posuwam się do przodu.

– Pokażesz mi?

Shaw nie był taki chętny do pokazywania swoich prac w stadium tworzenia. Demonstrował je dopiero wtedy, gdy były ukończone i czuł się usatysfakcjonowany.

Na sekundę oderwał wzrok od jezdni i uśmiechnął się do Tanni.

– Może!

– Shaw! Proszę!

Jego uśmiech stał się szerszy.

– No dobrze. Pokażę.

Wiedziała, że pracuje nad tym od ponad dwóch tygodni, za nic jednak nie chciał powiedzieć nad czym. Zwykle szkicował w kawiarni, w domu nie mógł, bo ojciec na widok rysującego syna wpadał w szal.

– Zawieźć cię do domu? – spytał.

– Jeszcze nie – oznajmiła Tanni.

– W takim razie dokąd?

– Do Harbor Street Gallery – zakomunikowała, przypatrując mu się uważnie, bardzo ciekawa jego reakcji.

Shaw oderwał oczy od jezdni i spojrzał na Tanni.

– Dlaczego tam?

W tym przypadku dochowanie tajemnicy było po prostu męką. W ciągu ostatnich dziesięciu minut Tanni chyba ze sto razy ugryzła się w język.

– Mam się spotkać z nowym właścicielem, panem Jeffersonem.

– Nie mówiłaś mi o tym.

– Nie.

– Z jakiego powodu to spotkanie?

– Z twojego.

– Mojego? Co ty! – Wyraźnie jej nie dowierzał.

– Tak. A dokładniej z powodu twoich portretów. Widział portrety Kurta Cobaina, Jimiego Hendriksa i Jamesa Deana.

Shaw portretował ludzi powszechnie znanych, bardzo wrażliwych, żyjących szybko, nerwowo. I nietypowo. Tak samo zresztą umierali.

– Tanni...

– Pokazałam mamie kilka twoich portretów, a ona zaniósła je do pana Jeffersona.

– Twoja matka?!

– Tak, ona. Była umówiona z panem Jeffersonem, chciał ją podpytać, co jej zdaniem należałoby zmienić w galerii, by przyciągnąć ludzi, a mama poza innymi propozycjami zasugerowała, że duże zainteresowanie mogą wzbudzić prace młodych artystów.

– Super.

Tanni uśmiechnęła się pod nosem. Było oczywiste, że Shaw nie może się doczekać, kiedy mu wyjawi, co pan Jefferson sądzi o jego rysunkach. Bardzo się niecierpliwił, a jednocześnie lękał tego, co zaraz usłyszy.

Mimo to, oczywiście niby mimochodem, spytał, kiedy skręcał w Harbor Street:

– A więc... co powiedział o moich rysunkach?

– Chce się z tobą spotkać!

– Ze mną? – Shaw zbladł. – Nie, Tanni, ja nie mogę.

– Nie możesz?! Nie rozumiem. Co to ma znaczyć? – Była przerażona. Czegoś takiego absolutnie się nie spodziewała. – Przecież jesteś naprawdę dobry! Masz talent, więcej, masz swoją wizję!

– To... może ty porozmawiasz z nim w moim imieniu.

Mówił serio. Tanni była zdumiona tak wielkim brakiem pewności siebie, zarazem jednak od razu wiedziała, że spełni jego prośbę. Oczywiście! Bo miała przecież wobec niego ogromny dług wdzięczności. To jemu zawdzięczała, że po śmierci ojca wreszcie przestała myśleć o tym, by też umrzeć. Nadal była w żałobie, nadal okropnie tęskniła za ojcem, ale jednocześnie potrafiła już patrzeć w przyszłość. Przyszłość, w której nie będzie ojca.

Ta zmiana dokonała się w niej wyłącznie za sprawą Shawa, dlatego zawsze robi to, o co prosi, nie zadając żadnych pytań.

– W porządku.

– Ale dlaczego wcześniej nic mi nie powiedziałaś? Tylko działałaś za moimi plecami...

Wyraźnie dawał do zrozumienia, że tak do końca nie jest zadowolony z jej posunięcia.

– Po prostu mama i ja chcieliśmy ci pomóc.

– Było oczywiste, że zrobiło się jej przykro. – To wszystko...

– Tanni... – Shaw powiedział to bardzo miękko, jakby przeproszał za swoje niemiłe słowa. – Rozumiem, ale przecież nigdy się tego nie uczyłem, nie mam żadnego talentu, tak jak ty...

– Masz! Tak jak ja! Masz!

Różnica polegała tylko na tym, że Shaw nikt nigdy nie uczył rysować, nie wychowywał się w atmosferze artystycznej, nikt go do twórczości nie zachęcał. Przeciwnie, rzucono mu kłody pod nogi, ale nie rezygnował. Bardzo chciał to robić, wkładał w to mnóstwo serca i wysiłku. Zanim zaczął spotykać się z Tanni, swoje prace pokazał bardzo niewielu osobom. Jego koledzy wiedzieli, że Shaw lubi rysować, i to wszystko. Rozumiał go tylko Anson Butler, jego najlepszy kumpel, a teraz również Tanni.

Znalazł wolne miejsce i zaparkował, nadal jednak siedział, zaciskając kurczowo palce na kierownicy.

– Shaw, a może pójdziemy do pana Jeffersona razem?

– Nie. – Energicznie pokręcił głową. – Idziesz sama.

– Ale...

– Poczekam w samochodzie.

Wysiadła z wielkim ociąganiem. Galeria mieściła się w domu usytuowanym na największej stromiźnie ulicy. Kiedy Tanni dobrnęła do drzwi, z trudem łapała oddech. Właściciel galerii prosił, żeby przyjechać tutaj, ponieważ trwał remont, w związku z czym musiał być na miejscu.

Pomachała do Shawa i weszła do galerii.

– Panie Jefferson!

Nikt nie odpowiedział, ale słyszała postukiwanie młotka i pojękiwanie szlifierki elektrycznej. Zawołała więc jeszcze raz i ukazał się przepasany pasem z narzędziami Will Jefferson. Był wysokim mężczyzną, mniej więcej w wieku jej ojca, no, może trochę starszy.

Spojrzał na nią pytająco.

– Dzień dobry panu – powiedziała. – Jestem Tanni, córka Shirley Bliss. Mama przekazała panu kilka prac mojego kolegi Shawa Wilsona, który poprosił mnie, bym tu wpadła i zapytała się, co pan sądzi o jego rysunkach.

Wierzyła święcie, że Shaw ma talent, mimo to ze zdenerwowania cała się trzęsła.

– Ach tak, córka Shirley. – Otarł o spodnie pokrytą trocinami rękę i podał ją Tanni. – Witaj! A więc chcesz porozmawiać o rysunkach, które podrzuciła mi twoja matka. Dobrze. – Podeszli do dużego stołu, na którym leżały teczki ze starannie poukładanymi szkicami. A obok, pod ścianą, stały

obrazy w ramach i bez, wszystkie zabezpieczone folią. – Twoja matka zasugerowała mi, że dobrze by było wystawiać w galerii prace młodych artystów.

– Tak, właśnie tak. – Doskonale znała zapatrywania matki.

– Poprosiłem, żeby na prace twojego kolegi spojrzęła Maryellen Bowman i jeden z moich znajomych, artysta malarz. Chciałem usłyszeć opinię ekspertów.

Opinię... Tanni na moment wstrzymała oddech, a potem z bijącym sercem wyrzuciła z siebie to najważniejsze pytanie:

– I co powiedzieli?

– Maryellen doskonale orientuje się, co sprzedaje się w tych stronach. Prace Shawa bardzo jej się spodobały, jej zdaniem warto zawrzeć z nim umowę.

– A... co powiedział ten malarz? – spytała drżącym głosem.

– Również wysoko ocenił prace.

– Ocenił wysoko... – powtórzyła uszczęśliwiona Tanni, delektując się tymi wyrazami.

– Powiedział, że twórcy brak jeszcze dobrego warsztatu, ale chłopak ma talent i tkwi w nim wielki potencjał. Przechodząc więc do ostatecznej konkluzji, chciałbym wystawić te prace.

– Naprawdę?

– Oczywiście. W tych portretach widać ogromną wrażliwość twórcy, a także już pewną dojrzałość i niewyczerpane pokłady energii.

– Niewątpliwie – przytaknęła Tanni, starając się, żeby zabrzmiało to jak najbardziej profesjonalnie.

Próbowała ukierunkować Shawa na to, co najbardziej odpowiadało jego wizji i uzdolnieniom, a jednocześnie po prostu dobrze się sprzedawało.

Czyli właśnie portrety.

– Czy Shaw Wilson studiuje na którejś z uczelni artystycznych?

Nie bardzo wiedziała, co odpowiedzieć. Shaw był w diametralnie różnej sytuacji niż ona. Tanni uczyła się rysunku od małego, chodziła na zajęcia plastyczne, ukończyła różne kursy, jeździła na warsztaty. I była pierwszą osobą, która przekazała profesjonalną wiedzę Shawowi. Nikt poza nią nigdy go nie uczył, a uczelnia, jak na razie, była tylko jego marzeniem.

Skłamać, że studiuje? Bez sensu, bo prawda bardzo szybko wyjdzie na jaw.

– Nie, jeszcze nie studiuje.

– Czyli zamierza. I bardzo dobrze. Przygotowałem umowę, oczywiście w dwóch egzemplarzach. Chciałbym, żeby Shaw zapoznał się z proponowanymi warunkami, moim zdaniem korzystnymi dla obu stron. Jeśli je zaakceptuje, proszę, żeby podpisał oba egzemplarze. Jeden jest dla niego, drugi dla mnie.

– Przepraszam, że o to pytam, ale czy ustalił pan już cenę na te szkice?

– Czuła się trochę rozdarta. Szkoda, że Shaw będzie musiał rozstać się ze swoimi rysunkami, ale skoro tak już ma być, to przynajmniej cena niech będzie adekwatna do poziomu tych prac.

– Owszem.

Wymienił kwotę, która całkowicie usatysfakcjonowała Tanni. Najpewniej poradził się w tej sprawie

Maryellen, która nie tylko znała się na sztuce, ale również była świetnym handlowcem.

– Moim zdaniem to bardzo rozsądna cena. – Tan– ni odebrała dokumenty. – Dziękuję. Przekażę koledze te umowy.

Z galerii wyszła krokiem tanecznym, a do samochodu pędziła jak

szalona, rozradowana i podekscytowana.

Shaw, poprzedzany mgiełką zamrożonego oddechu, niespokojnym krokiem przechadzał się koło samochodu. Na widok biegnącej ku niemu Tanni natychmiast się zatrzymał.

– I co powiedział?

Wyhamowała tuż przed nim i podała mu dokumenty.

– Masz to podpisać! – wyrzuciła z siebie. – Oba egzemplarze!

Shaw spojrzał na kartki bardzo podejrzliwie.

– Ale dlaczego? Co to jest?

– A to, kochany, jest umowa między właścicielem galerii a artystą Shawem Wilsonem! Pan Jefferson będzie sprzedawał twoje prace!

– Nie mów! Spodobały mu się?!

– A tak! – Tanni uśmiechnęła się od ucha do ucha.

– I to nawet bardzo! Shaw, uważnie przeczytaj umowę. Jeśli chcesz, poproszę mamę, żeby na nią spojrzała. Też zawierała umowy z tą galerią, z innymi zresztą też.

– A ty co uważasz?

– Dobrze by było, gdyby spojrzała.

– W takim razie... bardzo proszę, niech to zrobi.

– Dobrze. Och, Shaw... – Chwyciła go w pól, przyciągnęła do siebie i uściskała. – No i jak? Zadowolony?

Shaw, nie wypuszczając z ręki dokumentów, też ją uściskał.

– Tanni, nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo. Trudno mi uwierzyć, że tyle dla mnie robisz.

– Przecież cię kocham. – O matko! Powiedziała to! Jakoś tak samo wymknęło jej się to z ust. Gdy oddech Shawa stał się trochę głośniejszy, dodała szybko: – O rany, głupio powiedziałam. Nie powinnam...

– Dlaczego? Przecież też cię kocham!

A teraz to najchętniej z tego szczęścia by się rozryczała. Matka na pewno by powiedziała, że Tanni jest jeszcze za młoda na miłość. Fakt, że lat miała jeszcze niewiele, ale to, co czuła do Shawa, potrafiła sprecyzować. Myślała o nim bez przerwy. A kiedy była z nim, czuła się szczęśliwa, czuła spokój, coś całkiem innego niż ta straszna rozpacz po śmierci ojca...

Dzięki niemu dała radę się pozbierać. Zauważyli to koledzy i koleżanki ze szkoły, a także matka. Odkąd zaczęła spotykać się z Shawem, wszystko w jej życiu zmieniło się na lepsze.

– Tanni... – usłyszała tuż koło swojego ucha – wiesz, ja nie bardzo rozumiałem Ansona. Tyle ryzykował, mogli go przecież złapać, ale on i tak dzwonił do Allison...

Anson, kumpel Shawa, został niesłusznie oskarżony o podłożenie ognia pod restaurację Latarnia

Morska. Potem znikł i tylko Shaw wiedział, że wstąpił do wojska. Nie mieli przeciwko niemu niezbitych dowodów, tylko poszlaki, nie wysunięto przeciwko niemu oficjalnego oskarżenia, niemniej był poszukiwany przez policję i gdyby go złapano, niewątpliwie skończyłoby się to aresztowaniem.

A mimo to Anson dzwonił do Allison. I to wiele razy.

– Mówiłem mu, że jest idiotą, bo przez to wreszcie go wsadzą. I wiesz, co mi wtedy odpowiedział?

– Co?

– Że jest mu wszystko jedno. Musi dzwonić do Allison, bo musi usłyszeć jej głos. Nie wyobrażałem sobie, że można kogoś pokochać tak bardzo. Teraz rozumiem, kiedy mnie też dopadło... – Pocałował ją w czubek głowy.

Rozczulona Tanni była w stanie tylko cichutko szepnąć:

– Och, Shaw...

W tym momencie niestety pojawiło się na ulicy kilka pań. Szturchnęła Shawa, który niechętnie wypuścił ją z objęć.

– Tanni, mogę cię o coś spytać?

– Jasne.

– Jesteś tak utalentowana, a odnoszę wrażenie, że wcale ci nie zależy, żeby inni oglądali twoje prace.

– To nie tak, Shaw. Zależy mi na tym, tylko że większość moich rysunków z ostatniego czasu jest... zbyt osobista.

Po wypadku ojca jedynie dzięki sztuce nie załamała się ostatecznie, jednak te rysunki nie były przeznaczone dla oczu innych. Ewentualnie mógłby je zobaczyć Shaw, ale tylko on. Matka nie, bo by wpadła w histerię.

A teraz trzeba się cieszyć z tego, co jest. Shaw jest artystą, choć nikt przed nią go tego nie uczył, nikt nie zachęcał. Jest artystą i odniesie sukces, Tanni wierzyła w to święcie. Tych kilka wystawionych w małomiasteczkowej galerii rysunków to dopiero początek.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Dave Flemming, usadowiony na krześle w biurze Roya McAfee, złożył ręce na podołku i spojrzał na człowieka siedzącego przed nim. Człowieka, który na pewno mógł mu pomóc.

– Czym mogę ci służyć? – spytał Roy. – Nie ukrywam, że byłem zaskoczony, kiedy poprosiłeś o spotkanie.

Dave nigdy by się nie spodziewał, że kiedyś znajdzie się w takiej sytuacji, ale obiecał Emily, że porozmawia z Royem, a obietnice są od tego, żeby ich dotrzymywać.

– Mam problem. – Nie zamierzał kręcić, niczego ukrywać, nawet starannie dobierać słów. Uznał, że najlepiej od razu opowiedzieć o wszystkim, krótko i węzłowato, z bezwzględną szczerością. To najlepsza droga, by oczyścić się z podejrzeń.

Poza tym był okropnie zajęty. Nie miał czasu na spekulacje, zamartwianie się czy dręczenie wątpliwościami. Chciał, żeby wszystko wyjaśniło się jak najszybciej, najlepiej jeszcze przed Wigilią. Jeśli Royowi to się uda, Dave będzie mu dogonnie wdzięczny.

– I sądzisz, że jestem w stanie pomóc w rozwiązaniu tego problemu? – spytał Roy.

– Mam taką nadzieję.

Dave tego dnia miał jeszcze odwiedzić kilku obłożnie chorych parafian, skontaktować się z Cliffem w sprawie zwierząt występujących w żywej szopce oraz zaplanować przebieg spotkania jednego z kółek parafialnych. Tego popołudnia również szykowano koszyki z jedzeniem dla potrzebujących. Dave miał odebrać puszki i przed piątą zawieźć je do

kościola, zanim pojawią się tam wolontariusze. A potem będzie gnać na złamanie karku do drugiej pracy, do banku.

– Jak sądzę, ten problem związany jest z zaginioną biżuterią Marthy Evans?

To pytanie dla Dave'a stanowiło dowód, że plotki rozchodzą się po mieście błyskawicznie, a jego osoba kojarzona jest z kradzieżą.

– Zgadza się.

Roy oparł się wygodniej na krześle i skrzyżował ramiona. Ten układ ciała nie podniósł Dave'a na duchu, przeciwnie, rodził podejrzenie, czy przypadkiem przyjaciel nie zamierza zdystansować się i od jego osoby, i od jego problemów.

– Nie chcesz najpierw pogadać z prawnikiem? – spytał Roy.

Dave brał pod uwagę i tę opcję, ale zrezygnował.

– Sądzisz, że powinienem? – spytał.

– To zależy. – Roy wzruszył ramionami. – Masz coś na sumieniu?

Owszem, postąpiłem głupio, pomyślał Dave. Ale pytanie Roya ugodziło w jego dumę.

– Nie.

– W takim razie co mogę dla ciebie zrobić?

Skorzystanie z pomocy Roya wydawało się Dave'owi logicznym posunięciem, lecz teraz nie był już tego pewien.

– Chciałbym, żebyś wysłuchał, co mam do powiedzenia w tej sprawie.

– Rozumiem... – Roy, wpatrując się w Dave'a, leciutko przymrużył oczy. – Czy jest coś, co chcesz powiedzieć mnie, a prawnikowi byś nie powiedział?

– Roy zmarszczył brwi, odchylił się jeszcze bardziej na swoim krześle.

– Posłuchaj, Dave. Może...

Jednak Dave mu przerwał. Przyjacielowi lub facetowi, którego tylko uważał za przyjaciela.

– Po pierwsze, potrzebuję twojej rady.

Roy jeszcze bardziej się odchylił. Jeszcze milimetr i chyba grzmotnie z tym krzesłem o podłogę.

– A jakiej to rady potrzebujesz?

W tym momencie Dave uświadomił sobie, że detektyw, tak samo jak Troy Davis i prawdopodobnie Allan Harris, uważa go za głównego podejrzanego w sprawie. Było to dla niego bardzo bolesne, choć musiał przyznać, że na ich miejscu myślałby podobnie.

– Na początku, zanim jeszcze coś powiem, chciałbym zwrócić to spadkobierczyniom Marthy Evans.

– Zdjął z ręki złoty zegarek i wręczył go detektywowi. Zapięcie zostało zreperowane, nie było więc już możliwości zgubienia zegarka.

Roy odebrał drogocenny przedmiot.

– Ten zegarek znalazł się u ciebie, Dave, bo...

– Bo Martha Evans mi go podarowała. Bardzo chciała, żeby stał się moją własnością. To zegarek jej męża, dostał go, kiedy przechodził na emeryturę. Martha nalegała, żebym przyjął go od niej.

Twarz Roy a była idealnie nieruchoma.

– A masz jakiś dowód na to, że istotnie tego chciała?

Fakt, że będzie musiał udzielić odpowiedzi przeczącej, był dla Dave'a po prostu upokarzający.

– Nie. Myślałem, że istnieje odpowiedni zapis, ale chyba się pomyliłem.

Roy sposepniał.

– Dave, w takim razie opowiedz mi wszystko dokładnie od samego

początku.

– Tak, rozumiem. Martha Evans była osobą bardzo wierzącą. Pilnie uczęszczała do kościoła. Zauważyłem ją od razu, kiedy tylko zostałem pastorem. Była wspaniałym człowiekiem. Potrafiła znakomicie dodawać ludziom odwagi, wspierać ich. Przywiązałem się do niej. Można nawet powiedzieć, że w jakimś sensie traktowałem ją jako swoją drugą matkę.

– Mówiłeś jej o tym?

– Nie, skąd, ale jak już mówiłem, była osobą nadzwyczajną, i to w stosunku do wszystkich. Kiedy zachorowała, odwiedzałem ją, gdy tylko mogłem.

– Jak często?

Roy sięgnął po długopis i notes. Dave nie miał pojęcia, czy to dobra oznaka, czy zła.

– Przynajmniej dwa razy w tygodniu. Do Marthy przychodziła pielęgniarka. Staralem się pojawiać wtedy, kiedy jej nie było.

Roy uniósł brwi i coś zanotował.

– Czy był ku temu jakiś powód?

– Oczywiście, że był. W te dni, kiedy Martha była sama, ktoś powinien do niej zaglądać, a obie jej córki mieszkają w Seattle i pracują. Nie, nie obawiaj się, nie miałem żadnych nikczemnych zamiarów.

Roy podniósł głowę znad notesu.

– Ja tylko zadaję pytania, które zada ci szeryf Davis.

Które zada ci szeryf... Tak więc Roy uważał, że oficjalne przesłuchanie jest nieuniknione. Może też chciał dać do zrozumienia, że nie ma sensu kręcić, ale mógł to sobie darować, bo Dave zdawał sobie doskonale sprawę, że tylko powiedzenie prawdy ma sens.

– Mów – ponaglił go Roy, wpatrując się w niego z natężeniem.

– Na kilka dni przed śmiercią Martha poprosiła mnie, bym przyjął od niej ten zegarek.

Roy znów poderwał głowę znad notatnika.

– Czy wiedziałaś, gdzie Martha przechowuje kosztowności?

I znów Dave poczuł się, jakby go już osądzono i skazano.

– Tak, ale ja nigdy... – Resztę zdania zdusił w sobie. Jakiegokolwiek protesty czy obszerne wyjaśnienia mogą tylko pogorszyć sytuację.

– Gdzie trzymała zegarek?

– W lodówce, w pojemniku z warzywami.

Roy uniósł brew.

– Na przykład z brokułami?

– Tak. Część biżuterii przechowywała w zamrażalniku, w pojemniku na kostki lodu. Twierdziła, że to ostatnie miejsce, do którego zajrzy złodziej.

Roy pokręcił głową.

– Przecież to tak samo oczywiste jak chowanie klucza pod doniczką z kwiatkiem!

– Cóż, tak to sobie wymyśliła – odparł, po czym dodał: – Ponieważ zegarek w zamrażarce mógł się zepsuć, przechowywała go w specjalnej puszcze o stałej temperaturze.

– I chciała, żebyś ty go dostał?

– Tak. Wręcz nalegała, żebym go przyjął – powiedział Dave, starając się, żeby zabrzmiało to wyłącznie jak stwierdzenie faktu, a nie podkreślanie swojej niewinności.

Tak jednak było, bo mówił szczerą prawdę. Martha nalegała, popełnił więc bezdenną głupotę i przyjął od niej ten nieszczęsny zegarek. A teraz cały świat jest głuchy na jego wyjaśnienia. Przecież zwątpiła w niego nawet żona!

Dave przekazał informację o liście do prawnika, w którym Martha potwierdzała darowiznę.

– Widziałeś ten list? – spytał Roy.

– Tak. Martha mi go pokazała. Jej prawnik miał przyjść do niej tego dnia po południu, powiedziała mi, że przekaże mu ten list.

– I co? Przyszedł?

– Nie wiem, choć przypuszczam, że nie, ponieważ kiedy Emily poszła do jego kancelarii, żeby sprawdzić, czy jest zapis o darowiznie, to okazało się, że go nie ma.

Po tej informacji Roy zadał całą serię pytań, na które Dave starał się odpowiedzieć jak najdokładniej. Opowiedział więc o tym, jak Emily pojechała do kancelarii Allana Harrisa i dzięki asystentowi Geoffowi Duncanowi miała możliwość wglądu do dokumentów. Dave podkreślił, że Geoff wyświadczył im ogromną przysługę, więc nikt nie powinien o tym wiedzieć.

– Emily była bardzo zdenerwowana – powiedział.

Ale on chyba jeszcze bardziej, kiedy dowiedział się, że list Marthy do prawnika nie dotarł.

Roy popukał długopisem w notes.

– Wyobrażam sobie.

– A ja myślałem, że mam prawo go nosić – powiedział cicho Dave, spoglądając na biurko, gdzie leżał złoty zegarek.

Roy znów zaczął coś notować. Dave bardzo żałował, że nie potrafi odczytać liter odwróconych do góry nogami.

Roy podniósł głowę.

– Chcesz, żebym oddał ten zegarek rodzinie Marthy Evans?

– Tak – odparł Dave, patrząc mu prosto w oczy. – I proszę, przekaż

im, że jest mi niezmiernie przykro z powodu tego nieporozumienia. Przyznam się, że po tej historii czuję się paskudnie.

Roy milczał najwyżej kilka sekund, lecz Dave odnosił wrażenie, że całą wieczność.

– Niestety, nie wygląda to dobrze. Fakty obciążają ciebie.

Dave doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

– Prawdopodobnie to ty – mówił dalej detektyw – jako ostatni widziałeś Marthę żywą.

– Tak.

– Poza tym należysz do tych nielicznych osób, które wiedziały, gdzie Martha chowa kosztowności.

Dave przełknął.

– Wygląda na to, że tak.

– Widziano, że nosisz bardzo cenny złoty zegarek, który należał do męża Marthy. – Gdy Dave powoli pokiwał głową, Roy spytał: – Coś jeszcze? Chcesz mi coś jeszcze powiedzieć?

Szczerze mówiąc, Dave miał wrażenie, jakby rozmawiał z szeryfem. Pytania Roya i jego odpowiedzi faktycznie prowadziły do tego, że winny jest on. I tak zresztą się czuł.

Chociaż był niewinny.

– Dave?

– Tak? – Niezdolny już usiedzieć w miejscu, wstał i przemierzył pokój. Serce waliło jak młot, każdy oddech sprawiał ból, ale cóż, i przez to musiał przejść.

Wyjął z kieszeni plastikową przezroczystą torebkę z kolczykami wysadzanymi diamentami i położył ją na biurku przed Royem, który spytał:

– Czy to kolczyki Marthy Evans?

– Sądzę, że tak... Emily widziała ich zdjęcie... w teczce z dokumentami Marthy. – Doszło aż do tego, że zaczął się jąkać.

– Może wyjaśnisz mi to dokładniej, Dave.

Opowiedział więc, kiedy i gdzie Emily znalazła kolczyki. W kieszeniach jego marynarki. Lecz jakim cudem tam się znalazły, tego już Dave nie wiedział.

Roy wysłuchał go z wielką uwagą, po czym spytał:

– Czy chcesz, żeby te kolczyki również oddać rodzinie Marthy?

Dave bezradnie wzruszył ramionami.

– Nie wiem... Wiem tylko, że absolutnie nie chcę mieć ich u siebie. Nie są moje, a gdyby ktoś je zobaczył u mnie... Chociaż w sumie co za różnica. I tak w powszechnej opinii zostałem uznany za złodzieja. – Skulił się i ukrył twarz w dłoniach. – To nie wszystko – powiedział zdławionym głosem.

– Co jeszcze? – spytał Roy.

Dave powoli opuścił ręce, odsłaniając twarz.

– To stara historia.

Roy milczał, wyczuwając, że Dave'owi niełatwo wyrzucić to z siebie. Odczekał więc chwilę, wreszcie ponaglił delikatnie:

– Powiedz, o co chodzi.

Dave czuł się tak, jakby na piersi położyli mu stukilowy ciężar. Nie mógł oddychać ze strachu.

– Dave, wyrzuć to z siebie – powiedział cicho detektyw.

Dave najchętniej by pogrzebał swoją przeszłość, niestety musiał do niej wrócić. Nie miał innego wyjścia.

Wstał i podszedł do okna. Stał plecami do Roya i zamknął oczy.

– Dave, prędzej czy później wyjdzie to na jaw. Możesz mi teraz o tym

powiedzieć, ale oczywiście nie musisz. To zależy od ciebie. Podejrzewam jednak, że szeryf Davis sam do tego dojdzie.

Dave też był o tym przekonany. Dlatego wiedział, że nie ma sensu trzymać tego w tajemnicy.

– Na miesiąc przed moimi osiemnastymi urodzinami zostałem aresztowany.

– Czyli jesteś notowany na policji?

Ten koszmar, niestety, trwał.

– Nie wiem. Po raz pierwszy miałem wtedy kolizję z prawem. Wyrok był bardzo łagodny. Trzy miesiące pracy na rzecz społeczności... – Dave odwrócił się. – Sędzia powiedział, że jeśli nie będę stwarzał problemów, zniknę z kartoteki policyjnej.

– I tak się stało?

– Sądzę, że tak.

– Tylko sądzisz? Nie sprawdziłeś tego?

– Nie. – Byłoby to zbyt upokarzające. A tak naprawdę po prostu starał się o tym zapomnieć. – Ale chyba tak się stało, bo przecież gdy szukałem dodatkowej pracy, to przyjęli mnie do banku, a na pewno dokładnie mnie sprawdzili.

Roy coś zanotował. Cóż, taka rewelacja nie była dobrą wiadomością.

– Wiedzą o tym tylko moi rodzice – wyznał Dave.

– A Emily?

– Nie wie. Starałem się w ogóle o tym nie myśleć.

W końcu znakomita większość ludzi ma przynajmniej jedną sprawę, o której chce zapomnieć. Jakiś głupi albo egoistyczny postępek.

– A o co dokładnie chodziło? – spytał Roy.

– O... kradzież.

Roy odchylił się na krześle i wbił wzrok w Dave'a.

– Co wzięłeś?

– To nie ja! – Ten protest sam jakoś tak wydobył się z jego ust. Jakże bolesny był ten powrót do przeszłości dla kogoś, kto w niczym nie przypominał tamtego zbuntowanego chłopaka sprzed lat. – Mój ojciec też był pastorem, a wiadomo, że cała rodzina pastora żyje na cenzurowanym. Od dzieci pastora wszyscy oczekują, że będą świecić przykładem, zachowywać się bez zarzutu i nie sprawiać swoim rodzicom żadnego kłopotu.

– Czyli niełatwo.

– Tak, to bywa trudne. Staralem się być takim synem, jakiego chciał mieć mój ojciec, niestety, cokolwiek zrobiłem, moich rodziców to nie zadowalało.

– Czyli podobna sytuacja jak w rodzinach policjantów – stwierdził Roy.

– Pewnie tak... W każdym razie wreszcie przestałem się starać, już mi nie zależało, by przypodobać się ojcu.

– Innymi słowy, zbuntowałeś się.

Owszem. Dave odrzucił wszystkie zasady i wartości, które wpajał w niego ojciec. Zaczął wagarować, zadawać się z bardzo nieciekawymi ludźmi, nawet popijać. Szkołę średnią ukończył w wieku lat siedemnastu, nie mając jeszcze ukończonych osiemnastu lat rozpoczął studia. I wtedy to, na pierwszym roku, zetknął się z Tomem Cummingsem i jego kumplami.

Dave nigdy dotąd nie znał kogoś takiego. Tom był urodzonym przywódcą i skupił wokół siebie gromadę chłopaków. Dave, kiedy stał się jednym z nich, poczuł się dumny. Podobało mu się, że Tom jest wesoły, lubi się wygłupiać, jednak nie przekracza pewnych granic. Tak przynajmniej

myślał Dave, aż wreszcie pewnego dnia wszystko to przestało być zabawne.

Tom na gwałt potrzebował pieniędzy. Dlaczego koniecznie musiał zdobyć czterysta dolarów, tego Dave już nie pamiętał. Oczywiście żaden z kumpli nie dysponował taką kasą, Dave też. Gdyby miał tych czterysta dolarów lub gdyby mógł je jakoś zdobyć, na pewno by je zorganizował. Dla Toma zrobiłby wszystko.

W rezultacie ktoś wpadł na ten pomysł. Na początku Dave myślał, że to żart, szybko się jednak przekonał, że nie, wcale nie...

– O co zostałeś oskarżony?

– O kradzież i brutalną napaść.

Te słowa dziwnie zabrzmiały w jego uszach, obco, jakby wypowiedział je w innym języku. Języku, który niby znał i którym się posługiwał, a jednocześnie go nie rozumiał.

– W jakim wieku była ofiara? – spytał Roy.

– Siedemdziesiąt trzy.

Te słowa tylko dzięki nadludzkiemu wysiłkowi udało mu się wydobyć ze ściśniętego gardła.

Roy odłożył długopis i bardzo powoli nabrał powietrza.

– Nie musisz mi mówić, że to wszystko razem wygląda fatalnie – powiedział cicho Dave.

Jeśli ludzie dowiedzą się o jego aresztowaniu w latach młodości, nikt nie uwierzy, że to nie on ukradł biżuterię Marthy Evans. Nikt nigdy mu już w ogóle nie uwierzy. Koniec, kropka. Stał się człowiekiem absolutnie niegodnym zaufania.

Właściwie to już chyba nie ma o co walczyć. Fakt, że incydent z aresztowaniem zdarzył się dwadzieścia lat temu, nie ma żadnego znaczenia, tak samo jak nie liczą się lata jego służby Bogu i kongregacji. Ludzie będą

pamiętać tylko o tym jednym zdarzeniu, o tym, co zrobił, kiedy miał osiemnaście lat.

Roy milczał, co było bardzo niepokojące.

– Podejrzewam, że poradzisz mi, bym wycofał się z pracy duszpasterskiej...

– Przede wszystkim zapytam. Dave, czy ukradłeś biżuterię Marthy Evans?

– Nie. Powiedziałem ci już, że z tą kradzieżą nie mam nic wspólnego!

– krzyknął Dave, z trudem panując nad sobą. – Nie wierzysz mi!

– Przeciwnie. Wierzę ci.

– Ale wszyscy pomyślą...

– Ale ty znasz prawdę – powiedział spokojnym, beznamiętnym głosem Roy. – A ponieważ prawda jest taka, a nie inna, uważam, że nie powinieneś się niczego obawiać.

Dave w pierwszej chwili nie wierzył własnym uszom, a po chwili poczuł wielką ulgę. To, co czują ludzie, kiedy mówią, że kamień spadł im z serca.

– Roy, wierzysz mi, choć wszystkie dowody świadczą przeciwko mnie?

– Szeryf Davis pierwszy by ci powiedział – oznajmił Roy, lekko wzruszając ramionami – że poszlaki mogą doprowadzić do schwytania sprawcy, ale mogą też wprowadzić w błąd. Osoba podejrzana nie musi być sprawcą, prawda? Wszystko, co mi powiedziałeś, to poszlaki. Jednocześnie twierdzisz, że z tą kradzieżą nie masz nic wspólnego. A ja znam cię tyle lat i nigdy nie widziałem, żebyś postąpił nieuczciwie. Przeciwnie. Dlatego... wierzę ci.

Jak to dobrze mieć przynajmniej jedną osobę po swojej stronie...

– Ale dlaczego miałbyś mi wierzyć? – spytał, odczuwając gwałtowną potrzebę dodatkowego potwierdzenia ze strony Roya. – Może wcale się przez te lata nie zmieniłem. Może jestem złodziejem.

Detektyw po raz kolejny wzruszył ramionami.

– Wierzę ci, Dave, chociażby dlatego, że nie paradowałbyś po mieście z ukradzionym zegarkiem. A poza tym, nie chwaląc się, znam się trochę na ludziach.

– Dzięki, Roy.

– I jeszcze jedno. Chyba najważniejsze... – Znów zapisał w notatniku.

– Otóż szeryf Davis namierzył już pewną osobę, i wcale nie chodzi o ciebie.

– Naprawdę?!

Roy podniósł głowę znad notatnika.

– Naprawdę.

– Podejrzewam, że nie powiesz mi teraz, o kogo chodzi.

Roy uśmiechnął się szeroko.

– Ja na pewno nie, ale posłuchaj mojej rady. Przecież po to zresztą tu przyszedłeś, prawda? Jak najszybciej spotkaj się z szeryfem Davisem i powiedz mu to wszystko, co powiedziałeś mnie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Troy Davis ostatecznie doszedł do wniosku, że tegoroczne Boże Narodzenie okaże się najgorsze w całym jego życiu. Zresztą źle działo się już teraz. Gdziekolwiek spojrzał, wszędzie widział rozradowanych ludzi, nawet liczba przestępstw zdecydowanie się zmniejszyła. Wszyscy jakby złagodnieli, stali się bardziej uprzejmi i życzliwsi dla innych, co wcale dobrze nie wpływało na nastrój szeryfa. Przeciwnie, bardzo go irytowało.

Jednym słowem, dopadła go depresja.

Nie oszukiwał się. Depresja pojawiła się na jego życzenie, przyczyn było kilka, z tym że jedna z nich okazała się decydująca. Kobieta, którą kochał, nie chciała mieć z nim absolutnie nic do czynienia.

Rozstali się na stopie przyjacielskiej. Tak było... no, do pewnego stopnia. A teraz się zastanawiał, czy nie lepiej by było, gdyby w tamtej chwili wprowadził burzliwą atmosferę, gdyby pokazał, jak bardzo jest zły, rozczarowany i rozżalony. Może i mógłby narzucić takie postępowanie, lecz byłoby to zupełnie nie w stylu Faith. Bardzo jej zależało, by rozstali się jak ludzie cywilizowani, kulturalnie i elegancko, jakby zrywali oficjalne zaręczyny!

Nastroju szeryfa nie poprawiał również fakt, że Dave Flemming do przygotowań do tegorocznej szopki zaangażował prawie całe miasto. Wszyscy, od Marii i Józefa począwszy, a na doboszu skończywszy, odgrywani byli przez amatorów. Szopkę można już było podziwiać, i tak będzie każdego wieczoru przez całe dwa tygodnie, do dwudziestego trzeciego grudnia. Wszyscy, którzy zamierzali popatrzeć na ten wspaniały żywy obraz, proszeni byli o przynoszenie produktów żywnościowych o

długim terminie ważności lub o wrzucenie do puszek kilku dolarów. Wieść o niezwyklej szopce rozeszła się lotem błyskawicy po sąsiednich hrabstwach, w konsekwencji czego do Cedar Cove ciągnęły całe karawany samochodów. Na drodze dojazdowej zapanował chaos, więc szeryf stworzył dla swoich zastępców grafik dyżurów, bo ktoś musiał pokierować tam ruchem.

Troy nie miał pojęcia, skąd udało się Dave'owi wytrzasnąć wielbłąda. Może z jakiegoś prywatnego zoo? Ale po cholere komuś w ogródku wielbłąd, skoro wiadomo, że nie jest to łagodniutki zwierzaczek. W każdym razie tak ludzie powiadali. Oprócz żywego wielbłąda zauważył jeszcze w szopce osiołka oraz kilka owiec i krów. Cały ten zwierzyńiec miał tam trwać co wieczór po kilka godzin, adorując Dzieciątko Jezus. Czegoś takiego jeszcze w Cedar Cove nie było. Szopka odniosła ogromny sukces, ludzie byli bardziej nią przejęci niż konkursem krzyku mew, co mówiło samo za siebie.

Już samo zorganizowanie takiej szopki było nie lada wyczynem, a na czas jej trwania wymagała stałej uwagi ze strony pastora. Niestety, w tym właśnie gorącym przedświątecznym okresie szeryf był zmuszony wezwać do siebie pastora na przesłuchanie. Córki Marthy Evans przyczepiły się do niego jak przysłowiowy rzep do psiego ogona, po prostu nie dawały mu spokoju. Chciały jak najszybciej odzyskać biżuterię matki, dlatego do czasu aresztowania złodzieja zamierzały siedzieć szeryfowi na karku. Wprawdzie poszlaki wskazywały na Dave'a Flemminga, ale Troy pracował w policji nie od dziś i wiedział, że poszlaki poszlakami, ale trzeba też zaufać swemu instynktowi. Absolutnie nie wierzył, by Dave był sprawcą, jednak zważywszy na owe poszlaki, pastor musiał odpowiedzieć mu na kilka pytań. A jeśli chodzi o sprawcę, Troy miał już kogoś na oku, niestety jak na razie brak było punktów zaczepienia, które pozwoliłyby tego kogoś wezwać na

posterunek.

Ale pożyjemy, zobaczymy.

Kiedy zadzwonił telefon, skwapliwie chwycił za słuchawkę, zadowolony, że coś odciągnie go od niewesołych rozważań.

– Szeryf Davis, słucham.

– Cześć, tato! – Radosny głos Megan sprawił, że natychmiast poczuł się jakoś lepiej. – Tato! Wesołych świąt!

– Dzięki. Wam wszystkim też wesołych świąt!

– Tato, a wiesz, dziś rano widziałam się z Faith!

Troy mocno zacisnął szczęki. Megan nie zdawała sobie sprawy, że dla niego każda wzmianka o Faith to jakby sypać solą na otwartą ranę.

– A, to miło... – mruknął.

– Prosiła, żeby cię pozdrowić.

– Dziękuję.

Troy gwałtownie wyprostował się na krześle. Czyżby Faith dawała sygnał, że skłonna jest jednak z nim pogadać? Poczuł się nieco lżej na duszy.

– Mówiłam ci już, tato, że Faith pomaga mi w robocie na drutach.

– Tak.

Specjalnie udzielił odpowiedzi tak lakonicznej, żeby nie dać poznać po sobie, jak bardzo jest spragniony każdej informacji o Faith.

– Ustaliśmy, że raz w tygodniu będziemy się spotykać podczas lunchu.

– Bardzo dobrze.

– Z Faith rozmawiamy nie tylko o robótkach, ale także o mojej ciąży. I wiesz, te spotkania bardzo dobrze mi służą. Faith ma w sobie dużo tego, co miała mama, przypomina mi ją. – Urwała na moment. – Wysłuchuje mnie,

podtrzymuje na duchu, jak trzeba, to doradzi. Jest po prostu nadzwyczajna. Bardzo ją polubiłam. I wiesz, spytałam Faith, dlaczego wtedy, w szkole, rozstaliście się. Bo czuliście do siebie miętę, prawda?

– No... tak. Ale to było w zamierzchłych czasach.

– Wiesz, tato, ona powiedziała to samo. – Megan westchnęła, nie kryjąc rozczarowania.

Troy wiedział, że Faith nigdy nikomu nie powie o nim złego słowa, a już zwłaszcza jego córce. Był bardzo zaskoczony, kiedy dowiedział się, że Megan za jego plecami zaprzyjaźniła się z nią. Nie tylko zaskoczony, ale i zły. A im dalej, tym gorzej, bo ta przyjaźń rozwijała się i Megan naciskała na niego, by poważnie się zainteresował jej nową przyjaciółką. Córka kompletnie przy tym nie zdawała sobie sprawy, że Faith jest tą kobietą, która jej zdaniem próbowała stanąć między nią a ojcem.

– Mogłaby mi tyle o tobie opowiedzieć... Tato, a w szkole się rozstaliście, bo była jakaś afera? Czy tak? – Zanim Troy zdążył coś odpowiedzieć, Megan znowu westchnęła, a potem powiedziała: – Wiem, wiem, nic mi nie zdradzisz. Faith też nie chce o tym mówić.

Troy odetchnął głęboko.

– Czasami naprawdę lepiej zostawić przeszłość za sobą.

– Rozumiem, rozumiem. Tato, ale może ja mogłabym coś dla ciebie zrobić?

– To znaczy?

– No... coś takiego, żeby to wyprostować. To, co wtedy stało się między tobą a Faith.

Przez moment nawet rozważał tę możliwość, jednak żaden konkretny pomysł nie przyszedł mu do głowy.

– Nie, dziękuję, dziecko. – W tym momencie zobaczył stojącego w

progu Roya McAfee. – Zadzwoń później.

– Ktoś przyszedł, tato?

– Tak.

– Aha... – Megan nie kryła rozczarowania. – Bardzo bym chciała, żeby to była Faith...

Też bardzo by tego chciał. Jeśli Święty Mikołaj nie tylko przyniesie prezenty, lecz w tym roku zamierza także spełniać życzenia, Troy poprosi go, by dał mu jeszcze jedną szansę u Faith.

Niestety, wszystkie dowody wskazywały niezbicie, że Świętego Mikołaja nie ma.

– No to pa, tato.

– Pa.

Kiedy tylko odłożył słuchawkę, Roy wszedł do pokoju. Troy wskazał ręką krzesło.

– Siadaj. Czym mogę służyć?

O powód wizyty nie musiał pytać. Wiadomo, że jest jakaś sprawa. Roy nie przychodził tu w celach towarzyskich.

– Masz już coś w sprawie zaginionej biżuterii Marthy Evans? – spytał Roy, sadowiąc się na krzesło ustawionym przed biurkiem szeryfa.

Sadowił się niemal ostentacyjnie, co dla Troya było sygnałem, że detektyw nie pojawił się tu z pustymi rękami, tylko ma w zanadrzu coś istotnego.

– A dlaczego pytasz?

To pytanie również należało do rytuału. Najpierw sadowienie się, potem jedno pytanko, drugie, aż w końcu dochodziło do wymiany informacji. Z tym że szeryf, chociaż bardzo lubił i cenił Roya, zawsze pamiętał, kto tu jest przedstawicielem prawa, i gdy trzeba było, bez ogródek

przypominał o tym prywatnemu detektywowi.

– Bo wczoraj miałem gościa – zakomunikował Roy McAfee.

– Jak rozumiem, ta wizyta miała związek z zaginioną biżuterią. – Gdy Roy potakująco skinął głową, i zrobił to iście po królewsku, szeryf spytał:

– Czy to ktoś, kogo znam? – Kiedy Roy zawahał się na moment, po czym znów dostojnie skinął głową, Troy poinformował go: – Bo tak się składa, że też miałem gościa w związku z tą sprawą. I też w poniedziałek.

Brwi detektywa przemieściły się nieco w górę.

– Czy to ktoś, kogo znam? – Gdy dla odmiany Troy bardzo dostojnie skinął głową, Roy ujawnił:

– U mnie był Dave Flemming.

– A u mnie Geoff Duncan – powiedział Troy.

Po czym języki się rozwiązały. Roy przekazał wszystko, co usłyszał od pastora, natomiast szeryf zdradził, że Dave dzwonił do niego i chciał umówić się na spotkanie. Z powodu nawału pracy prosił, żeby odbyło się to po świętach. Ten telefon utwierdził Troya w przekonaniu, że jego teoria na temat pastora jest słuszna.

– A Geoff przyszedł do mnie, by powiedzieć, że ma wielkie skrupuły – powiedział szeryf. – Ponoć długo się zastanawiał, co zrobić, w końcu jednak uznał, że nie może milczeć, nawet za cenę utraty posady...

– Opowiedział ci o wizycie Emily Flemming w kancelarii Allana Harrisa?

– Zgadza się.

– Spodziewałem się tego... – Roy wstał, sięgnął do kieszeni w spodniach i wyjął najpierw złoty zegarek, potem kolczyki z diamentami.

Troy natychmiast się zorientował, że ma przed sobą kosztowności Marthy Evans.

– Dave ci to dał? – spytał.

– Tak. Twierdzi, że zegarek pani Evans mu podarowała.

– A wzmianka o darowiźnie powinna być w aktach. Czy tak?

– No właśnie – powiedział Roy. – A co do kolczyków... Dave nie ma pojęcia, skąd się wzięły w kieszeniach jego marynarki. Znalazła je tam żona. Dave tych kolczyków nigdy przedtem nie widział.

– Szeryf milczał, natomiast detektyw McAfee przez chwilę przypatrywał mu się z nateżeniem, wreszcie postawił kropkę nad i: – Ja mu wierzę, Troy.

– Ja też – oznajmił szeryf, opierając się wygodnie o oparcie krzesła.

– A więc jak? Powiesz mi, co ty o tym wszystkim myślisz?

– Jasne, szeryfie, jeśli ty też powiesz, co o tym myślisz.

Troy zaśmiał się.

– Mam dziwne przeczucie, że dojdziemy do tego samego wniosku!

– Ja też – odparł Roy. – Gotów byłbym się założyć!

– A więc jak? Karty na stół?

– Tak. Karty na stół.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Rachel weszła do pokoju dziennego i na szczycie stosu kartonów postawiła jeszcze jeden, z ubraniami. Trudno jej było uwierzyć, że dała się w końcu namówić Bruce'owi na wcześniejszy ślub. W święta Bożego Narodzenia!

Po prostu szaleństwo.

Ale jakie... cudowne!

Nie mogła się doczekać, kiedy będzie budzić się co rano u boku ukochanego mężczyzny. Umowę najmu małego domku już rozwiązała, do Wigilii ma się wyprowadzić.

Drzwi na tyłach domku trzasnęły, do pokoju wbiegła Jolene.

– Coś jeszcze?

– Jeszcze jeden karton. Ten na samej górze. Nie jest ciężki – poinstruowała Rachel, nachylona nad innym pudłem, do którego powkładała naczynia.

– Dobrze.

Jolene chwyciła wskazany karton i pobiegła do drzwi, które usłużnie same otworzyły się przed nią, ponieważ do środka właśnie wchodził Bruce. Jolene pobiegła na dwór zanieść karton do ciężarówki, jej ojciec wszedł do pokoju dziennego.

Rachel wyprostowała się i pomasowała po krzyżu. Była zdumiona, ileż to nagromadziło się kłopotów w ciągu siedmiu lat mieszkania w tym domku. Większość mebli, które przed laty nabywała z drugiej ręki, zamierzała oddać na cele dobroczynne, ale i tak miała mnóstwo rzeczy do spakowania.

– Jesteś wykończona – powiedział Bruce tonem odkrywcy. – Może zrobimy przerwę?

Rachel zdecydowanie zaoponowała ruchem głowy, choć zaczęła pracę o ósmej rano, a wróciła do domu po dziewięciu godzinach stania na nogach i dopiero wtedy mogła zacząć pakować następne pudła.

Bruce podszedł i objął ją mocno.

– Dziękuję – powiedział.

– Za co?

– Za to, że kochasz mnie i Jolene. Za to, że zgodziłaś się nie czekać do lutego i wyjść za mnie już teraz. No i co? Moje na wierzchu! Mówiłem ci, że po świętach będziemy już mężem i żoną!

– Och, ty... – Rachel z uśmiechem przeczesła palcami jego gęste włosy. – Coś mi się zdaje, że będę miała męża typu „a nie mówiłem...”.

– Może, ale w tym przypadku nikt nie zaprzeczy, że mam rację! – Też się uśmiechnął, spojrzał jej głęboko w oczy i pocałował w czubek nosa.

Drzwi znów trzasnęły. Do pokoju wpadła Jolene, hamując tuż za progiem.

– O nie... – jęknęła. – Macie takie miny, jakbyście mieli zaraz się całować!

– Może... – przyznał uczciwie Bruce.

– Mam wyjść? – spytała Jolene.

Niby miało to zabrzmieć dowcipnie, Rachel jednak czuła, że dla dziewczynki ta sytuacja wcale nie jest zabawna.

– No co ty! – powiedziała szybko, odsuwając się od Bruce’a.

Jolene zawsze bardzo krępowało, kiedy jej ojciec i Rachel okazywali sobie czułość. Bruce tego nie zauważał, ale Rachel tak.

– Jestem głodna – oświadczyła Jolene.

Bruce spojrział na zegarek.

– Nic dziwnego. Już po ósmej!

Zaczęli ładować wszystko do ciężarówki o szóstej, zaraz po powrocie Rachel z pracy, a poprzedniego dnia wieczorem Rachel starała się powkładać do kartonów jak najwięcej rzeczy. Nie trwało to jednak długo, ponieważ następnego dnia musiała wstać bardzo wcześnie. W okresie przedświątecznym w Get Nailed przeżywano prawdziwy najazd klientek. Krótko mówiąc, Rachel zwijała się jak w ukropie. Tłumy w salonie, pakowanie, przeprowadzka do Bruce'a, uporządkowanie domu, z którego się wyprowadzała. Stanowczo za dużo jak na kilka dni, ale Rachel i tak za nic by z tego nie zrezygnowała.

– Zróbmy tak. Zawiozę tę partię rzeczy do domu, a wracając, kupię coś do jedzenia. Na co macie ochotę?

– Na kurczaka! – zawołała Jolene.

Bruce spojrział na Rachel, która oświadczyła:

– Jestem za.

– Tato! Mam jechać z tobą czy zostaję tutaj?

– spytała Jolene.

– Zostań – poprosiła Rachel. – Pomożesz mi spakować rzeczy z sypialni, dobrze?

– Dobrze. Zostaję. Cześć, tato! – Uściskała ojca i zaczęła zbierać puste kartony.

– A może ktoś pocałuje mnie na pożegnanie? – rzucił Bruce, spoglądając roziskrzonym wzrokiem na narzeczoną.

Rachel, choć miała na to wielką ochotę, miała też w pamięci niedawną reakcję Jolene na pocałunek w czubek nosa.

– Nie, kochany – oświadczyła. – Nikt nie będzie ci dawał buzi, bo

razem z Jolene mamy mnóstwo roboty. Pa!

– No trudno... – mruknął Bruce, ale cmoknięcia w policzek sobie nie darował.

Cmoknął i wyszedł, a po chwili w pokoju dziennym pojawiła się Jolene z wielkim tekturowym pudłem.

– Tata już pojechał?

– Tak. Ale niebawem wróci.

Jolene postawiła pudło na podłodze, sama osunęła się na sofę.

– Dziwne... – mruknęła.

– Co jest takie dziwne? – spytała Rachel.

Jolene wzruszyła ramionami.

– A to, że mój tata i ty bierzecie ślub.

– Ale chyba cieszysz się, prawda?

– Chyba... tak.

Wyraźny brak entuzjazmu u córki Bruce'a zaniepokoił Rachel. Szybko odłożyła na bok obrus, który właśnie składała w kostkę, i przysiadła obok dziewczynki.

– Może pogadamy, Jolene?

– Dobrze... – Mała opuściła głowę.

– Martwisz się, że teraz wszystko się zmieni?

– Trochę... tak – cicho przyznała Jolene. – A tak w ogóle to już się wszystko zmieniło.

A temu Rachel nie mogła zaprzeczyć. Zmieniło się wszystko zarówno między nią a Bruce'em, jak i między nią a Jolene. Całe szczęście, że dziewczynka była komunikatywna i można było porozmawiać z nią o jej wątpliwościach.

Teraz właśnie podzieliła się jedną z nich.

– Ty i tato na pewno będziecie chcieli mieć... dzidziusia...

Owszem. Bruce i Rachel zdążyli dokładnie obgadać tę sprawę. Rachel, kobieta już po trzydziestce, chciała zajść w ciążę jak najszybciej, czemu Bruce absolutnie nie był przeciwny.

– Kochanie, a zawsze mi się zdawało, że chcesz mieć braciszka albo siostrzyczkę.

– No tak... Tak zawsze myślałam... Ale teraz to sobie myślę, że jak będzie dzidziuś, to wszyscy będą tylko ciągle przy tym dzidziusiu...

– A o tobie zapomną?! – Mocno ją przytuliła.

Kiedy poznała siedmioletnią Jolene, Rachel stała się jej najlepszą przyjaciółką i opoką, pokochała ją tak bardzo, że bardziej chyba już nie można. – Twój tata, skarbie, bardzo cię kocha. I tak będzie zawsze, choćbyśmy mieli pięcioro dzidziusiów.

– No tak... przecież wiem... – Dziewczynka westchnęła i z wielką uwagą zaczęła przypatrywać się swoim dłoniom.

– Jolene, jeśli chodzi o mnie, też nic się nie zmieni. Zawsze będę cię bardzo kochać, zawsze będziesz dla mnie kimś bardzo ważnym.

– A czy... czy mam teraz mówić do ciebie „mamo”? – spytała cicho.

– To zależy tylko od ciebie.

– Dla mnie jesteś po prostu Rachel.

– W takim razie tak do mnie mów.

– Ale ja chcę, żebyś była moją mamą! – Była cała roztrzęsiona.

Rachel przytuliła ją do siebie jeszcze mocniej, świadoma, że powinna reagować bardzo spokojnie i wykazać się wielką cierpliwością.

– Skarbie, mów do mnie tak, jak chcesz.

– Ale ja miałam już mamę!

– Tak, kochanie. Miałaś mamę o pięknym imieniu Stephanie, miałaś i

masz ją nadal. Zawsze będzie twoją mamą, a ty nigdy o niej nie zapomnisz.

– Ale ja się boję, że kiedyś zapomnę...

– Nie bój się, Jolene. Tak się nie stanie. Dobrze wiesz, że ja też straciłam mamę. Stało się to wiele lat temu, ale pamiętam ją doskonale. Jakbym widziała ją wczoraj...

Po śmierci matki Rachel zamieszkała u jej starszej siostry w Cedar Cove. Ojciec, całkowite przeciwieństwo Bruce'a, nie chciał, żeby dziesięcioletnia dziewczynka płała mu się pod nogami. Bardzo dużo pracował, co wiązało się z częstymi wyjazdami. Zmarł na atak serca, kiedy Rachel miała dwadzieścia parę lat.

Pierwotne założenie było takie, że Rachel będzie u ciotki do końca roku szkolnego, a potem coś się wymyśli, lecz była pewna, że ojciec zamierzał umieścić ją w szkole z internatem. Jednak ciotka, stara panna i surowa pedantka, jak się okazało, nie była osobą pozbawioną serca. Kiedy rok szkolny dobiegł końca, zaproponowała, by Rachel została u niej na stałe. Zachwycony ojciec od razu się zgodził.

– Kiedy ty i tata weźmiecie ślub, czy będę musiała schować zdjęcie mamy? – spytała Jolene.

Piękne zdjęcie matki Jolene zawsze stało na komodzie w pokoju dziewczynki.

– Ależ dziecko! Co ci przyszło do głowy?! Oczywiście, że ma stać tam, gdzie stoi!

– To dobrze, bo jak patrzę na mamę, to na pewno nigdy o niej nie zapomnę.

– Oczywiście, że nie zapomnisz. – Rachel pieszczotliwie odgarnęła włosy z czoła Jolene. – Moje ty biedactwo... Wiem, to wszystko dzieje się tak szybko, ten ślub.

– No właśnie... Myślałam, że wyjdiesz za tego Nate'a i wyjedziesz stąd, aż tata przyszedł do mnie i powiedział, że cię kocha i bierzecie ślub. Miał być w walentynki, a okazuje się, że będzie już w święta, a ty wprowadzasz się do nas.

– Wolałabyś, żeby ślub był w lutym? – spytała cicho Rachel, zdecydowana, że jeśli dla Jolene grudniowy termin okaże się trudny do przełknięcia, to ślub odbędzie się w lutym.

– Ja... ja już sama nie wiem. Naprawdę chcę, żebyś była żoną mojego taty i mieszkała z nami, ale...

– Ale jak powiedziałam, to dzieje się zbyt szybko. Naprawdę to rozumiem, kotku.

– I bardzo bym chciała, żebyś dalej była moją przyjaciółką.

– Ależ kochanie! Zawsze nią będę. Nie może być inaczej!

– I nie podoba mi się, kiedy ty i tata się całujecie. Jest mi wtedy okropnie głupio. Jak chodzę do koleżanek, to widzę, że ich rodzice tak się nie całują, i w ogóle... zachowują się trochę inaczej...

Czyli faktycznie mamy problem, pomyślała Rachel. Miała nadzieję, że Jolene z czasem przywyknie do czułości między ojcem i jego nową żoną, ale i tak musiała jak najszybciej porozmawiać z Bruce'em o tym, że w obecności dziewczynki powinni zachowywać się bardziej powściągliwie.

Przez następny kwadrans Rachel cierpliwie wysłuchiwała wątpliwości Jolene, starając się wszystkie rozwiązać, aż wreszcie niestrudzone drzwi otwały się po raz kolejny i do domu wparował Bruce z wielką białą papierową torbą.

Na wtulone w siebie Rachel i Jolene spojrzali z niepokojem.

– Ej, dziewczyny, co się dzieje?!

Rachel zerknęła na Jolene i dojrzała w jej oczach niemą prośbę:

Proszę, nie mów nic tatusiowi.

– Och, trochę żeśmy sobie pogadały – rzuciła wesoło Rachel. – Babskie sprawy... Powiedz lepiej, co udało ci się zdobyć!

– Kurczaka. Zgodnie z zamówieniem. Czy ktoś tutaj jest głodny?

– Ja! Jak wilk! – krzyknęła Rachel.

– Ja też! Ja też jak wilk! – zawtórowała Jolene.

Gdy Bruce ruszył do kuchni, Rachel powiedziała cicho do małej:

– Jolene, pogadam jednak z twoim tatą o twoich problemach, dobrze?

– Nie! Będzie na mnie zły!

– Ależ skąd, kochanie. Nigdy w życiu!

– Ale ja nie chcę! Nie chcę! Głupia byłam, że ci powiedziałam!

– A co powiedziałaś? – spytał Bruce, pojawiając się w drzwiach.

Rachel spojrzała na Jolene, potem na Bruce'a.

– Nasze życie zmienia się w tempie błyskawicznym. Dla Jolene nie jest to takie łatwe.

Bruce zmarszczył brwi.

– To znaczy? O co chodzi dokładnie?

Rachel miała nadzieję, że Bruce załapie od razu, ale niestety dodatkowe wyjaśnienia okazały się niezbędne.

– Powtarzam, wszystko dzieje się za szybko. Może dobrze by jednak było, gdybyśmy zweryfikowali nasze plany.

– Chwileczkę... – Bruce wkroczył na środek pokoju. – Nie zapominaj, że jestem facetem. Potrzebne mi są konkretne informacje.

– Już udzielam – powiedziała Rachel, biorąc Jolene za rękę. – A więc... Pomyślałam, że może jednak poczekać ze ślubem do walentynek. Zresztą taki był nasz pierwotny plan i...

– Odłożyć ślub? – wpadł jej w słowo Bruce. – Nie ma takiej opcji! Im

szybciej się pobierzemy, tym lepiej, i to pod każdym względem.

– Powinniśmy też wziąć pod uwagę zdanie Jolene, prawda?

Bruce przez chwilę wpatrywał się w córeczkę.

– Jolene... – powiedział, przyklękając przed nią.

– Powiedz mi, dziecko... Jesteś niezadowolona, że Rachel i ja bierzemy ślub?

– Trochę... – bąknęła, unikając jego wzroku.

– A ja myślałem, że lubisz Rachel!

– Lubię! Bardzo! Najbardziej!

– W takim razie w czym problem?

Jolene bezradnie wzruszyła ramionami, okazując tym samym, że ma trudności z dokładnym wyjaśnieniem, na czym ten problem polega.

– Bo ja kocham Rachel – powiedział ojciec. – I bardzo kocham ciebie.

Rachel była dumna, że mężczyzna, którego sobie wybrała, wykazuje się wobec swego dziecka wielką wrażliwością. Bo Jolene w tym momencie to właśnie powinna usłyszeć. Że dla ojca nadal jest tak samo ważna jak dotąd.

Ojciec i córka byli do siebie bardzo przywiązani, w końcu od sześciu lat tylko we dwoje tworzyli małą rodzinę. Teraz miała do niej wejść Rachel. Być z nimi stale, a to naprawdę wielka zmiana. Poza tym dwunastoletnia dziewczynka bardzo potrzebuje miłości ojca, jego aprobaty. Koniecznie chce, żeby ojciec był z niej dumny. Ojciec Rachel pod tym względem był wyjątkowo oszczędny i nie wyobrażała sobie, żeby mała Jolene mogła znaleźć się w podobnej sytuacji. Na szczęście Bruce był zupełnie innym człowiekiem.

Zadzwonił telefon. Rachel nie bardzo miała ochotę odbierać, w końcu omawiali bardzo ważne sprawy, poszła więc na kompromis, to znaczy

odczekała, aż ten ktoś nagra się na sekretarkę.

– Dzień dobry, dzwonię z agencji nieruchomości – powiedział jakiś mężczyzna. – Czy mogłaby pani odezwać się do nas jak najszybciej? Mam osobę chętną do najmu i chcielibyśmy wiedzieć, kiedy pani ostatecznie opuści dom.

Jolene wbiła przerażone spojrzenie w Rachel.

– Czy to znaczy, że ten dom został już komuś wynajęty?

– Na to wygląda – powiedział Bruce, dla odmiany nadzwyczaj zadowolony.

Wystraszona Jolene zadała kolejne pytanie:

– Tato, czy to znaczy, że jeśli Rachel nie zostanie teraz twoją żoną, to nie będzie miała gdzie mieszkać?

– Kochanie... – zaczęła Rachel.

Jednak Bruce ją zagłuszył:

– Zgadza się! – oznajmił gromko.

– Bruce! – Rachel nie szturchnęła go porządnie w żebra tylko dlatego, że był za daleko. – Zawsze mogę pomieszkać u znajomych.

Teri i Bobby bez wątpienia przygarnęliby ją na te dwa miesiące. Dom mają wielki, a poza tym Teri, przyjaciółka najlepsza z najlepszych, wręcz by nalegała, żeby Rachel zamieszkała u nich.

– W takim razie musicie wziąć ślub za tydzień – oświadczyła stanowczo Jolene.

Na co równie stanowczo zareagowała Rachel:

– Spokojnie możemy poczekać z tym do lutego. Do walentynek. – Bardzo zależało jej, aby Jolene, niedługo jej pasierbica, miała świadomość, że macocha nie lekceważy jej zdania.

Bruce utkwiał w Rachel płonący wzrok.

– A jeśli o mnie chodzi, to chcę ożenić się z tobą już teraz! Jolene, przecież chcesz, żeby Rachel była już z nami?

Przez chwilę przyszła macocha i przyszła pasierbica patrzyły sobie prosto w oczy.

A potem Jolene powoli skinęła głową.

– Tak. Chcę.

TTLR

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Olivia stopniowo wracała do formy. Była już na tyle silna, żeby posiedzieć w kuchni i popijając zieloną herbatę, cieszyć się słońcem zagląającym do okien.

Grace wyszła przed chwilą. Tego dnia miała wpaść jeszcze Justine, ale później. Jeszcze dwa dni temu Olivia taką przerwę w wizytach wykorzystaby na drzemkę, ale teraz wcale nie miała na to ochoty, co było ogromnie podbudowujące. Oznaczało bowiem, że faktycznie ma siłę o wiele więcej, czyli naprawdę dochodzi do siebie po operacji i infekcji. A miało to ogromne znaczenie, przecież zaraz po świętach miała zacząć chemioterapię. Kiedyś zażartowała, że ta cała chemioterapia to taki spóźniony prezent gwiazdkowy, jednak jej mąż nie zareagował śmiechem, tylko rzekł:

– Dla mnie też, Olivio. Ty i wszystko, co pomaga twemu zdrowiu, to także prezenty dla mnie, i to najcenniejsze.

Jack, znany dowcipniś, powiedział to z nieskrywanym wzruszeniem, tym bardziej więc Olivia była poruszona jego słowami.

Pod dom zajechał jakiś samochód. To znaczy nie jakiś, bo Olivia od razu poznała, że to wóz Bena. Ben, dżentelmen w każdym calu, wysiadł pierwszy, obszedł auto i otworzywszy drzwi, pomógł wysiąść małżonce. Charlotte musiała wyczuć, że ktoś ich podgląda, bo spojrzała w okno kuchni. Kiedy zauważyła Olivię, pomachała z uśmiechem. Olivia również pomachała i ruszyła do drzwi.

– Jack! Mamy gości! – zawołała do męża, który właśnie pokonywał w sypialni kilometry na bieżni. Atak serca czegoś go nauczył. Zaczął ćwiczyć bardzo systematycznie, a zachwycona Olivia nie szczędziła mu pochwał.

– A... kto? – doleciał z góry zadyszany głos.

– Mama i Ben.

– Za... pięć minut schodzę!

Gdy Olivia otworzyła drzwi, goście stali już za progiem. Charlotte trzymała biały wiklinowy koszyk ozdobiony gałązką ostrokrzewu i jasnoczerwoną kokardą.

Pocałowała matkę w policzek, potem tym samym uraczyła Bena.

– Olivio, kochanie, wyglądasz świetnie! – zawołała rozradowana Charlotte. – Masz piękne rumieńce! Wreszcie zaczynasz wyglądać normalnie!

– Bo i czuję się o wiele lepiej, mamó. Bardzo proszę, chodźcie. Napijcie się zielonej herbaty?

– Z przyjemnością. Ale może ja zrobię herbatę!

– Ależ mamó! Sama zrobię...

Charlotte, oczywiście, nie usłuchała, tylko postawiła koszyk na stole i zakrzętnęła się koło herbaty. Olivia już nie protestowała. Rozumiała, że matka musi się nią zaopiekować, taką ma potrzebę. Chce być aktywna, zwłaszcza w sprawach dotyczących jedzenia czy picia.

– Mamó, a co jest w tym koszyku?

– Obiad dla ciebie i Jacka.

Jacy oni wszyscy są kochani, pomyślała rozczulona Olivia. Poprzedniego dnia Grace podrzuciła zapiekankę taco, zrobioną naprawdę z sercem. I z pysznym sosem. Grace miała nadzieję, że Olivia na nią się skusi, bo niestety w ciągu minionych dwóch miesięcy schudła prawie pięć kilo, a przecież nie powinna tracić na wadze. W rezultacie wyglądała jak szczapa, a jej ukochany mąż był w sytuacji dokładnie odwrotnej. Nadal walczył ze zbędnymi kilogramami i przeżywał prawdziwe męki, kiedy do ich domu

znoszono pyszności. Olivia zapiekanki Grace zaledwie skubnęła, Jack natomiast zjadł dwie olbrzymie porcje, choć i tak dużo jeszcze zostało i czekało w zamrażarce.

– A co dokładnie, mamó? – dopytywała się ciekawie Olivia.

– Zupa. Rosółek z kluseczkami.

– Cudnie!

– I świeżo upieczony chleb.

– A żadnych ciasteczek? – spytał rozczarowany Jack, pojawiając się w kuchni. Po treningu miał zaczerwienioną twarz i ręcznik owinięty wokół szyi.

– Jack!

– A co? Przecież niebawem mamy święta! O proszę! – Z triumfalnym uśmiechem wyjął talerz z ciasteczkami posypanymi cukrem. – Moje ulubione!

– Wszystkie ciasteczka są dla Jacka ulubione

– szeptem poinformowała Bena Olivia.

Ben zaśmiał się i odparł cicho, z uśmiechem patrząc na żonę:

– Wcale mu się nie dziwię. Cokolwiek upiecze Charlotte, od razu staje się moje ulubione.

– Dzięki, Charlotte. – Jack zdarł folię zabezpieczającą talerz, złapał ciasteczko i opuszczając kuchnię, cmoknął po drodze teściową w policzek.

Do stołu zasiedli więc we trójkę, bez Jacka.

– Co nowego? – spytała Olivia.

Ben zerknął na Charlotte.

– A więc... jutro wyjeżdżamy. Na naszą wycieczkę statkiem...

– Już jutro?! – Tyle się działo, że termin wyjazdu kompletnie wyleciał Olivii z głowy.

Charlotte pokiwała głową.

– Tak, już jutro, choć wciąż mam wątpliwości, czy powinniśmy jechać.

– Jedziecie, mamó. To już postanowione.

– Ale...

– Macie jechać! Nacieszyć się piękną wycieczką i sobą!

– Tak, córeczko, ale jeśli będę ci potrzebna? W styczniu zaczynasz terapię...

– Mamó, przecież nie zostaję tu sama. Przede wszystkim jest ze mną Jack!

Charlotte westchnęła dramatycznie, po czym oznajmiła:

– To prawda, ale Jack jest mężczyzną. Nie zrozum mnie źle, bardzo kocham i cenię twego męża, ale niezależnie od tego, jak bardzo by cię kochał, nie jest twoją matką. A kiedy jesteś chora, potrzebujesz właśnie matki.

Olivia była bliska łez. Bardzo się wzruszyła, że z jej powodu Charlotte i Ben są gotowi zrezygnować z podróży życia. Zarazem jednak była mocno zdeterminowana, by do tego nie dopuścić.

– Mamó, nic mi się nie stanie. Damy sobie radę, a poza tym zanim człowiek się obejrzy, będę miała już to wszystko za sobą. – Kurczowo czepiała się tej właśnie myśli. Tak bardzo tęskniła za swoim normalnym życiem. Odkąd została sędzią, nigdy jeszcze nie miała tak długiej przerwy w pracy i brakowało jej obowiązków, kolegów i koleżanek z sądu.

– I tak nadal uważam, że nie powinniśmy jechać – oświadczyła Charlotte.

– Trudno, mamó, bo już postanowione. Jedziecie i koniec. I masz mi obiecać, że będziesz się cieszyła każdą minutą spędzoną na morzu.

Charlotte zamierzała wysunąć kolejny argument, ale w tym momencie

do kuchni wszedł Jack. Oczywiście natychmiast wziął następne ciasteczko, tym razem w kształcie dzwonka. I błyskawicznie cofnął rękę, jakby bał się, że Olivia trzepnie go po dłoni. Jednak tego nie uczyniła, czym małżonka wprawiła niemal w osłupienie.

– Dlaczego nie reagujesz? – spytał.

– Bo należy ci się nagroda za to, że tak sumiennie ćwiczysz!

– Rozumiem. I dziękuję. Skoro jednak mowa o nagrodzie, to masz na myśli tylko... ciasteczko?

– Powiedziałam „nagrada”, użyłam liczby pojedynczej.

– Mhm... W takim razie z ciasteczka rezygnuję, choć nie przychodzi mi to łatwo. – Odłożył na talerz słodki przedmiot pożądania i usiadł obok Olivii.

Która uśmiechnęła się do niego, po czym zwróciła ponownie do matki:

– Przestań się zastanawiać, tylko pomyśl, jak cudownie będzie się wygrzewać pod karaibskim słońcem.

Charlotte wysunęła ręce przed siebie i splotła palce z palcami męża.

– Słoneczko... – powiedziała rozmarzonym głosem. – Tylko pomyśl, w święta Bożego Narodzenia będziemy wygrzewać się na słońcu...

– Takie ciepło dobrze robi na nasze stare kości – stwierdził Ben.

– Tak... Ale i tak nie mogę pogodzić się z myślą, że zostawiamy Olivię.

– Ejże! – zaprotestował Jack. – A ja to co? Wcale się nie liczę?

– Oczywiście, że się liczysz, ale jesteś tylko facetem, kochany! – rzuciła wesoło Olivia, nawiązując do argumentu matki.

– Jakoś dotąd wcale ci to nie przeszkadzało – mruknął Jack.

Olivia, spoglądając niewinnym wzrokiem na matkę, kopnęła męża pod stołem. Jack, jak to Jack, od razu zrobił z tego małe przedstawienie. Jęknął,

chwycił się za kostkę i wykrzywił straszliwie twarz, jakby ból był nie do wytrzymania.

Niestety, nikt go nie żałował, a całe to dramatyczne wydarzenie Ben podsumował bardzo optymistycznie:

– Możemy spokojnie jechać, Charlotte. Nasza Olivia wyraźnie wraca do formy. Co prawda Jack będzie musiał odwiedzić ortopedę, ale, że błysnę dowcipem, to już zupełnie inna para kaloszy. W każdym razie jedziemy. Jutro o ósmej mamy samolot do Fortu Lauderdale. Osiemnastego grudnia wchodzimy na pokład statku i przez cały tydzień kołyszymy się na falach.

– Całych siedem dni... to bardzo długo – mruknęła wciąż niepocieszona Charlotte.

– Mamo! – jęknęła Olivia. – Przez siedem dni będziesz miała jak w raju i jeszcze narzekasz?

Marsowa mina znikła, twarz matki wreszcie wypogodziła się.

– Dobrze, już dobrze. Przestaję marudzić jak głupia staruszka.

– No właśnie... – Jack rozparł się na krześle i skrzyżował ramiona. – Tym bardziej że naprawdę nie ma powodu. Zostawia mama córkę w moich doświadczonych rękach.

– W twoich! Nie, ja nie jadę! Nie ma mowy! – wykrzyknęła dramatycznie Charlotte, udając wielkie przerażenie, po czym wszyscy wybuchnęli śmiechem. Oczywiście z Charlotte włącznie.

– Klucze do domu zostawiamy Willowi – powiedział Ben. – Obiecał, że zajrzy tam co kilka dni. Justine też ma klucze, będzie opiekować się naszym Harrym.

– A jak spędzicie święta? – spytała Charlotte, spoglądając na córkę i zięcia.

– Ja biorę na siebie przygotowanie świątecznego obiadu – oświadczył

z dumą Jack.

Teściowie wyraźnie byli pod wrażeniem. Dopóki Olivia nie udzieliła dodatkowych wyjaśnień:

- Po prostu wszystko zamówi.
- Tak, ale nie byle gdzie! – dodał Jack. – Bo w D. D. 's on The Cove!
- No to rzeczywiście jest z czego być dumnym – przyznała Charlotte.
- Pyszne jedzenie, wy tylko we dwoje. Po prostu romantycznie.

– A właśnie – przytaknęła Olivia, a w jej oczach migotały wesołe iskierki. – My romantycznie tu, na miejscu, a wy na szmaragdowym morzu. Znow poczujecie, jak was łączy ta przeogromna miłość...

Palce Bena zacisnęły się mocniej na palcach Charlotte.

- Prawda... Choć w tym celu wcale nie musimy wypływać w morze...
- My też nie... – szepnęła Olivia, na moment zatapiając spojrzenie w oczach męża.

Niebawem Charlotte i Ben zaczęli się żegnać. Wreszcie sprawiali wrażenie przekonanych, że jechać mogą, a Olivii kamień spadł z serca. Nie wyobrażała sobie, żeby mogli zrezygnować z tej wyprawy, o której marzyli od dawna.

Szum silnika ucichł. Starsi państwo odjechali. Jack spojrzał na Olivię.

- Kochanie, coś mi jesteś winna.
- Ja? Tobie? Co?
- Wspomniałaś o nagrodzie. Ciasteczko odłożyłem, a więc...
- Jack!
- Nie ma – Jack! Obiecałaś! Nagroda musi być!
- Tak... A więc... – Uśmiechnęła się do męża jak najpiękniej i rozpostarła ramiona.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

– Dokąd niby mamy iść? – spytała Tanni bez cienia entuzjazmu, kiedy Shaw po zaparkowaniu samochodu podszedł do niej. Ona wysiadła pierwsza i stanęła na skraju drogi, niestety tuż obok kałuży, przez którą przed sekundą przejechał samochód, rozbryzgując wodę na wszystkie strony. W rezultacie spodnie z tyłu miała całkiem mokre.

– Chcę ci coś pokazać.

– Ale gdzie?

Shaw zachowywał się naprawdę dziwnie. Był bardzo tajemniczy, a to całkiem do niego niepodobne.

– A tam! – Wskazał las.

– Tam?! – Tanni spojrzała na drzewa, potem na swoje buty. Były nowiusieńkie, a ten las wyglądał na bardzo podmokły. Pewnie błoto po kolana, a matka drugich takich butów nigdy w życiu jej nie kupi.

– Chodź! – Chwycił ją za rękę i pociągnął za sobą.

– Shaw, dlaczego nie chcesz powiedzieć, o co chodzi? Co to za sekret?

– Zrozumiesz, kiedy będziemy na miejscu. Oprócz ciebie powiedziałem o tym tylko jednej osobie.

Czyli to dowód, że Shaw darzy ją całkowitym zaufaniem. Cieszymy się...

Weszli w las i nogi Tanni, zgodnie z przewidywaniami, zaczęły grzęznąć w błocie. Starła się nie patrzeć na katowane buty, które zresztą nagle stały się nieważne. Przecież Shaw chce pokazać jej coś, co dla niego ma ogromne znaczenie, więc ona będzie iść tak długo, jak trzeba, bez względu na stan butów.

Mimo to po przejściu kilkudziesięciu metrów spytała:

– Daleko jeszcze?

– Już niedaleko.

Dookoła rosły gęste limby, zasłaniając prawie całkiem niebo. Było mroczno, ścieżka ledwie widoczna, ale Shaw, nie puszczać ręki Tanni, pewnym i szybkim krokiem parł do przodu. Tak szybko, że Tanni potknęła się o omszałą gałąź leżącą w poprzek ścieżki.

– Shaw! – wrzasnęła.

Złapał ją w ostatniej chwili i dalej poszli zdecydowanie wolniej. Kiedy Tanni obejrzała się do tyłu, zauważyła, że drogi już nie widać, wokół był tylko las. I dokąd ten Shaw ją prowadzi? Może do jakiejś opuszczonej chaty albo...

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił. – Znalazłem to bardzo dawno, kiedy jeszcze byłem dzieciakiem.

Ale co? Tanni rozejrzała się dookoła. Las, wszędzie tylko las. Nie zauważyła niczego szczególnego. Znów się rozejrzała, tym razem jeszcze bardziej uważnie. I nic. A Shaw zaczął odciągać na bok grube konary leżące na ziemi. Kiedy odsunął trzecią gałąź, Tanni zobaczyła wreszcie cel ich wędrówki.

Wejście do jaskini.

Shaw, dumny jak paw, uśmiechnął się szeroko i wskazując pieczarę, krzyknął triumfalnie:

– Ta da!

Tanni mieszkała w tych stronach od urodzenia, nigdy jednak nie słyszała o żadnych jaskiniach. Jej brat, Nick, też nigdy o nich nie wspomniał, a wiedziała, że gdyby na jakąś natrafił, na pewno by ją spenetrował, a potem pochwalił się siostrze.

- Czy ktoś wie o tej jaskini? – spytała.
- Chyba nie, tym bardziej że to ziemia stanowa i mało kto tu się zapuszcza.
- Jak na nią natrafiłeś?
- Gdy miałem osiem lat, wstąpiłem do zuchów. Kiedyś zrobiliśmy wycieczkę po tym lesie. Odłączyłem się od reszty i po jakimś czasie nie mogłem ich już odnaleźć. Po prostu się zgubiłem.
- Masz złą orientację w terenie?
- Bez przesady, taką jak wszyscy. Po prostu w lesie, jak wiadomo, bardzo łatwo się zgubić.
- I wtedy znalazłeś tę jaskinię?
- Tak. Zaczął padać deszcz, wszedłem więc do środka i usiadłem tuż przy wejściu. Po jakimś czasie usłyszałem, że mnie wołają. Pobiegnę do nich, ale o jaskini nikomu nie powiedziałem.
- Dlaczego? – Dziwne, że nikomu nie pochwalił się takim odkryciem. Ona na jego miejscu roztrąbiła – by to na cały świat!
- Dlatego że dzieciaki śmiały się ze mnie. Wiesz, bo się zgubiłem. Obraziłem się na nich i o jaskini nikomu nie pisałem ani słowa.
- Ale jednej osobie powiedziałeś...
- Po wielu latach, Ansonowi. Stało się to tej nocy, kiedy uciekł z Cedar Cove. Powiedziałem mu, że zaprowadzę go do tej jaskini. Trochę trwało, zanim ją odnalazłem, ale udało się. Anson spędził w niej dwa dni, dopóki nie obmyśliliśmy, jak ma uciekać dalej.
- Naprawdę zrobiłeś to dla niego? – Gdyby ktoś przyłapał go wtedy z Ansonem, miałyby poważne kłopoty, jednak Shaw nie wahał się pomóc przyjacielowi. Tanni wiedziała, że kupił mu bilet, zawiózł Ansona do Seattle i wsadził do autobusu.

– Oczywiście! Lepszego kumpla nigdy nie miałem. A teraz mam jeszcze ciebie.

Te słowa wzruszyły ją prawie do łez. Ona i Shaw. Para, a jednocześnie najlepsi przyjaciele. Dla siebie nawzajem byli gotowi podjąć największe ryzyko. Tanni nigdy nie miała kogoś takiego. Prawdziwego przyjaciela. Miała tylko przyjaciółki, z którymi dzieliło się jakieś głupie, mało ważne sekrety i gadało głównie o chłopakach.

– Uznałem, że ta jaskinia będzie dla niego najlepszą kryjówką. Obiecał mi, że nikomu o niej nie powie, i dotrzymał obietnicy.

– Nie powiedział nawet Allison Cox?

– Jestem pewien, że nie.

– Ale mnie... mnie ją pokazałeś.

– No tak. Teraz wejdziemy do środka. Byłem tu całkiem niedawno... – Wziął ją za rękę. – Jak będziesz wchodzić, pochyl głowę.

Zrobiła, jak kazał, i zanurzyli się w ciemność. Na szczęście były to ciemności nieprzeniknione tylko przez chwilę, ponieważ Shaw miał latarkę. Gdy ją zapalił, okazało się, że jaskinia ma około trzech metrów wysokości, można się więc było poruszać po niej swobodnie. W ścianach, w twardej glinie ktoś

– niewątpliwie Shaw – wyłobił małe nisze, w których stały duże świece. Gdy Shaw zapalił pierwszą, mrok jaskini natychmiast zmienił się w półmrok. Po chwili paliły się już wszystkie świece.

Tanni zauważyła na nich zastygłe strużki wosku, a to oznaczało, że ktoś już te świece przedtem zapalał.

– To Anson wykuł te nisze – powiedział Shaw.

– Siedział tu dwie doby, nudziło mu się, znalazł więc sobie zajęcie.

– Okropnie tak siedzieć w ciemnościach.

– A pewnie. Anson poprosił, żebym kupił świece, a sam wymyślił te nisze w ścianach. Ale kupiłem mu też latarkę i trochę innych rzeczy.

Tanni zauważyła przykryty folią śpiwór i składane krzesło turystyczne. Bez wątplenia ten sprzęt zorganizował Ansonowi Shaw.

– Powiedziałeś, że byłeś tu niedawno. Po co?

Ponownie wziął ją za rękę.

– Podczas ostatniego weekendu po raz któryś z rzędu ściałem się z ojcem. Naciska, żebym studiował prawo. Rozumiesz, po to przez całe życie rozwijał swoją firmę, żeby kiedyś mi ją przekazać. Jeśli chcę rysować czyjeś buźki, mogę mieć takie hobby, ale nie może to być moja praca.

– Och, Shaw...

– Ścieliśmy się na maksa i w rezultacie ojciec kazał mi się wynosić z domu. Wyrzucił mnie. Powiedział, że albo idę do college'u studiować prawo, albo nie mam prawa mieszkać pod jego dachem.

Czyli to była przyczyna złego nastroju Shawa! Od kilku dni był nieswój. Tanni podpytywała go, co jest tego przyczyną, ale zbywał ją albo zapewniał, że wszystko jest w najlepszym porządku. Dopiero teraz opowiedział o kłótni z ojcem.

– I przyszedłeś tutaj?

– Spędziłem tu jedną noc. Omal nie zamarzłem.

– O Boże... – Tanni zasłoniła ręką usta.

– Rano zadzwoniłem do matki. Powiedziała, że rozmawiała z ojcem i mam wracać do domu. Więc tak zrobiłem i powiedziałem ojcu, że zrobię maturę zaocznie, a on wyraźnie wyluzował. Zapowiedział tylko, że do pierwszego stycznia mam powiedzieć mu, co zdecydowałem w sprawie college'u.

– Święta możesz spędzić u nas. – Rozmawiała już o tym z matką,

która nie zgłaszała żadnego sprzeciwu. – Jeśli oczywiście chcesz – dodała szybko.

– Dzięki, ale zobaczymy, jak ułoży się w domu.

– Oczywiście – przytaknęła Tanni, cały czas jeszcze przeżywając fakt, że Shaw musiał spędzić w tej jaskini sam całą noc.

– Właściwie to wtedy w ogóle nie spałem – powiedział, jakby czytając w jej myślach.

– Nie dziwię się – mruknęła Tanni, czując, jak po plecach przelatuje jej zimny dreszcz.

– W dzień da się wytrzymać, kiedy masz świadomość, że na dworze jest jasno.

– A co robiłeś w nocy?

– Wlazłem do śpiwora i starałem się zasnąć, a potem próbowałem rozpałić ognisko koło wejścia, ale gałęzie były za mokre. Było mi cholernie zimno, odpuściłem więc spanie i postanowiłem zbadać dokładnie jaskinię.

– W nocy? – zdziwiła się Tanni, ale zaraz dotarło do niej, że tutaj zawsze panują nieprzeniknione ciemności.

– To był już właściwie świt. W każdym razie miałem latarkę. I wiesz, odkryłem, że z tej jaskini można przejść do następnej, a potem do jeszcze jednej. I tam właśnie to zobaczyłem.

– Zobaczyłeś? Co?!

Oczywiście Tanni umierała z ciekawości.

Palce Shawa zacisnęły się na jej ręku mocniej.

– Sama zobaczysz. – Pociągnął ją za sobą. – Ale obiecaj, że nie będziesz się bała.

– Oczywiście, że nie. Nie tak łatwo mnie wystraszyć. – Nie mdlała na widok pajaka, a nawet nietoperza, a pomyślała, że może właśnie o to chodzi.

O nietoperze. Słyszała przecież, że całe ich kolonie gnieźdzą się w jaskiniach.

– To dobrze. – Shaw pocałował ją. Miał bardzo zimne wargi, pewnie tak samo zimne jak jej. A kiedy już skończył całować, powiedział: – Czasami...

– Urwał gwałtownie.

Tanni, co zrozumiałe, bardzo interesowała dalsza część wypowiedzi.

– Co, Shaw? Co się dzieje czasami?

– Później ci powiem.

– Nie, teraz. Proszę! – Objęła go za szyję.

Odetchnął głęboko i oparł się czołem o jej czoło.

– Czasami, kiedy rysuję, tak sobie myślę, że może kiedyś będziemy pracowali razem. Oboje zostaniemy artystami...

W głowie Tanni natychmiast powstała wizja tego, o czym mówił Shaw. Na moment zapomniała, że są w jaskini, w której każdy czułby się nieswojo. Ale Shaw pocałował ją, a teraz powiedział coś tak cudownego...

– Podoba mi się! – powiedziała z wielkim entuzjazmem.

Shaw pocałował ją jeszcze raz.

Tym razem pocałunek przerwała Tanni.

– Shaw, zapomniałeś? Miałeś mi coś pokazać!

– Tak... – przyznał, z trudem łapiąc oddech.

– Powiedz mi tylko jeszcze, czy to coś dobrego, czy złego?

– Złego. – Skrzywił się. – Niestety.

– Złego – powtórzyła z wolna Tanni. – A jak bardzo? W jaki sposób?

– Zobaczysz. Miałem zamiar nikomu o tym nie mówić. To znaczy powiedziałem o tym tylko Ansonowi. Zadzwoiłem do niego, a on uznał, że czegoś takiego nie powinienem ukrywać. I chyba ma rację.

Był spięty. Tanni wyczuwała to doskonale, więc, co oczywiste, poczuła lęk. Coś złego... To musi być coś naprawdę złego, skoro Shaw wciąż unika konkretów. Jakoś nie może mu to przejść przez gardło.

– Gotowa? – spytał.

– Tak. Jak zawsze.

– Pamiętaj, nie bój się.

– Pamiętam. Shaw, ale tu oprócz nas nikogo już nie ma?

– Nie – odparł z pewnym wahaniem, jakby chciał dodać, że ma taką nadzieję, po czym z plastikowej torby rzuconej pod ścianą wyjął dużą latarkę, chwycił Tanni za rękę i poprowadził w głąb jaskini. Szli powoli, snop światła przemykał po ścianach, rozświetlając je, a tuż obok czał się mrok. Odgłos ich kroków był bardzo dziwny, taki jakiś... chlupiący.

Tanni czuła, że zaczyna dygotać.

Kiedy weszli do następnej, mniejszej jaskini, zatrzymała się.

– Tanni? Jak z tobą?

– Sama nie wiem. Daleko jeszcze?

– Nie, nie. Tylko kawałeczek.

Czuła, że naprawdę będzie nieprzyjemnie. Strasznie. Jej serce biło jak szalone, na czole pojawiły się krople potu, ale kamie posuwała się do przodu, aż wreszcie Shaw się zatrzymał.

Wtedy to zobaczyła. W pierwszej chwili pomyślała, że to martwe zwierzę, lecz zaraz do niej dotarło, że widzi człowieka. To znaczy ludzki szkielet. Prawdopodobnie za życia był to mężczyzna. Siedział oparty o ścianę. Na głowie, na czaszce miał czapkę bejsbolówkę, która zsunęła się trochę na bok, odsłaniając kępki włosów. Ubranie było w strzępach, na kościach stóp były tenisówki.

Tanni krzyknęła i szybko odwróciła się do Shawa.

– W porządku? – spytał cicho.

– Trzeba natychmiast zawiadomić szeryfa! – powiedziała, niestety czując, że jest bliska hysterii.

– On... Ten... człowiek musi tu być od bardzo dawna.

– Nieważne, jak długo. Przecież to był człowiek, ktoś, kto tutaj umarł. Na pewno strasznie się bał. Trzeba jak najszybciej zadzwonić do szeryfa.

– Dobrze. Masz rację, chociaż szczerze mówiąc, nie zamierzałem zwracać mu tym głowy.

Tanni przeciwnie. Przecież ten człowiek na pewno nie umarł z własnej, nieprzymuszonej woli. Ktoś mu w tym pomógł, dlatego sprawiedliwości powinno stać się zadość, a nieszczęsne szczątki trzeba pochować z należyty szacunkiem.

– Chodź, Shaw. Komórkę zostawiłam w samochodzie.

Po półtorej godziny na drodze pod lasem pojawiły się wozy policyjne z migającym czerwonym światłem. Wysypali się z nich policjanci. Wyjęli z samochodów duże reflektory i weszli do jaskini, idąc za wskazówkami Shawa.

On zaś i Tanni, trzymając się za ręce, siedzieli w samochodzie szeryfa Troya Davisa. Przedtem szeryf rozmawiał z Shawem, a jeden z jego zastępców przesłuchał Tanni. Zeznali to samo, co oczywiste, więc ich nie rozdzielono.

Po jakimś czasie szeryf otworzył drzwi samochodu.

– Shaw, kiedy dokładnie znalazłeś te zwłoki?

– Jak już mówiłem, trzy dni temu.

– Pytam jeszcze raz. Niczego nie dotykałeś? Nie przesuwalesz szczątków w inne miejsce?

– Nie. Tak jak powiedziałem, nie dotykałem niczego.

Szeryf Davis zaczął zapisywać coś w swoim notatniku, a z jaskini wyszło dwóch policjantów z wielkim czarnym plastikowym workiem, który zanieśli do ambulansu.

– Kto to był? – spytał Shaw. – Wiadomo już?

Szeryf pokręcił głową.

– Tego nie mogę powiedzieć.

Tanni i Shaw spojrzeli po sobie.

– Czy to znaczy, że zidentyfikowaliście już ciało, ale panu nie wolno nam wyjawiać, o kogo chodzi? – spytała Tanni. – Czy też wciąż nie wiadomo, kto to był?

Szeryf zmarszczył brwi.

– Nie wiadomo.

– Czyli będziecie szukać w rejestrze osób zaginionych...

– Będziemy szukać, gdzie trzeba. – Troy Davis głośno zamknął notes.

– I znajdziemy. Odkąd ja jestem szeryfem w Cedar Cove, nie ma tu morderstw niewyjaśnionych. To też nie będzie wyjątkiem.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Christie podczas przerwy na lunch sprawdziła pocztę głosową. Było coś. Nagrała się Teri, w ciągu kilku godzin trzykrotnie. Niestety, każde kolejne nagranie było jeszcze bardziej radosne. Podejrzanie radosne, czyli coś musiało się stać.

Oddzwoniła natychmiast.

– Możesz wieczorem wpaść do nas? – spytała Teri bez żadnych wstępów.

Christie odetchnęła głęboko. Była prawie pewna, że telefony siostry mają związek z Jamesem i tym reporterem.

– Teri, ten artykuł się ukazał, czy tak?

– Wszystko powiem, jak się zobaczymy.

Christie znów odetchnęła głęboko, bo niestety był jeszcze jeden powód do niepokoju, i naprawdę bardzo istotny.

– Teri, a ty... czujesz się dobrze?

– Super – zapewniła ją Teri. – Cała trójka rozrabia aż miło. Teraz jestem pewna, że zrobili sobie mecz. Piłka nożna!

Christie, choć tak pełna niepokoju, jednak musiała się uśmiechnąć.

– Kochane dzieciaki... Teri, naprawdę nie możesz mi powiedzieć, o co chodzi?

– Nie. Przyjedź do nas zaraz po pracy. Możesz?

– Jasne.

W rezultacie Christie była okropnie zdenerwowana, tym bardziej że ostatnio nastrój miała raczej kiepski, ponieważ wiedziała, że z Jamesem zobaczy się dopiero w święta. Zadzwoił do niej i nagrał się na pocztę.

Powiadomił, że wyjeżdża, co najmniej przez tydzień nie będzie go w Cedar Cove. Może wyjechał z powodu tego nieszczęsnego artykułu, który mógł ukazać się w każdej chwili. Christie podczas rozmowy z reporterem próbowała wyciągnąć z niego, kiedy ma zamiar opublikować swoje rewelacje na temat Jamesa Gardnera, jednak nic jej nie powiedział. Może sam jeszcze nie wiedział, a może po prostu nie chciał tego zdradzać.

A James nawet nie poinformował jej, dokąd jedzie. Zapewnił tylko, że będą w kontakcie. Ale i tak cudnie, że się nagrał. Christie wielokrotnie włączała pocztę, zamykała oczy i po raz kolejny słuchała głosu Jamesa. Tamten sobotni wieczór był po prostu magiczny. Zjedli łososia – na szczęście Christie udało się dać prawdziwy popis sztuki kulinarnej. Potem siedzieli przed kominkiem zapatrzeni w ogień. James obejmował Christie, a ona na jego ramieniu oparła głowę. Było po prostu przecudownie. Nigdy dotąd nie czuła takiej bliskości z mężczyzną. Lista jej byłych kochanków, co tu ukrywać, była długa, ale przy żadnym z nich ani przez sekundę nie czuła się tak jak wtedy, kiedy była z Jamesem.

Z Jamesem wszystko było inaczej.

Mógł z nią się przespać już co najmniej dziesięć razy. Nie miałyby nic przeciwko temu, tym bardziej że czuła coś bardzo ważnego: James naprawdę jej pragnął. To było wręcz oczywiste. Każda komórka w jego ciele domagała się Christie, podobnie jak komórki w ciele Christie domagały się Jamesa. Czuła, że niebawem dojdzie do zaspokojenia obopólnych pragnień, z tym że ten aspekt nie był jedynym w jej związku z Jamesem. O nie. To było coś o wiele głębszego, coś bardzo... szlachetnego. Nie chodziło tylko o potrzeby ciała czy o to, w czym jedna strona może przydać się drugiej.

Kochali się.

W każdym poprzednim związku Christie czuła się niepewnie. Za każdym razem, kiedy faceta nie było przy niej, zastanawiała się, czy nie jest teraz z inną kobietą. Czy wróci do niej. A kiedy już wrócił, zastanawiała się, czy jej jeszcze chce. Czy kiedy kocha się z nią, nie myśli o tej drugiej kobiecie...

Z Jamesem było całkiem inaczej. Wyjechał, a Christie w ogóle się nie martwiła, czy celem jego wyjazdu nie było spotkanie z inną kobietą. Czy James po prostu nie porzucił jej. Była pewna, że wróci i może faktycznie w Wigilię pomoże jej roznosić świąteczne koszyki dla potrzebujących. Skontaktowała się już z Armią Zbawienia w Seattle. W dzień Bożego Narodzenia będzie pomagać w wydawaniu posiłku bezdomnym. Może James dołączy do Christie, a potem – tego już była pewna – pojedzie do niej i razem zasiądą do świątecznego stołu. Nie mogła się doczekać, kiedy weźmie się do pieczenia. Od tygodnia studiowała książki kucharskie i obmyślała menu. To były jej najprzyjemniejsze godziny. Bo szczerze mówiąc, to Christie absolutnie miała zadatki na kurę domową. Czego nikt nie podejrzewał, nawet Teri.

W drodze do siostry, kiedy przejeżdżała przez Cedar Cove i wszędzie widziała świąteczne dekoracje, reagowała na nie całkiem inaczej. Kiedyś na ich widok robiło jej się smutno, a w tym roku przeciwnie, bo odczuwała radość. Cieszyła się jak dziecko z nadchodzącymi świątami. Cieszyła tak bardzo, że zawsze kończyło się na wilgotnych oczach.

Miała wielką nadzieję, że problem, który niewątpliwie zaistniał, nie ma żadnego związku z ciążą Teri, bo mimo jej zapewnień, że wszystko jest wspaniale, wszyscy wokół czuli pewne obawy. Przecież to trojaczki!

Trojaczki. W sumie nic dziwnego. Droga siostrzyczka, jak się już do czegoś zabierze, nie poprzestaje na byle czym!

Kiedy przejechała przez bramę, zobaczyła Teri, która czekała na nią przed drzwiami. Minę miała przerażająco poważną.

Christie szybko zaparkowała, wyskoczyła z samochodu i pognęła do siostry, która szybko wciągnęła ją do środka.

– Teri! Co się dzieje? Mów!

– Artykuł już się ukazał – powiedziała Teri, maszerując do pokoju dziennego. – Miałś całkowitą rację...

– A gdzie Bobby?

– W bibliotece. Dyżuruje przy telefonie. Chyba wszyscy reporterzy świata raptem zapragnęli pogawędki z Jamesem, a ponieważ nie mogą go złapać, dzwonią do Bobby'ego. – Teri na moment zacisnęła usta w wąską kreskę, co było wyrazem wielkiej dezaprobaty. Stanowczo by wolała, żeby to James konferował z reporterami, a nie cedował tego na jej męża.

Dla Christie reakcja siostry była w pełni zrozumiała. Żona staje za mężem murem, tak powinno być zawsze. Niemniej uznała, że Teri nie jest tak do końca sprawiedliwa. James po prostu nie mógł tu zostać, tu, gdzie każdy z łatwością mógłby go wytropić, kiedy jego tożsamość przestała być tajemnicą.

Dlatego wyjechał.

Nagle uświadomiła sobie, że owszem, Teri jest niezadowolona z wyjazdu Jamesa, chociażby ze względu na Bobby'ego. Ale jest też bardzo zdenerwowana, czyli za tym coś jeszcze się kryje. Na pewno coś niedobrego, skoro siostra za żadne skarby świata nie chciała mówić o tym przez telefon.

Serce Christie zabiło jak oszalałe.

– Teri, powiedz, czy Jamesowi stało się coś złego? Miał wypadek?!

– Christie...

– O Boże! – Palce Christie wczepiły się w ramię siostry. – Jest ranny?

Mów!

– Nie było żadnego wypadku.

Ulga! Jaka ulga! Christie, niezdolna utrzymać się na nogach, osunęła się na krzesło.

– Chwała Bogu! – Niemniej siostra nie powiedziała jeszcze, o co w tym wszystkim chodzi. – Teri...

– Zrobię kawy.

Poszła do kuchni, Christie, oczywiście za nią.

– Teri, powiedz, co się dzieje.

– James... – Odetchnęła głęboko raz i drugi, wreszcie wyjawiała: – James zrezygnował.

– Zrezygnował? Z czego? O czym ty mówisz?!

Teri spojrzała jej prosto w oczy.

– Zrezygnował z pracy u Bobby’ego.

Christie potrzebowała minuty, żeby treść tych słów dotarła do niej. A kiedy już to się stało, to na następną minutę osłupiała. Po prostu stała jak przysłowiowy słup soli, wlepiając oczy w siostrę.

Teri naląka kawę, a Christie odruchowo odebrała kubek.

Jeszcze minuta i była w stanie już coś powiedzieć.

– No cóż... Po prostu znudziło mu się wożenie Bobby’ego. – Zabrzmiało to bardzo gorzko. – Ale to jeszcze nie koniec świata, prawda?

Ta sprawa z jego przeszłością też szybko przyschnie. Ta sensacja, że kierowca mistrza Polgara jako dziecko i nastolatek sam był mistrzem. Ludzie pokarmią się tym, ale po kilku dniach zapomną. A z pracy James miał pełne prawo zrezygnować.

Teraz Teri wlepiała oczy w Christie i spytała:

– Czy James odzywał się do ciebie?

– Nie... – Jak dotąd nie martwiło to jej. Ale teraz...

– Christie, co ci powiedział, kiedy po raz ostatni kontaktował się z tobą?

– Powiedział, że wyjeżdża. – Wyjęła komórkę i odsłuchiwała nagranie Jamesa. – Na jakiś czas. – Nie określił, kiedy wraca. Absolutnie nie. To ona sobie wyobraziła, że wróci na święta...

Christie wypła łyk wyjątkowo mocnej kawy.

– Bobby jest zdruzgotany – powiedziała Teri.

– Mówi, że czuje się tak, jakby James wbił mu nóż w plecy.

– Chyba trochę przesadza... – bąknęła Christie przed kolejnym łykiem kawy.

Na co Teri zareagowała bardzo gwałtownie:

– Wcale nie! Przez wszystkie te lata Bobby był absolutnie lojalnym przyjacielem Jamesa. A on wypiął się na niego! Zwiął, zostawiając wszystko na głowie Bobby'ego! Naprawdę sobie na to nie zasłużył!

Jednak Christie była odmiennego zdania, ale milczała.

– Odejść tak z dnia na dzień, i to w taki sposób – mówiła ze złością Teri. – To się w głowie nie mieści!

– A w jaki sposób?

– A w taki, że nie zamienił z Bobbym ani słowa! Napisał tylko list, że odchodzi, i znikł. Nie mamy pojęcia, gdzie jest! Czy ty nie rozumiesz, że Bobby najzwyczajniej w świecie o niego się martwi? Boi się, że James znów ma załamanie nerwowe! Ale ja jakoś w to nie wierzę. Moim zdaniem nie ma żadnego załamania, tylko to wszystko sobie na chłodno zaplanował.

Christie odruchowo wyprostowała się, w pierwszej chwili gotowa bronić Jamesa, ale zaraz dotarło do niej, że siostra chyba ma rację. Przecież

ten telefon w sumie też jest podejrzany. James zadzwonił w godzinach pracy, kiedy wiadomo było, że Christie nie odbierze. Wyraźnie chciał uniknąć rozmowy i tylko się nagrał.

Ale...

– Nie. On na pewno wróci – powiedziała. Bo wróci. Nie dopuszczała żadnej innej możliwości.

– Nie sądzę – mruknęła Teri.

– Dlaczego tak mówisz?!

Christie z trudem udawało się zachować panowanie nad sobą. Co ta Teri wygaduje! James wyjechał na jakiś czas, żeby ukryć się przed natarczywymi reporterami. Chce przeczekać, aż to wszystko się uspokoi. Inny wariant był dla niej nie do przyjęcia. Nie dopuszczała do siebie myśli, że James odszedł na zawsze. Absolutnie nie. Każdy inny facet – tak. Ale nie James! Bo ją kocha. Kocha też Bobby’ego i Teri. Przecież sam powiedział, że to oni są jego rodziną.

A ona... Ona obnażyła przed nim swoją duszę całkowicie. Opowiedziała mu takie rzeczy, o których komuś innemu nie pisnęłaby ani słowa. On też opowiadał jej o sobie. Niewiele, ale zawsze. Powiedział o spapranych dzieciństwie, o nacisku ze strony rodziców i instruktora. O tym, że załamanie nerwowe położyło kres jego karierze. I niejednokrotnie powtarzał, jak bardzo jest Bobby’emu za wszystko wdzięczny.

– Nie, Teri. Jestem pewna, że James nigdy by nie opuścił Bobby’ego.

Od Christie mógłby odejść. Od Bobby’ego – nigdy. Bo James wobec Bobby’ego i Teri był niezwykle lojalny.

– Chciałabym też tak myśleć – powiedziała cicho Teri.

– On wróci – oświadczyła bezapelacyjnym tonem Christie. – Potrzebuje kilku dni samotności na zebranie myśli, ale wróci, bo tu jest jego

dom i jego najbliżsi...

Oczywiście, że mówiąc „najbliżsi”, brała pod uwagę również siebie, nie dopuszczając myśli, że James mógłby ją rzucić, jak niejeden już facet. Po prostu tego nie robi. Nie po tym, co mu opowiedziała. Bo na pewno nie chce jej zranić... Gdy Teri milczała, Christie wykrzyknęła:

– Czyli jednak nie wierzysz, że on wróci?!

– Bardzo bym tego chciała.

– A więc posłuchaj. Może dla ciebie będzie to szok, ale powiem ci. Bo chyba powinnam. James i ja kochamy się.

– Wiem – powiedziała Teri drewnianym głosem.

– Wiesz?!

– Na litość boską, Christie! Wystarczyło na was spojrzeć! Wiem już od dawna, to zaczęło się jeszcze przed porwaniem.

Już wtedy? Ciekawe, bo ona ze swoich uczuć zdała sobie sprawę dopiero niedawno. Ale cóż...

Gdy wstała, zobaczyła Bobby'ego, który właśnie wszedł do kuchni.

– Cześć, Bobby! – zawołała specjalnie bardzo radośnie, a on zamrugał, jakby w pierwszej chwili jej nie poznał. – Bobby, to ja, Christie. Siostra twojej żony!

– Przecież wiem – mruknął. – Cześć...

– Proszę, nie pękaj. On na pewno wróci – powiedziała żarliwie Christie, starając się dodać otuchy i Bobby'emu, i Teri. – Owszem, jego posunięcie było dość... drastyczne, ale jestem pewna, że tego nie chciał. Po prostu tak wyszło.

– Nieprawda – zaprzeczył Bobby głosem drewnianym.

– A ja jestem pewna, że po prostu się wystraszył i zadziałał pochopnie.

A może to głupi żart i jutro pojawi się tutaj?

Raczej nie wydawało jej się to możliwe, ale gotowa była powiedzieć wszystko, żeby siostra i szwagier w końcu się rozchmurzyli.

Bobby natychmiast odrzucił taką opcję:

– Żart? Przecież James, tak jak ja, nie zna się w ogóle na żartach.

– Och...

Skrzydła Christie trochę opadły. Nie bardzo wiedziała, co teraz powiedzieć.

Może to:

– A dokąd mógł pojechać?

Bobby bezradnie potrząsnął głową.

– Cały czas się nad tym zastanawiamy – powiedziała Teri. – Bobby zna go prawie od urodzenia, ale nie ma żadnego pomysłu. James zresztą nigdy nie robił takich numerów.

– Skąd u was ta pewność, że nie wróci? – spytała Christie, a gdy Teri i Bobby wyraźnie ociągali się z odpowiedzią, wykrzyknęła triumfująco: – No i sami widzicie! Wcale nie jesteście tego pewni! Ja uważam, że trochę przesadzamy. James kocha nas wszystkich. Dajmy mu dzień, dwa i zobaczycie. Nagle okaże się, że jest u siebie, w swoim mieszkaniu. Jakby nigdy nic.

– Ale on... zabrał ze sobą wszystkie swoje rzeczy

– powiedział cicho Bobby.

W tym momencie serce Christie na moment przestało bić.

– Bobby? Co powiedziałaś? Wszystko? Zabrał ze sobą wszystko?!

– Tak. Wszystkie rzeczy osobiste. Komputer, ubrania, książki – powiedziała Teri. – On odszedł, Christie, a my zastanawiamy się, czy jeszcze kiedykolwiek pojawi się w Cedar Cove.

Czyli odszedł na dobre. Zabrał ze sobą wszystko i nigdy tu już nie

wróci.

Bobby znał go jak nikt i jeśli jest przekonany, że James odszedł na zawsze, to najprawdopodobniej się nie myli.

Nigdy nie wróci do Cedar Cove.

Christie była w stanie wydobyć z siebie tylko cichutki szept podszyty chrypką:

– Ale dlaczego... Dlaczego to zrobił...

Bobby milczał.

Mężczyźni pojawiali się w jej życiu i znikali, ale kiedy pojawił się James, powiedziała sobie, że tym razem będzie inaczej. Bo on jest inny. Jest kimś szczególnym. Okazało się jednak, że kiedy pojawił się pierwszy problem, po prostu uciekł.

Christie, połykając łzy, spojrzała w sufit.

– Dlaczego tak jest? Dlaczego zawsze natrafiam na nieodpowiednich facetów?

Co prawda ten przynajmniej jej nie bił, nie okradł i nie zdradzał. Tak samo nie pił ani w domu, ani poza domem. Nic z tych rzeczy. James „Wilbur” Gardner faktycznie był w życiu Christie kimś szczególnym.

I zrobił też coś bardzo szczególnego. Złamał jej serce, i to w sposób tak bezwzględny, jak żaden facet dotąd.

Stąd ten ból. Ból nie do zniesienia.

Christie zerwała się na równe nogi.

– To ja już lecę. Dzięki. Aha... I wesołych świąt!

– Christie – odezwała się cicho Teri. – Nie chcieliśmy psuć ci Bożego Narodzenia, ale...

– Daj spokój, Teri! Niczego nie zepsuliście! Święta przecież jeszcze przed nami! Jeszcze nacieszymy się nimi wszyscy! – Chwyciła swoją

torebkę i pognęła do drzwi. Jeśli się pospieszy, zdąży, zanim zamknę.

Pospiesz się dokąd?

Wiadomo – do Pink Poodle.

TTLR

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Tego właśnie obawiał się Dave Flemming. Telefonu od szeryfa Davisa, który uprzejmie poprosił, by wpadł do niego jak najszybciej. Bo z tą sprawą nie można czekać, aż miną święta. Tak powiedział szeryf, a w podtekście... No cóż, jeśli nie zjawi się u niego z własnej, nieprzymuszonej woli, szeryf wyśle po pastora któregoś ze swoich zastępców.

– Pojedziesz do niego, prawda? – spytała Emily, wbijając w niego błagalny wzrok.

Dave przez moment milczał, nadal trzymając w ręku słuchawkę.

– Nie mam wyboru – oświadczył po dłuższej chwili.

– Dave, a może jednak powinniśmy zaangażować prawnika?

Owszem, powinni. Dave absolutnie był za, niestety wiązało się to z dużymi kosztami.

– Nie możemy sobie na to pozwolić, Emily.

– Dave, przede wszystkim to my nie możemy pozwolić sobie na to, żeby go nie wynająć! Przecież szeryf może cię zaaresztować! To wcale nie jest wykluczone. O Boże... – Z wielkiego przerażenia na moment straciła głos.

Dave, choć wiedział, że żona wierzy w jego niewinność, poczuł jednak potrzebę powiedzenia kilku słów w swojej obronie:

– Emily, ja pani Evans niczego nie ukradłem. Wierzę, że prawda wyjdzie na jaw i wszystko się ułoży.

– Tak uważasz?! – wybuchnęła. – To się grubo mylisz! Nie oglądałeś tych programów o różnych przestępstwach? Policji jest wszystko jedno, czy jesteś niewinny, czy nie. Im zależy tylko na tym, żeby ktoś dostał wyrok!

– Nie przesadzaj, Emily.

Telewizja to telewizja, pokazują tam różne rzeczy, ale Cedar Cove to nie telewizja. Szeryf Davis był człowiekiem bezwzględnie uczciwym. Dla niego najważniejsza była sprawiedliwość, a nie ilość osób, które udało mu się doprowadzić przed oblicze sędziego.

Emily zaczęła nerwowo kręcić obrączką.

– Dave, a może coś sprzedamy? Albo zastawimy w lombardzie...

– Nie ma mowy!

– A Roy McAfee? – spytała Emily, wyraźnie już na pograniczu paniki. – Płacisz mu, a więc...

– Nie płacę. Nie chciał ode mnie ani centa.

– No tak... Ale Dave, przecież jeśli pójdziesz do więzienia...

– O tym też nie ma mowy, Emily. – Powiedział to bardzo stanowczo, choć pewności żadnej nie miał. Jego jedyne atuty to świadomość, że niczego nie ukradł, oraz fakt, że przypuszczalnie Roy McAfee wierzy w jego niewinność. Bardzo optymistycznym był fakt, że Roy wspomniał, że policja ma jeszcze jednego podejrzanego. Od tej rozmowy upłynęło jednak kilka dni i jak dotąd nic z tego nie wynikło. Tak więc jeśli szeryf zatrzyma Dave'a, wtedy faktycznie trzeba będzie wynająć prawnika. Ale tylko wtedy.

Emily przymknęła oczy.

– Szkoda, Dave, że nie oglądasz częściej serialu „Prawo i porządek”. Wtedy wiedziałbyś, o co mi chodzi!

Tyle że on nie miał czasu na wysiadywanie przed telewizorem.

– Przesadzasz, Emily. Gdybym mieszkał w Nowym Jorku, może i opłaciłbym prawnika, ale jesteśmy w Cedar Cove, a szeryf jest moim przyjacielem.

– Niestety, Dave, obawiam się, że kiedy zbierze wszystkie dowody, to

przestanie być twoim przyjacielem.

Dave westchnął. Patrząc na to z boku, bardzo łatwo uznać go za winnego, chociażby dlatego, że nie potrafi wyjaśnić, skąd wzięły się te nieszczęsne kolczyki w kieszeniach jego marynarki. Nie miał też pojęcia, dlaczego list Marthy, który widział przecież na własne oczy, nie został dołączony do innych dokumentów.

Dlatego postanowił już się nie ociągać i posłuchać rady żony.

– Dobrze. Zrobię, jak mi radzisz, ale przedtem zadzwonię do Roya.

Oczywiście, że szeryfa darzył bezwzględny zaufaniem, nie zaszkodzi jednak mieć u swojego boku osobę życzliwą. Dave nienawidził samej myśli, że on, człowiek w końcu niewinny, a do tego z gruntu uczciwy, będzie musiał się bronić. Ale, jak mówią, wszyscy są podejrzani, łącznie z pastorem.

Emily złożyła ręce jak do modlitwy.

– Chwała Bogu! I cudownie, że będzie ci towarzyszył Roy!

Dave starał się spojrzeć na wszystko optymistycznie, jednak finał był nie do przewidzenia. Jeśli go zaaresztują i oskarżą, Emily sama nie da sobie rady z finansami. Już po kilku tygodniach dojdzie do katastrofy w płatnościach, dom przejmie bank i Emily razem z dziećmi będzie musiała zamieszkać u swoich rodziców...

Zdawał sobie sprawę, że o tym najczarniejszym scenariuszu nie powinien teraz myśleć. Ale co poradzisz. W końcu właśnie ten najczarniejszy jest całkiem możliwy...

Wystukał numer Roya. Pogadali chwilę, a Emily nie spuszczała z Dave'a wzroku.

– No i co? – spytała niecierpliwie, kiedy mąż skończył rozmowę.

– Rozmawiałem z Corrie. Powiedziała, że Roy jest u szeryfa i byłoby

dobrze, gdybym właśnie teraz tam pojechał.

Emily wyraźnie zbladła.

– Ta ja lecę po płaszcz – oznajmiła.

Dave poczuł się bardzo niepewnie.

– Em, a może ja jednak z tym jeszcze poczekam?

– Chcesz czekać? Na co?! Na to, że sami tu przyjdą, żeby cię aresztować?

– Ale może rzeczywiście poczekać, aż miną święta.

– Dave, błagam, bądź realistą! Chcesz, żeby wisiało to nad naszymi głowami przez całe święta? Nie ma mowy. Nie wolno tego odkładać nawet o godzinę. Jedziemy!

– A jeśli... jeśli mnie zatrzymają, co będzie z nabożeństwem w Wigilię?

Szeryf da mu przepustkę, żeby mógł odprawić nabożeństwo? Przecież to bez sensu...

– Dave, przecież u szeryfa jest Roy, a on na pewno stanie po twojej stronie.

Darzyła prywatnego detektywa ogromnym szacunkiem, dlatego tak wielkie nadzieje w nim pokładała. Ale wiadomo było, że Roy, choć będzie starał się pomóc Dave'owi, nie pozwoli sobie na złamanie prawa. Jeśli szeryf zdecyduje, że nie ma wyboru i musi zaaresztować Dave'a, Roy na pewno w żaden sposób nie będzie się starał wpłynąć na zmianę tej decyzji.

Jednak Emily ma sto procent racji. Trzeba jechać tam zaraz. Dave był już wykończony tą ciągłą niepewnością. Nie jadł, nie spał, nerwy miał napięte jak postronki. A poza tym kto jak kto, ale pastor powinien zaufać Bogu. Będzie tak, jak On chce.

Nabrał głęboko powietrza. Tak dla uspokojenia.

– Jedziemy – szepnął.

Przez całą drogę do śródmieścia żadne z nich nie odezwało się ani słowem, jakby wszystko, co trzeba, zostało już powiedziane i teraz należało już tylko dzielnie stawić razem czoło temu, co nieuniknione.

Po kwadransie Dave i Emily, trzymając się za ręce, wkroczyli do biura szeryfa. Głośnego biura. Telefony dzwoniły bez przerwy, kobiety i mężczyźni w mundurach dokądś pędzili. Czyli działo się, choć jednocześnie wszystko było pod kontrolą.

Dave przedstawił się policjantce dyżurującej przy wejściu, choć jednocześnie odniósł wrażenie, że doskonale wiedziała, kim on jest.

– Powiadomię szeryfa Davisa, że państwo przyjechali.

– Dziękujemy – powiedziała Emily, a jej palce mocniej zacisnęły się na rękę męża. – Dave... – szepnęła. – Zobacz, kto tu jeszcze jest. Geoff Duncan...

W czym nie było nic zaskakującego. Asystent z kancelarii Allana Harrisa zapewne miał udzielić wyjaśnień w sprawie listu Marthy Evans, którego w dokumentach nie ma, a który, jak twierdził Dave, na pewno został napisany.

– Em... – odszepnął Dave. – Czy wiesz, że Geoff nie przyszedł na nauki przedmałżeńskie?

Pierwsze spotkanie odwołał, drugie również. Z tym że drugie spotkanie i tak by się nie odbyło, ponieważ właśnie wtedy osiołek kopnął w ścianę i stajenka zawaliła się. Dave z kilkoma ochotnikami odbudowywali ją przez kilka godzin, po czym Dave bitą godzinę wisiał przy telefonie, poszukując na gwałt innego osiołka o nieco mniejszym temperamencie.

W biurze szeryfa pojawił się również Allan Harris, jak zwykle sprawiający wrażenie bardzo zabieganego. Na Dave'a spojrzał przelotnie

bez cienia uśmiechu i podszedł do swojego asystenta, który ulokował się po drugiej stronie poczekalni. Geoff zresztą też kompletnie zignorował pastora i jego żonę, co zważywszy na okoliczności, było Dave'owi na rękę.

Emily jednak nie miała zamiaru odpuścić.

– Panów też wezwano? – spytała.

Allan postawił teczkę na krześle i zaczął zdejmować skórzane rękawiczki, powoli i metodycznie uwalniając po kolei każdy palec.

– Tak – rzucił przez ramię. – Musiałem poprze- suwać terminy spotkań, a ponieważ Geoff też tu jest, musiałem zamknąć kancelarię.

Dave miał już na końcu języka, że on też tego dnia miał co innego do roboty, ale ten komentarz zachował dla siebie, z czego Pan Bóg na pewno był bardzo zadowolony.

Allan chciał jeszcze coś dodać, ale drzwi gabinetu otworzyły się i do poczekalni wszedł szeryf Davis. Razem z nim był Roy McAfee, który od razu odszukał wzrokiem Dave'a i Emily i skinął im na powitanie.

– Wszystkich państwa zapraszam do siebie – powiedział szeryf. – Bardzo proszę.

Rządkiem weszli do środka i zajęli miejsca na krzesłach. Allan Harris ostrożnie ułożył sobie na kolanach starannie złożony długi płaszcz i mruknął:

– Wszyscy? Trochę nietypowo...

– Owszem – przyznał szeryf. – Ale zależało mi, żeby zgromadzić tu wszystkich państwa. Wkrótce dowiedzą się państwo, jaka była tego przyczyna.

– Spojrzenie szeryfa przemknęło po twarzach obecnych i zatrzymało się na pastorze. – Dave, nie masz nic przeciwko temu, że w obecności innych osób zadam ci kilka pytań?

Dave zerknął na Roya, który prawie niezauważalnie skinął głową.

– Bardzo proszę – powiedział Dave. – Nie mam nic do ukrycia.

– Świetnie. – Szeryf usadowił się za biurkiem.

Teraz jedyną osobą, która nadal stała, był prywatny detektyw.

– Dave, byłeś zaprzyjaźniony z panią Martha Evans. To prawda? – spytał szeryf.

– Martha Evans należała do naszej parafialnej rodziny – odparł Dave.

– Rozumiem...

Allan Harris spojrział demonstracyjnie na zegarek, dając do zrozumienia, że na takie pogaduszki nie ma czasu. Geoff Duncan, który wybrał sobie krzesło stojące najdalej od Dave'a i Emily, też sprawiał wrażenie, jakby chciał mieć to wszystko jak najprędzej za sobą. Dave w sumie chciał tego samego, ale był bardzo zdesperowany. Dla dobra rodziny – i jego samego – rzecz cała powinna zostać wyjaśniona już dziś.

– Pod koniec jej życia odwiedzałeś ją dwa, trzy razy w tygodniu.

– Tak. Martha mimo podeszłego wieku, przecież miała już dobrze po osiemdziesiątce, zachowała bystrość umysłu. Jej możliwości fizyczne były już bardzo ograniczone, dlatego córki zatrudniły do opieki pielęgniarkę.

Szeryf lekko przechylił głowę.

– Mówiłeś, że Martha podarowała ci złoty zegarek.

– Tak. Napisała też list dokumentujący darowiznę. Widziałem ten list. Martha powiedziała, że wręczy go prawnikowi, który miał przyjść do niej jeszcze tego samego dnia.

Szeryf zwrócił się do Allana Harrisa:

– Odwiedzał pan Marthę Evans w jej domu?

– Tak. Mieszkała niedaleko sądu, nie było więc z tym żadnego problemu. Znałem Marthę przez wiele lat. Była przyjaciółką mojej matki,

dlatego było mi miło, że mogłem ułatwić jej życie.

– A czy wysyłał pan też do Marthy swojego asystenta?

– Tylko raz – odezwał się Geoff. – Pan Harris polecił mi, żebym wpadł tam po pracy i przekazał kilka dokumentów.

Przenikliwe spojrzenie szeryfa ponownie spoczęło na prawniku.

– Czy może pan to poświadczyć?

– Oczywiście. Z tym że zdarzyło się to tylko raz.

– A pamięta pan dokładnie kiedy?

– Chwileczkę... – Allan Harris sięgnął po teczkę, wyjął z niej komórkę BlackBerry i zaczął sprawdzać kalendarz. – Tak, mam to tutaj. To było szóstego września!

– Szóstego... – powtórzył szeryf. Zapisał w notesie datę i spojrzał ponownie na Dave'a. – Pamiętasz dokładnie, kiedy zastałeś panią Evans martwą?

Takiej daty się nie zapomina.

– Dwa dni później.

– Czyli ósmego... – Szeryf pokiwał głową.

– A kiedy pani Evans podarowała ci złoty zegarek?

– Szóstego.

– Czyli dwa dni przed śmiercią.

– Tak.

– I właśnie wtedy pokazała ci ten list.

– Tak.

– Czyli tego samego dnia, kiedy przyszedł do niej asystent pana Harrisa.

– Chwileczkę! – Geoff Duncan poderwał się z krzesła. – Co pan sugeruje, szeryfie?

– To coś więcej niż sugestie – oznajmił Troy Davis. – Mam tutaj wyciąg z pańskiego konta. Jako organ ścigania mogłem do niego zajrzeć. Wysokie wpłaty na konto w ostatnim okresie są dość zastanawiające... – Otworzył teczkę, wyjął z niej dokument i wręczył Duncanowi. – Rozmawiałem również z właścicielem lombardu w Seattle, który gotów jest zaświadczyć, że zastawił pan u niego kilka pierścionków z diamentami.

W pokoju na moment zapadła cisza. Cisza ogłuszająca.

Emily wlepiła w męża pełne przerażenia i niedowierzania oczy.

– Geoff Duncan? – szepnęła.

Równie zaskoczony jak żona Dave lekko uściśnął jej palce. Nie, nigdy by mu do głowy nie przyszło, że może być to Duncan.

Geoff opadł z powrotem na krzesło, mętny wzrok wbił gdzieś w dal.

– Ja... ja potrzebowałem pieniędzy.

Dave, przymknąwszy oczy, przywołał w pamięci rozmowę sprzed kilku tygodni, kiedy to Geoff z dumą poinformował go, że żeni się z Lori Bellamy. A Bellamy byli jedną z najbogatszych rodzin w tych stronach. Zapewne chciał za wszelką cenę dostosować swój poziom życia do ich poziomu, na co absolutnie nie było go stać.

– Geoff... Dlaczego? – W głosie Allana Harrisa, który musiał doznać wielkiego szoku, słyhać było wielki smutek.

Jednak Geoff nie odpowiedział na to pytanie, tylko oświadczył:

– Będę odpowiadać tylko i wyłącznie w obecności prawnika.

– Geoff, przecież ja jestem prawnikiem!

– Tak, ale potrzebuję prawnika, który specjalizuje się w odraczaniu wyroku.

Z oczu Harrisa znikł smutek, pojawiło się za to oburzenie.

– Tak? To go sobie znajdź!

Gdy szeryf Davis wstał i otworzył drzwi, do pokoju wszedł jeden z jego zastępców i zakładając Geoffowi kajdanki, zaczął recytować formułę o jego prawach.

– Nie trzeba – warknął Geoff. – Znam je bardzo dobrze!

Zastępca szeryfa mimo to dokończył swoją kwestię i wyprowadził aresztanta z pokoju.

Dave siedział nieruchomo. Nadal był porażony tym, co się stało.

– A więc Martha dała mu ten list...

– A on go na pewno zniszczył – dokończył Roy McAfee, po raz pierwszy zabierając głos.

– Skąd on wiedział, gdzie Martha trzyma swoją biżuterię?

– Mówiłem ci już, że zamrażarka nie jest zbyt oryginalnym schowkiem.

– Prawdopodobnie zabrał biżuterię tamtego dnia, kiedy wysłałem go do Marthy – powiedziała Allan Harris. – Miała przytępiony słuch i na pewno nie słyszała, jak otwierał zamrażarkę.

– Ale... ale dlaczego obciążył tym mnie? – spytał wciąż oszołomiony Dave.

– Bo się do tego znakomicie nadawałeś – powiedział Roy. – To ty przecież zastałeś Marthę martwą.

– A kiedy podrzucił te kolczyki do mojej marynarki... Zaraz... Już wiem! Przecież tamtego dnia zostawiłem u Marthy marynarkę! – Co kompletnie uleciało mu z pamięci. Dopiero teraz przypomniał sobie, że szóstego września było wyjątkowo ciepło, dlatego zostawił u Marthy marynarkę, a potem, jeszcze tego samego dnia po południu, wrócił po nią. Jednak wcześniej u Marthy był Geoff i podrzucił kolczyki, a Dave, nieświadom tego, co ma w kieszeniach, poszedł do kościoła...

– Poza tym... – ciągnął Roy – Geoff domyślał się, zresztą słusznie, że ty wiesz, gdzie Martha trzyma biżuterię. No i dostałeś od niej złoty zegarek. Wystarczyło przechwycić list o darowiźnie i zegarek stał się już dowodem przeciwko tobie.

– Szeryfie, jak pan na to wszystko wpadł? – spytał Harris.

Troy Davis uśmiechnął się szeroko.

– W sumie nie było to aż tak bardzo skomplikowane. Kiedy zobaczyłem kwit w lombardzie na nazwisko Geoffa, sprawdziłem też w banku. Wysokie wpłaty na konto w ostatnim okresie można było wytłumaczyć tylko w jeden sposób. No i Roy bardzo mi pomógł, bo ma sporo dobrych kontaktów w Seattle, dzięki czemu natrafiłem na ten właśnie lombard.

– Nie przesadzaj, szeryfie – zaprotestował z uśmiechem Roy. – Mieliśmy szczęście. Także zdjęcie Duncana i zaginionej biżuterii. Wystarczyło trochę pochodzić. Szeryf wysłał zastępcę, żeby przeszedł się po lepszych lombardach i już mieliśmy wróbla w garści.

Dave Flemming wiedział, że gdyby zaczął teraz dziękować, szeryf i Roy powiedzieliby, żeby dał sobie spokój, bo tylko wykonali swoją pracę. Ale mogli przecież zadowolić się poszlakami, prawda? Ale szukali dalej, za co Dave będzie im dozgonnie wdzięczny.

– Czy możemy już iść? – spytała Emily.

Szeryf skinął głową.

– Tak, oczywiście, choć na koniec mam jeszcze jedno pytanie. Dave, powiedz, co mam zrobić z tym zegarkiem?

– Oddać córkom – odparł bez wahania. – Czy możemy już iść?

Troy znów uśmiechnął się szeroko.

– Oczywiście.

– A więc... idziemy. I dziękuję, szeryfie, dziękuję z całego serca. Roy, wobec ciebie też mam wielki dług wdzięczności.

– Bardzo wam obu dziękujemy – zawtórowała mu Emily, on zaś złapał ją za rękę i wyprowadził na korytarz. Wymaszerowali z posterunku, do samochodu dotarli biegiem. Dave otworzył drzwi i kiedy tylko znaleźli się w środku, padli sobie w objęcia.

– Koniec! Już po wszystkim! – cieszył się Dave, ściskając żonę.

– Nareszcie, nareszcie! Dave, czy kiedykolwiek mi wybaczysz, że przez moment zwątpiłam w ciebie?

– Emily! Zważywszy na okoliczności, jestem pewien, że zareagowałbym identycznie.

– Ale ja jestem twoją żoną...

– Tak, jesteś! – przytaknął szybko Dave, zaglądając jej głęboko w oczy. – Jesteś moją żoną, piękną, ukochaną...

Szeryf Davis stał w oknie i uśmiechając się do siebie, po prostu podglądał Dave'a i Emily. Ściskali się i całowali. Jak to dobrze, że wszystko skończyło się szczęśliwie. Roy McAfee trochę pomógł, no i udało się aresztować złodzieja, a także oczyścić z zarzutów pastora Dave'a Flemminga. A dzięki operatywności policjantów udało się wytropić prawie całą zaginioną biżuterię.

Szeryf już wcześniej zadzwonił do córek Marthy i powiadomił je, że dostaną tę biżuterię. Złoty zegarek też. Martha co prawda chciała, żeby nosił go Dave, on jednak zdecydował inaczej. Ponieważ udowodnienie darowizny było już niemożliwe, wolał zwrócić zegarek rodzinie, czym Troyowi bardzo zaimponował.

Troy odwrócił się od okna. No cóż... Przynajmniej ta sprawa została wyjaśniona. A nowa już czeka. Trzeba zidentyfikować ludzkie szczątki

znalezione w jaskini. Prawdopodobnie jest to szkielet kilkunastoletniego chłopca. Oczywiście był już w rękach patologów, którzy ustalili przypuszczalny czas zgonu. Troy sprawdził w miejscowym rejestrze osób zaginionych. W tym czasie nikt w tym hrabstwie nie zaginął, czyli do sprawy trzeba będzie włączyć inne hrabstwa. I szukać tu, na miejscu. Ktoś przecież musiał chłopaka widzieć, rozmawiać z nim, znać go. Troy podejrzewał, że chłopak uciekł z domu. Dwadzieścia lat temu... Takie sprawy są zawsze bardzo trudne, ale jak człowiek się przyłoży, to kto wie, może uda się ustalić, co chłopaka przywiodło do tej jaskini.

I takie to mamy sprawy z okazji nadchodzących świąt.

Świąt bez Faith.

Trzy godziny później Troy opuszczał swoje biuro. Koniec pracy, pora wracać do domu. Pacific Boulevard 92. Dom pod tym adresem niestety charakteryzował się teraz pustką. Jedna osoba nie była w stanie go wypełnić.

A może pozawieszać te wieńce z jedliny, które kupiła mu Megan? Udekorować dom i spróbować sobie wyobrazić, jak wyglądałby ten wieczór, gdyby spędzał go razem z Faith...